

**Margaret Moore**

# **Na śmierć i życie**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Walia, rok 1201*

- Niewiele się zmienił, prawda? - Postawny rycerz klęczący na skraju urwistego zbocza odwrócił się do swego przybranego brata. Poniżej błotnistą drogą wlokł się niewielki orszak: kilku jeźdźców w przemokniętych pelerynach, dwa staromodne, skrzypiące powozy i oddział pieszych żołnierzy. - Cynrik wciąż dosiada konia tak, jakby mu kto włócznię wsadził...

- Emryss! - zawołał jego niski i krępy towarzysz, tłumiąc wybuch śmiechu.

- Na rany Chrystusa, chciałem rzec, że jeździ konno, jakby mu kto włócznię wsunął pod kolczugę. Czasami zrzędzisz jak stara baba. - Ruchem głowy wskazał drobną postać na wierzchołku. - To pewnie jego oblubienica. Podryguje w siodle niczym wór z jabłkami! Bez wątpienia ma inne zalety, bo podczas konnej przejażdżki nie zdołałaby skłonić Cynrika do oświadczenia, albo wzrok mi się pogorszył. - Uśmiechnął się do przybranego brata, poprawiając opaskę zasłaniającą pusty oczodół. U rycerza dobiegającego trzydziestki taki uśmiech wyglądał osobliwie, ale Gwilym doskonale wiedział, co oznacza ten pozór wesołości: komuś wnet stanie się krzywda.

- Posąg ma lichy - rzekł, zatroskany, co knuje Emryss, który mimo wieloletniej tułaczki nie wyzbył się nienawiści do rodu

DeLanyea z Beaufort. Po chwili dodał, łudząc się, że wkrótce odjadą. - Córka teściowej naszego kowala była na rynku w Beaufort. Ludzie gadają, że panna wyprawę dostała mizerną.

- Pewnie urodziwa, co?

- A skąd! To jest najdziwniejsze. Podobno zabiedzona i chuda jak patyk. Sam widzisz, że to prawda, więc jedźmy.

- Dziwne, że Cynrik żeni się z taką brzydulą. To do niego niepodobne - zauważył Emryss. - Co jeszcze gadają?

Gwilym z ulgą stwierdził, że orszak wjeżdża do lasu.

- Stary baron ich wyswatał. Jej stryj... ten podobny do wyliniałej sowy, jadący obok Cynrika... ma wpływy na królewskim dworze, a takie koneksje bardzo się przydają.

- Kim jest tamten ciemnowłosy rycerz? - Emryss wskazał jeźdźca towarzyszącego narzeczonej. - Rozgląda się, jakby coś przeczuwał.

- Nazywa się Fitzroy. Trzeba na niego uważać. Dzielny wojak.

- Skąd pochodzi?

- Nie wiadomo. Podobno jest najemnikiem.

Emryss pokiwał głową i wstał, gdy ostatni piechur zniknął wśród drzew.

- Nie dziwi mnie, że Cynrik ściąga najemnych żołnierzy. Zapewne planuje mord albo coś gorszego. - Siegnął ręką do przepaski, zdjął ją i wsunął za pazuchę. - Pora oznajmić drogiemu kuzynowi, że wróciłem do domu.

- Emryss, tyś oszalał! - Gwilym zerwał się na równe nogi, starając się nie patrzeć na oczodół pokryty zmarszczoną, czerwoną błoną, szpecący oblicze brata. - Myślisz, że będzie czekał, aż zbliżysz się do niego i miło pozdrowisz? Człowieku, on nienawidzi cię z całej duszy! Zginiesz na miejscu.

- Wątpię. Pamiętaj, że wiezie narzeczoną i będzie chciał jej zaimponować. Pozdrowię go po walijsku. Jestem pewny, że się ucieszy.

- To istne szaleństwo. Chcesz, żeby zobaczył, jak cię już poszczerbili? - Gwilym kręcił głową, obserwując, jak Emryss dosiada konia i ostrożnie podciąga lewą nogę. Powinien był ugryźć się w język, bo twarz brata spochmurniała.

- Nie wie, żem chromy na jedną nogę. Poradzę sobie. Gdy zobaczy moją twarz, pojmie, że nawet Saracenom nie udało się mnie zabić. Będę żył, póki nie wyrównam rachunków z tymi łotrami, co siedzą w Beaufort.

- Skoro tak, jedziemy razem. - Gwilym kiwnął głową i dosiadł konia.

- To barbarzyńcy i głupcy - narzekał Cynrik DeLanyea, a jego głos brzmiał w uszach dostojnego Raynalda Westercotta jak brzęczenie natrętnego owada - nie rozumiem, czemu król tak się troszczy o to pustkowie zdatne jeno dla cuchnących owiec... i śmierdzących wieśniaków.

Westercott ze słabym uśmiechem zwrócił twarz o orlich rysach ku Cynrikowi. Nużyły go ciągłe narzekania tego młokosa, ale nie chciał wszczynać sporów przed ślubem niezbyt posażnej bratanicy. Jak zmiłowania wyglądał chwili, gdy nareszcie wyda ją za męż.

- Nie zapominaj, panie rycerzu, że potrzeba nam wełny. Twój ojciec nie narzeka, że ma tutaj baronię.

- Znalazł sobie... pociechę - odparł Cynrik z uśmiechem, który sprawił, że niezbyt lotny Westercott poczuł się zakłopotany. Chodziły słuchy, że panowie z rodu DeLanyea bez umiaru szastali groszem, zaspokajając cielesne żądze, i dlatego gnębili

bez litości swych dzierzawców. Teraz, gdy władzę przejął król Jan, potrzebowali wsparcia na dworze, toteż baron DeLanyea postanowił znaleźć synowi odpowiednią żonę. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki jego głupocie Westercott mógł się nareszcie uwolnić od kłopotliwej bratanicy, która snuła się po domu jak niespokojny duch i chodziła tam, gdzie nie powinna. Rozpaczliwie pragnął, żeby ktoś go od niej zabrał.

- Coś rzekł, panie? - zapytał Cynrik, gdy Westercottowi nagle wyrwało się głośne westchnienie ulgi, które zagłuszyło monotonny szum deszczu w koronach drzew.

- Niestety, coraz bardziej pada. Daleko jeszcze do Beaufort? - spytał Westercott. - Robiło się późno, a jemu kiszki marsza grały.

- Nie. Dotrzemy tam przed zmierzchem.

Westercott kiwnął głową i obejrzał się, spoglądając na jadące za nimi wozy. Zmarszczył brwi, patrząc na Roannę, która wyglądała jak zmokła kura. Dobry Boże, jaka to będzie radość, gdy uda się ją dobrze wydać za mąż.

- Szkoda, że w pobliżu waszych włości nie ma klasztoru - powiedział Cynrik. - Roanna to urodzona mniszka.

Westercott odwrócił się i stwierdził, że na twarzy przyszłego oblubieńca maluje się odraza, więc znacząco odchrząknął.

- Taka myśl przyszła mi do głowy, ale umieszczenie w klasztorze dobrze urodzonej panny sporo kosztuje. Mimo wszystko zamierzałem to uczynić, gdy wasz ojciec... - Odkaszlnął. - Moim zdaniem dobrze się stało, że dzięki Roannie wszyscy skorzystamy na naszej umowie. Czyż nie tak, panie?

Nim Cynrik zdążył odpowiedzieć, kruk z głośnym krzykiem zerwał się z gałęzi i poleciał ku szarym chmurom. Roanna Westercott mocniej chwyciła lejce i rozejrzała się wokoło. Dobrze uzbrojeni i pełni obaw piechurzy stanęli i patrzyli na ścianę lasu.

- Na miłość boską, to zwykły ptak - burknął Cynrik, odwracając się w siodle. Zimne, niebieskie oczy spoglądały na nich karcąco. Zmrużył powieki i zacisnął wargi. Roanna widziała niezadowolenie na twarzy przyszłego męża, kiedy na nią spoglądał. Była tak przemoczona, że ociekała wodą. - Ruszajcie. Ci walijscy rabusie nie są na tyle głupi, żeby nas zaatakować.

Roanna bez trudu przyoblekła twarz w maskę całkowitego spokoju, co praktykowała od lat. Słyszała wcześniej, jak mężczyźni rozmawiali o hardych Walijszykach opierających się Normanom, których nadal uważali za najeźdźców. Zdawała sobie sprawę, że Cynrik jest człowiekiem dumnym, wręcz chępliwym, więc byłby urażony, gdyby narzeczona mu się sprzeciwiła. Bez wątplenia w obecności swego oblubieńca musi ostrożnie ważyć słowa.

Znała wszystkie szczegóły umowy zawartej przez stryja. DeLanyea i jego syn zgodzili się przyjąć posag tak lichy, że dla panny z dobrego rodu sam w sobie stanowił obrazę. Baron był skłócony zarówno z Normanami, jak i z Walijszykami, więc jej stryj musiał wykorzystać wszelkie znajomości, aby wesprzeć nowych powinowatych. Wszyscy plotkowali, że Cynrik DeLanyea to nałogowy uwodziciel szukający kochanek i wśród dam, i między wieśniaczkami. Roanna słyszała ponadto, jak żołnierze dowcipkowali, że na weselu musi biedak upić się na umór, żeby spełnić mążowski obowiązek.

Stało się. Nawet gdyby chciała, nie mogła się już wycofać, ponieważ jej stryj dał słowo, a honor wymagał, żeby zostało dotrzymane.

Padało coraz bardziej; końskie kopyta grzęzły w błocie. Roanna zsunęła przemoczony kaptur, żeby się rozejrzeć, ale zobaczyła tylko rozmiękły gościniec i ociekające wodą drzewa. Po-

patrzyła na stryja, który niespokojnie kręcił się w siodle. Zapewne puszczał słowa Cynrika mimo uszu, bo marzył o obfitym posiłku. Dzień był chłodny, więc miała nadzieję, że wkrótce dotrą na miejsce, w przeciwnym razie tak przemarzną na deszczu, że wszyscy się pochorują.

Obejrzała się, gdy koło drewnianego wozu z jej skromnym posagiem stuknęło o wystający kamień. Dwaj krzepcy normańscy woźnice, poddani barona, zeskoczyli, aby usunąć przeszkodę. Naparli barkami na bok wozu i pchali go, wyciągając z błota. Niespodziewanie Cynrik ściągnął wodze, a Fitzroy błyskawicznie dobył miecza. Tłusta klacz stryja Roanny zarżała z oburzeniem, gdy próbował ją zmusić, aby się cofnęła. Drużynnicy barona sięgnęli po broń i stanęli ramie przy ramieniu. Roanna wyciągała szyję, próbując stłumić lęk i wolno podjechała do Fitzroya, który wydawał się najbieglejszy w wojennym rzemiośle.

Pojęła, dlaczego się zatrzymali, gdy ujrzała samotnego jeźdźca na wielkim, czarnym koniu. Stał bez ruchu, choć krople deszczu kapały mu na skórzany kaftan z hełmu, który był pewnie zdobyczny. Okrywał całą głowę, a patrzyło się przez dwie wąskie szpary. Krople deszczu lśniły na obnażonych ramionach nieznanego, który nie nosił koszuli ani peleryny. Na nogach miał spodnie ze skóry i owijacze z wełny. Łokieć oparł na kolanie i kiwał zwisającą swobodnie stopą jakby w takt niesłyszałnej dla innych melodii.

Roanna odetchnęła z ulgą. Żołnierze Cynrika łatwo sobie z nim poradzą. Tylko głupiec mógłby się łudzić, że obrabuje ich w pojedynkę. A jednak Cynrik wyciągnął miecz. Coś świsnęło jej koło ucha. Zamarła, patrząc na wbity w pień drzewa za plecami strzałę, która wibrowała przez chwilę, nim znieruchomiała. Roanna ściągnęła wodze i popatrzyła na las. Mężczyzna

z pewnością nie był sam. Wybuchnął śmiechem i zsunął się z konia, a szeroki miecz objął mu się o biodro.

- *Dydd da ich!* - krzyknął radośnie, jakby to był świetny żart. Roanna wodziła spojrzeniem od przyszłego męża do nieznanego, który bez wątplenia był szaleńcem. Podszedł do wierzchowca dosiadanego przez Cynrika, stanął kilka łokci od niego i dodał, nie kryjąc rozbawienia: - Widzę, że nie stałeś się jeszcze Walijczykiem, bo nadał brak ci ogłady. - Położył dłonie na wąskich biodrach.

- Czego chcesz? - zapytał ostro Cynrik.

- Szkoda, że taki z ciebie gbur - ciągnął nieznanomy. - Znamy się tyle lat, więc chyba zasługuję na szczególne względy. - Uniósł rękę i zdjął hełm.

Okropna czerwona szrama przecinała czoło, pusty oczodół i policzek. Prosty nos i mocno zarysowana szczęka pozostały nietknięte, ale źle wygojona blizna szpeciła górną część twarzy. Cynrik gapił się z otwartymi ustami. Ciszę przerwał kolejny wybuch śmiechu. Uradowany mężczyzna odrzucił głowę do tyłu.

Roanna patrzyła na niego ze zdumieniem. Czy to możliwe, aby człowiek, który wylizał się z takich ran, cieszył się przerażeniem innych ludzi? Na jego ustach igrał uśmiech, ale z oczu wyzierała nienawiść, nie pasująca do pogodnego wyrazu twarzy.

- Sądziliśmy, żeś poległ - powiedział Cynrik zdławionym głosem.

- Jak widzisz, żyję. - Głos obcego był niski i donośny. Po-brzmiewała w nim nuta pogardy. Roanna uznała, że Cynrik słabo się broni. - Zresztą nie przyjechałem tu, żeby wymieniać uprzejmości. Chcę obejrzeć twoją narzeczoną.

Roanna wstrzymała oddech, gdy zachichotał i minął Cynri-

ka, który nie próbował go zatrzymać, najwyraźniej sparaliżowany strachem. Spod przymkniętych rzęs zerknęła na stryja. Pobladł i trząsał się jak liść, więc i on nie był w stanie jej pomóc. Nawet Fitzroy cofnął się, gdy nieznajomy ruszył ku niej. Popatrzyła na swoje dłonie zaciśnięte tak mocno, że skóra na nich pobielała. Nie miała pojęcia, jak się zachować.

- Oto szlachetnie urodzona dama. - Mężczyzna stanął obok jej wierzchowca. Głos mu złagodniał, słyszało się w nim ton zaciekawienia. Odetchnęła głęboko, żeby nabrać odwagi, i popatrzyła na niego z kamienną twarzą.

Uśmiechnął się znowu, a na jego policzkach zobaczyła niewielkie dołki. Był szatynem. Kosmyki falujących włosów opadały mu na czoło, ku skroniom biegły drobne zmarszczki, a jedyne oko spoglądało tak przenikliwie, jakby potrafił zajrzeć do najciemniejszych zakamarków duszy.

Długo patrzyła na stojącego obok niej mężczyznę, próbując dojść, ile jest wart. Ujrzała doświadczonego przez los człowieka, który wiele przecierpiał, lecz dzięki temu zyskał nowe siły.

- Bez wątpienia nie jesteś wart tej kobiety, młodzieńcze.

Próbowała stłumić uczucie dumy, która ją ogarnęła, kiedy usłyszała jego werdykt. Czuła na sobie znaczące spojrzenia Fitzroya oraz innych żołnierzy, więc naciągnęła kaptur, żeby ukryć rumieniec.

Mężczyzna odwrócił się i poszedł do swego konia. Nogi miał długie, szybko pokonał tę odległość. Poruszał się jak prawdziwy rycerz, ale miał też wrodzoną zwinność i koci wdzięk. Roanna dostrzegła oznaki napięcia i pojęła, że jest gotów do walki. Próbowała odwrócić wzrok, kiedy dosiadał konia i wkładał hełm, lecz mimo woli nadal go obserwowała. Gdy obrócił konia i spojrzał za siebie, bez zastanowienia popatrzyła mu prosto w oczy.

Niespodziewanie uderzył piętami w boki wierzchowca i podjechał do niej. Zanim zdążyła krzyknąć, nim Cynrik i reszta zorientowali się, co zaszło, chwycił za uzdę jej konia i pociągnął za sobą.

- Pora cię nauczyć walijskich zwyczajów, Cynriku! - krzyknął i ruszył wąską ścieżką przez las, ciągnąc za sobą wierzchowca Roanny, która ścisnęła kurczowo wodze, pochylona z obawy przed zwisającymi nisko gałęziami. Nie krzyczała, bo gardło miała ściśnięte. Podczas szalonej jazdy miała wrażenie, że trzewia podskakują jej w brzuchu niczym grudy błota, wyrzucane w górę końskimi kopytami. Wilgotne liście biły ją po twarzy, a rosochate gałęzie szarpały pelerynę, która w końcu zawisała na jednej z nich. Koń pędził galopem, więc nie mogła złapać tchu, ale mężczyzna nie zwolnił ani na chwilę. Mknęli po leśnym poszyciu tak szybko, jak się dało, nie bacząc na błoto, deszcz i gęsto rosnące drzewa.

Nie zatrzymał się, gdy wypadli na polanę, i ciągnął jej konia coraz dalej i dalej w głąb puszczy. Niewielki orszak dawno zniknął im z oczu. Wspięli się po stromym zboczu i wyjechali na łąkę, gdzie konie przeszły w trucht. Roanna oddychała z trudem i mocniej przywarła do końskiego grzbietu.

Trzeba uciekać! Błędnie oceniła tego człowieka.

Nabrała powietrza, przygotowała do skoku podkurczone nogi, upadła ciężko na ziemię i przez moment leżała bezwładnie. Próbowwała zaczerpnąć tchu i wstać, ale ciało jej nie posłuchało. Świat wirował jak oszalały, szumiało jej w uszach, a tępy ból rozsadał piersi, gdy niezdarnie pełzła w stronę zarośli.

Zobaczyła przed sobą długie nogi w skórzanych spodniach, a dwoje silnych ramion podniosło ją z ziemi. Stała niepewnie przed jednookim mężczyzną.

- Puść mnie! - rozkazała zduszonym głosem. Zachwiała się, gdy posłuchał od razu, więc podtrzymał ją odruchowo, bo nie chciał, żeby ta panna o cudownych oczach ucierpiała, będąc pod jego opieką.

- Nie dotykaj mnie - szepnęła, odpychając go i patrząc na oszpeconą bliznami twarz. Jej zielone oczy lśniły groźnie jak u rozdrażnionej kotki, ale stała bez ruchu i nie próbowała uciekać. Gdyby nie spojrzenie i pierś falująca pod wpływem spazmatycznego oddechu, można by pomyśleć, że jest posągiem.

- To był żart - powiedział w końcu Emryss, przekonany, że szlachetnie urodzona panienka lada chwila zacznie szlochać ze strachu. - Nic ci się nie stanie.

- Prędzej umrę, niż pozwolę, żebyś mnie znieważył - odparła groźnie. Zdziwiły go nie słowa, lecz niezłomna siła cichego głosu. Ta dziewczyna wiedziała, co mówi.

- Nie zrobię ci krzywdy. Masz na to moje słowo - oznajmił stanowczo. Pochlebiło mu, że popatrzyła na niego łaskawiej.

- W takim razie pozwól mi odjechać.

- Myślałem, że mi podziękujesz, bo uniknęłaś najgorszego - rzekł z pozoru obojętnie, chociaż zmieszał się pod jej badawczym spojrzeniem. - Tylko głupia dzierlatka chciałaby poślubić takiego tępaka jak Cynrik, a ty masz swój rozum.

- Skąd wiesz, czego pragnę? Nie masz pojęcia, kim jestem. - Wyprostowała się dumnie, a Emryss nie krył zdumienia, jakby posąg nagle ożył. Zrobiła krok w jego stronę. - Odprowadź mnie tam, skąd przyjechaliśmy.

- Czemu miałbym to zrobić? Cynrikowi nie oddałbym nawet psa.

- Nie jestem psem, a poza tym możesz mnie oddać, bo nie

jestem twoją własnością. - Podniosła głos, a w jej oczach rozgorzały zielone płomienie. - Jeżeli masz choć odrobinę honoru, zawieź mnie natychmiast do narzeczonego.

- Wbij sobie do tej normańskiej główki, panienko, że nikt mi nie będzie rozkazywać! - Gdy pochylił się nad nią, dostrzegła żyłkę pulsującą na jego skroni. Przymknęła powieki i wyciągnęła złożone dłonie.

- Błagam!

- Przestań udawać strwożone dziewczątko. Nie przystają ci takie sztuczki. - Dotknął jej podbródka, więc musiała unieść głowę i spojrzeć mu prosto w twarz. Na Boga, widział już ten wyraz, który pojawił się nagle w jej oczach. Tak wyglądali rycerze ruszający w bój. Gniew zniknął jak poranna mgła, ustępując miejsca żalowi i natrętnemu pragnieniu, żeby ich spotkanie odbyło się w innym czasie i miejscu.

- Jutro rzucisz się w ramiona tego gnojka, ale dziś pojedziesz ze mną.

Roanna ani drgnęła.

- Mało mnie obchodzi, czemu tak ci zależy na ślubie z Cynrikiem, ale wolałbym nie rozprawiać o tym w strugach deszczu - powiedział, wziął ją na ręce i ruszył w kierunku swego parkującego i zniecierpliwionego wierzchowca, bo koń Roanny dawno uciekł. Niósł ją bez wysiłku, jakby nic nie ważyła. Gdy dosiadła ogromnego stworzenia, tak się bała upadku, że myślała jedynie o tym, aby mocno się trzymać. Mężczyzna wskoczył na koński grzbiet i siedząc z tyłu, objął ją ramionami mocnymi jak żelazne sztaby. Biło od nich przyjemne ciepło. Roanna siedziała nieruchomo, gdy koń wolno zagłębiał się w las tak gęsty, że niewiele widziała zza ściany drzew.

- Nie waż się znowu skakać - mruknął. Milczała jak zakłę-

ta. - Mogłabyś skrócić kark - dodał. - Zresztą lepiej być martwą niż poślubioną Cynrikowi, ale są inne sposoby, żeby uniknąć tego nieszczęścia.

Roanna zamarła.

- Czyżbym się mylił? Naprawdę chcesz wyjść za tego łajdaka i głupca? Uchodzi za przystojnego, ale sądziłem, że jesteś zbyt mądra, aby go poślubić z własnej woli.

- Mój stryj nas wyswatał. - Niski, cichy głos brzmiący tuż przy jej uchu sprawił, że musiała odpowiedzieć.

- Idziesz za mąż z własnej woli?

- Nie mam wyboru.

- Wyraziłaś zgodę przy świadkach?

- Co ty możesz wiedzieć o takich sprawach!

- Myśl sobie, co chcesz - odparł, mocniej ściskając wodze.

- Nie masz pojęcia o życiu ludzi wysoko urodzonych.

- Czyżby?

Roanna wolała milczeć. I tak zbyt wiele powiedziała temu człowiekowi, który w najlepszym razie był złodziejem, w najgorszym zaś buntownikiem. Porwał ją od narzeczonego i stryja i powinna lękać się, co z nią uczyni. Nie mogła się nadziwić, że nie czuje strachu. Czyżby po upadku z konia w głowie jej się pomieszało?

Mężczyzna zamilkł. Gdy jechali przez las, ciszę przerywał tylko szum deszczu i stukot końskich kopyt. Wkrótce dotarli nad strumień obrosnięty wierzbami o gałęziach wiszących nisko nad bystrym nurtem. Roanna zacisnęła dłonie na brzegu siodła.

Wolno przejechali na drugi brzeg. Koń stapał pewnie, jakby dobrze znał ten szlak. Na drugim brzegu wąska ścieżka wspinała się po zboczu i znikła wśród drzew. Koń ruszył dalej; wjechali w mieszany las. Rosły tam wierzyby, leszczynowe krzewy, dęby

i sosny. Roanna próbowała zapamiętać punkty orientacyjne na wypadek, gdyby udało jej się umknąć, ale dróżka była tak wąska, a zarośla takie gęste, że samotna wędrowka przypominałaby szukanie brodu na nieznanym rzece.

Mokre igliwie i liście pachniały mocno. Krople zimnej wody spadały z drzew na jej głowę i ramiona, ale siedziała wyprostowana i bardzo uważała, aby się nie oprzeć plecami o szeroką i ciepłą pierś nieznanego, choć wymagało to od niej sporego wysiłku.

Gdy pokonali strome zbocze, ujrzeli rozległy płaskowyż. W pobliżu wznosiło się kamieniste wzgórze, a u jego podnóża małe, proste zabudowania, najpewniej osada. Gdy podjechali bliżej, okazało się, że to cztery szałas, gdzie mieszkali pasterze.

Rozległo się ostrzegawcze szczekanie psa i ze środka wybiegło kilku mężczyzn w skromnym odzieniu ze skór i wełny: dwóch chłopców uzbrojonych w krótkie walijskie łuki, krzepki starzec o prostych plecach i białej brodzie, a także paru innych z pustymi rękami, na oko bardziej zdalnych do strzyżenia owiec niż do walki. Krzyknęli głośno na powitanie. Do przodu wysunął się krępy, ciemnowłosy młodzieniec o rycerskiej posturze. Chwytał wodze i popatrzył na Roannę, z trudem skrywając wrogość.

- Dobry Boże! *Brawdmaeth*, czemu ją tu przywiozłeś? - spytał zniecierpliwiony po walijsku, zerkając na Emryssa.

- Bo tak mi się podobało - usłyszał w odpowiedzi od przybranego brata, który zeskoczył z konia, na chwilę zapominając o dziewczynie. - Ogień rozpalony?

- Tam - odparł Gwilym, wskazując bardziej oddalony szałas.

- Dobrze, braciszku. - Emryss wyciągnął ramiona i pomógł

Roannie zsiąść z konia. Ogarnęło go przyjemne oszołomienie, gdy mocno oparła się rękoma o jego barki.

- Chodź - polecił w normańskiej mowie i ujął jej dłoń, ciepłą jak małe zwierzątko. Natychmiast wysunęła ją z mocnego uścisku. Zacisnął zęby, objął ponownie jej palce i ruszył do szałas, ciągnąc ją za sobą.

Na rany Chrystusa, cóż uczyni z tą kobietą należącą do człowieka, którym gardził? Co mu strześliło do głowy, że ją porwał? Może dlatego, że tak dziwnie na niego popatrzyła. Ubzdurał sobie, że w jej wzroku czyta szczerze zaciekawienie. Wiele czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni czuł na sobie takie kobiece spojrzenia.

Zatopiony w myślach nie był świadomy, że dziewczyna musi biec, żeby dotrzymać mu kroku, a mokra spódnica krępuje jej ruchy. Otworzył drzwi szałas i wepchnął ją do środka. W podłodze było płytkie zagłębienie, gdzie płonął ogień. Dym szczypał w oczy. Roanna wyrwała dłoń z ręki porywacza, zatoczyła się i chwiejnym krokiem podszła do legowiska ze słomy. Stał bez ruchu, czekając, aż odzyska spokój. Bez pośpiechu splótł ramiona na szerokiej piersi i rozkazał:

- Zdejmij suknię.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Leciwa, szczupła kobieta odeszła od wąskiego okna.

- Przez cały dzień leje jak z cebra, a ci dwaj nie wracają!  
- powiedziała głosem przenikliwym jak dźwięk trących o siebie młyńskich kamieni.

- Wiesz dobrze, Mamaeth, że jeśli przyjdzie im ochota, zostaną na noc w górach - odparła z uśmiechem młoda szatynka.

- Może Emryss wdał się w bójkę albo zrobił inne głupstwo?  
- burknęła Mamaeth i znowu spojrzała ponad niedokończonym murem obronnym twierdzy, usiłując przeniknąć wzrokiem ścianę deszczu.

- Jest z nim Gwilym.

- Ciekawe, jak zdoła powstrzymać Emryssa - Mamaeth spojrzała na nią z politowaniem - zwłaszcza jeśli będą mieć do czynienia z Normanami.

- Sama wpoilaś mu nienawiść do wszystkich Normanów z wyjątkiem jego ojca, więc czemu obwiniasz Gwilyma. - Bronwyn westchnęła i podniosła wzrok znad płótna. - Ten biedak stara się, jak potrafi, ale to nie jego rzecz rozkazywać wielmoży.

Mamaeth zrobiła taką minę, jakby miała ochotę zakląć, ale z obawy przed karą Bożą ugryzła się w język. Podeszła do małego piecyka, który oświetlał i ogrzewał izbę czeladną, gdzie przesiadywały służebne z Craig Fawr.

- Dobrze mówisz - powiedziała, unosząc róg zszywanego płótna - ale najwyższy czas, żeby Emryss przestał zaprzętać sobie głowę bitwami i twierdzami, a pomyślał o żeniactwie.

- Wydaje mi się, że wspomniałaś o tym pierwszego wieczoru po jego powrocie. - Bronwyn zachichotała.

- Owszem, i miałam rację. Moje dziecko, uważaj na szew. Powinien być drobniejszy.

- Zapewne Emryss nie spotkał jeszcze panny, która przypadłaby mu do serca. - Bronwyn przyjrzała się ściegom i przyznała w duchu, że stare, ale bystre oczy Mamaeth się nie mylą. Ostrożnie spruła kilka ostatnich.

- Też coś! - zachnęła się Mamaeth. - Od lat chłopięcych uganiał się za dziewczynami i niejedną dopadł. Ale to prawda, że go żadna nie usidliła. - Po chwili milczenia dodała: - Trzeba szykować kolację, bo ci dwaj włóczyki nie dostaną nic do jedzenia, kiedy wrócą do domu.

Bronwyn kiwnęła głową. Ona również martwiła się o nich, bo w przeciwieństwie do starszej kobiety wiedziała, że planowali zuchwałą wyprawę do Beaufort.

Mamaeth ruszyła ku drzwiom krokiem dziwnie zwawym i szybkim jak na kobietę w jej latach. Była ochmistrzynią owdowiałej matki Emryssa, a teraz służyła jej synowi. Bronwyn odprowadziła ją wzrokiem, a potem westchnęła, pochyliła głowę i zaczęła szyc. Szkoda, że to nie Gwilym zwierzył się, dokąd jadą. Pewnie nie chciał jej martwić, bo wiedział, co do niego czuje. Nieprawda! Trzymał rzecz w tajemnicy, żeby nie wygadała się przed Mamaeth, z którą była tak blisko. Stara ochmistrzyni od lat rządziła w Craig Fawr i wszyscy musieli się z nią liczyć.

Bronwyn miała nadzieję, że pewnego dnia Gwilym przejrzy

na oczy i pojmie, że oddała mu serce. Tymczasem pozostało jej tylko wypełniać jego polecenia, usługiwać mu przy stole, napełniając kielich winem, i ukrywać swoją miłość.

- Głupcze! Idioto! Tępaku!

Baron zacisnął dłoń ozdobioną pierścieniami i walił pięścią w oparcie wielkiego dębowego fotela. Gigantyczny cień przesłaniający wzór zbytkownych gobelinów jak na uragowisko powtarzał ten gest. Można by pomyśleć, że haftowane postaci lekko się pochylają, nadstawiają ucha i szepcą do siebie na cennych tkaninach ozdabiających zimne, kamienne ściany komnaty.

Cynrik odgarnął kosmyk włosów opadający na czoło i otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale ojciec nie pozwolił mu dojść do słowa i znowu krzyknął:

- Jak mogłeś pozwolić, żeby ten jednooki, kulawy bękart wprowadził ci ją sprzed nosa?

Cynrik obserwował pięść, która znów uderzyła w oparcie z ciemnego drewna. Chętnie wrzasnąłby na ojca, lecz się opamnował. Spokojnie obserwował poczerwieniałą twarz i drżące policzki. Nie miał wątpliwości, że ojciec szybko traci siły. Może jest chory? Rozważał tę myśl, gdy starzec miotał obelgi.

- Dopuściłeś, żeby cię pokonał z pomocą swoich pastuchów. Dziewczyna jest nam potrzebna! Zależy ci chyba na zachowaniu naszych włości.

Słyszac wzmiankę o majątku, Cynrik wrócił myślą do narzeczonej. Kto ma ziemię, ten zyskuje władzę, a on nade wszystko pragnął rządzić.

- Nie było cię tam, panie - zaczął pojednawczym tonem. - Skąd mieliśmy wiedzieć, ilu ludzi przyprowadził ze sobą? Wiesz, jak zażarcie walczą ci wieśniacy.

- Na Boga! Sam powinieneś stanąć do walki, zamiast czekać bezradnie jak głupia baba.

- Nie było powodu, żeby szafować życiem moich ludzi. - Cynrik znowu odgarnął mokre włosy i popatrzył na ojca, z trudem łapiącego powietrze, jakby miał lada chwila paść trupem.

- Ach tak! Spotkała cię drobna przykrość: ten łotr zrobił z ciebie głupca. Dobry Boże, zastanawiam się, czy nie przyznać mu racji.

- Mam rozpaczać, że uwolnił mnie od chudej, szpetnej ję-dzy? Z dwojga złego wolałbym ożenić się z kłaczą!

Baron wstał z fotela i popatrzył tak groźnie, że Cynrika ogar-nął strach... ale tylko na chwilę.

- Nawet gdyby przypominała trupa, w ogóle by mnie to nie obeszło. Musisz ją odbić i poślubić.

- Emryss pewnie się z nią prześpi.

- Obaj doskonale wiemy, że nigdy w życiu nie wzięłyby ko-biety siłą. - Baron przeciął komnatę, stanął twarzą w twarz z synem i zmrużył oczy ginące w nalanej twarzy. - Głupcze! Jakie to ma znaczenie? Co odziedziczysz, jeśli król zabierze mi ziemię i da ją komuś innemu?

- Masz rację, ojczu. - Cynrik odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza, ale kąciki jego warg uniosły się w uśmiechu. - Czym tu się martwić? Sam powtarzasz, że w ciemności wszystkie kobiety są takie same, prawda?

- Owszem. - Baron zerknął podejrzliwie na syna.

- Jeśli zgodzę się ją poślubić, nikt się nie odważy twierdzić, że została zniewolona. - Jego ojciec kiwnął głową. - A więc postanowione. Wezmę z nią ślub. Emryss sobie z nas żartuje, ale nie będzie mu do śmiechu, gdy pojmie, że dał mi powód, żebym wkroczył na jego ziemię.

- Chyba zaczynam cię rozumieć, synu - odparł baron, spoglądając na niego z szacunkiem.

- Naprawdę? - Cynrik popatrzył mu w oczy. Wiedział, że między nimi nie będzie zgody. Pojednanie stało się niemożliwe. Ojciec był teraz jedynie schorowanym starcem, który stał mu na drodze. - O świcie rozpocznę poszukiwania. - Nie czekając na odpowiedź, opuścił komnatę i poszedł do wielkiej sali. Wspiął się na podwyższenie i usiadł na paradnym tronie ojca.

Nagle od wejścia dobiegł odgłos ciężkich kroków. Cynrik zerwał się na równe nogi, gdy zobaczył na ścianie groźny cień postawnego mężczyzny, lecz po chwili znowu usiadł, bo intruz stał w drzwiach prowadzących do kuchni.

- Na miłość boską, ktoś ty? - zapytał nieznajomego osiłka.

- Jacques de la Mere, kucharz dostojnego pana Westercotta - odparł mężczyzna. - Niech mi wasza wielmożność raczy powiedzieć, kiedy uwolnicie panienkę Roannę!

- Pewnie rankiem - odparł Cynrik, wyglądając tunikę.

- Mogę jechać z wami?

- Po co nam kucharz? - Cynrik roześmiał się drwiąco. - Zamierzasz ich tuczyć, aż pomrą z przejedzenia?

- Chętnie uduszę gołymi rękami każdego, kto ją ukrzywdzi.

- Jacques wyprostował się z godnością, a Cynrik kpiąco uniósł brwi.

- Czyżby? Sądzę, że wybawimy ją z opresji bez twojej pomocy. - Wstał, obciągnął tunikę i ruszył do drzwi prowadzących ku schodom, którymi można się było dostać do komnat sypialnych. Bez słowa minął Jacques'a, który poczłapał do kuchni. Łudził się, że w zamku będzie wrzało, ponieważ wprowadzono dostojną Roannę. Żołnierze powinni szykować się do wymarszu, a tymczasem było cicho i spokojnie. Gdy dotarli na

miejsce, od razu posłano do kuchni, bo wielmożny pan Westercott życzył sobie jak najszybciej zjeść kolację.

To jasne, Cynrik DeLanyea w ogóle nie martwi się o Roannę. Jacques'a ogarnęło przygnębienie. Biedaczka tyle przecierpiała, a teraz doznała kolejnego upokorzenia.

W dużej, wygodnej kuchni zastał służącą, która bez większego zapału szorowała ogromny sagan. Głównie w palenisku żarzyły się słabo, ale dawały trochę światła. Codzienny zgiełk ustał, bo reszta służby skończyła pracę.

Jacques usiadł na ławie pod ścianą i ukrył twarz w dłoniach. Co będzie z Roanną? Miał wrażenie, że sam jeden boleje nad niedolą panny porwanej przez rozbójnika.

Służebna odchrząknęła znacząco, a Jacques podniósł wzrok. Ładna była i nie miała nic przeciwko temu, że się w nią wpatruje. Obciągnęła karczek mocno wydekoltowanej sukni, odsłaniając kształtne białe ramiona.

- Nie trzeba się martwić. Wszystko będzie dobrze. On jej nie ukrzywdzi.

- Tak?

- To szczerą prawdę. - Odstawiła sagan. - On nie ukrzywdzi kobiety.

- Co ty gadasz? Taki rozbójnik, a może i buntownik!

- Bzdura! - Roześmiała się, pokazując ładne białe zęby. - Porwał ją Emryss DeLanyea, bratanek naszego barona.

- *Mon Dieu*, jakaż to rodzina?

- Zawsze się nienawidzili, ale to nie ma nic do rzeczy. Słyszałam od ludzi, którzy wiedzą, co mówią, że Emryss DeLanyea nie wziął żadnej panny wbrew jej woli. - Podeszła bliżej, usiadła na ławie obok kucharza i wyjaśniła, zniżając głos: - Nie było potrzeby. Słyszałam, że niejedna dałaby *amobr* za taką noc.

- Co by dała? - Zerknął na nią podejrzliwie. Wybuchnęła śmiechem i tłumaczyła przyjaźnie:

- *Amobr*, po naszymu pieniądze. Wiele dopłaciłoby nawet, żeby on był pierwszy. Ach, ci cudzoziemcy! Nic a nic nie rozumieją. - Westchnęła, jakby żal jej się zrobiło straconej miłosnej przygody. Zanim Jacques zdążył cokolwiek powiedzieć, dodała: - Mówili mi, że był przystojny, ale teraz podobno strach na niego spojrzeć.

- Owszem, ma blizny na twarzy. - Jacques pokiwał głową.

- Żal mi tej panienki. Będzie przerażona, bo nie wie, że dla niego kobieta to świętość.

- Dostojna pani Roanna nie wpada w panikę na widok blizny. Jest bardzo odważna.

- Ato przepraszam! - Dziewczyna wstała, jakby zamierzała odejść.

- Poczekaj! - Jacques położył dłoń na jej ramieniu. - Siedaj... Jak cię zwa?

- Lynette.

- Moja droga Lynette, opowiedz mi o mieszkańcach tego zamku.

- Nie wiem, czy powinnam - zawahała się służąca. - Tyle zostało garnków do wyszorowania i w gardle mi zaschło.

- Robotą nie zając, nie ucieknie. - Jacques zerwał się na równe nogi, podszedł do kredensu, wyjął butelkę wina i napełnił dwa kielichy. Rozpromieniona dziewczyna usiadła i natychmiast upiła łyk.

- Oj, jakie dobre!

Jacques kiwnął głową i czekał, aż wysączy trunek.

- Teraz mogę już mówić - zaczęła, widząc, że Jacques nie proponuje drugiej kolejki. - Matka Emryssa imieniem Angha-

rad była walijską księżniczką wielkiej urody. Włosy miała czarne, oczy ogromne... a także własne zdanie w każdej sprawie. Tak ludzie mówią. Gdy normański król zagarnął całą Walię, tylko ona zachowała włości, ale musiała obiecać, że poślubi Normana. Słyszałam, że buntowała się, aż na jej drodze stanął Ralf DeLanyea. Emryss jest do niego podobny. Ralf był wysoki, śmiały, krzepki... w sam raz dla takiej dzielnej kobiety jak Angharad. Nic dziwnego, że wzięli ślub. - Dziewczyna chrząknęła znacząco i zajrzała do pustego kielicha, a Jacques dołał jej wina. - Wielkie dzięki. Żyliby szczęśliwie, ale Ulfrid DeLanyea, nasz baron, zapragnął Angharad dla siebie, nie bacząc, iż poślubiła innego. Oczywiście król był temu przeciwny. - Lynette zniżyła głos do szeptu i przysunęła się bliżej. - To jednak barona nie powstrzymało. Starał się ją omamić i uwieść, choć była mężatką. Daremnie. Pewnego dnia wytropił ją, gdy pojechała do lasu z damami. Odesłał je do zamku i tylko panią Angharad zatrzymał. Nim kobiety sprowadziły pomoc, zbił ją do nieprzytomności. Od tamtego czasu trwa rodzinna waśń.

Jacques popatrzył na nią z przerażeniem. I jego Roanna miałaby wejść między takich ludzi?

- Wszyscy myśleliśmy - ciągnęła dziewczyna - że Emryss zginął podczas krucjaty. Inni wrócili, a o nim nie było żadnych wieści. Baron chciał zagarnąć jego ziemię, lecz Angharad to wyjątkowa kobieta. Broniła majątku jak wilczyca zdobyczy. Niedawno umarła i zastąpiła ją Mamaeth. Boże mój, jaka ona jest twarda! Baron raz tam pojechał, aby oznajmić, że ziemia jemu się należy, bo jest prawie pewne, że Emryss nie żyje. Natychmiast odesłała go z niczym. Mimo wszystko wydaje mi się, że gdyby Emryss nie wrócił do domu, baron postawiłby na swoim.

- Skąd pewność, że Emryss nie skrzywdzi panienki Roanny,

skoro tak bardzo nienawidzi barona i jego syna? Może chce odpłaty? Boję się, że moja pani ucierpi z powodu ich waśni.

- Ojej, że też o tym nie pomyślałam! Kto wie? Emryss wiele lat spędził wśród pogan. Słyszałam, że mają dziwne obyczaje. - Oczy się jej zaświeciły, bo miała ochotę zobaczyć, jak żyją ci bezbożnicy.

Jacques popatrzył na nią i pomyślał, że Cynrik DeLanyea to pyszałek i tchórz zmykający, ledwie pojawi się niebezpieczeństwo, ale jego kuzyn Emryss jest chyba jeszcze gorszy.

Emryss przeciął niewielką polanę, zmierzając do szałasu stojącego na jej skraju. Nie wiedział, czy się śmiać, czy kłać, gdy wspominał, jak pod wpływem nagłego impulsu porwał Cynrikowi narzeczoną. Był zaskoczony, gdy wyszło na jaw, że ma do czynienia z dumną i upartą damą, chociaż spodziewał się zobaczyć zwykłą normańską pannę, głupią i całą w pretensjach.

Z tymi wielkimi oczami i długimi włosami przypominała zaśląkaną dziewczynkę, ale wystarczyło przyjrzeć się bliżej, aby zmienić zdanie.

Dobry Boże, serce miała niezłomne... tak samo jak jego matka. Ile kobiet milczałoby wyniośle, gdyby obcy mężczyzna kazał im zdjąć suknię. Ta panna stała nieruchomo i patrzyła na niego z taką pogardą, że się zawstydził. Daremnie tłumaczył jej, że przeiębi się, jeśli zostanie w mokrym odzieniu.

W przeciwieństwie do jego matki nie zostanie skrzywdzona z powodu rodzinnej waśni. Miał nadzieję, że już to pojęła. Porwał Cynrikowi narzeczoną, żeby mu dokuczyć, ale to był głupi żart. Postanowił następnego ranka odwiedzić nietkniętą dziewczynę do zamku barona.

Gdy odchylił zasłonę szałasu stojącego bliżej łąki, powitał go istny potok walijskich przekleństw.

- Rany boskie, Emryss, przecież zmarłem na kość!

W półmroku majaczyła postać przybranego brata, skulonego przy małym palenisku.

- Zostawiłeś ją samą, tak? - zapytał Gwilym, a z jego miny można było poznać, że Emryss oszalał w chwili, gdy wkroczył na teren baronii Beaufort.

- Gdzie reszta? - usłyszał krótkie pytanie, jakby Emryss starał się odwlec nieuniknioną rozmowę. Gwilym, chociaż młodszy i bękart bez rodziny, starał się przekonać przybranego brata, że powinien zawsze traktować serio barona oraz jego syna.

- Wrócili do domu. Nie mają czasu na takie zabawy.

- AHu?

- Kręci się w pobliżu. Nie rozumiem tego smarkacza, ale wiadomo, że nie ruszy się stąd, póki ty nie odjedziesz. Kazałem mu oporządzić konie.

- Powiedz mu, że ma stać na straży szałas. Niech zanieś tej pannie trochę chleba i wody. Jest drobniutka. Mimo to niech mały wrzeszczy, gdyby próbowała jakichś sztuczek.

Gwilym podał mu bukłak z winem i ruszył do wyjścia. Nagle przystanął i odwrócił się.

- Emryss - zaczął cicho - co ty knujesz, człowięku? Sądzieliśmy, że chcesz przywitać się z krewnymi i uświadomić im, żeś przeżył. Po co ci ta kobieta?

- Co z tobą? Zapominasz o walijskich zwyczajach? Stajesz się Normanem? - Emryss potarł bliźnię przecinającą twarz, a Gwilym z niedowierzaniem uniósł brwi i spochmurniał. - Dobra, *cyfathrachwr*. - Emryss westchnął. - Porwałem ją dla żartu. I zapewniam cię, że nadal potrafię myśleć. - Energicznie

pokręcił głową i z jego czupryny poleciały krople wody. Odgar-  
nął palcami zmierzwione włosy.

Po wyjściu przybranego brata długo wpatrywał się w dy-  
miące ognisko i łykami popijał mocne wino. Nadal potrafił  
myśleć. Ileż to razy działał bez namysłu? Gwilym powie-  
działby, że zbyt często mu się to zdarzało. Owszem, ale  
dziewczyna go zaciekała. Inna załamałaby się od razu, ję-  
czała i roniła łzy, a ona stawiała mu czoło... jak mężczyzna.  
Była też dziwnie milcząca. Zapewne dlatego tak niecierpli-  
wie czekał na każde jej słowo.

Kolejny zimny powiew oznaczał, że Gwilym wrócił do sza-  
łasu, ale widząc, że pogrążony w myślach Emryss w ogóle na  
to nie zważa, sięgnął po bukłak i usiadł.

- On ci tego nie daruje - tłumaczył, jakby miał do czynienia  
z małym chłopcem. Emryss wrzucił patyk do ogniska, zabrał  
mu wino i pociągnął łyk.

- Czy mnie kiedykolwiek na tym zależało?

- Racja, racja. - Gwilym pokiwał głową. - Ta biedaczka  
jest pewnie chora ze strachu. - Wziął bukłak i wypił ogromny  
łyk czerwonego wina. Emryss pokręcił głową.

- Pozory myślą. To dzielna dziewczyna - rzekł z uśmiechem  
i potarł bliznę, obserwując zdumionego kompana mrugającego  
powiekami. Po namyśle dodał trochę bełkotliwie: - Jeszcze tro-  
chę i będzie zabijać wzrokiem jak bazyliśzek.

- Taki los powinien spotkać Cynrika. - Gwilym zachicho-  
tał, bo znów byli w dobrej komitywie. - Biedaczek... Na do-  
miar złego ta jego panna jest chuda jak patyk. Nie zdziwiłbym  
się, gdyby w nieskończoność odkładał ślub. Mimo to wściekł  
się, kiedy chwycił za uzdę jej konia. Szkoda, że nie widziałeś  
jego miny!

Emryss parsknął śmiechem, gdy przypomniał sobie, jaki wyraz twarzy miał Cynrik, kiedy go nagle zobaczył na drodze. Łatwo wyobraził sobie jego zaskoczenie, gdy na jego oczach zgodnie ze starym walijskim zwyczajem dokonano się porwanie narzeczonej.

- Teraz zna już trochę nasz obyczaj. - Otarł łzy radości, które pociekły ze zdrowego oka i uśmiechnął się szeroko do brata.

- Rano ją odwieziemy, prawda?

- No.

- Wie, kim jesteś?

- Nie. - Emryss spowaźniał. - Wkrótce usłyszysz, że będziemy powinowatymi.

- Pierwszy będę trzymać straż. - Gwilym zachichotał i potem wstał, lekko chwiejąc się na nogach. - Dobrej nocy, panie mój.

- Dobranoc, bracie.

Po jego wyjściu Emryss wzdrygnął się i dorzucił do ognia. Położył się, szukając wygodniejszej pozycji. Masując bolącą nogę, pomyślał, że za długo dziś siedział na koniu. Ciekawe, jak ona sobie radzi. Miał nadzieję, że nie zmarzła za bardzo w ciasnym szałasie. Postanowił tu nocować, bo do Craig Fawr było za daleko, a poza tym dziewczyna całkiem przemokła. Miał nadzieję, że zdjęła w końcu tę okropną, wilgotną suknię. Mimo woli wstrzymał oddech, wyobrażając sobie gęste, ciemne włosy otaczające zarumienioną twarz, lśniące zielone oczy i smukłą postać okrytą mokrym ubraniem. Jęknął cicho. To niesprawiedliwe, że Saraceni zadali rany jego ciału, a imaginację pozostawili nietkniętą.

Przekręcił się na bok i dotknął blizny na policzku. Dokuczała mu teraz, bo przez wiele godzin uciskał ją hełm. Uświadomił sobie, że nie zna imienia dziewczyny. Może to i dobrze?

Roanna wrzuciła kolejną gałązkę do gasnącego ogniska. Straciła poczucie czasu, ale sądziła, że jest późna noc, ponieważ robiło się coraz chłodniej. Chwilami wydawało jej się, że leży w śnieżnej zaspie. Cynrik na pewno zaraz po nią przyjedzie. Spojrzała na drewniane ściany szałas. Całkiem prawdopodobne, że wcale jej nie szuka. Oparła głowę na kolanach i uznała, że nie warto się oszukiwać. Nie dbała o to, czy Cynrik DeLanyea stanie znów na jej drodze. Drażnił ją chełpliwym tonem świadczącym o zadufaniu w sobie. Z drugiej strony, co się z nią stanie, jeśli narzeczony nie przybędzie jej na ratunek? Czy ten łotr i złodziej, który twierdzi, że kultywuje tylko dawny obyczaj nakazujący porwanie panny na wydaniu, dotrzyma słowa i odwiezie ją do stryja?

Co to za człowiek? Kiedy uparła się, że nie zdejmie sukni, uśmiechnął się tylko i powiedział, że wie, co to znaczy być na cudzej łasce, i że chciał ją tylko uchronić od przeziębienia, a suknia szybciej wyschnie, gdy się ją rozwiesi koło ogniska.

Może stryj będzie nalegał, żeby wszczęto poszukiwania. Jednak całkiem prawdopodobne, że ucieszy się, bo nareszcie zdjęto mu kłopot z głowy, a na dodatek nie trzeba oddawać posagu.

Tylko Jacques będzie rozpaczać. Był zwykłym kucharzem, lecz on jeden na tym świecie zawsze okazywał jej prawdziwą serdeczność. Tak było od dnia, gdy znalazł ją zapłakaną przy beczce pełnej mąki. Tego dnia nauczyła się piec bułki. Ludzie go unikali, bo charakter miał wybuchowy i często podnosił głos, ale teraz oddałaby wszystko, byle go zobaczyć.

Usiadła wyprostowana, gdy usłyszała szmer u wejścia do szałas. Ktoś próbował po cichu wejść do środka. Oby to nie był wysoki herszt bandy! A może któryś z jego ludzi chce dać

jej nauczkę, żeby wyrównać rachunki z Normanami? Bez tchu cofała się wolno, aż poczuła za plecami ścianę szałasu. Omal nie kichnęła, bo pył unosił się z rozrzuconego wokół siana.

W niskich drzwiach stanął chłopiec na oko ośmioletni. Trzymał w rękach gliniany dzban i bochenek chleba. Położył je na podłodze, wpatrując się w Roannę wielkimi czarnymi oczami. Zdała sobie sprawę, że był równie wystraszony jak ona, bo okropnie hałasował, otwierając drzwi.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Chłopiec zmrużył oczy. Niezbyt wysoki, ale zgrabny, twarz miał śliczną i przypominał jej cherubina.

- Emryss każe jeść - oznajmił melodyjnym głosem pasującym do anielskiej buzi. Pojęła od razu, że nie rozumie znaczenia wypowiedzianych słów. Wyuczył się na pamięć krótkiej wiadomości. Kiwnęła głową, odłamała kawałek chleba i podała chłopcu. Odsunął się, jakby podejrzewał, że zostanie uderzony. Odwrócił się, ale na odchodnym rzucił jej spojrzenie pełne strachu i nienawiści. Wiele by dała, aby móc go przekonać, że przy niej nie ma powodu do obaw.

Gdy wyszedł, serce zaczęło jej bić szybciej, bo zorientowała się, że nie założył drewnianej belki, która od zewnątrz blokowała drzwi.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Roanna pospiesznie zjadła chleb i popiła czystą, zimną wodą. Nasłuchiwała przez cały czas, czy ktoś się nie zorientuje, że chłopiec popełnił karygodne niedopatrzenie. Najwyraźniej uszło to uwagi reszty zbójców i po kilku minutach w obozowisku zapadła cisza.

Ostrożność nakazywała odczekać jeszcze trochę, ale Roanna postanowiła działać, jako że od dłuższego czasu słyszała tylko parskanie koni. Z rzadka dobiegały ją głosy nocnych ptaków. Cicho podeszła do drzwi i dotknęła skobla. Pociągnęła lekko do siebie... Ustąpił. W tej samej chwili usłyszała odgłos kroków i ogarnęła ją rozpacz. Ktoś szedł w stronę szałasów.

Natychmiast podbiegła do słomianego barłogu i zwinęła się w kłębek, zaciskając powieki. Może tamci chcą tylko sprawdzić, czy nie umknęła. Drzwi otworzyły się, a potem zamknęły. Po jakimś czasie zerknęła ciekawie spod przymkniętych rzęs. Mężczyzna z blizną siedział przy ogniu, oparty plecami o chropowatą ścianę. Wyciągnął przed siebie długie nogi. Za pasem miał sztylet, a miecz położył obok siebie. Opaska z kawałkiem czarnej skóry zakrywała pusty oczodół, a drugie oko było zamknięte. Pierś unosiła się i opadała w rytm głębokiego, regularnego oddechu.

Roanna obserwowała śpiącego mężczyznę. Można by pomyśleć, że spoczywa na puchowym pościeli. Kim był: Walijszczykiem czy Normanem, rycerzem czy wieśniakiem? Mówił po

walijsku, ale jego normański był swobodny i płynny. Może to jednak Norman, skoro wzrostem przewyższa wszystkich tutaj, których dotąd widziała? Z drugiej strony jednak odzienie miał ubogie i był w dobrej komitywie z resztą mężczyzn, więc należy przyjąć, że to Walijszyk. Czemu w ogóle nie lękał się wpływowych normańskich wielmoży? Cynrik DeLanyea na jego widok dygotał ze strachu. Roanna wiedziała, że odkąd przybyli tu Normanowie, ustawicznie nękali ich rozbójnicy, ale ten człowiek nie wyglądał na bandytę.

Jakie sprawiał wrażenie? Można by pomyśleć, że to dzielny rycerz, pewny siebie i zaprawiony w wojennym rzemiośle. Bliźni świadczyły o tym, że ma żelazną wolę i nigdy się nie poddaje. Ukradkiem przyjrzała się potężnej sylwetce. Twarz mimo czerwonych szram mogła się podobać, ramiona były szerokie, tors potężny, ręce muskularne. Gdy siedział za nią na koniu, trzymały ją stanowczo, ale delikatnie. Zwróciła wtedy uwagę na długie, szczupłe i mocne nogi nieznajomego.

Poczuła, że się rozgrzewa, a to doznanie rozszerzało się niczym kręgi na wodzie, obejmując całe jej ciało. Poruszyła się niespokojnie, gdy dziwne pulsowanie wywołało doznania, których dotąd nie знаła. Wilgotne płótno sukni otarło się o piersi. Zdumiona nowymi odczuciami przymknęła powieki.

Nadal czuła jego zapach: pomieszana woń skóry, końskiej sierści i mokrych włosów. Trzeba uciekać! Jeśli zostanie tu dłużej, zdradliwe ciało stanie się bezsilne wobec osobliwego zagrożenia. Ten mężczyzna był wielką pokusą. Tak się pewnie czuła Ewa, gdy wąż pokazał jej jabłko. Pora stąd wyjść, zabrać konia i odjechać.

Roanna usiadła najciszej, jak potrafiła. Mężczyzna nadal spał. Wstała ostrożnie, odrzuciła pelerynę, którą się okryła, i zebrała spódnicę, wciąż jeszcze wilgotną. Powoli uniosła stopę

i zrobiła pierwszy krok. Nieznajomy ani drgnął. Przesunęła się dalej i nie spuszczać z niego oczu, zrobiła następny krok. Gdy podeszła do jego wyciągniętych nóg, uznała, że lepiej przejść bokiem. Wstrzymała oddech i uniosła stopę.

- Już nas opuszczasz?

Omam nie upadła. Gdy mężczyzna wstał, cofnęła się, spoglądając na niego z obawą.

- Mam tylko jedno oko, ale ono dobrze mi służy - dodał. - Muszę powiedzieć, że widok jest przyjemny. - Uśmiechnął się leniwie, a Roanna uznała, że tak pewnie wygląda kochanek podczas tajemnej schadzki. Próbowała oddychać regularnie, wziąć się w garść i opanować gwałtowne uczucia, wzbierające w jej sercu.

- Dałeś słowo - powiedziała, cofając się, bo mężczyzna podszedł bliżej i założył muskularne ramiona na szerokiej piersi.

- Owszem. - Przestał się uśmiechać i nagle spochmuraiał.

- Nie sądz człowieka po pozorach. Wyglądam jak postać z korszarnego snu, ale to nie znaczy, że jestem wcielonym diabłem.

- Pochyliła głowę, czując, że rumieni się ze wstydu. Paliły ją policzki. Co by uczynił, gdyby wiedział, o czym niedawno myślała? - Mnie nie zwiedziesz - rzucił ostro. - Przestań udawać skromne dziewczątko. W tej główce lęgną się dziwne myśli, do których wolisz się nie przyznawać.

Popatrzył na dziewczynę, która stała przed nim nieruchomo jak słupek soli, z pochyloną głową i splecionymi dłońmi. Może pomylił się co do niej? Czyżby była taka sama jak inne wykształcone panny z rycerskich rodów? Kto wie, czy nie zależy jej wyłącznie na korzystnym zamażpójściu? Zapewne teraz lęka się, że plany zostały zniweczone.

Na rany Chrystusa, trzeba ją skłonić, żeby znów na niego popatrzyła, choćby na widok blizn skrzywiła się z obrzydzenia.

- Powiedz mi, dostojna pani, czy zawsze udajesz głupią. A może robisz tak jedynie wówczas, kiedy jest ci wygodniej?

Natychmiast podniosła głowę, a kocie oczy zabłyśły.

- Większość mężczyzn uznaje kobiety za idiotki. Kim jestem, aby twierdzić, że jest inaczej? - Zielone oczy pojaśniały z oburzenia, a twarz uniosła się lekko, jakby w oczekiwaniu na pocałunek.

- Daruj, pani - odparł i ukłonił się lekko, nie odrywając od niej wzroku - ale teraz się upewniłem, że Cynrik nie jest mężczyzną dla ciebie.

Co to za człowiek, pomyślała Roanna. Im dłużej patrzyła na jego uśmiechniętą twarz, tym większa ogarniała ją irytacja. Ręce jej drżały, gdy próbowała się opanować, ale wewnętrzny spokój, który zwykle tak łatwo odzyskiwała, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Kto dał ci prawo, żebyś mi dyktował, kogo mam poślubić? Co wiesz o moim życiu? Jakie masz pojęcie o losie kobiety?

- Dla mnie jedno nie ulega wątpliwości: Cynrik urządzi ci piekło. - Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka tak łagodnie, że poczuła wzruszenie. Łzy napłynęły jej do oczu, więc zamrugała powiekami, żeby je powstrzymać.

- Co mam czynić? Umowa została zawarta.

- Tobie na niej zależało? - zapytał cicho i czule.

- Honor wymaga, żebym dotrzymywała obietnic danych przez mego stryja.

- Ale czego ty chcesz? - Podszedł tak blisko, że czuła jego oddech. Powinna się odsunąć, ale nie była w stanie zrobić kroku.

- Ja...

Zanim odpowiedziała, wziął ją w ramiona i musnął wargami jej usta. Pieszczota była delikatna jak powiew wiatru na łące.

Gdy przytulił ją mocniej, oszołomiona, nie była w stanie się bronić, a serce biło coraz szybciej. Pocałunki stały się namiętne. Pragnęła go dotknąć, więc oparła dłonie o szeroki tors. Niejasno zdawała sobie sprawę, że pod zgrzebną koszulą wyczuwa twarde mięśnie i mocne uderzenia serca. Rozkoszowała się cudownym dotknięciem jego warg. Nie sądziła dotąd, że dane jej będzie odczuwać tak wielką przyjemność.

Emryss całował ją coraz namiętniej i tulił z całej siły. Objął dłonią jej kark i dotykał ciepłej skóry opuszkami palców. Po chwili Roanna poczuła, że suknia zsuwa się z jej ramion. Jęknęła cicho, gdy przesunął dłońmi po jej plecach i przylgnęła do niego jeszcze mocniej. Była całkiem oszołomiona i ledwie trzymała się na nogach. W tej chwili liczyły się dla niej tylko pocałunki mężczyzny, pieszczota jego rąk i pożądanie, któremu już nie potrafiła się oprzeć.

Język mężczyzny wsunął się między jej ciepłe wargi. Zaskoczona i wstrząśnięta tym nowym doznaniem opamiętała się nagle i pojęła, co czyni i kto trzyma ją w objęciach. Zdecydowanie odepchnęła natręta.

- Błagam, przestań.,

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł z chełpliwym uśmiechem. Świadoma własnego upokorzenia spłonęła rumieńcem. Postąpiła jak dziewczka, która pozwala się obmacywać zupełnie obcemu mężczyźnie! Ona, dostojna Roanna, dumna i pełna godności! Była tak zdruzgotana, że nie śmiała spojrzeć mu w twarz, więc natychmiast się odwróciła.

- To przecież zwykły pocałunek. Po co wylewać łzy? - powiedział cicho.

- Ja nigdy nie płaczę - odparła stanowczo i stanęła z nim twarzą w twarz. - Nie rozumiesz, w czym rzecz. - Po chwili

dodała ledwie dosłyszalnym szeptem: - Cześć i dobre imię to cały mój majątek.

Niespodziewanie w drzwiach stanął chłopiec. Mężczyzna odwrócił się do niego i zwichrzył kędzierzawą czuprynę. Uśmiechnął się lekko i powiedział łagodnie kilka słów. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby zrozumieć, że dzieciak uwielbia górującego nad nim zabijakę, który poczekał, aż malec wyjdzie i stanął znowu przed Roanną.

- Czy to twój syn? - zapytała, niewiele myśląc. Z dziwną miną podniósł naczynie, które zostawiła przy drzwiach.

- Nie. Ja nie mam synów. - Osobliwy ton ujął ją za serce i sprawił, że natychmiast przestała się na niego złościć. Wmawiała sobie, że nie powinna przejmować się tym, czy zależy mu na posiadaniu potomstwa. W ogóle nie powinna się przejmować jego sprawami.

- Nie potrzebuję niczyjej litości. - Gdy na nią popatrzył, usta miał zaciśnięte. Roanna daremnie łudziła się, że znowu poczuje gniew, który pomoże jej wziąć się w garść. Milczenie się przedłużało. Nieznajomy znów do niej przemówił: - Nie mam synów, bo nie jestem żonaty. Która by za mnie zechciała wyjść, skoro nie jestem bogaty, włości mam skromne, a twarz całą w bliznach?

- Sądzisz, że każda kobieta marzy o przystojnym mężu? - odparła bez zastanowienia. Dopiero gdy zobaczyła jego łobuzerski uśmiech, zdała sobie sprawę, jak można rozumieć te słowa. Zasłoniła usta dłonią i natychmiast się zarumieniła. Oczy mu błyszczały, kiedy do niej podszedł.

Odwróciła się i zaczęła niezdarnie wiązać sznurówkę sukni.

- A to pech. W naszym obozie nie ma ani jednej służebnej, która mogłaby ci pomóc. - Roanna usłyszała w jego głosie tłu-

miony śmiech i poczuła się jeszcze bardziej upokorzona. Po chwili dodał nieco zniecierpliwiony: - Odwróć się do mnie plecami. - Usłyszała natychmiast.

Zdziwiona poczuła, że ujmuje sznurówki i przewleka je cierpliwie przez maleńkie dziurki. Znieruchomiła, starając się zachować powagę i godność, chociaż przez cienki materiał koszuli czuła dotknięcie jego ciepłych palców. Wkrótce musnęły nagą skórę na karku.

- Zrobione - powiedział, wiążąc supeł. - Dawno nie zajmowałem się takimi rzeczami. - Roanna odwróciła się znowu i spojrzała na niego z obawą.

Emryss poczuł się nagle jak młodzik zakochany po raz pierwszy w życiu. Wielkie nieba, powinien stąd wyjść, i to zaraz, jeśli ona zamierza tak na niego patrzeć. Nie zamierzał jej całować, ale gdy spoglądała na niego tymi cudnymi oczami...

- Chcę wrócić do Beaufort.

Mimo wszystko zamierzała poślubić Cynrika. Powinien się od razu domyślić, że tak będzie. Należało trzymać się od niej z daleka, zostawić na drodze.

- Jak sobie życzysz.- rzucił oschle. - Ruszamy natychmiast.

Wybiegł z szałasu i zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że z belki posypały się drzazgi.

- Na Boga! Ruszać się albo każę was zatłuc na śmierć! - wrzeszczał Cynrik, gdy jego ludzie dosiadali koni. Popatrzył na niebo. Pogoda w tej krainie zapomnianej przez Boga i ludzi ustaliła się na dobre. Po raz setny pomyślał, że nienawidzi tych okolic. Gardził każdym drzewem, kamieniem, rzeką oraz wszystkimi tępyimi Walijczykami.

Skierował konia ku schodom, na których stał jego ojciec i stryj dziewczyny.

- Nie waż się wracać bez narzeczonej - rzekł baron. Dostojny Westercott nerwowo zerknął na wielmożę i uśmiechnął się przyjaźnie do Cynrika.

- Jestem pewny, panie rycerzu, że nikt poza tobą nie zdołałby jej tu sprowadzić. Obawiam się, niestety, że mogą zaistnieć... pewne trudności, nim dojdzie do ślubu, ale nie wątpię, że osiągniemy porozumienie.

Cynrik uśmiechnął się z zadowoleniem. Jeśli wyjdzie na jaw, że dziewczyna straciła dziewictwo, może zdoła nakłonić starego ponuraka, żeby powiększył posag.

- Bez obaw, dostojny panie, na pewno ją przywiezę.

Obrócił konia i zajął miejsce na czele oddziału posepnych żołnierzy. Omal nie wybuchnął śmiechem. Zuchwały i zadufany w siebie Emryss dostarczył mu pretekstu do wyprawy na swoje włości. Po zwycięstwie należałoby mu podziękować.

Oddział jechał szybko wzdłuż rzeki. Cynrik patrzył na koleiny wyżłobione kołami wozów przejeżdżających tędy wczoraj. Ściągnął wodze, zmuszając konia, żeby skręcił na pobocze błotnistej drogi. Niech piekło pochłonie te strony oraz jego ojca, przez którego musi tutaj przesiadywać. Nie był dotąd ani w Londynie, ani na królewskim dworze, a prośba o pozwolenie na udział w krucjacie była powodem wielkiej awantury.

- Co? - wrzeszczał baron. - Mam trwonić pieniądze i wysłać żołnierzy na pewną śmierć? Ta piekielna pustynia ich zabije. Jaki z tego zysk, mój chłopcze?

Ani słowa, że szkoda mu syna. Liczyły się tylko pieniądze.

Cynrik był zmuszony wysłuchiwać nieustannych pochwał dla odważnych rycerzy, gotowych bronić Grobu Chrystusa

przed wyklętymi poganami. Czuł wtedy na sobie ich znaczące spojrzenia. Na domiar złego Emryss, mocno poturbowany, ale niezłomny, wrócił z tułaczki, by jak dawniej zatruwać mu życie.

Dotarli do rozwidlenia dróg. Bardziej uczęszczana prowadziła na południe, węższa ku włościom Emryssa. Cynrik uniósł rękę i żołnierze pojechali za nim na północ.

Nieco później trójka jeźdźców ruszyła ścieżką wiodącą do Beaufort. Milczący, ponury Gwilym trzymał się za Emrysem, zerkającym raz po raz na dziewczynę. Rany boskie, co też przyszło do głowy jego przyrodniemu bratu? Czyżby sądził, że baron puści płazem tę zniewagę?

Nie potrafił uświadomić Emryssowi, że pod jego nieobecność wiele się zmieniło. Baron potrafił używać pieniędzy dla zyskania przychylności króla i dworu, ale Emryss nie mógł pojąć, że bogactwo jest siłą, bo dla niego liczyły się tylko honor i rycerskie przymioty.

Gwilym próbował wyjaśnić, że ich kraj rządzi się teraz innymi prawami, lecz Emryss nie słuchał. Na wzmiankę o poprzednim królu, Ryszardzie Lwie Serce zaklął szpetnie i oświadczył, że w jego obecności pod żadnym pozorem nie należy wypowiadać tego imienia. Może ludzi się, że wszystko pozostało takie jak dawniej? Gdy Emryss po raz kolejny zerknął na dziewczynę, Gwilymowi przyszło do głowy, że pewnie wolałby także zapomnieć o zmianach, które nastąpiły w nim samym.

Gwilym dobrze pamiętał, że w dzieciństwie chodził za nim krok w krok niczym jagniątko za owcą. Przyrodni brat był wysoki, potężnie zbudowany, ufny we własne siły. Gdy z uśmiechem na ustach szedł przez wieś, nawet starsze kobiety miały zamęt w głowie. Często mówił, że ma sprawę do załatwienia,

i odsyłał chłopca do domu. Pewnego wieczoru Gwilym śledził brata idącego do opuszczonej chaty. Kiedy zajrzał przez szpary w deskach, zobaczył dziewczynę, która niecierpliwie zerwała z Emryssa ubranie. Oboje chichotali jak szaleni, a gdy śmiech ucichł, zaczęli wzdychać i cicho pojękiwać. Podglądający ich przez szczelinę Gwilym zrozumiał wówczas, po co kobieta i mężczyzna spotykają się w nocnych ciemnościach.

Gdy obserwował teraz Emryssa, wcale się nie dziwił jego tęsknocie do tamtych szczęśliwych dni. Nagle uznał, że nie wolno się roztkliwiać. Jeśli bratu zachciało się nagle zatrzymać tę dziewczynę, trzeba mu to wybić z głowy. Daremnie próbował zwrócić na siebie uwagę, więc zdesperowany wrzasnął na cały głos.

- *Delff!* - zaklął, bo jego zdaniem Emryss zachowywał się jak głupek, a ten słysząc obelgę, odwrócił się i zmarszczył brwi. Gwilym podjechał bliżej, minał normańską pannicę, przez którą nastąpiło całe to zamieszanie. Z drugiej strony jednak przyjemnie było pomyśleć, że Cynrik gotuje się ze złości.

- Nie zamierzasz chyba odprowadzać jej do Beaufort, co?  
- spytał cicho, obserwując czujnie wyboistą drogę.

- Czemu miałbym jej tego odmówić?

- Na Boga żywego! Człowieku, czyś ty rozum stracił? Nie dałbym za twoje życie jednego pensa, gdybyś zbliżył się do zamku.

- Przecież mnie nie zabiją.

- Skąd ta pewność? Na twoim miejscu zachowałbym ostrożność - odparł Gwilym, a Emryss ponownie zerknął na dziewczynę. - *Duw Lwyd*, czy możesz przez chwilę na nią się nie gapić? Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia!

- Samo patrzeć to nie grzech - odparł Emryss i na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

- Mniejsza z tym, głupku! Już ci mówiłem, że wszystko jest teraz inaczej niż przedtem. Pod twoją nieobecność baron zmienił się w pająka snującego żelazną sieć. Przestań zawracać sobie głowę tą dziewczyną i nie daj się złapać.

Emryss popatrzył w dal i zacisnął zęby, co dla Gwilyma było znakiem, że się uparł, więc postawił na swoim.

- Nawet baron powinien rozumieć, że miejscowy zwyczaj nakazuje wprowadzić pannę młodą - odparł.

- Ciekawe, czy będzie mu się chciało o tym pamiętać. Cemu wciąż się na nią gapisz, człowieku? Hu powiedział, że rzuciła na ciebie urok, i chyba miał rację.

- Nie mów bzdur, Gwilym - mruknął Emryss i roześmiał się cicho. - Może uznał ją za białą damę, która ukazuje się tu w przeddzień Wszystkich Świętych?

- Na miłość boską, bądź poważny! Niech dalej jedzie sama. Trafi do zamku, jeśli będzie trzymać się drogi.

- Nie zostawię samotnej kobiety w środku lasu, nawet jeśli to narzeczona Cynrika. Sam mówiłeś, że kręca się tu bandy rozbójników.

Czekająca w pobliżu Roanna pochyliła głowę, żeby uniknąć badawczego spojrzenia mężczyzny z blizną, który wpatrywał się w nią tak uporczywie, że traciła pewność siebie. Miała rację, nie pozwalając jej tak po prostu odjechać, bo przecież nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Z uwagą przysłuchiwała się niezrozumiałej rozmowie w nadziei, że dzięki temu opanuje zakłopotanie wywołane natarczywą obserwacją.

Nie miała wątpliwości, że krępy brunet złości się na człowieka z blizną. Mówił karcącym tonem, chociaż na pierwszy rzut oka było oczywiste, kto tutaj dowodzi, a kto powinien słuchać rozkazów. W tej chwili jednak role się odwróciły.

Gdy nadeszła kolejna ulewa, jednooki przywódca obrócił konia i podjechał do Roanny; jego towarzysz trzymał się z daleka. Zaciśnęła dłonie na kuli siodła.

- Czegoś ci trzeba, pani? - zapytał, a potem zdjął swoją pelerynę. Otarł się nogą o jej kolano. Bez słowa przyjęła jego pomoc z obawy, że przemoknie do nitki. Zresztą była zbita z tropu, nie potrafiła nakazać mu, aby się odsunął. Poczucia na ramionach muśnięcie jego rąk.

Otulił ją peleryną i cofnął konia. Jeszcze mocniej zaciśnęła dłonie na wysokim łąku, wmawiając sobie, że powodem szybkiego kołatania serca jest tylko obawa przed upadkiem na błotnistą drogę. Jednooki mężczyzna poklepał konia i ruszyli. Szlak był teraz szerszy, mógł więc jechać obok niej. Wilgotna ziemia i mokre liście po ulewie pachniały świeżością.

- Nie lubisz deszczu? - spytał. Przedtem długo się jej przyglądał.

- Przyjemnie ci, gdy jesteś cały przemoczony? - odezwała się w końcu, gotowa na wszystko, byle przestał tak się w nią wpatrywać.

- Gdybyś musiała iść przez pustynię, bez wątpienia pokochałabyś deszcz - odparł cicho.

- Brałeś udział w krucjacie? - Kto mówił o pustyni, miał na myśli Ziemię Świętą.

- Tak.

- Może spotkałeś mego ojca? Nazywał się Edmund Westercott - powiedziała z nadzieją. Gdy podniosła wzrok, dostrzegła lśniące krople wody na czarnej skórzanej przepasce.

- Owszem, znałem go. Mówiono, że to szlachetny rycerz.

- I słusznie, bo nim był.

Powróciły wspomnienia: ojciec, szczęśliwe chwile z rodzi-

cami przed jego wyjazdem na krucjatę, z której nie wrócił; choroba matki i jej śmierć... Roanna została sama na świecie. Miała tylko stryja, którego nigdy nie widziała na oczy.

- Szkoda, że zginął. Potrzeba nam było w tamtej krainie ludzi honoru.

- Z pewnością wszyscy krzyżowcy to szlachetni rycerze. - Popatrzyła na niego, jakby chciała się upewnić, że nie mówił serio. - Przecież wyruszyli, aby służyć Chrystusowi.

- W takim razie rycerzowi przystoi kradzież, gwałt, mord, sodomia... - Roanna popatrzyła na niego z niedowierzaniem, więc umilkł i zacisnął zęby. Mała żyłka na skroni pulsowała rytmicznie.

- Na pewno się mylisz! - zawołała. - Jak to możliwe, żeby tacy ludzie...

- Pani, ja tam byłem - odparł cicho.

Roanna oniemiała. Nieprawda! On się myli! Krzyżowcy nie mogli... tak grzeszyć. Ten mężczyzna kłamie!

Skoro zełgał, nie jest człowiekiem, a w takim przypadku nie powinna darzyć go uczuciem. Boże, dopomóż! Mimo wszystko stał się jej bardzo bliski.

- Wybacz, pani, że otworzyłem ci oczy - dodał po chwili. - Liczy się dla ciebie szczerść i uczciwość, więc mówię, jak było.

- Mało się znamy, możliwe, że próbujesz oczernić moich normańskich rodaków.

Wybuchnął śmiechem, który zwrócił uwagę jego towarzysza.

- Nie muszę źle o nich mówić. Sami każdego dnia dają o sobie najgorsze świadectwo.

- Moim zdaniem słabo znasz Normanów. Nic dziwnego, skoro nie jesteś jednym z nich - odparła urażona.

- Mało się znamy. - Z drwiącym uśmiechem powtórzył jej słowa. - Miałem nadzieję, że można temu zaradzić, ale widzę, że jesteś równie zaślepią, jak reszta twoich ziomków.

- Być może widzę jaśniej, niż ci się wydaje.

- Czyżby? W takim razie dlaczego nadal chcesz poślubić Cynrika?

Dlaczego stale do tego wracał? Czemu to miało służyć? Czyżby nie rozumiał, że pięknymi słówkami i namiętnym pocałunkiem nie zdoła jej odwieść od dotrzymania obietnicy? Sam powiedział, że porwanie to żart. Najwyższa pora, żeby ją odwiózł do zamku i przestał dowcipkować. A może bawił się też jej uczuciami?

Zbyt łatwo poddałam się sprytnemu uwodzicielowi, pomyślała, rumieniąc się ze wstydu. Teraz będzie się chełpić, że zawrócił w głowie narzeczonej Cynrika, że jeden pocałunek wystarczyłby do zerwania zaręczyn.

Zacisnęła zęby, niecierpliwym ruchem odgarnęła mokre włosy opadające na twarz i dumnie uniosła głowę. Jednooki mężczyzna władczym głosem rzucił komendę, nakazując towarzyszowi jechać przodem.

- Pani - zaczął łagodnie - jesteś pewna, że chcesz za niego wyjść?

- Już ci mówiłam - odparła pospiesznie. Słowa płynęły jak wezbrana rzeka. - Zawarto umowę. Muszę jej dotrzymać.

- Nie składałaś żadnej obietnicy!

- Co ze mną będzie, jeśli nie wyjdę za mąż, jak sobie życzy stryj? Pozostanę ubogą krewną na łaskawym chlebie. Nie mam domu ani swego miejsca na ziemi. Nie zdołam ułożyć sobie życia.

- Musisz wyrazić zgodę, pani, aby umowa była ważna - odparł, mierząc ją przenikliwym spojrzeniem.

- Czyżbyś znał prawo? - spytała, nie zważając na niespokojne bicie serca. Nareszcie obudziła się w niej jakaś nadzieja, chociaż nie mogła uwierzyć, że taki człowiek jest biegłym jurystą. - Muszę dotrzymać słowa danego przez stryja, bo tak nakazuje honor.

W milczeniu kiwnął głową. Nie wiedziała, czy przyznał jej rację, czy tylko przyjął do wiadomości usłyszane słowa. Nagle z oddali dobiegły jakieś krzyki. Jednooki ściągnął wodze, obrócił konia i ruszył galopem. Wkrótce wyjechali z lasu i znaleźli się na szczycie skalistego wzgórza. W dolinie ujrzeli grupę jeźdźców, którzy posuwali się gościńcem.

- Cynrik - stwierdził krępy brunet.

- Owszem - przytaknął człowiek z blizną i zwrócił się do Roanny. - Cynrik DeLanyea wyruszył ze swoim ludźmi. Na pewno zamierza cię odbić. I cóż, pani?

Popatrzyła na twarz mężczyzny, który ją uprowadził. Pełne wargi i opalone na brąz policzki były wilgotne od deszczu, a skórzana opaska nie całkiem zakrywała okropną bliznę. Mokra, falująca czupryna lśniącymi puklami otaczała jego twarz. Obserwował ją z uszanowaniem, na którym zawsze tak jej zależało. Na jego twarzy malowały się także inne odczucia, czyniące nieuchronną decyzję o wiele boleśniejszą. Roanna wiedziała, że nie zapomni już tego mężczyzny. Mimo to zsiadła z konia i ruszyła po zboczu w głąb doliny.

Musiała sprostać nakazom honoru.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Zniewolił cię?

Roanna spojrzała obojętnie na barona natarczywie domagającego się odpowiedzi, na stryja, który zdawał się ją za wszystko obwiniać, na Cynrika rozpartego wygodnie w fotelu po drugiej stronie ogromnego stołu. W sali panował chłód, ale to nie zimno przyprawiało ją o dreszcze.

W rogu siedział mnich skubiący niespokojnie brzeg poplamionego inkaustem habitu. Na niewielkim pulpicie leżał rozwinięty pergaminowy zwój. Roanna była pewna, że to umowa małżeńska. Przyglądała się stryjowi, który ze splecionymi dłońmi zasiadał obok barona. Wiele razy obserwowała krewnego, gdy z kamienną twarzą rozsądzał spory poddanych. Od początku podejrzewała, że wobec niej zachowa równą obojętność.

- Odpowiadaj! - rozkazał chrapliwym głosem zniecierpliwiony baron. Po raz pierwszy od chwili, gdy została wprowadzona do tej komnaty, spojrzała prosto w oczy swemu sędziemu. Stała przed nim w mokrej, zabłoconej sukni, bo nie pozwolono jej zmienić ubrania. Małe, wredne oczka patrzyły na nią z nalanej twarzy.

- I cóż? - mruknął.

- Nie, dostojny panie. Nie zostałam zniewolona - odparła cicho. Miała nadzieję, że wkrótce pozwolą jej odejść. Zza drzwi

dobiegał szczęk broni, ale nie zwracała na to uwagi, próbując skupić się na siedzących przed nią mężczyznach. Baron odchrząknął i popatrzył na syna. Roanna także mu się przyglądała. Tak bardzo różnił się od człowieka z blizną... A jednak w tym obojętnym Cynriku rozpartym niedbale u szczytu stołu dopatrzyła się zwodniczego podobieństwa. Obaj mieli długie, mocne nogi, obaj sprawiali wrażenie silnych duchem i ciałem.

Dostojny Westercott zrobił wytworny gest dłońmi o szczupłych palcach i powiedział:

- Baronie, najwyraźniej wszystko dobrze się skończyło, a zatem możemy kontynuować przygotowania do ślubu.

Baron spojrzał pytająco na Cynrika, który oznajmił po chwili milczenia:

- Zgoda. Niech będzie, jak chcesz. Ożenię się z tą panną.

Roanna spuściła oczy. A zatem nic się nie zmieniło. Gdy w dolinie podeszła do Cynrika, nie odezwał się do niej ani słowem. Usta mu drgnęły, jakby nie wiedział, czy się uśmiechnąć, czy ponuro zacisnąć wargi. W milczeniu pokonali odległość dzielącą ich od Beaufort.

- Mam rozumieć, że mimo tej obrazy Emryss pozostanie bezkarny? - dodał buntowniczo.

Emryss. Tak brzmi jego imię przypominające szelest wiatru albo szum fali na morskim brzegu.

- Słuszna uwaga - potwierdził baron, wstając z fotela, jakby zamierzał wyjść. Roanna zacisnęła dłonie, odetchnęła głęboko i przemówiła.

- Dlaczego nie zapytano mnie, czy wyrażam zgodę na to małżeństwo?

Po jej słowach w komnacie zapanowała martwa cisza. Westercott wpatrywał się w bratanicę, zdumiony jej zuchwałością.

Równie zdumiony baron opadł ciężko na fotel, a Cynrik miał taką minę, jakby oznajmiła, że wkrótce zostanie morderczynią.

- To nie jest konieczne - odparł stryj, marszcząc czoło i z irytacją mrużąc oczy.

Cherlawy zakonnik niespodziewanie podreptał ku wielmożom i wiążąc supły na mniszym sznurze, odchrząknął nerwowo.

- Przepraszam wasze dostojności, ale ta panienka ma rację. Jej zgoda jest konieczna, żeby doszło do ślubu.

Baron uniósł się w fotelu, a braciszek umknął do kąta jak wystraszony królik.

- Okłamaliście mnie - powiedziała Roanna głosem donośnym i pełnym pogardy. - Jesteście nikczemnikami pozbawionymi honoru. Nie zasługujecie, żebym na was splunęła. W przyszłości nie chcę mieć z wami do czynienia.

Westercott sposepniał. Tym samym tonem przemawiał jego młodszy brat. Podobny głos i słowa... Można by pomyśleć, że wrócił do życia. Po raz pierwszy od wielu lat stryja Roanny ogarnął wstyd, który jednak szybko minął. Na widok Cynrika wstającego nagle z ciężkiego krzesła, które ze zgrzytem przesunęło się po kamiennej posadzce, Westercott uświadomił sobie, że nie dostanie obiecanych pieniędzy. W zamian za poparcie na dworze DeLanyea przyrzekł mu okragłą sumkę.

- Dostojny panie, po co ten pośpiech? - Głos Westercotta brzmiał jak rozkaz i prośba zarazem. - Dajcie mi trochę czasu, a znajdę sposób, by przekonać to dziewczę. Z pewnością usłucha.

Roanna popatrzyła na stryja z jawną pogardą.

- Północna wieża to dla niej najlepsze miejsce. Tam szybko odzyska rozsądek - stwierdził chłodno baron, a Westercott z ponurą miną kiwnął głową, ujął ramię bratanicy i pociągnął ją ku wąskim kamiennym schodom. Czuł gorycz w ustach, gdy

popychał ją brutalnie. Nie po to włókł się taki kawał drogi, żeby głupia dzierlatka pokrzyżowała mu szyki. Kobiety nie mają w takich sprawach nic do gadania. Niech diabli porwą głupiego mnicha, który odezwał się nie w porę. Tyle starań czynionych, żeby pozbyć się Roanny i przy okazji na tym zarobić, pójdzie na marne!

Gdy dotarli do małego pomieszczenia na szczycie wieży, brutalnie popchnął dziewczynę do środka.

- Przyjmij do wiadomości, tępa dziewucho, że Cynrik De-Lanyea zostanie twoim mężem. Będziesz tu rozmyślać o korzyściach wynikających z tego małżeństwa. - Wyszedł i zamknął drzwi.

Rozejrzała się po pustej izbie, w której była tylko wiązka spleśniałej słomy i wiadro. Przez wąskie okienko wpadało trochę światła. Usłyszała szcęk klucza przekręcanego w zamku i oddalające się kroki stryja.

Niebo pociemniało i ucichły odgłosy dobiegające z zamkowych korytarzy. Pora kolacji dawno minęła. Roanna z ciężkim westchnieniem położyła głowę na kolanach podciągniętych pod brodę. Nie dostała posiłku; zresztą i tak nie sądziła, że stryj każe ją nakarmić. Pewnie uznał, że głód nauczy ją pokory.

Słyszając zbliżające się kroki, usiadła wyprostowana. Ktoś podszedł do drzwi. Od razu wstała, gotowa ponownie stawić czoło rozgniewanemu stryjowi, lecz zamiast niego na progu stanął Cynrik.

- Czujesz się samotna, dostojna pani? - powiedział, uśmiechając się drwiąco. Roanna milczała, gdy szedł w jej stronę. Próbowwała zachować kamienną twarz, choć czuła się jak bezbronne zwierzę schwyte w sidła. Cynrik okrążył ją wolno,

a potem wyciągnął cienki sztylet i zaczął czyścić starannie utrzymane paznokcie. Zacisnęła dłonie i czekała, aż się znowu odezwie. Prawdopodobnie czegoś od niej chciał. A może postanowił z niej zakpić? Tak czy inaczej jego ostentacyjna nonszalanca to jedynie pozór.

- A więc nie tknął cię.

Utkwiła wzrok w podłodze, wspominając pocałunek. Usta nieznanego były takie czułe, łagodne...

- Uszanował moją cześć - odparła cicho.

- Skoro tak mówisz... - Podszedł do niej bez pośpiechu. - Nie jesteś urodziwa, ale trudno mi uwierzyć, że Emryss się z tobą nie zabawiał. Tyle lat przeżył wśród pogan, więc pewnie zapomniał, co nakazuje honor.

- Tak się nie stało - odparła zdecydowanie. Cynrik stanął za nią tak blisko, że skuliła się wystraszona. Słyszała tuż przy uchu jego chrapliwy oddech.

- Czyżby? - Wolno przesunął dłonią po jej ramieniu. Czując nieprzyjemne dotknięcie, wdrygnęła się mimo woli. - Opowiedz coś o moim szlachetnym kuzynie.

- Proszę? - Natychmiast odwróciła się, stając z nim twarzą w twarz. Na jego ustach pojawił się odpychający uśmiech.

- Jesteś zdziwiona? Dostojny Emryss DeLanyea nie wspominał, że jest ze mną spokrewniony?

Umysł Roanny pracował szybko.

- Nie. W ogóle nie było o tym mowy.

- Wyobraź sobie, moja droga, że ten jednooki, szpetny barbarzyńca jest potomkiem mego zmarłego stryja. Rzecz jasna, jego strój i mowa wcale na to nie wskazują. Był, jest i będzie hańbą dla naszego rodu. - Zmierzył ją taksującym spojrzeniem. - Zapewne porwał cię, aby nam dokuczyć. Żart godny takiego

gbura i prostaka. Nie przespał się z tobą, bo wiedział, że mnie to obojętne. Ciekawe, co teraz knuje. - Cynrik podszedł jeszcze bliżej. - Do twarzy ci z tą zdziwioną miną. Przypominałaś kamienny posąg, a teraz wyglądasz jak dziewczyna z krwi i kości.

Zmiażdżył jej usta pocałunkiem, niespodziewanym, brutalnym i zachłannym. Próbowwała się wyrwać, stawiając zacięty opór. Nie mogła złapać tchu, mąciło jej się w głowie. Gdy rozluźnił uścisk, odsunęła się i wierzchem dłoni otarła spuchnięte usta.

- Nie waż się! - wykrztusiła, oddychając z trudem. - Nigdy więcej.

Niebieskie i zimne jak kawałki lodu oczy Cynrika wyrażały gniew, więc cofnęła się, a on wzruszył ramionami. Emryss miał to samo przyzwyczajenie. Posmutniała, wspominając jego pocałunek.

- Skoro taka jest twoja wola, na razie wystarczy tych czułości. Poczekam do dnia ślubu. - Ruszył do drzwi, lecz na odchodnym odwrócił się i dodał z dzikim błyskiem w oczach: - Jeśli w noc poślubną przekonam się, że kłamałaś, nie będę na ciebie zły. - Wolno objął wargi, a Roanna poczuła mdłości. - Lubię doświadczone kobiety.

- Twierdzisz, że kłamię? - krzyknęła, ogarnięta gniewem, który rozgorzał niczym płomień, gdy trafi na suche drewno.

- Oczywiście, ale to bez znaczenia, prawda? - odparł drwiąco. - Niech Emryss bierze twoje dziewictwo, a ja wezmę jaki taki posąg oraz poparcie twego wpływowego stryja.

- Nie - wyjąkała z trudem. - Nic z tego. Ślubu nie będzie!

Zbliżył się natychmiast, mocno chwycił ją za ramiona i oznajmił z twarzą przy jej twarzy:

- Myślisz, że pragnę tego małżeństwa, koścista wiedźmo?

Na jedno moje skinienie przybiegnie setka kobiet znacznie ładniejszych i bogatszych od ciebie, ale ojciec życzy sobie, abym się z tobą ożenił. Muszę odziedziczyć po nim włości i dlatego postanowiłem, że dojdzie do ślubu, czy tego chcesz, czy nie.

- Ścisnął mocniej jej ramiona i przygryzł wąskie usta. - Skoro jestem ci wstrętny, noc poślubna z pewnością nie będzie taka nudna, jak sądziłem.

- Pierwej umrę, niż za ciebie wyjdę. - Roanna wyrwała się z jego uścisku. - Nie pozwolę, żebyś mnie zhańbił, nikczemniku! - Zaciśnęła dłonie w pięści, żeby się uspokoić. Na ustach Cynrika pojawił się drapieżny uśmiezek.

- Wolałabyś starego wiarusa takiego jak Emryss?

- On jest szlachetny, a tyś stracił honor!

- Ciebie z kolei trudno uznać za piękność, ale nie zważam na to. - Raz jeszcze objął ją z całej siły, a gorące usta sunęły po jej policzku. Broniła się przez moment, a potem znieruchomiała. Znowu przypominała kamienną figurę. Postanowiła unikać wszystkiego, co go zachęca albo pobudza. Może znudzony zmieni zdanie?

- Roanno, tak łatwo się poddajesz? A może uznałaś swój błąd? - Pocałował ją zachłannie, cofnął się i wybuchnął uragijnym śmiechem. - Chyba powinniśmy zaprosić mego kuzyna na wesele! - dodał, odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

Następnego dnia w starej kamiennej stajni zamku Craig Fawr Emryss czesał czarną grzywę swego konia, słuchając z roztargnieniem nawoływań rzemieślników pracujących na dziedzińcu. Zapadał zmierzch; wkrótce będzie za ciemno, żeby pracować. Wszyscy z wolna schodzili się na wieczerzę do ukończonej niedawno paradnej komnaty.

Uśmiechnął się na myśl, że dzieło rozpoczęte przez ojca wkrótce zostanie ukończone. Do wzniesienia pozostały tylko dwa fragmenty murów obronnych. Jeżeli szczęście dopisze, staną przed zimą. Dzięki Bogu, matka zdołała powstrzymać zapędy chciwego barona, który na krótko przed powrotem zaginionego dziedzica próbował zagarnąć te włości.

Emryss sposepniał. Żelazna wola matki umożliwiła spełnienie marzeń jego ojca zdecydowanego odbudować zamek na wzgórzu, które od wieków było ufortyfikowane. Nawet Rzymianom nie udało się go zdobyć. Tylko podli Normanowie żądni ziemi i gotowi zapłacić za nią każdą cenę, pokonali walijskich wojowników i zburzyli pradawną twierdzę. Przez długie lata było tu rumowisko. Żaden Walijszyk nie śmiał zbierać kamieni i używać ich do własnych potrzeb, ponieważ stały się częścią wzgórza zwanego Wyniosłą Skałą.

Z czasem powściągliwość i cierpliwość Walijszyków zostały nagrodzone. Ojciec Emryssa był wprawdzie normańskim rycerzem, ale pokochał walijską królową i docenił tę krainę. Poznał się także na wierności rodaków żony, którzy serdecznie się do niego przywiązali.

Przedwczesna śmierć mogła położyć kres jego marzeniom, zwłaszcza że przedtem stracił najstarszego syna, ale ukochana stała na straży dziedzictwa i przekazała je ich synowi. Nawet gdy powszechnie sądzono, że Emryss zginął, nie pozwoliła przerwać robót. Wielu ją ostrzegało, że pracuje dla barona, który wszystko zagarnie, gdy tylko zamek Craig Fawr zostanie odbudowany, ale matka Emryssa ani na chwilę nie zwątpiła w powrót syna. Dwa miesiące po jej śmierci stanął u bram zamczyska, podziwiając ogrom i wspaniałość dzieła.

Już niedługo będziemy gotowi, by odpłacić temu nikczemni-

kowi za wszelkie krzywdy i cierpienia, których nam przysporzył, pomyślał z satysfakcją Emryss. Usłyszał nagle niespokojne rżenie konia, a jego ruchy od razu stały się łagodniejsze.

- Uraziłem cię niechcący, Wilku - rzekł przyjaźnie. - Muszę pomyśleć o czymś przyjemniejszym, bo zaraz mnie kopiesz.

Miłe chwile... Tamta dziewczyna. Długo ją obserwował, gdy spała w szałasie. Marzył, aby wsunąć palce w gęste, ciemne włosy, głaskać twarz zasłoniętą falującymi puklami. Ciemne rzęsy pięknie kontrastowały z białą gładkiej cery, lecz mimo to pragnął, żeby obudziła się i uniosła powieki. Niezwykłe zielone oczy lśniły niczym gwiazdy, jakby gorzał w nich płomień. Podczas wędrówki po wielu krainach świata widział sporo pięknych kobiet, ale żadna nie zachwycała go tak jak ta.

- Znów rozmyślasz o poganach z pustyni, mój chłopcze? - usłyszał nagle karcący głos Mamaeth, która przed laty była jego piastunką. Kiedy się do niej odwrócił, z uśmiechem doszedł do wniosku, że uwielbia te połajanki. Stara kobieta patrzyła na niego z irytacją, jakby nadal był małym chłopcem.

- Jest wprawdzie lato, ale wieczorem powinieneś coś narzucić.

- Jak zwykle masz rację. - Rzucił zgrzebło na półkę, podbiegł do Mamaeth, uniósł ją do góry i wycisnął na spalonym słońcem, pomarszczonym policzku siarczystego całusa.

- Dość tego, młodzieńcze! Postaw mnie na podłodze! - krzyknęła, ale w jej głosie pobrzmiwała nuta zadowolenia.

- Czemu się złościysz? - Puścił ją i cofnął się o krok. - Gdy byłem mały, sama raz po raz domagałaś się całusa! - Usta mu drżały, jakby z trudem powstrzymywał śmiech.

- A dajże mi święty spokój! - Lekko trzepnęła go po rękę.

- Podejrzewam, że źle cię wychowaliśmy, bo nie masz szacunku dla starszych, mój chłopcze, i nie chcesz ich słuchać. Jest za zimno, żebyś tak latał bez ubrania. Jesteś prawie goły.

- Mamaeth, jak bym sobie poradził, gdyby cię nie było! - Emryss dał za wygraną i wybuchnął śmiechem. Oczy jej się zaszkliły, więc pożałował, że mimo woli wspomina dni, kiedy nie było wiadomo, czy jeszcze żyje, czy poległ na polu bitwy w odległej krainie. - Jesteś moją poddaną - dodał przyjaźnie - więc chcę nagrodzić twoje starania. Chyba nadeszła pora, żebym ci znalazł męża, o którego będziesz mogła się troszczyć.

Żwawa ochmistrzyni spojrzała na niego karcącym wzrokiem.

- A po co mi taki kłopot? Przy tobie mam dość roboty. Mąż! Głupi pomysł. Mężczyźni są jak dzieci, a poza tym jestem za stara na takie zmiany. - Mamaeth zmierzyła go badawczym spojrzeniem. - Ale ty powinienes się ożenić.

- Pomyślę o tym - odparł Emryss, siląc się na lekki ton. Wyprostowała się i znowu popatrzyła na niego uważnie.

- Znajdź pannę, która doceni ciebie, a nie majątek i godności. Wtedy będziesz szczęśliwy. Taka żona na pewno da ci synów. - Z uśmiechem podreptała do kuchni.

Emryss odprowadził ją wzrokiem, a potem bez pośpiechu sięgnął po zgrzebło i westchnął ciężko. Na swego spadkobiercę wybrał już Gwilyma lub jego syna. Nikt z domowników nie znał całej prawdy o ranach odniesionych na pustyni, chociaż nie ukrywał blizn i lekko utykał, kiedy był zmęczony. Jak miał im powiedzieć, że fatalny cios w pewnym stopniu pozbawił go męskości, a potem wdało się zakażenie, które dodatkowo pogorszyło sprawę? Abram, który go uratował z rąk ludzi Saladyna i kurował rany, twierdził, że mimo takich obrażeń pacjent może

zostać ojcem. W drodze do domu Emryss chciał się przespać z knajpianą dziewczką, ale tamta próba była haniebną kompromitacją, więc dał sobie z tym spokój, żeby uniknąć podobnego upokorzenia.

- Co tak międlisz to zgrzebło? Nie zapominaj, że służy tylko do czesania końskiej grzywy - usłyszał głos Gwilyma i jego kpiący chichot. Podniósł głowę i potrząsnął nią, jakby chciał się uwolnić od ponurych myśli.

- Mamaeth powiada, że nie szanuję starszych - zaczął z pobłażliwym uśmiechem. - To chyba zaraźliwe, bo, jak widać, poddani też odnoszą się do mnie lekceważąco.

- A czemu mielibyśmy traktować cię jak pana i władcę? Tylko dlatego, że twój tata był Normanem? - Gwilym usiadł na zydlu.

- Na rany Chrystusa! - Emryss uniósł zgrzebło, jakby chciał dzielić nim przyjaciela za takie zuchwalstwo. Daremnie próbował zachować powagę. - Czuję się obrażony! Powinieneś zachować respekt, bo moja matka była walijską królową. A ja władam Craig Fawr i jestem tu panem!

Gwilym wstał i nisko się pokłonił.

- Tysiącrotnie błagam o wybaczenie, wasza dostojność. Racz się zlitować nad pokornym sługą.

- Daruję ci winy. - Emryss zamierzył się, jakby chciał rzucić w niego zgrzebłem.

- Tak myślałem - stwierdził Gwilym i natychmiast zrobił unik. - Przecież biję się najlepiej ze wszystkich twoich żołnierzy. - Uśmiechnął się szeroko, a potem nagle spoważniał. - Nad rzeką znowu napadnięto podróżnych.

- Są zabici?

- Nie, ale złodzieje ukradli całe dobro, zdarli im nawet ubrania.

- Kim są? To Walijczycy, Saksoni, Normanowie?
- Nie wiadomo.
- A poszkodowani?
- Są Normanami, ale to biedota.
- Trzeba się jutro przejechać po okolicy. Weźmiemy dwudziestu ludzi. - Emryss zarzucił derkę na grzbiet Wilka. Gwilym kiwnął głową, a potem spytał z wahaniem:
  - A jeżeli ci z Beaufort coś knują?
  - Nie. - Emryss pospieszył do sali paradnej, a Gwilym wyciągał nogi, żeby dotrzymać mu kroku.
  - Myślisz, że porwanie ujdzie ci na sucho?
  - Pewnie! Panna wróciła do nich cała i zdrowa.
  - Ale zniewaga...
  - To tchórze.

Gwilym położył dłoń na ramieniu Emryssa, zatrzymując go na środku ogromnego dziedzińca, gdzie leżały stopy kamieni i belek, rusztowania i narzędzia.

- Emryss, nie powinieneś lekceważyć barona i Cynrika.
- Wiem, braciszku. - Emryss poklepał go po plecach. - Wystarczy na mnie spojrzeć i już wiadomo, że raz popełniłem błąd, ponieważ nie doceniłem wroga. Nie powtórzę tej pomyłki.

Roanna podniosła się i oparła plecami o ścianę. Ze sporej dziury w murze patrzyło na nią dwoje oczu. Poczowała dreszcz obrzydzenia i zachwiała się, bo nogi jej zeszywniały. Przez całą poprzednią noc czuwała na siedząco z obawy przed szczurami i powrotem Cynrika. Gdy nadszedł dzień, czas włókł się niemiłosiernie. Popatrzyła w małe okienko. Zrobiło się ciemno, niedługo szczury wyjdą z kryjówek. Gdyby miała świecę, mogłaby je spłoszyć.

Niespodziewanie drzwi stały otworem i do środka wpadł jej stryj. Twarz mu poczerwieniała, krok był chwiejny, a oddech cuchnął winem. Roanna czuła to, chociaż stała w najdalszym rogu celi.

- I cóż, bratanico? Czyś rozwa... rozwa... Czy się namyśliłaś? - wybełkotał pijackim tonem, zachwiał się i uczepił futryny. Popatrzyła na niego z ponurą miną, a potem oznajmiła stanowczo:

- Cynrik DeLanyea nigdy nie zostanie moim mężem.

- Oszalałaś, głupia dziewucho? - Zataczając się, wszedł do celi. - Przysięgam, że jeśli nie ustąpisz, wyślę cię do klasztoru na dalekiej północy, gdzie panuje okrutny chłód. Tu nikt inny nie zechce cię poślubić.

Stała nieruchomo, przyglądając mu się bez słowa. Gdy rzucił się na nią i chwycił za ramiona, odepchnęła go tak mocno, że przeleciał przez pokój i uderzył plecami o framugę otwartych drzwi.

- Bóg mi świadkiem, że stłukę cię na kwaśne jabłko! - wrzasnął, podchodząc. Roanna usunęła się na bok, a Westercott wpadł na kamienny mur. Oszołomiony usiadł na podłodze.

- Przekłeta kobieto! Masz robić, co każe. Rodzice oddali cię pod moją opiekę - mamrotał, pocierając czoło. Spojrzał na nią przekrwionymi, zamglonymi oczami. - Nie znaleźli dla ciebie męża, więc zdali się na mnie. Wyswatałem cię bardzo korzystnie. Tak mi za to dziękujesz? - Nadal bełkotał, trzymając się za głowę. - Jezus Maria, Józefie Święty! Powiniennem cię spoliczkować, ale zostaną siniaki. - Próbował wstać, bo Roanna przesuwiała się ku drzwiom. Niespodziewanie odezwał się błagalnym tonem: - Moja droga, postąpiłabyś szlachetnie, wychodząc za człowieka wybranego przez stryja, który cię wychował. Masz

sposobność, aby mi się odwdziżyć, że przez tyle lat karmiłem cię i odziewałem.

- Mam się oddać temu nikczemnikowi jak ostatnia dziewczka? - Roanna była już przy drzwiach. Twarz Westercotta zrobiła się czerwona. Skoczył na bratanicę, przewrócił ją i przycisnął do podłogi.

- Daremne wysiłki, moja droga - oznajmił z tryumfem. Zrobiło jej się niedobrze, bo czuła pijacki oddech. - Będziesz tu siedzieć, aż wyrazisz zgodę. - Pomógł jej wstać, brutalnie pchnął pod ścianę, wyszedł i zatrzasnął drzwi. Kiedy je rygłował, wybuchnął szyderczym śmiechem. - Chciałaś mnie przechytrzyć, co? Zobaczymy, kto wygra tę bitwę.

Ciężkim krokiem ruszył w dół po kamiennych schodach. Zrozpaczona Roanna potarła obolały bok. Postanowiła sobie, że za nic w świecie nie poślubi Cynrika, więc stryj pewnie zagłodzi ją na śmierć. Podeszła do słomianego barłogu i usiadła. Obliznęła spierzchnięte wargi, ale to nie pomogło, bo miała sucho w ustach. Marzyła o słodkiej bułeczce Jacques'a i kubku czystej, źródlanej wody.

Wyciągnęła się na posłaniu, Jacques pewnie już wie o jej niedoli. Kucharze znają wszystkie plotki krążące po zamku. Na pewno będzie się o nią martwić. Wydało jej się, że słyszy jego głos. Usiadła, a potem skoczyła na równe nogi i podbiegła do drzwi. Jacques naprawdę stał przed celą i powtarzał jej imię.

- Jestem tu - odparła półgłosem. Miała nadzieję, że ją słyszy.
- Zrobił ci krzywdę, koteczku?
- Nie.
- Chwała Bogu! Przyniosłem ci trochę jedzenia.

Pod drzwiami była duża szpara, przez którą Jacques wcisnął kawałek chleba owinięty płótnem. Wdzięczna Roanna zjadła go

łapczywie, spoglądając na drzwi, za którymi stał wierny przyjaciel. Dostrzegła skórzane zawiasy.

- Jacques?

- Co, dziecko?

- Masz przy sobie nóż?

- Chcesz wywalczyć sobie wolność z bronią w ręku, biedactwo?

- Te drzwi mają skórzane zawiasy, mocno już sparciały. Jeśli dostanę nóż, spróbuję...

- Obawiam się, że drzwi cię przygniotą. Gdybyś nawet zdołała wymknąć się z tej celi, nie uciekniesz z zamku. Jest dobrze strzeżony. Zresztą przypuśćmy, że ci się uda. Co potem? Z czego będziesz żyła? Nie masz pieniędzy. Roanna posmutniała, bo słowa Jacques'a odebrały jej nadzieję. - Wszystko będzie dobrze, jeśli ci pomogę - szepnął tajemniczo. - Wstrzymała oddech, a potem zapytała:

- Jak?

- Znudziło mi się gotowanie dla człowieka, który skapi grosza na przyprawy. Nawet pieprzu nie uświadczysz w jego kuchni. Pora się z nim rozstać.

- Dokąd pójdziesz?

- Ty decyduj, moje dziecko. Dobry kucharz wszędzie znajdzie opiekuna.

Roanna nabrała otuchy, chociaż zdawała sobie sprawę, że ryzyko jest ogromne.

- Jacques, nie mogę pozwolić, żebyś się tak dla mnie poświęcał.

- Ja również na tym skorzystam - obruszył się tak szczerze, że mimo woli zachichotała. - Wróć tu niedługo z ostrym nożem. Wszyscy myślą, że śpię, więc nikt nie zajrzy do mojej ko-

mnaty. Wiedzą, że kto by mnie obudził, miałby sądny dzień. Pieczenie chleba zaczyna się dopiero nad ranem. Do tego czasu będziemy już daleko.

- Wędrówka we dwoje może być niebezpieczna, prawda?

- Sądzisz, że będzie ci łatwiej, jeśli wyruszysz sama? Poza tym potrafię nas obronić. Czuję się urażony, że w to wątpisz.

- Przerwał na chwilę i powiedział łagodnym głosem, którego używał tylko wobec niej: - Zgódź się, koteczku.

Usłyszała oddalające się kroki Jacques'a. Obejrzała skórzane zawiasy, a potem zaczęła niespokojnie chodzić po celi. Ciekawe, ile czasu zajmą przygotowania do ucieczki. Odgarnęła włosy i dotknęła palcem spierzchniętych warg. Wzdrygnęła się na wspomnienie gorzących żądzą oczu Cynrika. Dobry Boże, strach pomyśleć, jak by ją potraktował w noc poślubną. A gdyby uznał, że nie warto czekać tak długo i przyszedł tu po raz wtóry... Wstrzymała oddech, słysząc kroki na schodach. Ktoś stał pod drzwiami.

- Jacques? - szepnęła.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jacques?! - zawołała niecierpliwie Roanna. Z każdą chwilą coraz bardziej się bała.

- Tak, to ja - usłyszała odpowiedź i odetchnęła z ulgą. Kucharz wsunął pod drzwi wąski, długi nóż. - Wracam na dół, żeby przygotować wszystko, co potrzebne do podróży. Wkrótce tu będę. Nie trać nadziei, moje dziecko - oznajmił przyciszonym głosem. Znowu dobiegł ją cichy tupot.

Musiała się pospieszyć, więc zapomniała o strachu. Cynrik nie przyszedł, ale w każdej chwili mógł się pojawić. Chwyliła nóż i zaczęła przecinać skórzane zawiasy. Miała wrażenie, że minęły wieki, zanim pojawiła się niewielka szczerba, ale gdy ostrze przeszło przez stwardniały brzeg, praca postępowała coraz szybciej. Roanna była tak zaabsorbowana, że nie słyszała kroków powracającego Jacques'a.

- Za chwilę będzie po wszystkim - szepnęła, rzucając słomę z barłogu pod drzwi, żeby uniknąć hałasu. Sięgnęła znowu po ostry rzeźnicki nóż. - Jeszcze jedno mocne cięcie. - Górny płat skóry ledwie się trzymał. - Możesz pchać - oznajmiła, stając z boku. Krzepki i postawny kucharz z całej siły napał na drzwi. Górny zawias rozerwał się wolno, a po chwili to samo stało się z dolnym. Drzwi z głuchym łoskotem opadły na podłogę celi. W korytarzu czekał szeroko uśmiechnięty Jacques.

- Chodź, koteczko, szkoda czasu.

Nie musiał jej tego dwa razy powtarzać. Natychmiast przeskoczyła leżącą na progu przeszkodę i dołączyła do niego. Zbiegli cicho po schodach.

- Przygotowałem wóz - szepnął, gdy biegli korytarzem. Przecięli ogromną kuchnię. Roanna była zdziwiona jej rozmiarami. Dogasające węgielki w palenisku dawały słabą poświatę, długie cienie uciekinierów przemknęły po kamiennych ścianach. Na dziedzińcu czekał prosty, chłopski wóz zaprzęzony w osła. Jacques gestem zachęcił Roannę, żeby położyła się na dnie i rzucił na nią derkę, która cuchnęła stęchlizną. Wóz zachybotał się, gdy zażywny kucharz usiadł na koźle i popędził osła. Jechali szybko, ale wkrótce musieli się zatrzymać. Roanna boleśnie to odczuła.

- Ktoś ty? - usłyszała nieznany głos.

- Jacques de la Mere, kucharz dostojnego pana Westercotta. Lepiej mnie przepuść, bo w przeciwnym razie nie będziesz miał co zjeść.

- Niby czemu? - odparł zaczepnie strażnik.

- W waszej mące zawiązały się robaki. Jeśli nie chcesz jeść chleba z takim nadzieniem, to pozwól mi przejechać. Wybieram się do młyna, żeby osobiście kupić kilka worków dobrej mąki. Niedługo zacznie świtać, więc zejdź mi z drogi, bo jego dostojność będzie niezadowolony. Jeśli zabraknie chleba, to będę zmuszony wspomnieć o nadgorliwym strażniku.

Roanna omal się nie udusiła, leżąc pod ciężką derką, ale gotowa była cierpieć dalej, bo usłyszała miły dla ucha dźwięk otwierających się wrót zamku. Wóz ruszył natychmiast i brama się zatrzasnęła. Roanna postanowiła zaryzykować i uniosła nieco róg derki, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Jechali przez uśpione podgrodzie. Można by pomyśleć, że wokół nie ma ży-

wego ducha, ale wrażenie było mylące. Gdy obserwowała mury obronne, dostrzegła wielu żołnierzy stojących na blankach. Słaba poświata księżycy odbijała się na ostrzach ich broni.

Zbliżyli się do kolejnej bramy, Jacques opowiedział tę samą historyjkę i znów udało mu się przekonać straż, żeby ich przepuściła. Wartownicy nie mieli żadnych podejrzeń. W czasie przecinania skórzanych zawiasów Jacques wyjaśnił, że baron oraz Westercott nie wspomnieli nikomu o jej uwięzieniu. Od urodziwej służącej dowiedział się, że Roannę wtrącono do kamiennej wieży, w której była tylko jedna izba na samej górze.

Jechali teraz wśród chat wybudowanych poza murami ogromnej twierdzy, którą władał baron DeLanyea. Nikt się nie pokazał, tylko od czasu do czasu słyszeli ujadanie czujnych psów, ostrzegających przed obcymi. W końcu wyjechali na gościniec.

- Trzeba nam teraz ruszyć na północ, koteczku - tłumaczył półgłosem Jacques. - Tędy się jedzie do młyna, więc pomyśla, że skręciliśmy w przeciwną stronę, aby zmylić pogoń. Nie przyjdzie im do głowy, że zrobiliśmy tak, jak im powiedziałem. Nawet gdyby przedwcześnie odkryli naszą ucieczkę, to w ten sposób zyskamy na czasie. Jedna milutka służąca powiedziała mi, że północna droga także się rozwidła, więc będzie można skręcić na południe, ku bardziej uczęszczanym okolicom.

Roanna odsunęła róg derki i spojrzała na nocne niebo usiane migotliwymi gwiazdami. Księżyc widoczny w trzech czwartych rozświetlał krajobraz i odbijał się w rzece płynącej wzdłuż drogi. Gdy przejechali obok młyna, Jacques zaczął cicho nucić. Podał Roannie sakwę, w której były pyszne bułeczki. Zachłannie zjadła jedną. Wóz toczył się, podskakując na wybojach.

Trzeba znaleźć coś do jedzenia. W pełnym uzbrojeniu czołgał się ku skrajowi pola bitwy. Chmary much obsiadły ludzkie i zwierzęce trupy. Sęp pożywiał się, szarpiąc pokryte robactwem, skrwawione truchło konia. Na nic się zdała próba oblizania warg językiem suchym jak piasek. Jeść... Musiał zdobyć coś do jedzenia. Dobiegł go ponownie głuchy dźwięk bębnów, głośniejszy z każdą chwilą. Udo bolało straszliwie, ale mimo cierpienia trzeba pełznąć dalej. Brak żywności to pewna śmierć. Znowu bębny dudnią mu w uszach. Wstał, żeby się rozejrzeć, usłyszał cichy świst miecza dobywanego z pochwy i odwrócił się natychmiast.

- *Allah akbar!* - krzyknął muzułmański wojownik i uniósł miecz, szykując się do zadania ciosu.

Zlany potem Emryss usiadł i krzyknął głucho. Ukrył twarz w dłoniach i położył się na plecach. To był sen. Znowu nawiedzały go koszmary. Oddychał głęboko, czekając, aż strwożone serce się uspokoi. Powróciła senna zmora krucjaty. Dobry Boże, a łudził się, że po powrocie do domu uwolni się od tych przywidzeń.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca wpadły przez wąskie okno do jego komnaty. Wstał z łóżka i owinał nagie ciało prześcieradłem. Niebo za oknem poróżowiło i stawało się coraz jaśniejsze, gdy słońce powoli wstawało nad horyzontem. Pola zarośnięte niemal dojrzałym zbożem falowały jak złocisty piasek pustyni. Z westchnieniem popatrzył na rzekę wijącą się na dnie skalistej doliny. Fale lśniły w słonecznym blasku. Gdy wyteżył wzrok, dostrzegł niewyraźnie białe punkty na przeciwległym zboczu. To owce szukały pożywienia na zielonej łące.

Podszedł do umywalki i napełnił misę wodą z dzbana. Ochlapał twarz i umył się. Dłoń umoczoną w zimnej wodzie

przyłożył do pulsującej blizny na skroni, żeby złagodzić nieprzyjemne pieczenie. Podszedł do skrzyni stojącej przy łóżku, zrzucił prześcieradło i sięgnął po nogawice i kolczugę przygotowane poprzedniego wieczoru. Ubierał się, spoglądając na blizny szpecące biodra. Musiał uważać, żeby ponownie nie wdało się zakażenie.

Drzwi otworzyły się niespodziewanie.

- Cholera jasna! - krzyknął, pospiesznie naciągając spodnie.
- Krzyżowcy nauczyli cię przeklinać? - Mamaeth przyglądała mu się, lekko przekrzywiając głowę. Przez ramię przewiesiła czyste, lniane ręczniki.
- Przepraszam - mruknął Emryss, naciągając koszulę. - Powinnaś zapukać.
- Co? - Rzuciła płótna na wielkie łoże i wzięła się pod boki.
- Nie jestem już dzieckiem, więc trzeba pukać - odparł, siadając na posłaniu, żeby założyć buty.

Mamaeth zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi. Nagle jej twarz rozjaśnił błysk zrozumienia.

- Sprowadziłeś tu kobietę? - zapytała z domyślnym uśmiechem. Emryss wciągnął wysokie buty i wymamrotał z pochyloną głową.
- Nie ma tu żadnych kobiet.
- A szkoda. Czemu sobie jakiejś nie sprowadzisz? - Gdy podniósł głowę i spojrzał na nią z politowaniem, wyjaśniła: - Tak tylko pytam. - Sięgnęła po zmięte prześcieradło. - Przecież to żaden wstyd. - Emryss włożył skórzany kaftan, a Mamaeth bez pośpiechu zmieniała pościel i słała łóżko. - Dobrze by ci to zrobiło - dodała.
- Co mówisz? - Emryss obciągnął kaftan.
- Moim zdaniem wyszłoby ci to na dobre.

- Nie - burknął i przypasał miecz, niezdarnie zapinając sprzączkę. Jezu słodki, powinien się wreszcie nauczyć, jak powściągać język i panować nad złością. Gdy udało mu się wreszcie zapiąć pas, odezwał się znowu, mając nadzieję, że Ma-maeth daruje mu grubiańską odpowiedź.

- Gwilym już po śniadaniu?

- Zjadł za dziesięciu. Ten ma apetyt! Jest w stajni, chyba szykuje się do wyjazdu. - Strzepnęła poduszkę, zerkając ukradkiem na wychowanka. - Znowu gdzieś ruszasz, co?

- Tak. Ostatnio mieliśmy w pobliżu napad.

- Chciałabym ich dostać w swoje ręce. - Gdy pięściami okładała poduszkę, Emryss pomyślał, że złodzieje powinni obawiać się jej bardziej niż niejednego mężczyzny.

- W takim razie życz mi szczęścia - powiedział, idąc ku drzwiom.

- Z Bogiem, chłopcze. Trzymaj się z dala od Beaufort... i nie zadawaj się z tamtejszymi kobietami.

Emryss bez słowa wyszedł z komnaty. Wszyscy mieszkańcy Craig Fawr wiedzieli już o jego ostatniej eskapadzie i niewątpliwie sądzili, że jej powodem była zadawniona wrogość. Od niej się istotnie zaczęło. Jeśli sprawa nie będzie miała przykrych konsekwencji, to szybko o niej zapomną.

Wszedł do wielkiej sali, skinął głową mężczyznom jedzącym śniadanie i chwycił pajdę chleba. Odgryzł kawałek i popił kilkoma łykami mocnego piwa. Z chlebem w dłoni ruszył ku drzwiom i przeciął dziedziniec. Murarze uwijali się już na rusztowaniach. Kamienie szybko ubywały z wielkiego stosu. Z troskany pomyślał, że musi znaleźć więcej pieniędzy, aby należycie umocnić Craig Fawr. Jego rodzice wydali ogromne sumy na ekwipunek niezbędny synowi, by mógł uczestniczyć w bez-

sensownej wyprawie krzyżowej. Wielka szkoda, że arcybiskup Baldwin zjechał do ich parafii, zamiast rezydować spokojnie w Canterbury. Emryss wolałby nie usłyszeć jego kazania. Był wówczas naiwnym młodzieńcem z sercem wypełnionym po brzegi gorącym pragnieniem wypędzenia pogan z Jerozolimy.

U wejścia do stajni czekał Gwilym, a Wilk był już osiodłany. Żołnierze wyruszający na rekonesans siedzieli na koniach, czekając cierpliwie. Gwilym uśmiechnął się serdecznie i wskoczył na swego ogiera, a Emryss dokończył pajdę chleba i bez pośpiechu dosiadł konia.

- Marnie spałeś, co? - Głos przyjaciela był pełen troski.
- Kiedyś miałem lepszy sen - padła niechętna odpowiedź.
- Chyba nie mogę przywyknąć do miękkiego pośłania.
- Weź do łóżka miłą kobietę, taka moja rada.

Emryss wyobraził sobie, że na lnianej pościeli spoczywa przy nim dziewczyna o bladej twarzy otoczonej falującymi czarnymi włosami, ale szybko przywołał się do porządku.

- Dlaczego wszystkim się wydaje, że miłosna noc z chętną kobietą uwolni mnie od wszystkich kłopotów? Ciekawe, kiedy od ciebie usłyszę, że gorący romans to najlepszy sposób, aby pozbyć się blizn. - Skierował konia w stronę bramy. - Dość gadania. Powiedz mi dokładnie, w którym miejscu złodzieje napadli podróżnych.

- Kilka mil stąd, na drodze prowadzącej wzdłuż rzeki, w głębi lasu, panie - odparł z uszanowaniem Gwilym.
- Koło brodu?
- Owszem.
- Gdzie reszta drużyny?
- Czekają pod murami, panie.
- Dobrze. Zapolujemy dziś na tych rozbójników.

- Tak, panie.

Emryss z westchnieniem zerknął na brata, który uparcie patrzył prosto przed siebie.

- Gwilym... - zaczął, bo kusiło go, żeby wyznać, dlaczego rozmowa o kobietach jest mu przykra, ale zmienił zdanie i kłusem ruszył do wrót zamku.

Koła wozu jadącego przez zamgloną dolinę głośno skrzypiały. Słońce stało już wysoko, rozpraszając poranne opary. Roanna przyglądała się wierzbom pochylonym nad wąską rzeką, które przypominały kobiety czerpiące wodę. Uśmiechnęła się na widok dwóch wiewiórek, śmigających w koronach okolicznych dębów, pod którymi rosły jagody i paprocie. Z rzadka słychać było głosy ptaków, milknących powoli w oczekiwaniu na letni upał, który miał spaść na las, gdy słońce wypije ostatnie krople rosy.

W oddali rysowało się pasmo skalistych wzgórz, a ich wierchołki zdawały się dosięgać białych, pierzastych obłoków płynących po błękitnym niebie. Roanna zachwycała się urodą i prostotą krajobrazu. Nie spodziewała się takich widoków w okolicy, która powitała ją ponurą szarością i nieustanną ulewą.

Emryss DeLanyea był nieodrodnym synem tej krainy. Roanna doszła do wniosku, że w obu przypadkach pozory mylą, a rzeczywistość jest znacznie przyjemniejsza, niż można było zakładać w najśmielszych marzeniach. Dla dziewczyny stało się jasne, że nie chciałyby stąd wyjeżdżać. Dobrze zrobiła, zrywając umowę małżeńską i uciekając z Beaufort, bo tam czekały ją upokorzenia, a co więcej, groziło jej poważne niebezpieczeństwo, ale nie miała ochoty opuszczać Walii, gdzie poznała mężczycznę, który ją zachwyił i oczarował.

Pomyślała o szramie na jego twarzy i pozostałych, starannie ukrywanych bliznach. Rany musiały być zadane cienkim ostrzem, ponieważ w innym przypadku takie obrażenia spowodowałyby śmierć. Dobrze pamiętała słowa ojca: „Najniebezpieczniejszy przeciwnik to człowiek pokryty bliznami, które świadczą o jego woli życia”. Z pewnością tak jest również z Emryssem, bo w przeciwnym razie nie powróciłby z Ziemi Świętej. Ciekawe, co powie, gdy usłyszysz o ucieczce. Zapewne ta sprawa w ogóle go nie interesuje. Ucieszy się tylko, że Cynrik został wystrychnięty na dudka

- Przestań się martwić, koteczku. Jestem pewny, że twój stryj zajrzy do celi dopiero po obiedzie - powiedział Jacques. W leśnej ciszy jego głos rozbrzmiewał jeszcze donośniej niż zwykle. - Wczoraj do późnej nocy raczył się winem barona. - Zachichotał uragliwie. - Dawali je darmo, to pił.

- Mniejsza z tym. Cieszę się, że odzyskałam wolność. Chciałabym wiedzieć, co powiedzą, kiedy odkryją, że ich...

- Przechytrzyliśmy? - podpowiedział z promiennym uśmiechem. - Natychmiast wyślą pogoń - stwierdził z chytrą miną. - Pojadą na południe, ale nas tam nie znajdą.

- Przed wyjazdem rozmawiałeś z jakąś służącą. Nie doniesie na ciebie? - spytała Roanna. Brakło jej pewności siebie właściwej Jacques'owi, który obojętnie wzruszył ramionami.

- Sporo czasu minie, nim będą gotowi nas ścigać. Mamy przewagę kilku godzin, a poza tym nie sądzę... - Umilkł i zaczerwienił się okropnie.

- Mój narzeczony raczej nie będzie ich ponaglać - dokończyła za niego.

- To zadufany w sobie pyszałek, więc słusznie zrobiłaś, odmawiając mu ręki. Myślę, koteczku, że przez jakiś czas nie powinniśmy się zatrzymywać.

Roanna skinęła głową i odwróciła się, sięgając po bukłak z wodą. Nagle usłyszała okrzyk Jacques'a, a wóz szarpnął i zatrzymał się na środku drogi. Zaciśnęła dłoń na desce, żeby nie spaść. Chwyciła lejce, które wysunęły się ze słabnących dłoni kucharza. W jego ramieniu tkwiła strzała, a ubranie było zakrwawione. Popatrzył na drzewce i zbladł.

- Ruszaj! - szepnął, oddychając z trudem. - Musimy jechać...

Zanim skończył, z gęstego lasu wypadła gromada mężczyzn uzbrojonych po zęby, którzy natychmiast otoczyli wóz. Długie, zmierzwione włosy opadały im na ramiona, twarze mieli ponure i brudne. Roanna trzepnęła osiołka lejcami po zadzie, a Jacques zwinął się z bólu, gdy druga strzała przeszła mu nogę. Na twarzach stojących wkoło bandziorów pojawiły się głupkowate uśmiechy.

Jeden z nich, uzbrojony w sztylet i miecz, zatrzymał osiołka, pokazując w uśmiechu zepsute zęby. Jacques znowu jęknął, ale Roanna uparcie wpatrywała się w zbrojczy stojącego przy wozie. Ogarnęła ją rozpacz, gdy zdała sobie sprawę, że nie ma się czym bronić. Nie odrywała wzroku od szczerbatego bandyty, który podszedł do wozu. Na pewno ma jakiś słaby punkt, myślała gorączkowo. Tak mówił ojciec do swoich żołnierzy, kiedy ich ćwiczył w wojennym rzemiośle. Należy trafić w czuły punkt. Mężczyzna wyciągnął rękę, chwycił ramię Roanny i ściągnął ją z wozu.

Upadła na kolana, obserwując go zza zasłony potarganych włosów. Nie zwracał na nią uwagi, zajęty przetrząsaniem zawartości wozu. Znieruchomiała, obserwując wszystko, gotowa rzucić się na niego, gdyby zaczął Jacques'a.

Spśród bandytów wyszedł śmierzący chudzielec, stanął

przed Roanną i uniósł kosmyk jej włosów. Parsknął śmiechem i odezwał się do swoich kompanów zduszonym szeptem. Ich herszt burknął opryskliwie, ale Roanna nie miała pojęcia, czy zirytowały go marne łupy, czy usłyszane przed chwilą słowa. Zaczął brutalnie obszukiwać Jacques'a, a gdy Roanna próbowała wstać, chudzielec położył jej rękę na ramieniu i nie pozwolił się ruszyć. Herszt znalazł w końcu małą sakiewkę, potrząsnął nią i wrzucił za pazuchę. Roanna miała nadzieję, że teraz bandyci pozwolą im odjechać.

Chudzielec rzucił kilka słów i zmusił ją, żeby wstała. Ręce miał wyjątkowo silne, a długie paznokcie boleśnie wbijały się w skórę. Nadal wpatrywała się w herszta, jakby chciała mocą wzroku skłonić go do wypełnienia swojej woli.

Chudzielec coraz natrętniej zagadywał przywódcę bandy, który w końcu odwrócił się i podszedł do Roanny. Oddech miał tak cuchnący, że od razu poczuła mdłości. Gdy obserwował ją z uśmiechem, przebiegł ją dreszcz. Boże, spraw, żebym szybko odkryła jego słaby punkt, modliła się, wiedząc, co ją czeka.

Herszt rzucił rozkaz, a chudzielec wykręcił jej ręce. Przy-mknęła oczy, zbyt przerażona, aby rozumować logicznie. Ostrze sztyletu dotknęło jej gardła. Usłyszała jęk rozpacz, ale nie wiedziała, czy to jej głos, czy może Jacques'a. Zimna stal sunęła po skórze.

Roanna wstrzymała oddech, gdy ostra krawędź przecięła tkaninę, z której uszyty był karczek jej sukni. Chudzielec zmusił dziewczynę, żeby się wyprostowała, a krawędzie materiału rozsunęły się jeszcze bardziej, odsłaniając białą skórę. Zbóje patrzyli jak urzeczeni.

Nagle rozległ się bolesny krzyk. Roanna otworzyła oczy i w tej samej chwili chudy bandyta puścił jej ręce i popędził do

lasu. Na widok dwóch jeźdźców na ogromnych wierzchowcach, którzy wypadli na drogę, banda natychmiast się rozpieczęła. Nim znowu skręcili w las, Roanna dostrzegła znajomą twarz.

Zebrała dłonią rozcięty materiał sukni i wspięła się na wóz. Jacques leżał bezwładnie na koźle. Przez moment sądziła, że umarł, ale powieki zadrżały i uniosły się lekko.

- Wygląda na to, koteczku, że marny ze mnie obrońca - szepnął.

Roanna nabrała otuchy. Skoro mówi, będzie żyć. Dobiegające z oddali stłumione odgłosy pogoni sprawiły, że znów ogarnął ją strach. Nasłuchiwała pilnie, nie zdając sobie sprawy, że spośród okrzyków próbuje wyłowić jeden znajomy głos. Z pewnością dopadnie złodziei, pomyślała. Nagle uprzytomniła sobie, że nie może czekać beczynnie na wynik potyczki. Trzeba znaleźć wioskę i ludzi, którzy pomogą Jacques'owi.

Chwyciła lejce i trzepnęła nimi grzbiet osiołka, który ruszył od razu. Ranny jęczał, gdy wóz podskakiwał na wybojach.

- Kto ucierpiał? - Roanna usłyszała nagle znajomy głos. Emryss wyjechał z zarośli, nisko pochylony, żeby nie zaczepić głową o zwieszającą się nisko gałąź wielkiego dębu. Trzymany w ręku miecz od razu schował do pochwy, a zbliżając się, ukradkiem poprawił opaskę na pustym oczodole. Roanna wyczuwała drzemiacą w nim ogromną siłę, widziała też oznaki z trudem hamowanej wściekłości. Koń osadzony w miejscu niecierpliwie przebierał kopytami, a jeździec obrzucił ją bystrym spojrzaniem i poprawił się w siodle.

- Nic mi się nie stało - odparła świadoma, że suknię ma głęboko rozciętą, a serce bije jak szalone - ale Jacques został ranny.

- Moim zdaniem to nic poważnego. - Emryss przyglądał się

przez moment człowiekowi leżącemu bezwładnie na koźle. - Widziałem gorsze rany, o wiele gorsze - dodał szorstko, ale uśmiechnął się, więc od razu nabrała animuszu. Wyciągnął muskularne, długie ramię i chwycił lejce przerzucone przez grzbiet osiołka. - Wybacz, pani, że zła przygoda spotkała cię na mojej ziemi. Jedź ze mną, a rany twego towarzysza zostaną opatrzone jak należy.

Roanna przyglądała się przez chwilę Jacques'owi, którego głowa spoczywała na jej kolanach. Biedak cierpiał okrutnie, więc poczuła się winna, bo ogarnęła ją nagle osobliwa błogość.

- Dzięki, dostojny panie - odparła cicho, unosząc głowę. Rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Wiesz, pani, kim jestem?

- Tak, od Cynrika.

- Z pewnością nie mógł się mnie nachwalić - odparł z przekonaniem. Spojrzała na niego i zrobiło jej się lekko na sercu. Przez chwilę wpatrywał się w nią, potem nagle ściągnął lejce i wóz ruszył. Roanna miała łzy w oczach. Jedną ręką obejmowała głowę rannego Jacques'a, drugą trzymała przy gorsie. Odgłosy pogoni coraz bardziej się oddalały, gdy Emryss spokojnie prowadził wóz skrajem drogi, jakby nie dbał o to, czy złodzieje zostaną schwytani.

Na rozstajach skręcili i ruszyli pod górę stromym zboczem. Gdy wóz trząsał się na wybojach, ranny pojękiwał boleśnie, a Roanna uspokajała go, zapewniając, że wkrótce otrzyma pomoc. Sięgnęła po bukłak z wodą na wypadek, gdyby miał pragnienie, ale z trudem pokręcił głową. Jacques coraz bardziej cierpiał, więc miała nadzieję, że wkrótce dotrą do wioski.

Wyjechali na obszerny płaskowyż. Z daleka ujrzano skaliste wzniesienie, otoczoną wałem ziemnym starodawną twierdzą,

a na samym szczycie kamienny zamek, wokół którego tłoczyły się budynki tworzące spore miasteczko. Na brzegu niewielkiej rzeki wznosił się młyn.

- Ten gród należy do ciebie, panie? - spytała Roanna, zaskoczona wielkością twierdzy. Wodziła spojrzeniem od budynków i umocnień do biednie odzianego Emryssa.

- Owszem. Moje dziedzictwo - przytaknął, nie odwracając głowy. Wkrótce minęli podgrodzie. Jakiś mężczyzna pobiegł w stronę zamku. - Przyprowdzi tu Mamaeth. Ona będzie wiedziała, jak pomóc twemu towarzyszowi podróży. - Emryss nie zwracał uwagi na ciekawskie spojrzenia wieśniaków. Roanna daremnie próbowała wziąć z niego przykład. Czuła, że się rumieni, i coraz mocniej zaciskała dłoń na brzegach rozciętej sukni.

Przejechali jedną bramę, potem drugą i w końcu znaleźli się na dziedzińcu, gdzie panowało wielkie ożywienie. Wszędzie stały rusztowania z drewnianych pali nakryte platformami z desek. Umieszczono na nich kołowroty, bloki i liny tworzące zawiłą sieć podobną do pajęczyny. Na ziemi leżały skalne bloki i stopy mniejszych kamieni. Przy studni zebrała się grupka kobiet z dzbanami opartymi na biodrach. Wśród rusztowań kręciły się dzieci nie zwracające uwagi na groźne pokrzykiwania pracujących w górze rzemieślników. Podczas jazdy przez dziedzińiec Roanna doszła do wniosku, że ci ludzie wyglądają, jakby świętowali, a nie trudzili się w pocie czoła. Stukot młotków, odgłosy uderzeń, szmer rozmów, złorzeczenia i okrzyki poddanych umilkły w jednej chwili na widok dziedzica. Roanna siedziała wyprostowana, udając, że nie dostrzega gapiów.

Gdy Emryss zsuwał się z konia na progu niskiego, kamiennego budynku, u stóp najwyższej wieży stanęła szczupła starsza

kobieta i ruszyła pędem w stronę wozu. Jak na swój wiek była wyjątkowo żwawa. Nie zwracając uwagi na Roannę, wspięła się na kozioł i zerknęła na dwie strzały sterczące z ran Jacques'a. Jęknął rozpaczliwie, gdy dotknęła jego ramienia. Mrucząc do siebie, sprawdziła krwawienie, obejrzała przebitą grotem nogę. Roanna obserwowała ją, nie wiedząc, co myśleć o takim zachowaniu. Jacques także otworzył oczy i wpatrywał się w nieznaną.

- Dajcie mi umrzeć w spokoju - mruknął, gdy Mamaeth obmacywała jego nogę.

- Też coś! Kto tu mówi o śmierci? Nie umrzesz, głupku. Każdy mężczyzna to mazgaj. Zsiądźże, dziewczyno! Potrzebuję więcej miejsca.

Roanna zerknęła na Jacques'a, który znowu jęknął. Mamaeth obrzuciła ją taksującym spojrzeniem i kiwnęła głową. Roanna dopiero teraz uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech.

- Nie ma powodu do obaw, dziewczyno. Groty przebiły tylko mięśnie. Rany silnie krwawią, ale to nic wielkiego. Odpoczynek, dobre jedzenie i moje zioła wystarczą, żeby szybko postawić na nogi tego biedaka. - Jacques znowu jęknął, po czym zaklął półgłosem, więc dała mu lekkiego klapsa i burknęła: - Przestań albo lecz się sam. Emryss, każ go zanieść do czeladnej - poleciła. Roanna nie wierzyła własnym uszom. To niemożliwe, aby służebna odzywała się takim tonem do pana zamku. Mamaeth dodała: - Nieście go ostrożnie, a ja biegnę po mikstury. Potem wyjmę groty. Gdzie jest Gwilym?

- Ściga drani, którzy ranili tego biedaka - wyjaśnił Emryss. Skinęła głową i niezdarnie zeskoczyła z wozu.

- Zaprowadź dziewczynę do Bronwyn. Niech jej da przyzwoite odzienie.

Roanna zarumieniła się, słysząc te słowa i wpatrywała się uparcie w nierówne kamienie dziedzińca. Emryss przywołał dwu stojących w pobliżu cieśli, którzy gapili się z otwartymi ustami. Przekazał im natychmiast, co kazała zrobić starsza kobieta, a Roanna obserwowała ich uważnie, gdy nieśli Jacques'a w stronę najbliższego budynku. Czuła na sobie spojrzenia mężczyzn stojących na wyciągnięcie ręki, ale starała się nie myśleć o rozciętym gorsie sukni. Ciepła dłoń dotknęła lekko jej ramienia.

- Czy możesz mi teraz powiedzieć, jak się znalazłaś na mojej ziemi, pani?

Ciaśniej zebrała brzegi tkaniny. Nagle zdała sobie sprawę ze swej opłakanej sytuacji. Była zupełnie sama, nie miała krewnych gotowych jej bronić ani pieniędzy na opłacenie posiłków i noclegu, znalazła się w obcym kraju, bez sukni na zmianę. Usłyszała stłumiony chichot i popatrzyła na stojących wokół rzemieślników. Gdy Emryss spojrział w ich stronę, rozproszyli się natychmiast, wracając do swoich zajęć.

- Chodźmy do sali paradnej. Znajdziemy cichy kąt i spokojnie porozmawiamy.

Podał jej ramię. Była zakłopotana, ponieważ stała się obiektem powszechnego zainteresowania, przyjęła je i pozwoliła się zaprowadzić do niskiej budowli o szerokiej fasadzie, która przylegała do wieży, na oko bardzo starej. Roanna opuściła głowę, zbита z tropu bliskością Emryssa. Opuszkami palców dotykała ciepłej skóry na jego obnażonym ramieniu.

Gdy weszli do środka, szybko rozejrzała się po sali, która zapewne niedawno została dobudowana do wiekowych murów twierdzy. Naprzeciwko drzwi znajdowało się ogromne palenisko, a przy ścianie przylegającej do wieży umieszczono para-

wan oddzielający kąć ogromnej sali. Roanna daremnie próbowała chłodno ocenić niezwykły wystrój tego wnętrza, bo wyczuwała grę sprężystych mięśni. Nagle zrobiło jej się gorąco.

Emryss zatrzymał się obok parawanu i gestem zachęcił ją, żeby poszła dalej. Usłuchała w milczeniu i zobaczyła mały stółik oparty na krzyżakach i dwa krzesła umieszczone naprzeciwko siebie. Przycupnęła na tym, które stało bliżej. Emryss także usiadł.

- Czy teraz powiesz mi, pani, co się stało? - zapytał łagodnym i cichym głosem. Od dawna nikt się do niej nie zwracał takim tonem. Po raz pierwszy od chwili, gdy dotknęła jego ramienia, odważyła się podnieść wzrok i spojrzeć na swego wybawcę. Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, potem odwrócił wzrok, jakby czegoś szukał, ale na opalonej twarzy niespodziewanie pojawiły się rumieńce.

- Wybacz, panie - przepraszała Roanna. - Ja... Stryj mi zawsze powtarzał, że nie powinnam tak się przyglądać innym ludziom.

- To bez znaczenia - odparł pospiesznie i uśmiechnął się lekko. - Teraz wszyscy się na mnie gapią, już do tego przywykłem.

Najchętniej schowałaby się pod stół, żeby ukryć zakłopotanie. Z uporem przyglądała się słojom na drewnianym blacie.

- Dziękuję ci za uratowanie Jacques'a i mnie z rąk złoczyńców.

- Rad jestem, że tamtędy jechaliśmy. Chciałbym jednak wiedzieć, czemu opuściłaś Beaufort. Przecież miałaś wyjść za męża.

- Odmówiłam.

- Dlaczego? - Zamiast odpowiedzieć, oglądała z uwagą swoje dłonie. Emryss dodał cicho: - Nie gniewaj się, pani, że

o to pytam, ale muszę wiedzieć. Baron DeLanyea i jego syn od lat są moimi wrogami. Teraz być może walka rozgorzeje na nowo, a zatem muszę wiedzieć, co jest tego przyczyną.

- Nie chcę być powodem waśni. - Roanna zerwała się z krzesła. - Wyjeżdżam natychmiast.

- Usiądź - polecił. Przez chwilę miała wrażenie, że wystarczy jedno spojrzenie, żeby go posłuchała. Gdy się znowu odezwał, jego głos brzmiał łagodnie, niemal przepraszająco.

- Nie powiedziałem, że sobie życzę twojego wyjazdu. Pragnę tylko znać powód, dla którego się tutaj znalazłaś.

Usiadła i zaczęła się zastanawiać, ile powinna mu powiedzieć.

Nie wolno zapominać, że słabo go znam, powtarzała sobie, obserwując jego twarz. Miała przeczucie, że wart jest zaufania, ale z doświadczenia wiedziała, jak niewielu jest ludzi, którym warto zawierzyć.

- Cynrik DeLanyea dostał ode mnie kosza - odparła, rumieniąc się lekko.

- I to wszystko? - Emryss jak urzeczony wpatrywał się w smukłą dziewczynę siedzącą po drugiej stronie stołu.

- Nie. On mnie... obraził.

- Nie jesteś odosobniona. Arogancja to jego wrodzona cecha. A co na to stryj? Czy stanął w twojej obronie?

- Nie. - Roanna odwróciła wzrok. Gdy ścisnęła ręką brzegi rozciętej sukni, wydawała się Emryssowi bezbronna jak wąż roślina na kamienistym wzgórzu. Ledwie jednak spojrzała mu w oczy, ujrzał w nich wyzwanie. Uniosła głowę i wyprostowała się, a wtedy stało się dla niego jasne, że drzemie w niej ogromna siła.

- Jestem zdumiony, że Cynrik zgodził się na twój wyjazd,

choć z drugiej strony trudno powiedzieć, aby ci wytrwale asystował.

- Nie ma pojęcia, że wyjechałam, ponieważ to była ucieczka.

- Co?

- Uciekłam z Beaufort. Stryj mnie zamknął w kamiennej wieży, próbując zmusić do ślubu, a Jacques pomógł mi uciec.

Emryss nie wiedział, co robić, więc milczał, machinalnie przytupując stopą w kamienną podłogę. Sprawa bardzo się skomplikowała. Nie chciał odsyłać Roanny do Beaufort, ale Cynrik może twierdzić, że jest tu znów przetrzymywana wbrew swej woli. Roztargniony i zafascynowany popatrzył na rozcięty materiał sukni i pierś falującą pod cienką, białą tkaniną w rytm niespokojnego oddechu. Po chwili zaczął oglądać swoje spracowane dłonie i próbował rozważyć wszystko bez emocji, jakby nie było tutaj Roanny, ale czuł na sobie jej spojrzenie. Nic dziwnego, że stryj zakazał jej tak patrzeć na ludzi. Emryss miał wrażenie, że stoi przed nią całkiem nagi.

- Jacques i ja wyjedziemy jutro. Pozwólcie nam tylko przemocować - powiedziała. - Jestem wdzięczna za pomoc.

- Po co się tak spieszyć? - Emryss popatrzył na jej bladą twarz. - Zostań, jak długo chcesz.

Na miły Bóg, co też mu strzeliło do głowy.

- Nie, dostojny panie. Lepiej będzie, gdy poszukamy innego schronienia. Nie chcemy nikomu szkodzić naszą obecnością.

Powinien odetchnąć z ulgą. Miała rację, że jeśli zostanie tu dłużej, przysporzy tylko kłopotów. Podniosła się z krzesła, więc i on wstał.

- Była jeszcze jedna przyczyna mojej ucieczki z Beaufort.

- Popatrzyła mu głęboko w oczy, gdy tak stali rozdzieleni sto-

likiem. - Zrzucił mi o kłamstwo, gdy powiedziałam... że mnie nie... wykorzystałeś.

- *Melltigedig da i ddim!* - warknął Emryss, uderzając pięścią w stół. - Przecież doskonale wie, że nigdy... - zaczął wolno, próbując wziąć się w garść. - Wybacz mi, pani, ten wybuch. Powinienem wiedzieć, czego się spodziewać po tym nędzniku. - Obszedł stół i stanął przy Roannie, ale w tej samej chwili za parawan wbiegła młoda kobieta. Zaskoczona otworzyła szeroko oczy, widząc suknię Roanny.

- Przepraszam waszą dostojność - powiedziała zdyszana, przyglądając im się ukradkiem. - Przysłano mnie, żebym usługiwała panience.

- Dobrze - odparł Emryss i odwrócił się do Roanny. - To jest Bronwyn. Dostaniesz od niej porządną suknię, ale najpierw zaprowadzi cię do mojej sypialni.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Roanna spoglądała na ogromne łożo, zasłaniające całą ścianę niewielkiej komnaty. Początkowo nie chciała przystać, żeby Emryss DeLanyea odstąpił jej swoją sypialnię, ale zgodziła się, gdy wyjaśnił, że to jedyne miejsce, gdzie może liczyć na ciszę i spokój.

- Sześcioro ludzi by się tu zmieściło - szepnęła wstydliwie Bronwyn. Roanna oderwała wzrok od imponującego mebla i spojrzała na zgrabną, ciemnowłosą służącą.

- Mamaeth kazała przygotować kąpiel. Mam ci, pani, przynieść nową suknię, ale obawiam się, że to nie będzie wytworny strój.

- Nie jestem wybredna - odparła spokojnie Roanna. Była gotowa okryć się workiem, byle całym i czystym.

Rozległo się pukanie do drzwi. Bronwyn otworzyła, wpuszczając kilka kobiet niosących wielką drewnianą balie, ręczniki oraz wiadra z gorącą i zimną wodą. Na końcu szła dziewczynka z dzbankiem w dłoniach. Roanna stanęła obok łoża i obserwowała je, gdy szybko i sprawnie przygotowywały kąpiel. Gdy woda miała już odpowiednią temperaturę, dziewczynka podeszła bliżej, ostrożnie przechyliła dzbanek, a gdy jego zawartość spłynęła do wody, po komnacie rozszedł się przyjemny, owocowy zapach. Kobiety wychodzące z sypialni nie ukrywały ciekawości i śmiało przyglądały się Roannie.

- Prześliczna woń. Jego dostojność przywiózł te pachnidła z daleka - oznajmiła Bronwyn, przymykając oczy i wdychając miły zapach. Spojrzała pytająco na Roannę. - Mam ci pomóc, dostojna pani?

- Nie, dziękuję - odparła. Nikt dotąd jej nie usługiwał. Nagle poczuła się znużona i zapragnęła zostać sama.

- Jak sobie życzysz, pani. W takim razie poszukam sukni.  
- Bronwyn odeszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Roanna bez pośpiechu zdjęła brudne, pocięte nożem odzienie i zadrzała. Gorąca woda pachniała tak zachęcająco, że natychmiast się w niej zanurzyła. Przyjemnie było czuć ciepło na skórze i rozkoszować się wonią dalekich krain. Zbolałe mięśnie nareszcie mogły odpocząć.

Rozejrzała się wokół. W sypialni poza łóżem był tylko niewielki stolik, a na nim miska i dzban, obok jedno krzesło, dwa piecyki, w których się teraz nie paliło, a także niewielka skrzynia.

Bronwyn miała rację, gdy mówiła, że w łóżu mogłoby spać sześć osób. Z pewnością było dość miejsca dla wysokiego, muskularnego rycerza. Powiedział, że nie ma żony, ale to nie znaczy, że śpi sam, pomyślała Roanna. Z pewnością nie była jedyną kobietą, której się podobał. Rozpierała go życiowa energia, a twarz mimo blizn sprawiała przyjemne wrażenie. Całkiem możliwe, że przyjemnie zaokrąglona Bronwyn zyskała jego względy.

Roanna przesunęła się w ciepłej kąpieli tak, by siedzieć plecami do łóża i widzieć zamknięte drzwi. Ochlapała twarz ciepłą wodą. Co ją to obchodzi, z kim sypia Emryss? Takie sprawy w ogóle nie powinny jej interesować. Odchyliła głowę i przymknęła oczy, starając się przerwać gonitwę myśli. Zwykle po-

trafiła odciąć się od codziennych trosk, jeśli bardzo jej na tym zależało.

Skrzypnęły otwierane drzwi, więc natychmiast usiadła prosto i otworzyła oczy. Do komnaty weszła Mamaeth, niosąc suknię przewieszoną przez ramię.

- Twój towarzysz podróży szybko wydobrzeje, jeśli będzie leżeć w łóżku i pić wywary, które dla niego przygotowałam. Jak znam mężczyzn, na pewno nie posłucha i przez to doprowadzi się do śmierci. - Roanna otworzyła szeroko oczy, a Mamaeth dodała uspokajająco: - Nie martw się, moja panno. Dałam mu jasno do zrozumienia, co się stanie, jeśli będzie postępował jak głupek. Powiedz mi, czy jakiś mężczyzna ma tyle oleju w głowie, żeby posłuchać mądrej kobiety? - Nagle głośno wciągnęła nosem powietrze. - Doskonale! Ciepła kąpiel z wonnymi olejками i naparem z ziół, jak kazałam. Od razu poczułaś się lepiej, prawda?

- Chyba tak - odparła zbита z tropu Roanna. Mamaeth mówiła jak nakręcona i poruszała się bardzo szybko, więc zdawało się, że jest w kilku miejscach jednocześnie. Roanna omal nie dostała zawrotu głowy.

- Wystarczy tego dobrego, bo się przeziębisz, dostaniesz gorączki i umrzesz.

- Woda jest wystarczająco ciepła - zaprotestowała Roanna, bo nie chciała pokazywać się nago zupełnie obcej kobiecie.

- Nie bądź taką skromniśią, dziewczyno. Znam ja was, kobiety i mężczyzn; wiem dobrze, jak wyglądacie. Natychmiast wyłaż z balii. Mam tu ręcznik, który cię okryje od stóp do głowy, jeśli o to chodzi.

Roanna wzięła od niej kawałek płótna, którzy rzeczywiście był większy niż niejeden koc. Wyszła z wody i owinęła się nim

starannie. Mamaeth zmierzyła ją taksującym spojrzeniem i położyła na łóżku przyniesioną suknię.

- Bronwyn na pewno dała ci swoją. Dopasowałam ją, ale oczy mam teraz marne i nie widzę dobrze igły.

- Umiem szyć - odparła Roanna.

- Naprawdę?

- Przez długie lata wiele czasu poświęcałam temu zajęciu. Stryj nie pozwalał mi robić nic innego.

- Dobrze. - Mamaeth pospiesznie skinęła głową. - Przyniosę wszystko, czego ci potrzeba. - Podeszła bliżej i popatrzyła na Roannę. - Zmęczona jesteś, moje dziecko, prawda? Musisz się położyć. Do kolacji mamy jeszcze sporo czasu.

Roanna bez słowa kiwnęła głową. Po kąpieli była senna i ociężała. Gdy Mamaeth znikła za drzwiami, nadeszła pora, żeby obejrzeć suknię. Roanna nie miała ochoty pokazywać się ludziom na oczy w odzieniu luźnym jak ze starszej siostry. I tak wystarczyło na nią spojrzeć, aby uznać, że figurę ma raczej chłopięcą niż kobiecą. Odłożyła sukienkę, dotknęła miękkiego materaca i z zadowoleniem osunęła się na posłanie. Po kilku minutach zapadła w mocny, zdrowy sen.

Nieco później Mamaeth ostrożnie uchyliła drzwi i przez szparę zajrzała do środka. Dziewczyna leżała na posłaniu, owinięta ciasno płóciennym ręcznikiem. Długie, czarne włosy ciemnym kręgiem otaczały głowę. Mamaeth wślizgnęła się do komnaty, postawiła szkatułkę z przyborami do szycia na małym stoliku i popatrzyła na śpiącą.

- Chuda, ale ją odkarmię. Z takimi biodrami będzie idealną matką. Nie zadziera nosa, to dobrze. A jak na niego patrzy... - Oczy zaszyły jej łzami. - Ty głupia babo, przecież i on też wpadł w nią jak urzeczony. Będzie z nich ładna para.

Wolno ruszyła do drzwi. Dziewczyna poruszyła się, a zwinęte płótno odsłoniło długie, zgrabne nogi. Mamaeth z chytrym uśmieszkiem podeszła do łóżka i jeszcze trochę podciągnęła je w górę, a potem lekko odsłoniła bielutkie piersi dziewczyny, mocno ściśnięte brzegiem ręcznika owiniętego wokół ciała.

- Poszukam Emryssa - mruknęła, na palcach wychodząc z sypialni.

Rządca Rhys stał obok spichlerza i rozmawiał z Emrysem, który opierał się na prawej nodze, a lewą niecierpliwie rozgrzebywał wilgotną ziemię.

- To mi się nie podoba - powiedział Rhys z ponurą miną, choć zwykle był uśmiechnięty. Palcami skubał nerwowo długą, czarną brodę. - To gratka dla barona, który od lat szuka byle jakiego pretekstu. - Emryss milczał, więc dodał śmieiej: - Moim zdaniem powinna stąd odejść, chociaż mi jej żal. To wszystko dzieje się nie w porę, bo żniwa za pasem.

- Mamaeth twierdzi, że ranny nie przeżyje, jeśli teraz każemy mu wyjechać - odparł Emryss.

- Można by odwieźć pannę do klasztoru. Siostry się nią opiekują. - Okręła twarz Rhysa od razu poweselała. - Przestanie nam być zawadą, a zarazem nic jej nie zagrozi.

Emryss powoli kreślił stopą koła na piasku. Trzasnęły drzwi i usłyszeli wołanie Mamaeth, która pędziła ku nim przez dziedziniec.

- Ach, wy mężczyźni, jak zwykle gędzicie po próżnicy. O czym mowa?

- Rhys lęka się zatrzymać tu dostojną panią Roannę i jej towarzysza podróży, bo się obawia, że baron uzna to za pretekst do napaści.

- *Iffwrdd!* - Mamaeth spojrzała karcąco na Rhysa, który natychmiast się zarumienił. - Tamten gad jest za stary, żeby wypełznąć ze swojej nory. Muszą tu zostać przez kilka dni, bo dziewczyna całkiem opadła z sił, a ten głupi tłuścioch wykrwawi się niczym zarzynana świnia, jeśli przejedzie kawałek wozem.

- W takim razie muszą zostać. - Emryss wzruszył ramionami.

- Brak nam zapasów niezbędnych, żeby przetrzymać oblężenie - upierał się Rhys. Wskazał nieukończony spichlerz. - Nie mamy ich nawet gdzie pomieścić.

- Dobrze mówisz, Rhys - odparł z westchnieniem Emryss. Popatrzył na Mamaeth, ręką uderzając się po udzie. - Kiedy ranny przyjdzie do siebie na tyle, żeby mógł podróżować, wyprawimy ich stąd. Mamaeth, zapowiedz wszystkim, żeby nie rozpowiadali, kto u nas gości.

Rhys odetchnął z ulgą i uśmiechnął się.

- A więc postanowione - dodała szybko Mamaeth. - Pójdę teraz do tamtego głupka i spróbuję go namówić, żeby wypił kolejną porcję mikstury. Aha, Emryss, dziewczyna chce z tobą mówić. Pewnie niepokoi się, co z nią będzie. - Pobiegła w stronę niskiego budynku, gdzie kurowano rannego.

- Gwilym powinien wkrótce wrócić z resztą naszych ludzi. Zapewne schwytali zbójców - powiedział Emryss. - Daj mi znać, jak tylko przejadą bramę.

- Tak, panie. - Rhys odprowadził wzrokiem chlebobdawcę, który lekko utykając, odszedł w stronę mieszkalnego skrzydła zamku.

Emryss wspiął się po schodach prowadzących do sypialni. Ciekawe, czy Roanna zechce mu wreszcie opowiedzieć o ucieczce z Beaufort. Zapukał lekko, a niedomknięte drzwi od razu się uchyliły, więc postanowił wejść do środka.

Roanna spała na jego łóżku, owinięta niedbale dużym lniwym ręcznikiem. Biel płótna podkreślała czerń włosów oraz delikatny odcień zaróżowionej skóry. Jakże pragnął jej dotknąć! Marzył, by przesunąć dłonią po długich, szczupłych nogach, głaskać ciemne włosy, całować powieki, różane usta, rumiane policzki... Jęknął głucho, ruszył ku drzwiom i zatrzasnął je za sobą.

Nie wiedział, dokąd idzie, bo miał zamęt w głowie. Byle dalej od półnagiej Roanny, która zmaciła mu spokój. Zszedł do paradnej sali, wybiegł na dziedziniec i ruszył do przybudówki, gdzie leżał ranny. Z daleka usłyszał natarczywy głos Mamaeth i gniewne odpowiedzi mężczyzny. Najpewniej znowu strofowała pacjenta. Im bliżej podchodził Emryss, tym wyraźniejsze stawały się odgłosy kłótni. Nagle drzwi stanęły otworem.

- Niech ci będzie! Teraz na pewno wda się zakażenie! - burczała Mamaeth, przebiegając obok niego. - Ale głupi ci mężczyźni!

Gdyby nie był tak zaabsorbowany swoimi sprawami, pewnie wybuchnąłby śmiechem. Zdecydowanym krokiem wszedł do środka i przyglądał się Jacques'owi, który siedział na łóżku.

- Jak się czujesz, przyjacielu? - zagadnął serdecznie.

- Całkiem nieźle, mimo że tamta megiera zmusza mnie do picia swoich diabelskich wywarów! *Mon Dieu!* Toż to obraza dla mego podniebienia! - Jacques przekrzywił głowę i zerknął na Emryssa. - A dostojna pani Roanna? Co z nią?

- Wszystko w porządku. Zdaniem Mamaeth jest tylko bardzo zmęczona. - Emryss usiadł na zydlu stojącym obok łóżka. - Na imię ci Jacques, prawda? - Mężczyzna skinął głową. - Jak doszło do tego, że znaleźliście się w opałach?

- Moja pani tego nie wyjaśniła?

- Powiedziała mi tylko, że nie zgodziła się, by Cynrik DeLanyea ją poślubił, i dlatego stryj zamknął ją w wieży, a ty pomogłeś jej uciec.

- Tak było, panie.

- Nie masz nic do dodania?

- Skoro dostojna pani Roanna nie uznała za stosowne powiedzieć nic więcej, poprzestańmy na jej wyjaśnieniach.

Emryss powtarzał sobie, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, bo tamci dwoje nie wiedzą, czy można mu ufać, lecz mimo to Jacques sprawił mu przykrość tą odmową.

- Co zamierzała dalej robić? Ma rodzinę, do której może się udać?

- Nikogo prócz stryja. To pewna wiadomość.

- A on jej nie pomoże?

Pełne oburzenia prychnięcie Jacquesa'a starczyło mu za odpowiedź.

- On nie dba o swoją nieszczęsną bratanicę. - Pochylił się i dodał szeptem: - Traktuje ją gorzej niż służącą, a na co dzień nie raczy nawet zauważyć.

- Czy jest inny mężczyzna, za którego chętnie... - Serce Emryssa kołatało niespokojnie, gdy czekał na odpowiedź, a chytry uśmieszek Jacques'a przyprawił go o trudności w oddychaniu.

- Nie, dostojny panie, choć moim zdaniem każdy mężczyzna powinien czuć się zaszczycony, gdyby go wybrała.

- Dokąd zmierzaliście? - Emryss postanowił zmienić temat.

- Na południe. Dostojna pani Roanna nie chciała dłużej być zdana na łaskę i niełaskę bogatego stryja. Jest dumna jak przystało na pannę z rycerskiego rodu, ale ma też zdrowy rozsądek. Pięknie szyje, więc postanowiła zarabiać na utrzymanie.

- Rozumiem. - Emryss przyjrzał się rannemu i zobaczył cienie pod oczyma, więc uznał, że pora skończyć tę rozmowę. Gdy wstał, Jacques chwycił go za rękaw.

- Panie mój, ona nie poprosi o pomoc, więc ja to zrobię. Pozwól nam tu zostać przez jakiś czas. Ostatnie przeżycia bardzo ją przygnębiły, lecz sama przed sobą nie chce tego przyznać.

- Możecie zostać.

Jacques westchnął i puścił jego ramię.

- Trzeba ją teraz do tego przekonać.

- Ty spróbuj tego dokonać. Myślisz, że cię nie posłucha?

- Nie znasz jej, panie. - Jacques w zadumie pokręcił głową.

- To kobieta mądra, a zarazem uparta, jak one wszystkie. Nie mogę jej niczego nakazać. - Gdy Emryss spojrział z jawnym niedowierzaniem, Jacques dodał: - Sama wie, co robić. - Opadł na poduszki i przymknął powieki. - Już w dzieciństwie taka była. - Znowu otworzył oczy. - Gdy straciła rodziców, a stryj nie przysłał po nią na czas, piechotą wyruszyła do jego posiadłości, bo uznała, że tak będzie najlepiej. Trzeba ci wiedzieć, panie, że miała wtedy zaledwie dziewięć lat. - Powieki bardzo mu ciążyły. - Jak coś postanowi, tak ma być i koniec.

- W kwestii małżeństwa zmieniła zdanie.

Jacques znowu spojrział na niego i odparł stanowczym tonem:

- Nie, dostojny panie, wciąż nie rozumiesz, co chcę powiedzieć. Zamierzała poślubić tego... Stryj zastępujący jej ojca zawarł niekorzystną umowę, ale uznała za swój obowiązek jej dotrzymać. Przyjęłaby bez szemrania wszelkie warunki, gdyby nie to, że została oszukana. Ciekawym, kto jej o tym wspomniał? Nie wiesz, panie?

- Dziękuję, że tyle mi o niej powiedziałaś. - Emryss uważnie przyglądał się Jacques'owi.

- Rozmawiam z tobą, panie, bo wiem, że możemy ci zaufać.

Emryss kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł na dziedziniec. Z murów zamku ktoś zawołał go po imieniu, więc podniósł głowę.

- Drużynnicy wracają! - wrzeszczał na cały głos jeden z murarzy.

Emryss pobiegł ku bramie. Miał nadzieję, że Gwilymowi i pozostałym udało się schwytać zuchwalców grasujących na jego ziemi. Jako pan tych włości miał prawo ich teraz sądzić. Musi pamiętać, że jest odpowiedzialny za Craig Fawr i swoich dzierżawców. Dlatego gdy Roanna oraz jej towarzysz podróży odzyskają siły, będą musieli odjechać. To najlepsze wyjście. Przecież nie mógł tej dziewczynie dać tego, czego jej potrzeba.

Raynald Westercott jęknął cicho. Obrócił się w ciepłym łóżku, żeby nie widzieć słonecznych promieni wpadających przez odsłonięte okno. Cmoknął parę razy suchymi wargami i poczuł nieprzyjemny smak w ustach. Wino było pyszne, ale teraz musiał zapłacić za wczorajsze przyjemności.

Usłyszał cichy syk płonących polan i otworzył oczy. W kominku migotał niewielki, jasny ogienek. W środku lata? Cóż za rozrzutność! Szkoda drewna, pomyślał, otulony zbyt kowanną kołdrą. Wyciągnął się na kosztownym puchowym piernacie. Ładna jasnowłosa służąca z wydatnym biustem nieśmiało uchyliła drzwi.

- Co? - rzucił Westercott. Uśmiechnęła się przymilnie, ale nie zwracał uwagi na jej umizgi.

- Dzień dobry, dostojny panie - powiedziała. - Potrzeba czegoś?

- Precz! - burknął. - Czekaj! - krzyknął, nim zamknęła za

sobą drzwi. Gdy wsunęła głowę do komnaty, dodał żałośnie: - Niech mi przyniosą bulion mego kucharza. On będzie wiedział, co mam na myśli.

Kiwnęła głową i odeszła, a Westercott opadł bezwładnie na posłanie. Okropnie dokuczała mu głowa: tępy, pulsujący ból. Gdzie się włóczy ta czarownica, pomyślał kilka minut później, bo się nie zjawiła. Wieczne kłopoty ze służbą! Banda żalosnych oszustów, którzy nieustannie człowieka okradają... Usłyszał znowu pukanie do drzwi.

- Nareszcie! - jęknął i usiadł na łóżku, podciągając pod brodę futrzaną narzutę. W drzwiach stanął Cynrik DeLanyea.

- Dzień dobry, dostojny panie. - Jego obraźliwy ton był nie do zniesienia, ale Westercott czuł, że głowa mu pęka, więc nie przejmował się takimi głupstwami. Cynrik perorował dalej: - Niestety, poranek zapowiada się nie najlepiej, bo wygląda na to, że moja urocza narzeczona postanowiła uciec z kucharzem.

- Co? - Westercott usiadł wyprostowany i ból przeszył mu skronie.

- Pani Roanna, bratanica waszej dostojności znikła. Po twoim kucharzu, panie, także nie ma śladu. Muszę wyznać, że dla przyszłego męża to żadna przyjemność, jeśli oblubienica porzuca go dla podstarzałego sługusa ze sporą nadwagą, ale nie chcę ukrywać prawdy.

- Skręć jej kark - mamrotał Westercott, podnosząc się z wygrzanego łóżka. Cynrik rozparł się wygodnie na krześle.

- Uważasz, panie, że warto zadawać sobie tyle trudu? - zapytał. Westercott zakładający futrzane okrycie, na te słowa zniechęcony machnął w pół gestu, a Cynrik dodał: - Zastanawiam się, panie, czy nie unieważnić naszej umowy. Dziewczyzna najwyraźniej ma inne zamiary.

- Młody człowieku, twój ojciec i ja podpisaliśmy zobowiązanie - odparł z godnością Westercott. - Nie ma mowy o unieważnieniu.

- Gotów byłbym puścić w niepamięć to upokorzenie, gdyby posag był większy. Proponowana suma... - Cynrik podszedł do otwartej skrzyni z ubraniami stryja Roanny i przesunął dłonią po leżącej na samym wierzchu aksamitnej tunice.

- Zgoda. - Westercott zmrużył oczy. - Zapłacę...

- Ile?

- Dam dwadzieścia sztuk bydła.

- Wolę złoto.

- Pięćdziesiąt sztuk.

- Dwieście - odparł Cynrik.

- Co? Tyś oszalał! Nie mam takiej kwoty! - Westercott podszedł do skrzyni i z hukiem zatrzaskał wieko.

- Sto siedemdziesiąt pięć.

- Sto.

- Niech będzie. - Cynrik uśmiechnął się drwiąco. - Sto sztuk złota i dwadzieścia sztuk bydła.

- Chwileczkę, hardy smarkaczu! Bydła nie dostaniesz!

- W takim razie zrywam umowę. Przy odrobinie szczęścia znajdziesz innego kandydata na męża dla tej chudej jędzy. - Cynrik odwrócił się i ruszył ku drzwiom. - Jeśli zechcesz ją umieścić w klasztorze, pamiętaj, że siostrzyczki każą sobie słono płacić za utrzymanie damy. Takie rezydentki dożywają często sędziwego wieku.

- Poczekaj - rzucił Westercott, a Cynrik podszedł bliżej i stanął z nim twarzą w twarz. - To bardzo trudne warunki, DeLanyea, ale sam powiedziałaś, że dziewczyna zepsuła sobie reputację, więc dam ci wszystko, czego żądasz. - Cynrik skinął

głową i zamierzał wyjść, ale Westercott chwycił go za rękaw. Wystarczyło jedno spojrzenie zimnych, niebieskich oczu, żeby cofnął dłoń. - Rzecz jasna, jestem ci wdzięczny, że postanowiłaś nie zważać na wybryki mojej bratanicy - dodał z ociąganiem. - Jestem przekonany, że nie uchybiła własnej czci. Mówiono mi, że ten kucharz szanuje ją i wielbi jak córkę.

- Oczywiście wierzę ci na słowo, dostojny panie - odparł Cynrik z chytrym uśmiechem. - Może to z głodu w głowie jej się pomieszało? Tak, mamy przyczynę. Na pewno zrozumiała już swój błąd. Kiedy zostanie odnaleziona, z radością się z nią i połączę. Taka jest prawda, mój panie. Każdy mężczyzna śni i o małżonce tak bardzo mu oddanej. >

- Dlaczego tak ci zależy na ślubie z moją bratanicą? - Westercott z niedowierzaniem popatrzył na przystojnego młodziana, który strzepnął niewidoczny pył z rękawa.

- Moje powody nie powinny cię obchodzić.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W zapadającym zmierzchu Cynrik rozejrzał się po sporej polanie. Koń niespokojnie tańczył w miejscu, jakby lękał się, że lada chwila spomiędzy drzew wyskoczy banda wyjących dziko Walijczyków. Najemni żołnierze mieli chyba podobne odczucia. Cynrik ściągnął wodze i wierzchowiec natychmiast się uspokoił. Po lewej stronie rósł dąb, rozszczepiony przed laty uderzeniem pioruna i pochylony niebezpiecznie nad kamienistym gruntem, a z lewej było skalne usypisko; sterczące odłamki przypominały palce sięgające do zwieszonych nisko cienkich gałęzi. Cynrikowi spodobało się to miejsce.

- Czekaście tu - powiedział do Fitzroya, który skinął głową i dołączył do pozostałych wojów. Cynrik uśmiechnął się, zsiadając z konia. Urien Fitzroy był cennym nabytkiem, choć nie potrafił całkiem się podporządkować.

Cynrik przeskoczył wąski strumień i zniknął w gęstych zaroślach na drugim brzegu. Szedł pochylony, żeby nie zaczepić głową o najniższe gałęzie. Odnalazł ledwie widoczną ścieżkę i zaczął się wspinać po zalesionym stoku, omijając kręty strumyk, który wypływał spod skał. W połowie drogi zobaczył dwa kamienie i sporą kępę ciernistych krzewów. Gdy przedzierał się przez zarośla, kolce szarpały mu tunikę. Półgłosem zaklął szpetnie i wszedł do niewielkiej pieczary. W jej wilgotnym i zimnym wnętrzu błysnęły srebrzyście ostrza sztyletów.

- Schowajcie broń - burknął do mężczyzn, którzy zbili się w gromadę. Zaniedbani i brudni siedzieli w kucki i uśmiechali się szyderczo, ale usłuchali rozkazu.

- Witaj, panie. To ci niespodzianka! - zawołał herszt bandy z udawaną wesołością. Miał zepsute zęby i cuchnęło mu z ust. Cynrik powstrzymał odruch obrzydzenia i usiadł na ziemi, a mężczyzna zapytał: - Sługi uniżone waszej wielmożności. Jest robota?

Sposób mówienia herszta bandy zdradzał niskie pochodzenie. Cynrik gardził tym prostakiem, ale ci zbroje byli mu teraz potrzebni. Chętnie robili wszystko, co nakazał, byle tylko dobrze płacił.

- Szukam dziewczyny.

- Znowu, panie? Mało ich było? - mruknął herszt z drwiącym uśmiechem.

- Ta jest wyjątkowa.

- Dużo umie, co?

Cynrik błyskawicznie wyciągnął sztylet i przyłożył go hersztowi do gardła.

- Posłuchaj, łotrze. Masz odnaleźć ciemnowłosą, szczupłą dziewczynę, która podróżuje wozem w towarzystwie kłótliwego grubasa. Przyprowadź ją do mnie nietkniętą. Rozumiesz?

- A jakże, panie! - Gdy Cynrik schował sztylet, odsunął się nieco i dodał: - Czarnowłosa, tak? Jest z nią grubas... - Oczy zabłyły mu jak u drapieżnika.

- Tak. Coś o nich wiesz?

- Może tak, panie, a może nie.

Cynrik sięgnął do sakiewki zawieszanej u pasa i wyjął kilka monet. Rzucił pieniądze w głąb jaskini, a mężczyźni zebrali je pospiesznie. Tylko herszt siedział bez ruchu.

- Gadaj - rozkazał Cynrik.

- Widzieliśmy takich dwoje. Wpadli nam w ręce, można tak powiedzieć - tłumaczył zbójca, a Cynrik tylko zmrużył oczy i słuchał bez słowa. - Chcieliśmy się zabawić, ale nam tamci przeszkodzili. - Herszt sięgnął po wino. - Jak człek gada, to mu w gardle zasycha. Taka prawda, dostojny panie. Może łyeczek?

Zniecierpliwiony Cynrik obserwował mężczyznę zachłannie żłopiącego wino.

- Nie jestem spragniony. Mów dalej! Kto wam przeszkodził?

- Ci z Craig Fawr. - Herszt zdziwił się, gdy wielmoża wstrzymał oddech. Skoro sprawa jest tak ważna, trzeba żądać wyższej zapłaty. Do tej pory wysoko urodzony mocodawca wydawał im rozkazy z kamienną twarzą, jakby tyle w nim było życia, co w skałach broniących dostępu do pieczary. Po chwili namysłu zbójca dodał: - To byli prawdziwi wojacy. Rzucili się na nas w pięćdziesięciu. A może ich była sześćdziesiątka? Kto by zliczył! Przyjechał z nimi jakiś nowy. Dobrze walczył, choć ślepy na jedno oko, ale szybko zniknął.

- A co z dziewczyną?

- Nie wiem, panie. Nie zwracałem sobie nią głowy. Wiadomo, jak to jest. Zwiąłem do naszej pieczary. Ledwie umknęliśmy! Niewiele brakowało, żebyśmy wpadli w ich łapy.

Cynrik znów sięgnął do sakiewki i wyjął złotą monetę, a hersztowi oczy zalśniły.

- Dostaniesz więcej, jak się dobrze sprawisz. - Cynrik rzucał mu złoty pieniądz.

- A co z naszą robotą, panie?

- Możesz zbójować do woli na ziemi Emryssa, ale nie waz się grasować w moich włościach. Masz znaleźć tę dziewczynę.

- Postaramy się, łaskawy panie. Liczymy na hojną zapłatę. Gdybyśmy na nich trafili, co będzie z grubasem?

- Zabijcie go.

Gwilym stał obok Emryssa w sali paradnej. Wokół nich kręciła się służba popędzana przez Mamaeth jak zwykle pilnującej, żeby szybko i sprawnie wniesiono chleb, dzbany i misy. Emryss potarł dłonią piekącą bliznę na skroni. Mimo woli zacisnął zęby, myśląc o zbójcach, którzy napadli Roannę i jej serdecznego przyjaciela. Nie mógł odżałować, że zdołali uciec. Jego ludzie daremnie przetrząsali las, aż zrobiło się ciemno. Wrócili do zamku dopiero po zmierzchu.

Gwilym próbował chwycić ukradkiem kromkę chleba, ale czujna Mamaeth przechodząca obok z pękiem nowiutkich świec, trzepnęła go po ręku.

- Mówisz, że postanowiła uciec?

- Dobry pomysł, prawda? - Emryss niecierpliwie bębnił palcami po stole wygładzonym dłońmi niezliczonych biesiadników. - Próbowali ją zmusić do ślubu z Cynrikiem. Tu jej będzie lepiej.

- Pamiętaj, że wkrótce odjedzie.

- Owszem, za jakiś czas. - Dłoń Emryssa znieruchomiła na moment, a potem zwinęła się w pięść. Rozmawiał przyciszonym głosem, bo wokół zebrało się już mnóstwo domowników, którzy plotkowali i wybuchali śmiechem, czekając na wieczorny posiłek. - Cynrik zarzucił jej kłamstwo, gdy powiedziała, że mój nie zniewolił.

- Chętnie udusiłbym drania! - zdenerwował się Gwilym.

- Musiałbyś walczyć ze mną o pierwszeństwo - odparł cicho Emryss.

W tej samej chwili na progu stanęła Roanna.

Nowa suknia leżała na szczupłej sylwetce jak ulał. Rozmarzony pomyślał, że niedawno widział ją prawie naga. Starannie uczesane włosy otaczały głowę niczym ciemny obłok. Popatrzył na jej twarz i odruchowo zajrzał w łagodne, zielone oczy. Trzeba pamiętać, że wkrótce się pożegnają.

Roanna zamruła powiekami, gdy weszła do sali oświetlonej mnóstwem świec. Były w dobrym gatunku; nie to co liche łożówki, dla niskiej ceny szczególnie lubiane przez stryja. Na widok dziewczyny rozmowy i śmiechy nagle przycichły. Stała w drzwiach, niepewna, gdzie ma usiąść. Była tu intruzem, a nie mile widzianym gościem, przyjaciółką domu albo... mniejsza z tym. Broniąc się przed złymi myślami, utkwiała wzrok w podłodze i czekała.

Wydało jej się nagle, że zebrani westchnęli jednocześnie, więc spojrzała spod rzęs. Emryss szedł ku niej z poważną miną. Wstrzymała oddech, gdy podał jej ramię. Przyjęła je z ociąganiem i pozwoliła się prowadzić. Dał jej do zrozumienia, że ma zająć miejsce przeznaczone dla honorowych gości - tuż obok niego, po prawej stronie. Zachowywał się tak, jakby to było oczywiste i nie budziło najmniejszych wątpliwości.

Rozejrzała się ukradkiem, ale żaden z biesiadników nie miał zdziwionej miny. Mężczyzna o przyjemnie zaokrąglonej, uśmiechniętej twarzy, stojący przy sąsiednim stole z aprobatą pokiwał głową. Nie sprzeciwiła się temu zaszczytowi Mamaeth, która stanęła przy końcu stołu, by sprawdzić, czy wieczerza została przygotowana jak należy.

W wypełnionej domownikami sali paradnej nikt nie był zdziwiony czy urażony postanowieniem Emryssa, chociaż wszyscy przyglądali się Roannie z jawną ciekawością. Zapewne tak sza-

nowali swego pana, że każda podjęta przez niego decyzja uchodziła za słuszną. Roanna wiedziała jednak, że nie zasługuje na takie uprzejmości. Któż lepiej niż ona sama wiedział, w jak trudnej znalazła się sytuacji.

Gdy Emryss usiadł, goście w milczeniu zajęli swoje miejsca. Roanna przyglądała się biesiadnikom i zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, by kilka nędznych poletek, które minęła w drodze do Craig Fawr mogło wykarmić taką gromadę. A może największym bogactwem tych włości są wypasane na halach stada owiec? Wiele jest źródeł dostatku.

Daremnie wyciągała szyję, szukając wzrokiem duchownego, który przed wieczerzą odmówi modlitwę. Domownicy zajęli miejsca, wino lało się do kielichów, a z kuchni dochodziły przyjemne zapachy, lecz nikt się nie kwapił, by podziękować Bogu za te dary. Biesiadnicy łamali chleb i rozmawiali z coraz większą ochotą.

- Wybacz, panie - powiedziała cicho, ogarnięta zdumieniem i zgrozą, bo zaczęli posiłek bez modlitwy. - Kto wypowie dziękczynienie i błogosławieństwo? - Po raz pierwszy od wejścia do sali odważyła się spojrzeć na Emryssa. Nagle uświadomiła sobie, że skoro brak mu prawego oka, będzie musiał odwrócić się całym ciałem, żeby na nią popatrzeć. Była zdziwiona, gdy utkwiał wzrok w swoim pucharze, który Bronwyn napełniła winem.

- W moim domu nie ma miejsca dla klech. Dość się na nich napatrzyłem się, kiedy przebywałem w Ziemi Świętej.

Roanna była wstrząśnięta, ale starała się tego nie okazywać. Ona również spoglądała w głąb swojego kielicha. Nawet stryj trzymał w swych włościach starego księdza, a baron wydał podobno dużą sumę na budowę klasztoru w Beaufort, chociaż nie

można wykluczyć, że to jedynie przechwałki Cynrika. Kościół był zbyt potężny, by okazywać mu lekceważenie, a dla spokoju ducha dzierzawców należało mieć na stałe księdza. Niestety, Emryss kategorycznym tonem uciął dyskusję na ten temat.

Roanna poczuła w nozdrzach przyjemną woń świeżego chleba. Uświadomiła sobie, że od wielu godzin nie miała nic w ustach. Stojące przed nią potrawy jadano zazwyczaj podczas wystawnych uczt, a nie w trakcie codziennej wieczerzy. Licząc na miłosierdzie Boże, przeżegnała się ukradkiem, zmówiła krótką modlitwę i zabrała się do jedzenia.

Gdy zaspokoiła pierwszy głód, zaczęła obserwować domowników zgromadzonych w holu. Przysłuchiwała się rozmowom i wykorzystując swą wrodzoną intuicję, próbowała uchwycić ich ton, chociaż nie znała języka. Poznawała żywą mimikę poddanych Emryssa; jedni cieszyli się jak dzieci, inni unosili w uśmiechu kąciki ust, ale radość nie sięgała ich oczu; rubaszna życzliwość niektórych okazała się wymuszona; ktoś boczył się na sąsiadów, widziało się przyjaciół i wrogów.

Emryssa nie umiała rozszyfrować, mimo że siedział tak blisko... a może właśnie dlatego. Obserwowała jego szczupłe palce spoczywające na stole obok jej dłoni. Patrzyła, jak usta dotykają brzegu kielicha. Widziała pierś, która wznosiła się i opadała w rytm oddechu. Wokół niego unosiła się niska woń skóry, której nie stłumiły nawet zapachy doskonałych potraw.

Ach, jakże pyszne były owe dania. Roanna dziwiła się ich różnorodności i znakomitemu smakowi. Na pański stół podano biały chleb równie dobry jak pieczywo Jacques'a. Nawet siedząca na szarym końcu służba raczyła się chlebem lepszym niż podawany w większości rycerskich domów.

Roanna bez pośpiechu skubała kolejną kromkę, zerkając

ukradkiem na Emryssa. Chyba za dużo czasu spędziła w domu skąpca i dlatego zapomniała o hojności właściwej szlachetnie urodzonym. Gdy podawano kolejne potrawy, niemal wszyscy biesiadnicy radowali się tak szczerze, że w końcu przestała ich oceniać i z przyjemnością skosztowała smacznych dań.

Na pański stół wniesiono rozmaite mięsiwa, a ich różnorodność mogła przyprawić o zawrót głowy: baranina, wieprzowina, kurczęta, wołowina; każdy gatunek w sosie własnym. Roannie bardzo smakowały kulki z masy jajecznej i chlebowych okruszków, pływające w pysznym rosolu. Na deser podano owoce, a chleba przez całą wieczność było pod dostatkiem. Piwo i wino lało się strumieniami, lecz Roanna uważała, żeby nie przebrać miary, choć pokusa była silna. I tak wpatrywała się jak urzeczona w przystojnego dobroczyńcę. Gdyby wypita jeszcze trochę tego znakomitego wina, mogłaby zapomnieć o zasadach.

Popatrzyła na dziewczęta usługujące biesiadnikom i nie uszło jej uwagi, że Bronwyn, przyciskająca do bujnych piersi dzban z winem, zwleka dłużej niż potrzeba, ilekroć podchodzi do pańskiego stołu. Roanna zmarszczyła brwi i posmutniała, bo nie miała wątpliwości, że służebna jest od niej ładniejsza i ma lepszą figurę. Obserwowała ją ukradkiem, gdy tamta podeszła, żeby napełnić kielichy.

Bronwyn minęła Roannę i ledwie spojrzała na Emryssa. To nad pucharem Gwilyma pochylała się dłużej niż trzeba, lejąc wino kropla po kropli. Roanna zdumiała się, kiedy pojęła, jak wielką odczuwa teraz ulgę. Po kilku chwilach zaczęła współczuć miłej służącej zauroczonej Gwilymem, który w ogóle nie zwracał na nią uwagi, choć stale się przy nim kręciła. Zatopiony w rozmowie z Emryssem ani razu nie podniósł wzroku na

śliczną pannę tak bardzo w nim rozkochaną. Gdyby nagle znikła z sali biesiadnej, wcale by tego nie spostrzegł.

- Nalej mi wina, bardzo proszę - powiedziała w końcu Roanna, bo żal jej się zrobiło dziewczyny wpatrzonych w ukochanego i jawnie zaniedbywanej.

Emryss starał się nie patrzeć na Roannę, a jednocześnie zastanawiał się mimo woli, kiedy znowu usłyszy jej głos. Odezwała się jedynie po to, żeby poprosić o wino. Był trochę rozczarowany, bo więcej uwagi poświęcała kolejnym potrawom niż jemu. Jadła z takim apetytem, jakby wcześniej była głodzona. Zważywszy, ile ostatnio przecierpiała, taka właśnie mogła być prawda.

Wmawiał sobie, że nie ma powodu, aby ta szlachetnie urodzona panna się nim interesowała. Z drugiej strony dawniej dziewczęta spierały się o to, która należy mu wina. Był wówczas młody i głupi, więc zakładał, że tak już pozostanie, a dziś wychodzi na to, iż bochenek chleba stał mu się rywalem. Ta myśl bardzo go przygnębiła, chociaż powinien już do tego przywyknąć. Odwrócił głowę, żeby nie widzieć smukłej dłoni, którą Roanna sięgnęła po jabłko. Bawił się kieliszkiem, słuchając z roztargnieniem rozwlekłej opowieści Gwilyma o skradzionych owcach, które złodziej jakoby pożyczył.

- Emryss! - zirytował się w końcu młodszy mężczyzna, a gdy spojrzeli na siebie, dodał zniecierpliwiony. - Nie przechylaj kielicha, bo mnie to denerwuje. Przestań się nim bawić, tylko pij jak należy!

Emryss posłusznie uniósł puchar, zdobywając się na wymuszony uśmiech. Drugą ręką niechcący musnął rękaw sukni i odsunął się natychmiast, jakby podejrzewał, że Roanna go spoliczkuje. Trochę wina wylało się na stół. Na szczęście Gwilym

pił z kielicha drobnymi łykami, więc Emryss uniknął kaśliwej uwagi.

- Ci zbóje dobrze znają okolicę - rzucił nagle. Musiał zająć się ważnymi sprawami, żeby nie myśleć o siedzącej obok dziewczynie.

- Racja! Zapadli się przecież jak kamień w wodę, chociaż mieliśmy ze sobą najlepszych tropicieli. Aż trudno w to uwierzyć.

- Ktoś im pomaga? - Emryss niechętnie wspomniął o takiej ewentualności, ale musiał wziąć ją pod uwagę.

- Nie sędzę, skoro napadają wszystkich bez różnicy. Jest im obojętne, czy rabują Walijczyków, czy obcych. Jestem pewny, że nasi z nimi nie trzymają, ale... - zrobił dramatyczną pauzę - ci dwaj z Beaufort? I owszem.

- Twoim zdaniem byliby do tego zdolni?

- Myślę, że gotowi są na wszystko, byle postawić na swoim. Ty uważasz, że dbają o swój honor, ale mnie się widzi, że dawno o nim zapomnieli.

- Dobry Boże, wiedziałem, że Cynrik jest nikczemnikiem, ale łudziłem się, że ma pewne zasady - rzekł Emryss z ciężkim westchnieniem.

- Dawno się ich wyrzekł, *brawdmaeth*.

Emryss odchylił głowę na oparcie krzesła i zaklął po walijsku.

- Co mówiłeś, panie?

Wyprostował się natychmiast i spojrzał na zakłopotaną Roannę, która wpatrywała się w niego, marszcząc brwi.

- Nic ważnego. - Zerknął na jej pusty talerz. - Widzę, że smakują ci nasze potrawy.

- Wieczera była wyborna. - Zarumieniła się lekko i spu-

ściła wzrok. Tak pragnął spojrzeć znowu w te śliczne, zielone oczy. - Jacques oddałby dziesięć lat życia, aby pracować w tak zasobnej kuchni.

Emryss z trudem opanował pokusę, żeby dotknąć jej policzka.

- Brak modlitwy by mu nie przeszkodził? - zapytał.

- Godzi się podziękować Bogu za taką obfitość - odparła, rzucając mu karcące spojrzenie, ale ucieszył się, bo znowu na niego patrzyła. Chciał wyjaśnić, że w jego domu nie ma miejsca na księżowską obłudę, ale ugryzł się w język.

Rozmowę przerwał im donośny głos Rhysa, który z uśmiechem na rozanielonej, okrągłej twarzy krzyczał po walijsku. Biesiadnicy podchwycili wołanie i po chwili skandowali zgodnie, uderzając o stół i tupiąc w kamienną podłogę. Hałas był ogłuszający.

- Emryss! Emryss!

Roanna patrzyła na nich, nie rozumując, o co chodzi. Emryss uniół rękę, dał znak, żeby się uciszyli, i powiedział kilka słów. Odpowiedzią był radosny wrzask zgromadzonych, więc skłonił się lekko, dziękując za aplauz. Wstał z krzesła, duszkiem wypił resztę wina i podszedł do paleniska, obok którego stała w kącie mała harfa. Domownicy nawoływali po walijsku, gdy brał ją do rąk.

Roanna nie wierzyła własnym oczom! Pan zamku usiadł na niskim zydlu i wzięął kilka akordów, delikatnie pieszcząc struny niczym kochankę, zbyt nieśmiała, by odważyła się przemówić, a potem zaśpiewał ciepłym, łagodnym basem.

Od razu poddała się urokowi muzyki i głosu, spokojnego, lecz obdarzonego mocą wzbudzania osobliwej tęsknoty i wnikania do najpilniej strzeżonych zakamarków serca i duszy. Nic

to, że nie pojmowała walijskich słów pieśni, która wabiła i odpychała, domagając się zrozumienia dla subtelnych uczuć. Roanna była pewna, że wie, czego dotyczy ta opowieść. Na Boga żywego, Emryss śpiewał przecież ojej samotności i duchowych rozterkach!

Echo ostatnich nut zabrzmiało wśród kamiennych ścian. Na chwilę zapanowała cisza, a potem rozległy się brawa i okrzyki podziwu. Emryss skłonił głowę, przywołał Mamaeth i zagrał skoczną melodię. Harfa tańczyła w jego rękach jak żywa. Ochmistrzyni, radosna jak mała dziewczynka, śpiewała wysokim, dźwięcznym, modulowanym głosem, gestykulując żywo i robiąc zabawne miny. Piosenka z pewnością była rubaszna, a roześmiani biesiadnicy natychmiast podchwycili refren. Roanna popatrzyła na wesołe twarze. Ci ludzie mieli swoje miejsce na ziemi. Jedyńm intruzem była ona - normańska dziewczyna, która powinna jak najszybciej stąd odejść. Stłumiła szloch, gdy usłyszała męski głos.

- Śliczna była tamta pieśń, zgodzisz się, pani? Nasz Emryss to prawdziwy *bastynwr*... znaczy trubadur! - powiedział Gwilym bełkotliwie. Chwiał się nieco na krześle.

- Pięknie śpiewa - odparła. Zrobiło jej się wstyd, bo omal nie wybuchnęła płaczem, słuchając pieśni.

- Trzeba ci wiedzieć, pani, że sam ją ułożył. - Gwilym zachichotał. - Gdybyż mógł walczyć, tak jak gra!

- Przepraszam, muszę odetchnąć świeżym powietrzem - odparła cicho, podnosząc się z krzesła. Szybkim krokiem opuściła salę biesiadną i stanęła na spokojnym dziedzińcu. Była cicha letnia noc. Na bezchmurnym niebie świecił księżyc i migotały wesoło gwiazdy, jej wypróbowane przyjaciółki. Stroma kamienna pochylnia wiodła prosto na mury. Roanna uniosła spód-

nicę i wspięła się po niej, żeby popatrzeć na leżącą w dole wioskę. Wzięła kilka głębokich oddechów i wkrótce odzyskała spokój. Z paradnej sali dobiegał stłumiony śpiew, ale można było sobie wyobrazić, że to zjawy nucą swoje piosenki, a ona jest tu jedyną żywą istotą. W dole rozciągały się pola i łąki podobne do morza, które zastygło w bezruchu.

- Nic ci nie jest, mam nadzieję.

Nie słyszała kroków Emryssa. Gdy poczuła, że stoi obok niej, ogarnęła ją dziwna błogość. Odwróciła się, żeby na niego popatrzeć. Księżycowy blask oświetlał mu twarz, a czarna opaska na oku wyglądała jak plama głębokiego cienia.

- Chciałam odetchnąć wieczornym powietrzem.

Kiwnął głową i popatrzył na swoje włości.

- Pięknie tu, prawda?

- Tak.

- Na Boga, jakże tęskniłem za tym widokiem.

- Długo cię nie było? - Poczła nagle, że nie będzie jej miał za złe tego pytania, bo są teraz sami i nikt ich nie słyszy.

- Jedenaście lat. - Znowu odwrócił się ku niej. Na jego twarzy nie było śladu rozżalenia. - Musisz wiedzieć, że mnie zostawili. W Akce, po chwalebny zwycięstwie króla Ryszarda. - Jego mina i ton pozwalały zgadnąć, co sądzi o bitewnej chwale. Uśmiechnął się do Roanny i podjął opowieść. - Pewnie uznali, że poległem. Na szczęście gdy próbowałem się wyczołgać z pola bitwy, znalazł mnie Abram i opatrzył rany. Dużo czasu minęło, nim zacząłem chodzić. Król Ryszard dawno odpłynął.

- Nie mogłeś poprosić o pomoc?

- Po tym jak Ryszard postąpił z muzułmańską załogą Akki, nawet dla Abrama moja obecność stanowiła ogromne zagrożenie.

- Co się wtedy stało? - zapytała cicho. Nie mieściło jej się w głowie, że Emryssomal nie umarł. Słabość i bezradność nie leżały w jego naturze.

- Król Ryszard kazał związać jeńców i wyprowadzić za miasto. Zostali tam zaszlachtowani niczym zwierzęta. - Emryss zacisnęła powiekę i zmarszczył brwi, jakby odczuwał ból. Można by pomyśleć, że nadal słyszy krzyki umierających. - Po tej rzezi dla Saladyna życie krzyżowca nie było warte złamanego grosza. - Potrząsnął głową. - Ryszard doskonale sobie radził na polu bitwy, ale popełniał też niewybaczalne błędy! - Emryss próbował się uśmiechnąć, ale Roanna wiedziała, że tamte wspomnienia nadal są dla niego bolesne. - Przyszło mi wracać do Walii bez pieniędzy, konia, bez zbroi i oręża.

- Jak sobie poradziłeś?

Przez chwilę miała wrażenie, że się zarumienił, ale doszła do wniosku, że zwiodła ją księżycowa poświata.

- Wróciłem do domu, zarabiając po drodze śpiewaniem - odparł. - Straciłem broń, więc nie mogłem zatrudnić się jako najemnik. Zresztą nie wiem, jak moja noga zniosłaby żołnierskie trudy - dodał ponuro. - Najważniejsze, że przeżyłem. Jacques wspomniał, że ty również odbyłaś przed laty niebezpieczną podróż. - Roanna odsunęła się, bo kiedy stał tak blisko, nie potrafiła trzeźwo myśleć. Milczał przez chwilę, ale nie dał za wygraną. - To prawda, co powiedział? Rzeczywiście dotarłaś piechotą do domu stryja?

- Tak. - Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

- Śmiałe posunięcie - odparł z uznaniem. Jego głos był łagodny i czuły jak zmysłowa pieszczota. Roanna cofnęła się o krok.

- Nie miałam innego wyjścia.

- Bałaś się? - spytał, znowu podchodząc bliżej. Odwróciła się do niego plecami, jakby chciała, żeby odszedł, choć zarazem modliła się w duchu, żeby tego nie robił.

- Byłam przerażona. - Uniosła głowę i popatrzyła w niebo. - Wmawiałam sobie, że każda z gwiazd to czuwający nade mną anioł stróż.

- Moim zdaniem, Roanno, twoja wędrówka była znacznie cięższą próbą. Ja przynajmniej miałem świadomość, że wracam do domu. - Emryss położył dłoń na jej ramieniu. Ustami niemal dotykał ciemnych włosów. Czuła na policzku jego oddech. Zebrała się na odwagę i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Mam nadzieję, że gdy stąd odejdziemy, znaję nareszcie własny dom.

- Jacques'owi nie wolno podróżować, dopóki nie wydobrzeje, a tymczasem...

Przeczuwała, że chce jej dotknąć, i zdawała sobie sprawę, że jeśli tak się stanie, sama zacznie go błagać, żeby ją tu zatrzymał.

- Musimy jak najszybciej wyjechać, ponieważ nasza obecność to dla ciebie poważne niebezpieczeństwo.

- Pozwól, że sam się z nim uporam, zgoda?

- Nie, ponieważ to ja stanowią zagrożenie. Przestań mnie traktować jak małą dziewczynkę, którą można pogłaskać po głowie i odesłać do dziecinnego pokoju. - Usta jej drżały, ale wiedziała, że się nie rozpłaczę. To jasne jak słońce, że się na niego rozgniewała.

- Przepraszam - odparł. - Wiem, że nie jesteś głupia.

- Owszem, mam swój rozum... podobnie jak ty, panie, lecz moim zdaniem popełniasz błąd, uznając Cynrika oraz jego ojca za kompletnych idiotów niezdolnych cię pokonać w uczciwej walce. Przyznaję, że gdyby doszło do bitwy, zapewne wyszedł-

byś z niej zwycięsko, ale... Wiele ci zawdzięczam, panie, dlatego racz mnie teraz wysłuchać. Czy zdajesz sobie sprawę, że twoi wrogowie starają się zyskać względy wpływowych dworaków? Tamci ludzie nie dbają już o dawnych towarzyszy broni króla Ryszarda Lwie Serce. Krajem rządzi król Jan, zwany Janem bez Ziemi, który bez wahania wykorzystuje swoją władzę, żeby zyskać ogromne korzyści.

- I cóż z tego? Jakie to ma dla mnie znaczenie, skoro nie chcę mieć nic wspólnego z normańskimi władcami?

- Baron nie wysłał przeciwko tobie uzbrojonych żołnierzy, tylko wykorzystał prawo oraz swoje wpływy. Cynrik chciał mnie poślubić, bo stryj ma przyjaciół, którzy wiele mogą uzyskać na królewskim dworze. Wiem, że baron zaprosił do klasztoru wzniesionego na swojej ziemi uczonych mnichów znających się na prawie. On i jego syn zagarną twoją ziemię, nie wyciągając miecza, jeśli władza i prawo będą po ich stronie.

Emryss pochylił głowę i przygryzł wargi.

- W jaki sposób z nimi walczyć? - spytał cicho, jakby mówił do siebie.

- Musisz nauczyć się praw albo znaleźć człowieka, który jest biegły w tej dziedzinie. - Wstrzymała oddech, gdy uniósł głowę i wpatrywał się w nią natarczywie.

- Znasz prawo, Roanno? - zapytał, ujmując jej dłonie.

- Nie - szepnęła. - Nawet czytać nie potrafię.

Przysunął się tak blisko, że poczuła jego ciepły oddech.

- Szkoda. Mógłbym wtedy poprosić, żebyś została i pomogła mi.

Gdy przebrzmiał łagodny szept, zachłannymi, a jednocześnie łagodnymi ustami czule musnął wargi Roanny. Zrobiło jej się ciepło na sercu, więc przyłgnęła do niego z całej siły, żeby

poczuć siłę potężnych mięśni i śmiało oddać pocałunek. Emryss otarł się o nią, jakby domagał się czegoś więcej, nie tracąc jednak cierpliwości. Niczego nie żądał, chociaż prosił o wszystko. Odruchowo dotknęła jego policzków. Może nadszedł kres jej samotności? Ale za jaką cenę? Emryss i jego poddani okupią jej szczęście własną krwią i cierpieniem. Ci ludzie są od niego zależni; to dla nich powinien być silny. Zresztą gdyby mu teraz uległa, straciłaby honor.

- Ja... nie mogę!

- Brzydzisz się mnie dotknąć?

Serce ścisnęło jej się z żalu, gdy usłyszała zdławiony głos i zobaczyła malujące się na jego twarzy cierpienie.

- Emryss, co ty mówisz! Na Boga, kocham cię, ale nie mogę być twoja. Nie wolno mi ulec!

Odwróciła się i zbiegła po kamiennej pochylni.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wielkie krople deszczu padały z ciemnego nieba, uderzając o ściany niczym kamyki. Roanna zsunęła się z ogromnego łoża i podeszła do okna. Obserwowała chmury, które chwilami zasłaniały błędne gwiazdy. Długo nie mogła zasnąć, a noc ciągnęła się w nieskończoność. Zapadła w niespokojny sen dopiero po kilku godzinach, ale nie wypoczęła, bo raz po raz się budziła. Rozmyślała o Emryssie, o uczuciu, które było jak wezbrana rzeka. Kochała go, nie powinna jednak ulegać pokusom. Jak mogła pozwolić, żeby ją pocałował!

Co on do niej czuje? Czy także mu na niej zależy? Jeśli tak, jaka czeka ich przyszłość? Biła się z myślami, ale nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na pytania. Długo stała przy oknie bosa, w cienkiej koszuli. Wzdrygnęła się, czując chłód.

Trzeba pójść na mszę. Nauki kapłana ukoją stroskaną duszę, a wtedy łatwiej będzie znaleźć wyjście z trudnej sytuacji.

Usłyszała niecierpliwe pukanie i do komnaty weszła Bronwyn z dzbankiem gorącej wody. Umieściła go na małym stoliku i dygnęła przed Roanna, łagodnym głosem życząc jej dobrego dnia.

- Gdzie będzie msza? - Roanna zerknęła na nią i zaczęła się ubierać. Włożyła suknię, którą nosiła wczoraj, bo innej nie miała.

- Słucham, pani?

- Chcę pójść na poranne nabożeństwo.

Bronwyn zrobiła się czerwona, gdy pochwyciła jej pytające spojrzenie.

- Pani... - zaczęła z wahaniem, a Roanna cierpliwie czekała na odpowiedź. - Pani, msza jest u nas tylko w niedzielę.

- Łamiecie post bez kapłańskiej dyspensy? - zapytała Roanna po chwili namysłu.

- Tak, pani - odparła cicho Bronwyn i znów spłonęła rumieńcem.

Wystarczyło rozważyć kilka faktów, aby pojąć, że Emryss De-Lanyea z sobie tylko wiadomych powodów ograniczył do niezbędnego minimum związku z kościołem. Nie powinien jednak odmawiać duchowej posługi okolicznym wieśniakom. Jemu wsparcie kapłana nie było potrzebne, ale Roanna dziś nie mogła się bez niego obyć. Uznała, że nie warto dalej wypytywać zakłopotanej służącej, nie zamierzała jednak rezygnować z mszy. Wkrótce opuściła komnatę, zdecydowana dopiąć swego.

Gdy szła do sali paradnej, usłyszała szcęk broni, więc przyspieszyła kroku. Wpadła do środka i ujrzała sporą grupę mężczyzn. Trzymali w rękach kufle z piwem i wznosili okrzyki, otaczając kręgiem dwu rycerzy, którzy walczyli pośrodku. Im bliżej podchodziła, tym wyraźniej słyszała metaliczny dźwięk uderzających o siebie mieczy i urywane oddechy przeciwników. Wspięła się na palce, starając się dojrzeć, kto walczy.

Emryss i Gwilym - obaj nadzy do pasa - krążyli czujnie na ugiętych nogach. Pusty oczodół na lśniącej od potu twarzy nie był dziś zasłonięty czarną opaską. Roanna wstrzymała oddech, widząc mnóstwo drobnych blizn na piersi Emryssa. Przecinała ją długa, czerwona szrama, biegnąca od lewego sutka aż do paska skórzanych spodni.

Ostrza ciężkich mieczy niemal dotykały kamiennej podłogi, ale wiedziała, że pozorna niedbałość chwytu jest zwodnicza, bo gdy nadejdzie odpowiednia chwila, silne palce w mgnieniu oka zacisną się na rękojeści i uniosą wysoko potężną broń. Okrzyki zachęty mieszały się z odgłosem ulewy bębniącej po dachu sali biesiadnej. Dwaj rycerze nie zważali na te hałasy, wsłuchani jedynie w swoje oddechy. Silne mięśnie prężyły się pod skórzanymi nogawkami, gdy krążyli wokół siebie, uginając kolana. Kropelki potu wystąpiły im na czoło i spływały po skroniach i policzkach. Nagle kierowani niewiadomym dla Roanny wyczuciem jednocześnie unieśli miecze. Światło błysnęło na srebrzystych klingach, a oni znów krążyli, patrząc sobie prosto w oczy.

Wpatrzona w Emryssa podchodziła coraz bliżej. Oszczędzał prawą nogę, a głowę miał stale zwróconą trochę w prawo, zapewne po to, aby zrekompensować brak jednego oka i zwiększyć pole widzenia. Był mocno zbudowany i szeroki w barach, ale szczupły. Gdy ją mijał, była w stanie policzyć wszystkie zębra.

Dostrzegł ją wreszcie i stanął bez ruchu, nie zważając na głośne okrzyki Gwilyma, który chciał się bić dalej. Od razu ruszył w jej stronę. Zawstydzona wspominała wczorajsze spotkanie na murach zamku i nie wiedziała, jak z nim dzisiaj rozmawiać.

- Tak? - Czekał, aż się odezwie. Nagle twarz mu złagodniała. Zmienił się tak na krótką chwilę, ale dzięki temu Roanna nabrała odwagi i przestała się przejmować stojącymi wokół mężczyznami.

- Gdzie mogę wysłuchać mszy? - zapytała, prostując ramiona. Kątem oka dostrzegła, że inni niepewnie spoglądają je-

den na dragego. Emryss lekko uniośł brwi i poruszając się bez pośpiechu, wręczył swój miecz Gwilymowi.

- Chyba w kościele - padła odpowiedź. Mężczyźni zaczęli chichotać, a Roanna doszła do wniosku, że jego nonszalancja wynika z faktu, że mają tylu świadków. Z pewnością nie chciał zdradzić, iż ma słabość do normańskiej przybłędy, zwłaszcza że jej obecność rozdmuchała dawną rodową waśń.

- A gdzie ten kościół?

- W miasteczku jest kaplica. Trzeba iść drogą wzdłuż lasu - tłumaczył, powoli wkładając koszulę. - Zakonnik odprawia msze w dni powszednie.

- Dziękuję. - Minęła go, udając obojętność i spokój, chociaż jej serce śpiewało z radości. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Zależało mu na niej! Dziwnie to okazywał i owo zauroczenie najpewniej szybko mu przejdzie, ale coś jednak czuł.

- Strasznie pada! Zmokniesz! - krzyknął za nią, a mężczyźni gruchnęli śmiechem, który urwał się nagle, gdy zdjęła pierwszą z brzegu pelerynę wiszącą na kołku, pchnęła drzwi i wyszła, nie zważając na zacinający deszcz i zimny wiatr.

- Rany boskie, ależ uparta dziewczucha! - powiedział Gwilym, gdy drzwi się zamknęły. - Co ją napadło?

Emryss sięgnął po kufel podany przez jednego z kompanów i podszedł do stołu. Zebrani uznali, że walka na razie została przerwana, więc usiedli na ławach umieszczonych pod ścianami. Emryss nie słyszał żadnych uwag o sobie i Roannie. Zapewne się pilnowali, żeby go nie urazić. Usiadł ciężko w fotelu, a Gwilym opadł na sąsiednie krzesło.

- Może ta pannica chce zostać mniszka i nie boi się deszczu

ani chłodu, bo szuka umartwień? - zapytał, żeby rozruszać Emryssa toczącego po sali gniewnym spojrzeniem.

- Skąd mam wiedzieć? - usłyszał w odpowiedzi, a jego starania na nic się zdały.

- Wkrótce Mamaeth będzie miała dwoje pacjentów... o ile dziewczyna tu wróci.

Emryss w milczeniu rwał kromkę chleba na coraz mniejsze kawałki. Bezsenna noc i niedawne ćwiczenia całkiem go wyczerpały. Próbował znaleźć jakieś absorbujące zajęcie, żeby nie myśleć ustawicznie o szczupłej ciemnowłosej dziewczynie, która wyznała, że go kocha. Roanna nigdy się nie dowie, że on też ją kocha.

Gwilym najwyraźniej uznał, że trzeba zostawić go w spokoju i bez słowa gryzł kawałek chleba. Nagle drzwi się otworzyły i podbiegł do nich chłopiec w zabłoconym, mokrym ubraniu. Emryss zerwał się na równe nogi i natychmiast do niego przyskoczył.

- Hu, co się stało? - Chwycił dziecko w objęcia.

- Owce. Ze stada Ianta. Zabite - wykrztusił Hu, oddychając spazmatycznie. Do sali wpadła Mamaeth i zafrasowała się ogromnie na widok przerażonego dziecka.

- Zabierz go stąd, nakarm i daj suche ubranie. Gwilym, zbież drużynę - polecił Emryss. Zmierzył mokrą czuprynę chłopca i zwlekał jeszcze przez chwilę, żeby mu dodać otuchy.  
- Jesteś bardzo dzielny, Hu.

Mamaeth okryła małego peleryną i podreptała z nim do kuchni. Emryss włożył skórzany kaftan i sięgnął po swój płaszcz, ale kołek był pusty, a okrycie znikło. Ona miała je teraz na sobie. Zaklął, przypasał miecz i wybiegł na dziedziniec.

Gwilym i pozostali wojowie dosiedli już koni. Stajenny pośpiesznie siodłał Wilka. Po chwili Emryss wskoczył na wierz-

chowca i uniósł dłoń. Drużyna galopem minęła zamkową bramę.

Szalona jazda w strugach deszczu na górską halę, gdzie Ianto wypasał owce, była dla nich trudną próbą. Po drodze rozglądali się, wypatrując złodziei, wilczej watahy lub osobliwych śladów. Musieli bardzo uważać, bo ścieżka była zdradliwa i kamienista.

W końcu zobaczyli pastwisko. Na odległym skraju tkwił Ianto, nieruchomy jak posąg. Emryss poprowadził ku niemu drużynę. Gdy podjechali bliżej, zobaczyli na trawie pozbawione głów jagnięce truchła. To mogła być sprawka lisa. Ci sprytni drapieżcy robią czasem takie szkody, choć nikt nie wie, czemu mordują owce bez powodu. Jedynym stworzeniem zdolnym do podobnych zachowań był człowiek.

Emryssa ogarnęła wściekłość gwałtowna jak szalejąca wokół ulewa. Tyle dorodnych zwierząt zmarnowanych! Gdyby głodni biedacy zabili i ukradli jego owce, potrafiłby ich zrozumieć, ale ta bezsensowna masakra...

Ianto podszedł do niego z psem o imieniu Mott, swym nieodłącznym towarzyszem.

- Hu szybko biega, co?
- Tak. Kiedy to się stało? - spytał cicho Emryss.
- Trudno rzec, panie. Ziemia pod nimi jest sucha, więc przed deszczem. Gdy wyprowadziłem Hu do zamku, szukałem śladów, lecz na próżno.
- Lis?
- Może.
- Wielu brakuje?
- Sam nie wiem. Pewnie tak. Mam w okolicy co najmniej dziesięć jagnięcych gromad. Pewnie się rozbiegły, jak wyczuły lisa.
- Racja. - Emryss rozejrzył się wokół. Owce żyły tu w ma-

łych grupkach, nie zbijając się w duże stado. Każda uczyła się od matki, gdzie ma skubać trawę na hali. Nie opuszczały swych rewirów, o ile nie zostały do tego zmuszone.

Na skraju łąki mignęło rdzawe futro. Mott zaszczeakał głośno i rzucił się w pogoń.

- *Cadno!* - krzyknęli jeźdźcy i ruszyli za lisem. Ianto znał każdy kamień na zboczu, więc biegł na skrót, wypatrując dra-  
pieznika, który śmigał między skałami, umykając przed czarno-  
białym psem. Był wyjątkowo przebiegły i szybki. Przeskoczył  
strumyk na skraju łąki i zniknął w zaroślach. Mott z głośnym  
pluskiem wskoczył do wody, ale na drugim brzegu nie podjął  
tropu. Węszył, biegając w różne strony, a potem uniósł łeb,  
przycichł i skruszony popatrzył na swego pana.

Ludzie także przeskoczyli strumień, lecz i oni nie znaleźli na  
brzegu śladów lisa. Emryssowi zejście po skalistym zboczu za-  
jęło więcej czasu niż innym.

- Co o tym sądzisz? - zapytał pasterza, gdy w końcu do nie-  
go podszedł.

- Na razie nie wiem, co myśleć, panie. Może ten rudy chy-  
trus zagryzł owce, a może nie.

- Przyślę kilku ludzi, żeby na wszelki wypadek przez kilka  
dni pilnowali stad.

- Dobrze, panie.

- Sam przywiozę Hu.

- Dzięki, wasza wielmożność. A to się dzieciak ucieszy!

Emryss przypomniał sobie z uśmiechem, że ten chłopiec wy-  
patrzył go pierwszy, gdy po latach tułaczki powrócił w rodzinne  
strony. Od tamtego czasu Hu uważał go za swoje osobiste od-  
krycie. Emryss nie ukrywał, że jego okazywane stale uwielbie-  
nie bardzo mu pochlebia.

- Najlepiej będzie zaraz po żniwach spędzić owce do kupy  
- dodał Ianto. Jesienią w stadzie przeprowadzano selekcję, a roczne owce spędzały zimę w dolinie, ponieważ były jeszcze za słabe, aby przeżyć na górskim pastwisku.

- Masz rację - przytaknął Emryss i poklepał po ramieniu starego druha. Stali na brzegu strumienia i patrzyli na martwe owce, zasmuceni wielką stratą. Emryss przeliczał ją na sztuki złota, natomiast pasterzowi żal było ulubionych stworzeń, o które troszczył się jak o własne dzieci.

Gwizdnął na Motta i odszedł, a Emryss odprowadził go wzrokiem, przyglądając się, jak ostrożnie stawia stopy i ugina kolana. Urodzony góral! Wkrótce zjawili się jego ludzie. Nie wytropili lisa. Kazał im zabrać martwe zwierzęta, obedrzeć je ze skóry i poćwiartować. Gdy wracał do konia, dogonił go Gwilym.

- Nie sądzisz, że stary Daffyd powinien się tu rozejrzeć?

- Dobrze. - Być może wiekowy pasterz wyjaśni, kogo należy tropić: zwierzę czy raczej człowieka.

Drużyna dosiadła wierzchowców i skręciła ku drodze wiodącej do Craig Fawr. Padało coraz słabiej, a gdy wjechali w dolinę, deszcz całkiem ustał. Emryss uniósł rękę, żeby otrzeć mokłą twarz. Mimo woli dotknął głębokiej blizny i zaklął cicho. Nie powinien teraz wspominać chwili, gdy Roanna musnęła to miejsce opuszkami palców. Jeśli nie weźmie się w garść, to czeka go kolejna bezsenna noc. Poczul chłód i przebiegł go dreszcz. Za długo przebywał z dala od Walii i teraz nie mógł się na nowo przyzwyczać, że latem często tutaj pada. Rozejrzał się ukradkiem, aby sprawdzić, czy jego kompani spostrzegli, że trzęsie się z zimna. Przez tę drobną słabość mniej by go cenili. Popędził konia i wysforował się naprzód, żeby uniknąć natręt-

nych spojrzeń. Im szybciej dotrze do zamku i przebierze się w suche rzeczy, tym lepiej.

Roanna trzęsa się z zimna od chwili, gdy weszła do przeciekającej drewnianej kaplicy. Na szczęście msza dobiegała już końca. Podniosła się i sztywnym krokiem wyszła na zewnątrz, bo kolana miała obolałe. Deszcz ustał. Z niepokojem popatrzyła na rozmokłą drogę wiodącą do zamku. Buty znów pokryją się lepkiem błotem, zanim dotrze na miejsce. Kilku wieśniaków szczelnie okrytych grubymi pelerynami minęło ją bez słowa. Przyglądali się tylko ukradkiem, ale nie miała o to do nich pretensji. Z pewnością wyglądała okropnie, bo jej rozpuszczone włosy i suknia były zupełnie mokre.

Naciągnęła na głowę kaptur pożyczonej peleryny i przez moment wdychała zapach skóry i metalu. Jeden z rycerzy musi dziś chodzić po deszczu bez okrycia. Domyślała się, że klnie jak szewc, ponieważ cierpliwość nie była jego mocną stroną. Mimo wszystko cieszyła się, że poszła dziś do kościoła. Przynajmniej na krótko udało jej się zapomnieć o pieszczotach i pocałunkach Emryssa.

Maszerowała szybko, zatopiona w myślach. Droga była śliska, a w koleinach stały kałuże, więc musiała uważać. Buty miała zupełnie mokre, a stopy zimne jak sople lodu. Gdy podeszła do zamku, otuliła się peleryną, zakrywając ubłoconą suknię, i dumnie wyprostowana minęła bramę. Przeszła pod jej łukiem i stąpając ostrożnie po śliskich kamieniach brukowanego dziedzińca, ruszyła do niskiego budynku naprzeciwko wjazdu.

- Koteczku! Radości moich oczu! Tak się cieszę, że przyszłaś! - Tubalny głos Jacques'a dudnił w pustych komnatach. Roanna zdjęła pelerynę i strzepnęła ją mocno, rozpryskując kro-

ple wody. Powiesiła okrycie na kołku przy drzwiach i podeszła do łóżka.

- Jak się czujesz? - zagadnęła przyjaźnie.

- Lepiej, chociaż jedna podła baba stale mnie podtruwa. - Pochylił się ku niej, a łóżko skrzypnęło ostrzegawczo. - Miejsce jadło bardzo mi służy. Co za smak, jaka obfitość! - Klasnął pulchnymi dłońmi, opadł na poduszki i westchnął. - Pomyśleć tylko, czego taki geniusz jak ja mógłby dokonać w zamkowej kuchni!

- To cudownie, że wracasz do zdrowia. - Roanna przysunęła sobie zydeł i usiadła, a Jacques pochylił głowę i zmierzył ją bystrym spojrzeniem.

- A co z tobą, koteczku? Jak samopoczucie?

- Znakomite - odparła po chwili wahania. - Dostojny pan DeLanyea jest dla mnie bardzo łaskawy.

- Owszem, ma wiele zalet: hojny, szlachetny, honorowy, prawda dziecinko?

- Owszem, zgadzam się z tobą. - Wstała i podeszła do wąskiego okna, żeby wyjrzeć na dziedziniec.

- Niezwykły człowiek, co?

- Tak.

- Szkoda, że musimy stąd odejść. - Jacques westchnął ciężko.

- Nie wolno mam przysparzać kłopotów mieszkańcom tego zamku.

- Moim zdaniem dostojny pan DeLanyea wcale się tym nie przejmuje.

- A powinien. - Roanna odwróciła się do Jacques'a, który zrobił wielkie oczy, widząc jej zarumienioną twarz, wkrótce jednak przybrał typowy dla niego, pogodny wyraz twarzy.

- Teraz nie warto się tym martwić. Cieszymy się, że zostaliśmy uwolnieni z rąk zbójów. - Popatrzył wymownie na jej mokłą suknię. - Uważam, pani, że poświęciłaś mi dość czasu. Rozchorujesz się, jeśli nie zmienisz ubrania. - W drzwiach stanęła Mamaeth z parującym kubkiem w dłoni. - *Mon Dieu*, mam nadzieję, że to nie jest kolejna porcja twoich diabelskich wywarów!

- Przyniosłam ci lekarstwo, głupku. W jednym masz rację. - Stanęła przed Roanną. - Trzeba się przebrać, inaczej przyjdzie mi niańczyć was oboje.

- Wierz mi, pani, jej opieka jest gorsza niż śmierć - marmotał Jacques.

- Nie mam ubrania na zmianę, więc... - odparła Roanna, ale Mamaeth przerwała jej w pół słowa.

- Kazałam uprać i zeszyć twoją sukienkę. Bronwyn zaniosiła ją do sypialni. Nie jest to odświętny strój, ale lepszy taki niż żaden.

- Dziękuję. - Roanna skinęła głową. Pochyliła się i pocałowała Jacques'a w czoło. - Uważaj na siebie. Później tu zajrzę.

- Nie wiem, czy dożyję kolejnych odwiedzin. Obawiam się, czy te jej paskudztwa mnie nie zabiją - odparł z kwaśną miną. Uśmiechnęła się lekko i wyszła, zabierając pelerynę. Mamaeth odwróciła się do pacjenta.

- Mądra dziewczyna. Podoba mi się. Ma swoją godność i wie, kiedy należy słuchać, a kiedy mówić.

- Zapewniam cię, że nie ma na świecie szlachetniejszej damy - odparł, z naciskiem wymawiając ostatnie słowo.

- Lubię ją. Mój chłopak też ma do niej słabość.

- Co mnie obchodzą gusta jakiegoś smarkacza? - Jacques zmarszczył brwi, a Mamaeth rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Dostojny pan DeLanyea to nie smarkacz, tępaku.

- Nasza pani Roanna robi ogromne wrażenie na wszystkich, którzy mają zaszczyt ją poznać. - Jacques w zadumie pokiwał głową, a potem zmrużył oczy i zerknął na Mamaeth. - Ma do niej słabość, powiadasz? Co to znaczy?

- *O rannwyl!* Człowieku, naprawdę jesteś aż tak głupi? Ona jest w jego typie i wpadła mu w oko.

Teraz Jacques popatrzył na nią z oburzeniem.

- Nie jestem idiotą! Słucham twojego bajdurzenia i wyciągam wnioski. Przecież sama wspomniałaś o chłopcu. Mam nadzieję, że teraz przyznasz mi rację.

- On się jej podoba?

- Skąd mam wiedzieć? Prawdziwa dama nie rozmawia o takich sprawach. - Co tej jędzy do tego, czy Roanna gustuje w tym... chłopaku? Z drugiej strony jednak gdyby miał szczerze odpowiedzieć na pytanie, przyznałby, że Emryss DeLanyea zrobił na jego pani większe wrażenie niż wszyscy spotkani dotąd rycerze. Mamaeth podsunęła mu pod nos parujący kubek. Poczował odrażającą woń.

- Chcesz mnie otruć tym paskudztwem? - jęknął. Nim zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do komnaty wpadł Emryss.

- Aha, tu jesteś, Mamaeth! Nareszcie cię znalazłem! - zawołał, potrząsając wilgotną czupryną. - Potrzebuję koszuli na zmianę.

- Wszystkie są w twojej sypialni. - Mamaeth odwróciła się do niego.

- Przynieś mi jedną, dobrze?

- Muszę szykować obiad. - Spojrzała na niego z oburzeniem. - Nie jestem niewolnicą i radzę ci o tym nie zapominać.

- Obrażona ruszyła ku drzwiom. - Skaranie boskie z tymi mężczyznami! - Odwróciła się do Emryssa i oparła dłonie na biodrach. - Wszyscy jesteście podli i niewdzięczni! Sam leć po swoją koszulę! - Wyszła, trzaskając drzwiami.

Emryss popatrzył na Jacques'a.

- O co jej chodzi? Prosiłem tylko o czystą koszulę. - Odwrócił się i wybiegł na dziedziniec.

Roztargniony Jacques odruchowo wypił łyk wywaru, skrzywił się i postawił kubek na podłodze obok łóżka. Może ktoś go przewróci? W zadumie pocierał różowy policzek. Roanna i Emryss DeLanyea... Dobrana z nich para. Rzecz jasna, każdy mężczyzna cieszyłby się z takiej żony, a jej potrzeba męża takiego jak on: szlachetnego wielmoży o dobrym sercu, który skruszy mur chroniący zbolełe serce tej biednej dziewczyny i pomoże jej ujawnić wszelkie przymioty.

Jacques poderwał się niespodziewanie. Roanna poszła do sypialni, żeby się przebrać, a Emryss trzyma tam swoje rzeczy! Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiešek.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Emryss przestał się gniewać na wojowniczą Mamaeth, nim dopadł schodów wiodących do sypialni. Zachichotał nawet, gdy wyobraził sobie minę osłupiałego Jacques'a, który najpewniej nie mógł zrozumieć, czemu pan zamku pozwala ochmistrzyni mówić do siebie w ten sposób. I słusznie. Wobec innych Emryss był o wiele bardziej zasadniczy, ale stara piastunka miała swoje prawa. Beształa mężczyzn tylko dlatego, że nimi byli. Dotyczyło to również jej wychowanka. Z drugiej strony Emryss miał pewność, że Mamaeth kocha go jak syna i życie by za niego oddała.

Szeroko otworzył drzwi sypialnej komnaty i osłupiał.

Roanna ubrana tylko w kusa, cienką koszulę pochylała się nad miską. W rękach trzymała zabłoconą suknię. Wyprostowała się natychmiast i przycisnęła do piersi ociekający wodą materiał. Emryss odwrócił się i zatrzasnął drzwi. Wstrzymał oddech, jakby się obawiał, że Roanna zacznie krzyczeć, wzywając Mamaeth albo Bronwyn, lecz w komnacie było zupełnie cicho, więc podszedł do schodów.

- Mamaeth, chodź tu! - wrzasnął tak głośno, że Roanna, która drżącymi rękami zakładała pozszywaną sukienkę, aż się wzdrygnęła. Spłonęła rumieńcem, bo niedawno stała przed nim w samej koszuli. Podeszła do drzwi, uchyliła je i wyjrzała ostrożnie na korytarz. Zirytowany Emryss stał przy schodach

z rękami założonymi na piersi, niecierpliwie tupiąc nogą. Cicho przymknęła drzwi i podeszła do okna.

Patrzyła na dziedziniec, wilgotny od deszczu, i próbowała zapomnieć o wstydzie, który ją ogarnął, gdy Emryss ją zaskoczył. Była prawie naga! Teraz przyglądała się murarzom dogladającym wyładunku kamiennych bloków, które wciągano od razu na wewnętrzny dziedziniec. Dobięły ją nawoływania, melodyjne i rytmiczne niczym pieśni.

Gdy trochę ochłonęła, stanął jej przed oczyma Emryss - osłupiały, nagi do pasa, trzymający w rękę mokrą koszulę. Uśmiechnęła się mimo woli i zachichotała. Na nic się zdały próby stłumienia niewczesnej wesołości, ponieważ uświadomiła sobie, że w krytycznej chwili oboje byli tak samo zaskoczeni i na pewno mieli równie głupie miny. Przestała się śmiać, gdy z korytarza doszły ją podniesione głosy. Usłyszała energiczne pukanie do drzwi.

- Wejść! - rzuciła zaciekawiona, co się tam dzieje. Do pokoju wpadła Mamaeth, zdyszana, jakby gonił ją wściekły pies.

- Wybacz, kochanie. Muszę wziąć koszulę.

Podeszła do skrzyni, pochyliła się nisko, zaglądając do środka, i wyjęła koszulę Emryssa. Zagniewana mamrotała po walijsku. Nagle zerknęła na Roannę.

- Emryss kazał cię przeprosić za wtargnięcie. Potrzebował ubrania na zmianę, a nikt mu nie powiedział, że ty również poszłaś na górę.

- Tak było - przytaknęła z powagą Roanna.

- A mnie jest przykro, że nie zapukał. Co za maniery! - Wypadła z komnaty równie szybko, jak do niej wbiegła.

Biedny Emryss, pomyślała współczująco Roanna i uśmiechnęła się, zamykając drzwi. Dostanie okropną burę od Mamaeth za niewłaściwe zachowanie!

Podeszła do stolika, na który wcześniej rzuciła zabłoconą sukienkę. Trzeba pójść do kuchni po wodę i zabrać się do prania. Miała nadzieję, że Bronwyn jest teraz bardzo zajęta. Lepiej, żeby nie zobaczyła teraz swojej białej sukni, bo rozpłacze się z żalu.

Cynrik DeLanyea sięgnął nad śpiącą kobietą po dzban z winem i opróżnił go, po raz kolejny napełniając puchar. Pił drobnymi łykami, rozparty na zmiętej pościeli. Odkąd ta dziwaczka Roanna przechytryła swego stryja i uciekła, wszystko szło po jego myśli.

Wczoraj wieczorem ojciec znów wrzeszczał i złorzeczył, nazywając dostojnego pana Westercotta głupcem i oszustem, ponieważ nie upilnował bratanicy. Groził także zerwaniem małżeńskiej umowy. Gdy się uspokoił, Cynrik powiedział, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to ich wrogowie ponownie uprowadzili dziewczynę. Przecież jest niemożliwe, aby szlachetnie urodzona dama uciekła z prostym kucharzem, ubogim jak mysz kościelna.

Popatrzył w okno. Słońce dawno już wstało. Głupkowaty ksiądz Robelard wkrótce dotrze do celu. Ciekawe, czy zdoła wykrztusić choć słowo, gdy stanie przed tym przeklętym Emrysem. Dużo się o nim plotkuje, a te pogłoski mogą się okazać prawdziwe. Chodzą słuchy, że od śmierci matki żaden duchowny nie ma wstępu do Craig Fawr. Zresztą Cynrik wcale by się nie zmartwił, gdyby ich posła odesłano z kwitkiem.

Leżąca przy nim kobieta poruszyła się pod kołdrą.

- Lynette! - Tracił ją stopą. - Przynieś wina. - Gdy zamiast posłuchać, ułożyła się wygodniej, celnym kopniakiem wyrzucił ją z łóżka. - Powiedziałem, że masz iść po wino!

- Tak, panie. - Lynette wstała, osłaniając nagość lnianym

prześcieradłem. Wyglądała na przestraszona i starała się go ułagodzić.

- Jeśli się pospieszysz, to może pozwolę ci wrócić do łóżka.  
- Chwycił róg prześcieradła, mocno pociągnął i wybuchnął szalonym śmiechem, gdy pisnęła wstydliwie. W pośpiechu narzuciła suknię i wybiegła z sypialni.

Cynrik z lubością myślał, że chuda jak patyk Roanna wkrótce będzie cierpieć za swoje winy! Jej obecność w zamku Craig Fawr stanowiła doskonały pretekst do ataku i Emryss niewątpliwie zdawał sobie z tego sprawę. Być może zdołają uniknąć obłączenia, ponieważ prawo było po ich stronie. Wygląda na to, że twierdza wkrótce stanie się ich własnością. Przejmą ją bez trudu. Wtedy sam zajmie się tą upartą dziewczką.

Nawet jeśli nie ma jej w Craig Fawr, każdemu wyda się oczywiste, że podejrzewa odwiecznych wrogów o jej uprowadzenie. A gdy zdobędzie twierdzę, niełatwo będzie mu ją odebrać.

Jeśli znajdzie w zamku tę chudą wiedźmę, chętnie się z nią ożeni. Dzięki temu zyska poparcie jej stryja i weźmie posag. Położył się na plecach i utkwiał spojrzenie w suficie. To małżeństwo może dostarczyć mu wielu przyjemności, skoro będzie miał sposobność, żeby ją ukarać za obrazę i upokorzenie, których doznał, kiedy od niego uciekła. Potem łatwo znajdzie się sposób, żeby uprawdopodobnić jej przedwczesną śmierć. A gdy tajemnicza choroba zacznie niszczyć jej wątłe ciało, on poszuka innych rozkoszy. W końcu zostanie wdowcem, a wtedy ożeni się z dziewczyną bogatszą i piękniejszą.

Wysączył ostatnią kroplę wina i przyglądał się pustemu kielichowi.

- Lynette! - wrzasnął. Usłyszał pukanie do drzwi i dodał ze złością: - Wejdz!

Zamiast Lynette do komnaty wpadł Urien Fitzroy.

- Panie, chodź prędko. Twój ojciec... miał atak!
- Jaki atak? - Cynrik gapił się na niego tępym wzrokiem.
- Beształ służącego i nagle pół ciała jakby mu zwiotczało. Stracił przytomność i upadł na podłogę. Nikt go nie zdołał ocucić.

Cynrik zsunął się z łóżka, włożył spodnie i tunikę. Pochylił się i z ukradkowym uśmiechem wciągnął buty.

Ksiądz Robelard przyglądał się potężnym wałom ziemnym, które otaczały Craig Fawr.

O, dobry Boże w niebiosach, dlaczego ja? Modlił się po cichu, zadając najwyższemu to pytanie, i popędzał osiołka. Cemu baron DeLanyea właśnie jego posłał, żeby się upewnić, czy dziewczyna jest w zamku? Gdyby pogłoski się potwierdziły, duchowny miał ją wezwać do powrotu pod groźbą wydziedziczenia. Stryj oraz narzeczony gotowi byli jej przebaczyć. Jakiż ze mnie dyplomata, myślał Robelard. Na domiar złego Lynette powiedziała mu wczoraj, że Emryss DeLanyea nienawidzi klech. Protesty nie przyniosły żadnego skutku. Baron zmierzył go ponurym spojrzeniem i oznajmił:

- Potrzebny mi bezstronny wysłannik i ty nim będziesz.

Stryj dziewczyny też nie lepszy! Siedział obok jak wyliniały kruk.

- Przekaż jej, że ma wrócić do Beaufort, inaczej raz na zawsze się jej wyrzeknę.

Nie ma co, udał się tej nieszczęsnej pannie jedyny stryj. Tyłko pozazdrościć, pomyślał ironicznie. Gdy jechał przez wioskę leżącą pod murami zamku, ludzie spoglądali na niego wrogo i nieufnie. Poruszył się, wyraźnie zaniepokojony. Słyszał roz-

maite plotki o tych barbarzyńcach, ale kto by tam wierzył w takie bzdury. Gdy mijał pierwszą bramę, dwaj strażnicy trącili się łokciami, szwargocząc po walijsku.

- Przysłał mnie baron DeLanyea. Mam przekazać wiadomość - oznajmił ksiądz Robelard, nadrabiając miną. Strażnicy zachichotali, więc dodał z irytacją: - Jestem wysłannikiem barona.

Tym razem strażnicy kiwnęli głowami, pozwalając mu przejechać. Kilkakrotnie przyszło mu przeżywać podobne upokorzenie, więc posuwał się naprzód dość wolno, ale dotarł wreszcie do ostatniej bramy. Z dziedzińca dobiegało stukanie młotków i głosy rzemieślników. Nie było tajemnicą, że Emryss DeLanyea umacnia twierdzę, a odgłosy gorączkowej pracy świadczyły, że zależy mu na czasie.

Gdy ksiądz Robelard wjechał na dziedziniec, wszyscy zniechęceni i zrobiło się cicho. W drzwiach stajni przystanął półnagi mężczyzna. Naciągnął koszulę i przyglądał się gościowi, który mierzył go wzrokiem dopóty, dopóki nie zwrócił uwagi na czarną opaskę zasłaniającą jedno oko. Biedaczyna, pomyślał, niewiele widzi, to gapi się jak sroka w gnat. Zeskoczył z osiołka, kilka razy odchrząknął i ruszył w stronę kaleki, uznając go za stajennego.

- Czego chcesz? - usłyszał opryskliwe pytanie.

- Baron DeLanyea przysłał mnie z wiadomością - wyjaśnił cierpliwie ksiądz Robelard.

- O co chodzi?

- Wiadomość ma usłyszeć dostojny pan Emryss DeLanyea - obruszył się duchowny. Mężczyzna westchnął z irytacją i ruszył w stronę długiego, niskiego budynku przylegającego do masywnej wieży.

- Tędy - burknął i skinął na księdza Robelarda, który podreptał za nim. Nagle stanął jak wryty. Jednooki! Lynette wspomniała, że Emryss DeLanyea wrócił do domu z jednym okiem. Z drugiej strony jednak prostak w koszuli wypuszczonej na wierzch nie może być szlachetnie urodzonym rycerzem. W zamku tak ogromnym jak Craig Fawr jest pewnie dwu na wpół ślepych pechowców.

Idący przodem mężczyzna odwrócił się i spojrzał ze złością, jakby czytał w jego myślach. Duchowny jęknął cicho. Wyprzedzający go wszedł do sali biesiadnej i gestem nakazał mu iść dalej.

Służba krzątała się wśród stołów na krzyżakach, w ciągu dnia zsuniętych pod ściany. Mężczyzna, który okazał się panem tego zamku, stał już w zasłoniętym parawanem kącie sali i zniecierpliwiony czekał na księdza.

- Wina! - rozkazał. Trudno powiedzieć, kto miał mu usłużyć. - Wynoście się stąd wszyscy!

Gestem zachęcił duchownego, aby usiadł, i sam zajął miejsce po drugiej stronie dębowego stołu o porysowanym blacie.

- Błagam o wybaczenie - zaczął Robelard, przycupnąwszy na brzegu krzesła. - Zdaje mi się, że tyś jest dostojny pan Emryss DeLanyea, i prawdziwy to dla mnie zaszczyt, że...

- Słusznie zgadujesz. Czego chce stryj? - przerwał, a duchowny odchrząknął nerwowo. - Mów szybko! W czym rzecz?

- Baron DeLanyea życzy sobie, aby dostojna Roanna natychmiast wróciła do jego domu.

- Ach tak? Sądzi, że ona tu jest?

Drobny księżulo kręcił w palcach sznur, którym przepasany był jego habit. W Beaufort wszyscy byli przekonani, że panna jest w Craig Fawr, więc nie brał pod uwagę innej możliwości.

- Tak, panie. Jej stryj i narzeczony również tak myślą. Czy to prawda?

Zza parawanu wyszła niemłoda, wychudzona kobieta. Przyniosła dzbanek wina i puchary, które energicznie ustawiła na stole.

- Sprowadź panią Roannę - rzucił ostro Emryss DeLanyea, a ksiądz ukradkiem odetchnął z ulgą, choć nadal czuł, że strużki potu spływają mu po plecach, gdy kulił się pod baczny spojrzeniem pana na Craig Fawr. Kobieta mamrotała niezrozumiale, jakby czuła się urażona, lecz wkrótce odeszła, nie mówiąc głośno ani słowa.

- Panie, bardzo mi rad, że dostojna pani Roanna jest pod twoją opieką. Jej nader pochopna decyzja, by opuścić...

- To była ucieczka - przerwał Emryss DeLanyea.

- Tak, panie. - Ksiądz Robelard wiercił się na krześle. - Mniejsza o słowa, którymi określimy jej nieroztropny postępek, skoro możemy z ulgą stwierdzić, że nie doznała żadnego uszczerbku.

- Jesteś pewny? - Emryss wybuchnął szyderczym śmiechem.

- Bez wątpienia jej wuj uraduje się, gdy usłyszy, że jest cała i zdrowa, to znaczy... - Ksiądz pocił się ze strachu coraz obficie. - Głęboko wierzę, że nic złego jej nie spotkało?

Zza parawanu dobiegły jakieś szmery, więc odwrócił głowę i ujrzał Roannę. Nic się nie zmieniła przez te kilka dni. Pośpiesznie zerwał się z krzesła.

- Ach, witaj, dostojna pani. Mam nadzieję, żeś zdrowa.

- Tak, proszę księdza. Nic mi nie dolega.

Emryss także wstał i dał znak, by zajęła jego miejsce. Po chwili wahania usiadła na krześle.

- Ksiądz przybył z wiadomością, która ciebie dotyczy, więc uznałem, że powinnaś jej wysłuchać - powiedział. Roanna w milczeniu skinęła głową i popatrzyła na drobnego księdza, który znowu odchrząknął.

- Trudna sprawa, pani. - Zerknął na Emryssa. - Skoro upewniłem się, że dostojna Roanna jest bezpieczna, może powinniśmy resztę spraw omówić w cztery oczy.

DeLanyea w milczeniu kiwnął głową. Roanna położyła dłonie na kolanach i przez chwilę wodziła spojrzeniem od jednego do drugiego. A zatem nic się nie zmieniło. Odprawiono ją, żeby decydować o jej dalszych losach. Zacisnęła usta i ani myślała się ruszyć. Zapadła cisza, którą przerwał Robelard, błagalnie składając ręce.

- Pani, słowa barona mogą być dla ciebie przykre.
- Mam prawo ich wysłuchać, skoro mnie dotyczą.
- Ależ pani...
- Niech zostanie.

Roanna nie podniosła wzroku na Emryssa, tylko wpatrywała się w swoje dłonie, żeby wysłuchać uważnie słów duchownego.

- Panie, baron życzy sobie, abyś niezwłocznie odwiózł panią Roannę do Beaufort w celu przedyskutowania umowy przedślubnej.

- Nie - padła krótka odpowiedź. Roanna zacisnęła dłonie spoczywające na kolanach.

- W takim razie zmuszony jestem dodać, że jej stryj, dostojny pan Westercott, w razie nieposłuszeństwa grozi bratanicy wydziedziczeniem i w przyszłości nie chce jej widzieć na oczy.

- Do tej pory niezbyt ochoczo dbał o jej potrzeby.
- Ale teraz dziewczyna zostanie bez grosza!
- Nie wyjdzie za tamtego nikczemnika.

- Może zdoła uprosić stryja, żeby unieważnił umowę w zamian za niewielkie odszkodowanie lub inny ekwiwalent.

- Gdy odmówiła, zamknął ją w wieży. Myślisz, że teraz zostanie wysłuchana?

- Panowie, nie jestem kością, żebyście się o mnie żarli jak psy. - Roanna wstała i zwróciła się do kapłana, obrzucając go uważnym spojrzeniem. - Cynrik DeLanyea nie zostanie moim mężem. Opuszczę ten zamek, gdy tylko Jacques wróci do sił. Nie poproszę stryja o pomoc i nie oczekuję, że się o mnie zatroszczy. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Żegnam.

- Chwileczkę, pani. - Książd popatrzył na Emryssa. - Na wypadek gdyby ta dama odmówiła powrotu, stryjeczny brat kazał ci przekazać, że będzie niepokieszony, jeśli straci narzeczoną, która jest słodka jak rumiane jabłuszko.

Zdumiona Roanna popatrzyła na Emryssa i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. W pierwszej chwili nie poznała twarzy zmienionej w maskę nienawiści.

- Niech książd czeka przy drzwiach. Muszę porozmawiać z panią.

Książd zniknął za parawanem. Roanna słyszała oddalające się kroki, gdy dreptał ku wyjściu. Przyglądała się Emryssowi, który pocierał dłonią blat stołu, wpatrzony w dębowe słoje.

- O co mu chodzi? - zapytała. Emryss popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Cóż to, nie wierzysz, że dla niego jesteś tak słodka jak rumiane jabłuszko?

- To nie czas na grę w zagadki. Wiem, że trudno mnie uznać za piękność. Wdzięku też mi brakuje. Co naprawdę znaczą te słowa?

- Rany boskie, dziewczyno, głowę masz nie od parady -

rzekł, odwracając się do niej plecami. Wolno podszedł do okna.  
- Jako chłopiec zakradłem się do sadu w Beaufort i ukradłem kilka jabłek. Ot, dziecięca psota. Cynrik to zobaczył i rzucił się na mnie z pięściami, ale go pokonałem. Nic wielkiego, ale krew poszła mu z nosa. Sądziłem, że szybko o tym zapomni. Minał rok i nic. Miałem wtedy psa, wabił się Cil. Dostałem go od pastusza Ianta, razem go tresowaliśmy. Podczas górskich wędrówek Cil był moim nieodłącznym towarzyszem. Spaliśmy w jednym łóżku. On także lubił jabłka. Pewnego dnia znalazłem go martwego, a obok leżało nadgryzione jabłko. Było zatrute.

- Nie rozumiem.

- Cynrik otruł stworzenie, które było mi szczególnie drogie. Jego słowa to ostrzeżenie. Jeśli nie wrócisz dzisiaj do Beaufort, nie wystąpi przeciwko mnie, ale sprawi, że umrzesz.

- W takim razie Jacques i ja musimy stąd wyjechać. Najlepiej jeszcze dziś. - Natychmiast ruszyła do wyjścia. Emryss podbiegł i chwycił ją za ramiona.

- Roanno, nic nie rozumiesz. Znam tego nikczemnika jak zły szeląg. Nigdy ci nie przebaczy, że wyszedł na głupca. Zostawi cię w spokoju na dzień, miesiąc albo rok, ale pewnego dnia przyśle swoich ludzi. Jeśli dopisze ci szczęście, to śmierć przyjdzie szybko.

- Muszę natychmiast wyjechać - odparła stanowczo, starając się nie zwracać uwagi na to, że Emryss dotyka jej ramion i natrętnie zagląda w oczy.

- Nie możesz odejść sama - powiedział z ponurą miną.

- Będzie przy mnie Jacques.

- On cię nie obroni przed Cynrikiem.

- Na wszystko masz odpowiedź, panie, więc poradź mi, co mam robić. - Wysunęła się z jego ramion.

- Zostań moją żoną.

Roanna osłupiała i popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Była jak porażona. Zaciśnęła dłonie na chłodnym oparciu dębowego krzesła jak tonący, który chwyta się płynącej gałęzi. Poślubienie Emryssa było jej największym marzeniem. W środku nocy śniła, że została jego żoną, i karciała się za te przywidzenia, beznadziejne i grzeszne zarazem.

- Jesteś oburzona, że prosi cię o rękę walczący z ubóstwem kaleki rycerz, którego próbują zniszczyć krewni? Nie jestem idealnym kandydatem na męża, ale będziesz przy mnie bezpieczna.

- Dlaczego chcesz mnie poślubić? - zapytała cicho.

- Choćby po to, żeby Cynrikowi pokrzyżować szyki - odparł z chytrym uśmiechem. Roanna podeszła bliżej.

- Panie, błagam, teraz bądź ze mną szczerzy. Dla mnie to bardzo ważne.

- Jak sobie życzysz, pani - odparł, lekko zarumieniony. - Odpowiem szczerze. - Stał na rozstawionych nogach i splótł ramiona. - Szlachetnie urodzone damy, które poznawałem do tej pory, to płacziwe idiotki, interesowne i zachłanne. Ty nie szlochasz, nie uśmiechasz się fałszywie, nie wylewasz łez z byle powodu. Nawet teraz rozmawiasz ze mną tak spokojnie, jakbyśmy gwarzyli o nowym kroju sukni. Musisz wiedzieć, że poza opieką niewiele mogę ci ofiarować, bo dochody przeznaczam głównie na umocnienie Craig Fawr. Jeśli ci to nie przeszkadza i przyjmiesz moje oświadczenia, będę mieć żonę spokojną i pełną dobroci, a do tego roztrofną, która wraz ze mną będzie się troszczyć o tę ziemię. Jesteś zadowolona?

Roanna utkwiała wzrok w podłodze. Chciała usłyszeć, czemu się oświadczył, więc spełnił jej prośbę. Ani słowem nie wspo-

mniał, że mu na niej zależy, że przypadła mu do serca. Pewnie ich pocałunki były dla niego bez znaczenia, a skoro on tak myślał, dla niej również powinny stać się nieistotne - podobnie jak uczucia, które w niej ożywały, gdy się całowali.

Kobieta roztropna i pełna rozważli powinna chyba przyjąć oświadczenia uczciwego mężczyzny, który na dodatek uchodzi za przystojnego.

- Wyjdę za ciebie - powiedziała cicho. Emryss stał nieruchomo.

- Roanno, tak się składa, że nie jestem dla ciebie odpowiedni, ale postaram się wynagrodzić ci to, ponieważ będziesz miała tyle swobody, ile to w ogóle możliwe. Nie musisz się przede mną tłumaczyć, ale nie wymagaj tego ode mnie. Zrozumiałaś?

- Tak.

- Dobrze. Jutro się pobierzemy. Powiem o tym Mamaeth. Nie wątpię, że ksiądz Robelard chętnie udzieli nam ślubu.

Gdy zniknął za parawanem, Roanna bezwładnie opadła na krzesło.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- *O'r annwyl!* Tyś chyba oszalał! - Ostry głos Mamaeth zabrzmiał echem w pustej sali. Emryss spodziewał się, że lada chwila usłyszy, iż nie wolno mu poślubić normańskiej panny, zwłaszcza takiej, która do niedawna była narzeczoną Cynrika. - Jutro ślub! To niemożliwe! - Popatrzyła na Emryssa, drżąc z oburzenia. - Zbyt mało czasu, żeby przygotować ucztę weselną, a co dopiero mówić o odświętnych strojach. Twoja dziewczyna na pewno marzy o nowej sukni. Jesteś tu panem, więc ślub i wesele muszą być jak się patrzy. Jeśli wypadną marnie, to ludzie długo będą ci to wypominać.

- W takim razie żenię się za dwa dni. To moje ostatnie słowo - oznajmił Emryss. Spodziewał się, że usłyszy zaraz potok walijskich przekleństw, ale spotkało go miłe rozczarowanie.

- Dobrze, synku. Niecierpliwy jesteś jak wszyscy mężczyźni, a my, kobiety, na tym cierpimy, bo na nas spada cała odpowiedzialność. Dwa dni wystarczą, żeby wszystko przygotować, o ile ten opasły kucharz raczy wstać z łóżka i pomoże nam w kuchni. - Pomarszczoną twarz rozjaśnił nagle promienny uśmiech. - Cieszę się, że bierzesz sobie żonę, synku. Chciałabym niańczyć twoje dzieci. A dziewczyna niczego sobie, mogło być gorzej. - Uśmiechnęła się znowu i pochyliła głowę. - Cynrika szlag trafi, co? - Wyprostowała się i zawołała karząc

cym tonem: - Jezus, Maria! Przecież nie mam czasu, żeby po próżnicy mieć ozorem. - Odwróciła się i wybiegła z sali.

- Zawołaj Rhysa! - krzyknął, nim trzasnęła drzwiami. Usiadł i odetchnął z ulgą. Dopiero teraz zrozumiał, jakie obawy dręczyły kapitana jego statku w drodze do Ziemi Świętej, gdy pewnego dnia gorączkowo szykowali się do odparcia sztormu, ale wichura niespodziewanie ucichła, zmieniając się w zwyczajną morską bryzę.

Popatrzył na schody, po których Roanna szła na górę, podczas gdy on sam z pozoru łaskawie nakłaniał księdza Robelarda do pozostania w Craig Fawr i pobłogosławienia ich związku. Duchowny zdawał sobie sprawę, że to propozycja nie do odrzucenia i szybko wyraził zgodę, ale drżał ze strachu na samą myśl, że będzie musiał zanieść do Beaufort wieść o nagłym ślubie.

Rozmarzony Emryss wyobraził sobie Roannę. Zawsze poruszała się z wyjątkową gracją i była wiotka jak młoda wierzba. Bardzo dobre porównanie - również z tego względu, że wierzbowe gałązki nisko się pochylają, ale trudno je złamać.

Trzeba napić się wina! Wstał z krzesła i zaczął niecierpliwie krążyć po sali. Czemu zapragnął ją poślubić? Przecież nie nadawał się na męża - ani dla niej, ani dla innej kobiety. Kiedy Gwilym usłyszy o weselu, z pewnością będzie wybrzydzał na to postanowienie. Emryss często słyszał od niego, że zapalczywość utrudnia trzeźwą ocenę faktów. Co gorsza, sam nie był wcale przekonany, czy podjął mądrą decyzję, ale w chwili, gdy usłyszał własny głos i lakoniczne oświadczyzny, zdał sobie sprawę, że takie marzenie zrodziło się w jego sercu, gdy pierwszy raz ujrzał Roannę.

- Ach, panie, dobra nowina! - Do sali wpadł rozpromieniony Rhys. - Przyszła ostatnia dostawa kamienia. Towar leży na dziedzińcu. Dobry budulec, aż miło popatrzeć! Jeden blok ma

ryse, więc targowałem się z kupcem. Długo nie chciał ustąpić, ale w końcu spuścił z ceny. - Rhys nagle spowaźniał. - Jakieś kłopoty, mój panie?

- Raczej nie - odparł z uśmiechem Emryss. - Szykuje się wesele.

- Naprawdę? Czyje?

- Moje!

- W takim razie przyjmij serdeczne powinszowania, panie - oznajmił Rhys, gdy ochłonał ze zdumienia. - Kto jest szczęśliwą wybranką?

- Dostojna Roanna Westercott.

Rhys pobladł i odchrząknął nerwowo.

- Kiedy wesele?

- Za dwa dni, więc muszę się upewnić, że dostanę od ciebie dwieście sztuk srebra i dwadzieścia sztuk złota.

- Dwieście... - Rhys nie był w stanie wydobyć głosu. - Ależ panie!

- Zbierzesz taką sumę?

- Moment, niech podsumuję. Po odliczeniu wytargowanej kwoty wydałem dziś pięćdziesiąt sztuk srebra na kamień. niewiele zostało w skarbcu, panie, więc przed żniwami nie zbiorę potrzebnej...

- Sprzedaj to - przerwał Emryss, sięgając do noszonego na piersi małego skórzanego woreczka. Pokazał zawartość Rhysowi. Zarządca zrobił wielkie oczy, widząc spory krzyżyk wysadzany drogimi kamieniami, które na tle ciemnego drewna stołu mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

- Nie mogę, panie. To jest pamiątka po twojej ukochanej matce.

- Sprzedaj.

- Jak sobie życzysz, panie. - Rhys ostrożnie wziął krzyżyk.
- Dzięki, przyjacielu.

Gdy zarządca szedł wolno ku drzwiom, Emryss chwycił pusty woreczek i z ciężkim westchnieniem wsunął go za pazuchę.

Następnego ranka po mszy Roanna biegła przez dziedziniec. Na jej widok rzemieślnicy odkładali narzędzia i z uśmiechem tręcali się łokciami, ale nie zwracała na nich uwagi. Była przygotowana na takie zachowanie, bo czegoż mogła się spodziewać po tym, jak Emryss ogłosił, że wnet się pobiorą.

Poprzedniego wieczoru, gdy półmiski z jedzeniem zostały uprzątnięte ze stołu, nagle wstał i zaczął mówić donośnym basem. Wszyscy słuchali uważnie wygłaszanego po walijsku przemówienia, a potem zaczęli wznosić radosne okrzyki. Wówczas Emryss objął mocno Roannę i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Nim doszła do siebie po niespodziewanej demonstracji uczuć, kobiety i mężczyźni podbiegli do nich, radośnie klepiąc Emryssa po plecach. Wobec niej zachowywali się powściągliwiej, składając tylko serdeczne powinszowania.

Ale nie wszyscy byli tak radosni - wśród nich Gwilym, który pozostał na uboczu. Roanna dziwiła się, że tylko on tak jawnie okazał niezadowolenie. Zdawała sobie sprawę, że to małżeństwo wzbudzi gniew Cynrika i jego ojca. Mieszkańcy Craig Fawr z pewnością musieli brać to pod uwagę. Tymczasem nawet Mamaeth była szczerze uradowana. Czy ci ludzie uważają się za niepokonanych?

Gdy stała obok swego przyszłego męża, zrozumiała, czemu tak się dzieje. Otaczała go aura zwycięzcy. W jego obecności sama także czuła się bezpieczna.

Zastanawiała się, co go skłoniło do oświadczyn? Miała wrażenie, że kościelną ceremonię traktuje nie tyle jak ślub, co raczej jak oficjalne potwierdzenie korzystnego przymierza. Ani słowem nie wspomniał o miłości albo innych uczuciach. Z drugiej strony jednak Roanna bez wątpienia skorzysta na tym małżeństwie, ponieważ będzie bezpieczna. Może z czasem Emryss ją pokocha? Z pewnością każda kobieta chciałaby zostać jego wybranką.

Tego wieczoru wcześniej opuściła salę biesiadną i pobiegła do sypialni, choć wielu biesiadników siedziało jeszcze przy stołach, jedząc smaczny chleb i sącząc piwo. Gdy otworzyła drzwi, zdawało jej się, że pomyliła sypialną komnatę z warsztatem krawieckim. Bele materiału, szpulki nici, igły i nożyczki leżały wszędzie - nawet na wielkim łóżku, z którego zdjęto pościel, zostawiając jedynie puchowy piernat. Skrzynia Emryssa była szeroko otwarta i pusta.

Zewsząd otoczył Roannę rój kobiet, zanim zamknęła za sobą drzwi. Po zdawkowych przeprosinach zaczęły nią obracać, najwyraźniej biorąc miarę. Spoglądała bezradnie na twarze, które widywała w sali biesiadnej, ale nie potrafiła przypomnieć sobie imion. Nagle spostrzegła Bronwyn niosącą belę lnianego płótna. Zawołała głośno, a dziewczyna podbiegła z uśmiechem i powiedziała:

- Zdejmij suknię, pani, bardzo proszę.
- Ależ Bronwyn...
- Przestańcie tak paplać, wy głupie gąski. - Mamaeth przecisnęła się przez gromadkę kobiet. - Dlaczego pani Roanna jeszcze w sukni? Jak ma przymierzyć nowy strój, skoro nie zdjęła starego?

Roanna zdawała sobie sprawę, że nie warto się spierać. Nie-

chętnie ściągnęła sukienkę przez głowę. Służebne chichotały i szeptały coś do siebie po walijsku. Mamaeth wzięła się pod boki, stanęła przodem do nich i popatrzyła tak groźnie, że wszystkie umilkły.

- Wybacz im, dostojna pani - rzekła przyciszonym głosem.  
- Nie potrafią się odpowiednio zachować. - Przeszła znowu na walijski, a Roannie zrobiło się przykro, że przez nią dziewczęta dostały burę.

- Przestańcie o niej plotkować - zakończyła swoją przemowę Mamaeth. - Same widzicie, że jej biodra nadają się do rodzenia dzieci. Piersi są małe, ale ją odkarmimy, to się powiększą. Figurę ma ładną, a poza tym nie zapominajcie, że jemu się podoba. Bądźcie cicho i bierzcie się do roboty. - Po chwili wahania mrugnęła do nich porozumiewawczo i dodała: - Zmarszczcie karczek, żeby piersi wyglądały na pełniejsze, by pan na Craig Fawr nie musiał się za nią wstydzić.

Roanna zorientowała się, że Bronwyn tęsknym wzrokiem spogląda na cienką błękitną wełnę.

- Chciałabym, żebyś wzięła sobie tę tkaninę - powiedziała, wskazując sztukę materiału.

- Nie, pani, to niemożliwe. To wszystko dla ciebie. Co by powiedział jego wielmożność, gdybym przyjęła taki prezent.

- Zniszczyłam twoją suknię, więc godzi się, żebyś dostała coś w zamian. Może zdążysz uszyć sobie nowy strój na moje wesele. Będę uradowana, jeśli przyjmiesz materiał jako dowód wdzięczności za twoje starania.

Bronwyn spojrzała na nią z niedowierzaniem, a potem zerknęła na Mamaeth, która powiedziała z roztargnieniem:

- Piękna wełna. Od razu wiadomo, że jakaś nieszczęśnica wiele godzin spędziła przy warsztacie tkackim.

- Życzę sobie, żebyś przyjęła materiał - zaczęła niewinnie Roanna. - W tym odcieniu błękitu jest ci do twarzy. Wszyscy zobaczą nareszcie, jaka jesteś śliczna.

Trafiła w dziesiątkę! Bronwyn wstydliwie kiwnęła głową, sięgnęła po niebieską wełnę i pogłaskała ją opuszkami palców. Roanna czekała, co powie Mamaeth.

- Ruszajcie do swojej roboty. - To wszystko, co usłyszała. Kobiety odsunęły się, żeby ją przepuścić, gdy przeszła w głąb sypialni. Na wszystkich twarzach widziała nieśmiałe uśmiechy.

Służebne w pośpiechu kroili tkaninę, fastrygowały, przymierzaly, pruły i znów wołały ją do miary. Jedna szyła rękawy, druga spódnicę, trzecia karczek. Roanna nie miała ani chwili spokoju, tyle było pracy z dopasowaniem sukni, żeby leżała idealnie.

Gdy znalazła wreszcie sposobność, aby zapytać, czemu na wielkim łożu nie ma pościeli, od razu stało się jasne, że nie powinna była zadawać tego pytania.

- Dostaniecie nowiutką, żeby wam się szczęściło. Wietrzy-my piernaty i futrzaną narzutę - odparła Mamaeth z chytrą miną. - Trzeba się wiele natrudzić, żeby uszyć takie wielkie prześcieradła. Niech mi kto powie, po co zadawać sobie tyle trudu, skoro pewnie i tak zrzucicie je na podłogę.

Bronwyn zachichotała, a Roanna sięgnęła po sfastrygowaną koszulę i energicznie zabrała się do szycia. Powinna skupić się na jednym zajęciu i opanować gonitwę myśli. Bronwyn zaczęła szeptać, a kobiety zatykały sobie usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Ach, wy okrutnice! - krzyknęła Mamaeth z udawaną zgrozą. - Jestem pewna, że pierwszej nocy da jej chwilę oddechu!

Roanna z obawą popatrzyła na zwój płótna leżący na jej

kolanach. Te kobiety uznały za oczywiste, że doskonale wie, co ją czeka w noc poślubną. Myliły się, ponieważ w tych sprawach była ignorantka. Cała jej wiedza o sekretach małżeńskiej alkowy to oderwane uwagi, podsłuchane w kobiecych komnatach zamku stryja. Niewiele ich było. Domyślała się tylko, że czeka ją miłe przeżycie, a przyjemnych wrażeń będzie więcej, jeśli małżonkowie zdejmą ubrania. Z drugiej strony jednak pewna służąca o dość swobodnych obyczajach twierdziła, że strój nie stanowi przeszkody, a nawet bywa dodatkową atrakcją. Rzecz jasna, Roanna zdawała sobie sprawę, że tamta dziewczyna wszystkich bez różnicy chętnie darzyła swoimi łaskami.

Kobiety gawędziły cicho, a walijskie słowa brzmiały jak muzyka. Igły i języki poruszały się równie szybko. Roanna z niezadowolaniem stwierdziła, że za nimi nie nadaża. Czuła się znużona... pewnie dlatego, że w komnacie zrobiło się duszno.

Znowu usłyszała radosny chichot, więc spojrzała na Mamaeth, prosząc o wyjaśnienie.

- Powinny się wstydzić, pani. Wyobraź sobie, próbują zgadnąć, co on zrobi najpierw! - Mamaeth wcale nie była zawstydzona i najwyraźniej doskonale się bawiła.

- A zatem, moja droga - powiedziała Roanna, starając się zachować spokój - do jakich doszły wniosków. Co najpierw?

Kobiety pochyliły głowy nad robotą, a Mamaeth uniosła brwi i spoglądała na nią przez chwilę.

- Muszę cię ostrzec, pani. Zawsze był niecierpliwy i taki pozostał.

- Mam rozumieć, że lepiej się spieszyć?

Kobiety jedna po drugiej wybuchaly śmiechem. Roanna rozpromieniła się, bo nagle pojęła, że wszystkie rozumieją jej mo-

wę. To cudowne uczucie śmiać się razem i żartować. Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że nareszcie znalazła swój dom.

Przez cały następny dzień radość jej nie opuszczała. Walijskie kobiety odzywały się coraz swobodniej, i to w języku Normanów. Dopiero gdy podczas wieczerzy siedziała obok Emrysa, poczuła się znów osamotniona, jakby nie pasowała do tego świata. W końcu odważyła się zapytać, skąd jego poddani nauczyli się jej mowy.

- Trzeba znać język wrogów - odparł szorstko. Urażona milczała przez cały wieczór. Wymknęła się z sali, ledwie kolacja dobiegła końca, i poszła odwiedzić Jacques'a. Wyglądał znacznie lepiej i podniósł się bez trudu, gdy przycupnęła na posłaniu.

- Ach, koteczku - zawołał - słyszałem, że wychodzisz za mąż, a pan młody ze wszech miar na ciebie zasługuje! - Roanna uśmiechnęła się lekko. Szkoda, że zamiast skakać z radości powątpiewa w sens własnej decyzji. - Co ci jest, dziecinco? Powinnaś śpiewać i tańczyć ze szczęścia! Ten DeLanyea to wspaniały mężczyzna, czego nie można powiedzieć o jego kuzynie.

- Ja... Wcale nie jestem pewna, czy postąpiłam słusznie, zgadzając się na ślub. - Mocno zarumieniona Roanna wpatrywała się z uporem w swoje dłonie leżące na kolanach. Chciała wyznać, co naprawdę czuje, ale nie mogła przełamać oporów. Nie była skłonna do zwierzeń. Westchnęła głęboko i popatrzyła na serdecznego przyjaciela.

- Sądysz, że mam prawo narażać tych ludzi na gniew i zemstę barona? Dostojny pan DeLanyea nie boi się jego odwetu. Chciałabym mieć taką pewność, ale wątpliwości nie dają mi spokoju.

- Pani, miałaś trudne życie i nie zaznałaś w nim szczęścia - po-

wiedział Jacques, wyciągając ogromną rękę i ujmując jej drobną dłoń. - Teraz otwiera się przed tobą wspaniała przyszłość. - Zaciśnął mocniej palce. - Przyjmij ją i ciesz się tym darem.

Roanna pragnęła mu wierzyć, ale nie umiała przyjąć do wiadomości, że jej wybór będzie miał wpływ jedynie na jej los oraz na przyszłość mężczyzny, którego zamierzała poślubić, natomiast jego włości i żyjący w nich poddani wcale nie ucierpią.

- Tak, dziecinko, będziemy szczęśliwi! - Puścił jej rękę i opadł na poduszki. Widząc jego rozanieloną twarz, Roanna postanowiła zachować dla siebie wahania i wątpliwości.

Jacques długo opowiadał o przysmakach, które zamierzał przygotować na ucztę weselną. W końcu Roanna, znużona rozmową i ślubnymi przygotowaniem, uznała, że pora się żegnać.

- Bez obaw, koteczku. - Jacques poklepał czule jej dłoń i uśmiechnął się serdecznie. - Zaufaj mi.

W milczeniu kiwnęła głową.

Wyszła z izby i ruszyła do sali biesiadnej, gdzie większość mężczyzn z Craig Fawr raczyła się piwem, wznosząc toasty na cześć pana młodego. Roanna przemknęła wzdłuż ściany i nie zauważona pobiegła schodami na górę. Zamknęła się w komnacie, ale i tam dochodziły głośne, buńczuczne pokrzykiwania. Wkrótce biesiadnicy zaczęli śpiewać z wielkim zapałem.

Jutro nie da mi zasnąć, pomyślała Roanna, wspominając żartobliwą uwagę Bronwyn. Łóżko było znów obleczone starą pościelą, więc zdjęła suknię, wsunęła się pod kołdrę i naciągnęła ją na głowę. Mimo woli nadstawiła ucha, próbując z biesiadnego zgiełku wyłowić głos Emryssa. Kiedy przymknęła powieki, stanął jej przed oczyma półnagi jak wtedy, gdy ćwiczył się w walce na miecze.

Mężczyźni przycichli dopiero na ranem, gdy niebo na

wschodzie poróżnowiało. Roanna wstała z pościeli, okryła się futrzaną narzutą i podeszła do okna, żeby podziwiać wschód słońca. Ileż takich poranków minęło od śmierci rodziców? Codziennie czekała, aż złocista kula obudzi się ze snu. Była tak osamotniona i spragniona miłości, że czerpała pociechę z osobliwego marzenia: udawała, jakoby słońce wstawało jedynie po to, żeby ją ogrzać, a zapierająca dech w piersiach parada barw na poranym niebie ma jej sprawić przyjemność.

Emryss był jak słońce. Błyskotliwy i odważny, zstąpił raz w ciemną otchłań, ale wydobył się z niej, aby wrócić do ukochanej krainy.

Co by o nim powiedział jej ojciec? Podziwiałby jego bitewne umiejętności i byłby pod wrażeniem ogromnej woli przetrwania. Często ostrzegał, żeby uważała na ludzi naznaczonych szramami, ponieważ to oznaka nieustępliwości. Człowiek z blizną nie przyjmie do wiadomości porażki.

A inne cechy i umiejętności Emryssa? Ojciec Roanny z pewnością nie byłby zachwycony śpiewem i grą na harfie, nie licującymi z godnością rycerza i wielmoży. Musiała przyznać uczciwie, że i bezpośredniość Emryssa wobec poddanych zostałaby pewnie uznana za naganną.

Czy ludzie mniej go szanowali, bo się ponad nich nie wynosił? Dawniej przyznałaby rację ojcu, ponieważ sądziła, że człowiek skłonny do śmiechu i żartów niczym zwykły piechur nie może być dobrym dowódcą. Teraz wiedziała jednak, że nie zawsze tak bywa. Ludzie Emryssa byli do niego szczerze przywiązani i poszliby za nim w ogień. Czy to nie jest dowód najwyższego szacunku?

Spojrzała w głąb zamglonej doliny, na którą słońce rzucało już pradawny czar, wydobywając z mroku plamy zieleni i złote

łany dojrzewających zbóż. Jaka piękna kraina! Rodzinne strony Emryssa -jego dom. Roanna zrozumiała, czemu tak ukochał tę ziemię.

Usłyszała natarczywe pukanie do drzwi i odwróciła się natychmiast. Do komnaty weszła Mamaeth, a za nią Bronwyn niosąca wielką balię. Deptały jej po piętach inne kobiety, każda z tobołkiem albo zawiniątkiem.

- Zapowiada się piękny dzień. Stary Daffyd mówi, że dzisiaj nie będzie deszczu, a on przez dwadzieścia lat ani razu się nie pomylił.

Służebne najpierw przygotowały jej wonną kąpiel, a potem umyły włosy pachnącym ziołowym wywarem. Mamaeth sięgnęła po buteleczkę olejku, którym natarła jej skórę, a Bronwyn tak długo szcztokowała czarne pukle, aż nabrały jedwabistej gładkości i połysku. Roanna włożyła nowiutką białą koszulę z płótna tak cienkiego, że było niemal przezroczyste. Potem ubrano ją w proste białe gieszło z tkaniny, której dotąd nie знаła. Kobiety zebrały je tu i ówdzie, dopasowując do szczupłej figury tak, by rozszerzało się na biodrach.

- To jedwab - wyjaśniła Mamaeth, gdy Roanna podziwiała lekkość tkaniny. - Przywieziony ze Wschodu. Emryss chciał go dać matce w prezencie, a teraz przeznaczyl dla ciebie.

Roanna musnęła dłonią niezwyklej strój, a tymczasem podeszła do niej Bronwyn niosąca ciemnoczerwoną suknię wierzchnią, uszytą z cieniutkiej wełny, przy dekolcie i szerokich mankietach ozdobioną przez pilne szwaczki złocistymi lamówkami. Mamaeth i Bronwyn ubrały w nią pannę młodą i starannie ułożyły fałdy długiej spódnicy. Strój leżał jak ulał, podkreślając biodra i piersi, a wycięcie nie było ani zbyt śmiałe, ani przesadnie skromne. Bronwyn wplotła w długie czarne włosy złotą

wstążkę, na koniec Mamaeth otoczyła talię Roanny pasem z miękkiej skóry ozdobionym złotymi kółkami. Zapięła go i cofnęła się, żeby popatrzeć na oblubienicę.

- Słowo daję, jesteś śliczna.

Roanna ucieszyła się z tej pochwały. Uśmiechnięta Bronwyn w milczeniu sięgnęła po wypolerowany do blasku metalowy dzban, w którym służebne przyniosły gorącą wodę na kąpiel.

- To nie zwierciadło, ale można się przejrzeć.

Obraz był zniekształcony. Ujrzała pannę o poważnej twarzy, lśniących włosach i zarumienionych policzkach, ślicznie ubraną, lecz niezbyt urodziwą. Mamaeth z dobroci serca schlebiała jej próżności.

- Teraz my idziemy się stroić, pani. Do południa jeszcze sporo czasu, ale musimy się pospieszyć.

Kobiety opuściły komnatę. Niedługo południe. Wszyscy ruszą wtedy do kaplicy.

Roanna nie odważyła się usiąść z obawy, że pogniecie nową suknię. Zbliżyła się do okna. Z okazji ślubu i wesela prace budowlane ustały, a rzemieślnicy mieli wolne. Nadstawiła ucha i z kuchni dobiegł ją tubalny głos Jacques'a, który był w swoim żywiole i zapewne nie szczędził szturchańców opieszałym kuchcikom. Usłyszała tętent kopyt i zerknęła na drogę wiodącą do twierdzy. W bramę wjechali dwaj rycerze w kolczugach pod zwykłymi czarnymi tunikami.

- Najmocniej przepraszam, dostojna pani.

Roanna odwróciła się i ujrzała Bronwyn w nowej niebieskiej sukni. Dziewczyna szyła zapewne przez całą noc, żeby ją skończyć na czas, ale rezultat wart był takich starań.

- Tak?

Bronwyn zacisnęła dłonie i uśmiechnęła się niepewnie.

- Czy wszystko... Ty, pani... Chciałam powiedzieć, że Mamaeth kazała sprawdzić, czy jesteś, pani, gotowa do ślubu.

- Tak. Śliczna sukienka - odparła, ale Bronwyn zamiast się uśmiechnąć, nagle spowaźniała. - Co się stało? - zapytała Roanna.

- Nic, pani - odparła skwapliwie Bronwyn. Czemu tak spieszenie zaprzeczyła?

Roanna ominęła zakłopotaną dziewczynę, zbiegła po schodach i wypadła na dziedziniec. Cynrik DeLanyea i Urien Fitzroy czekali na samym środku, nie zsiadając z koni. Pierwszy uśmiechnął się lekko, gdy ujrzał Roannę.

- Pięknie wyglądasz, pani - rzekł, zeskakując na kamienne płyty. - Do twarzy ci w tej walijskiej sukni.

Wieści szybko się rozchodzą i dlatego wokół jeźdźców zaczęło powstawać zbiegowisko. Gapiów ciągle przybywało. Nagle drzwi budynku, gdzie Mamaeth kurowała Jacques'a, otworzyły się z trzaskiem i wybiegł z nich Emryss. Miał na sobie długą tunikę z czarnej wełny, ozdobioną złotymi taśmami i sięgającą cholewek butów wykonanych z miękkiej skóry. Wystawała spod niej śnieżnobiała koszula. Zatrzymał się kilka kroków przed Cynrikiem, założył, ramiona na piersi i niepostrzeżenie przeniósł ciężar ciała na prawą nogę.

- Czego chcesz? - zapytał dźwięcznym głosem, przerywając nagłą ciszę. Cynrik najpierw obdarzył Roannę promiennym uśmiechem, a potem zwrócił się do Emryssa.

- Uznałem za swój obowiązek zawiadomić cię, kuzynie, że twój stryj zachorował i prawdopodobnie jest umierający.

Roanna wiedziała, że Cynrik nie dba o swego ojca, ale zmroził ją rzeczowy ton-

- Wielkie dzięki, kuzynie - odparł z naciskiem Emryss, przedrzeźniając krewnego. - A teraz wynoś się z mojej ziemi.

- Proszę, proszę, cóż za fatalne maniery! Czy można tak się zwracać do członka rodziny przynoszącego ważną wiadomość? Sama widzisz, pani, na kogo wyrasta człowiek wychowany między Walińczykami. - Roanna słuchała go z kamienną twarzą, więc podszedł bliżej. - Szkoda, że twój stryj nie zadbał o to, żeby ci sprawić odpowiednie ubranie. Gdybym cię pierwszy raz zobaczył w innym stroju, z pewnością nie byłbym taki opryskliwy. Czy zechcesz mi wybaczyć, że wtedy dostrzegłem tylko lichy przyodziewek i nie zwróciłem uwagi na piękną kobietę, która go miała na sobie?

- Tracisz czas, udając, że oszalałeś z miłości do mojej żony.  
- Emryss roześmiał się szyderczo.

- Coś rzekł? - Cynrik odwrócił się natychmiast i stanął z nim twarzą w twarz. Zagniewany sięgnął do rękojeści miecza, ale gdy spojrział na Roannę, w oczach miał tylko smutek. - A więc przybyłem za późno?

- Jeszcze nie jesteśmy małżeństwem - odparła Roanna, zdziwiona tym nagłym przejawem szczerości.

- Roanno - zaczął, spoglądając na nią z błyskiem w oku. Jego głos zabrzmiał niemal błagalnie. - Ja... do tej pory zachowywałem się karygodnie, ale teraz za to przepraszam i pokornie proszę, żebyś wróciła ze mną do Beaufort. - Ujął jej dłoń. - Przeszłość będzie zapomniana i pobierzemy się, jak było umówione. Teraz pragnę tego całym sercem.

Emryss podszedł bliżej, wyrwał jej dłoń z ręki Cynrika i splótł palce, zaciskając je mocno. Stanowczym gestem uwolnił dłoń i cofnęła się o krok. Dwaj mężczyźni długo patrzyli na siebie z nienawiścią, a potem zwrócili się ku niej.

- Masz prawo postąpić wedle swego życzenia, Roanno. Decyduj, czy chcesz odjechać, czy zostać. Sama musisz do-

konać wyboru - powiedział szorstko Emryss. Staął na szeroko rozstawionych nogach, założył ramiona na piersi i patrzył spode łba, jakby nagle stało mu się obojętne, jaka będzie jej decyzja.

- Proszę, Roanno! - Cynrik błagalnie złożył ręce. - Daj mi jeszcze jedną szansę. Zaklinam, nie odtrącaj mnie!

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Roanna nie dała wiary słowom Cynrika, świadoma, że ją zwodzi. Bez słowa podeszła do Emrysa, ujęła jego dłoń i popatrzyła z uśmiechem w ponurą twarz. Ogarnęła ją szalona radość, bo wyczytała z niej bezmiar uczuć i upewniła się, że choć ukochany zachowuje pozorną obojętność, bardzo mu na niej zależy. Odwróciła się do Cynrika i powiedziała cicho:

- Odejdź z naszej ziemi.
  - Mam nadzieję, moja droga, że nie będziesz tego żałować
- rzekł, wsiadając pospiesznie na swego wierzchowca. Galopem ruszył do bramy, Fitzroy ruszył jego śladem.

Roanna zerknęła na Emryssa w nadziei, że znów ujrzy na jego twarzy ten cudowny wyraz świadczący o wielkim uczuciu i nagle znalazła się w jego objęciach. Z całej siły przytulił ją do piersi.

- Kocham cię, Roanno - szepnął. Jakże mizerną nagrodą było tamto promienne spojrzenie, skoro teraz została obdarowana hojniej, niż mogła się spodziewać.

- Jezus Maria, Józefie Święty! Co się tak gapiacie! Szkoda czasu! - zawołała nagle oburzona Mamaeth. - Weźcie ten ślub!

Weselni goście ławą ruszyli w stronę murów. Emryss chwycił dłoń Roanny i pomaszerował ku bramie, a potem drogą do miasteczka i drewnianej kaplicy. Panna młoda prawie biegła, żeby dotrzymać mu kroku. Nagle przystanęła, ryzykując wyrwanie ręki ze stawu.

- Nie zgadzam się, żebyś na mój własny ślub włókł mnie niczym krnąbrną oślicę - oznajmiła, dysząc ciężko. Emryss odwrócił się i zdziwiony uniósł brwi, jakby nie zdawał sobie sprawy, że tak pędzi.

- *Twt ei gywilydd!* Jak mu nie wstyd! - zawołała Mamaeth do idącego za nią tłumu. - Zamiast iść spokojnie, pędzi do kaplicy co sił w nogach! Tak mu spieszno! Mało której kobiecie trafia się tak niecierpliwego oblubieniec!

Zarumieniona Roanna popatrzyła na Emryssa, który posłusznie usiłował zapanować nad popędliwością i nosić się godnie, jak na wielmożę przystało. Gdy wziął ją pod rękę i ruszył znowu do kaplicy, wyraźnie zwolnił.

Spłoszony ksiądz Robelard czekał na stopniach ołtarza. Gdy stanęli przed nim nowożeńcy, lekko skłonił głowę. Roannie żal się zrobiło biedaka, który z pewnością pragnął być daleko stąd. Trzeba zadbać, aby nie ucierpiał tylko dlatego, że pobłogosławił ich związek.

- Dostojna Roanno Westercott - zaczął duchowny, kręcąc w palcach sznur habitu. - Nim rozpoczniemy ceremonię, zmuszony jestem zapytać cię, czy w pełni świadomie, z własnej i nieprzymuszonej woli, chcesz się związać z tym oto mężczyzną aż po kres swych dni?

- Tak.

Ksiądz Robelard kiwnął głową.

- Dostojny panie DeLanyea, czy bierzesz sobie tę kobietę za małżonkę, by dzielić się z nią wszystkim, co posiadasz, i trwać przy niej, póki śmierć was nie rozłączy?

- Tak. Masz na to moje słowo. - Emryss sięgnął po małą obrączkę, ujął dłoń Roanny, wsunął złote kółko na czubek jej serdecznego palca i czekał, aż ksiądz znowu się odezwie.

- W imię Ojca...

Obrączka przesunęła się za pierwszy staw.

- .. i Syna...

Złote kółko ześlizgnęło się jeszcze niżej. Duchowny wypowiedział ostatnie słowa z taką miną, jakby lada chwila miał paść zemdlony.

- .. i Ducha Świętego. Ogłaszam was mężem i żoną.

- Teraz powinniśmy się pocałować - szepnął Emryss.

Roanna spojrzała na niego z rozpromienioną twarzą.

Pocałunek był niemal braterski. Nic dziwnego; otaczał ich przecież tłum gapiów, którzy szemrali zawiedzeni. Emryss wzruszył ramionami i uśmiechnął się przepaszająco. Nagle przyciągnął ją do siebie, mocno objął w talii i śmieiej dotknął wargami jej ust.

- To ma być całus? - zawołał ktoś z jego poddanych.

Ośmielona radością, Roanna postanowiła sama podjąć wyzwanie. Położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała zachłannie. Zdumiony wstrzymał oddech, gdy czubkiem języka dotknęła jego ciepłych, wilgotnych ust.

- Wiosną będą mieli dziecko! - Okrzyk Mamaeth i radosny śmiech sprawiły, że Roanna wróciła do rzeczywistości. Tłum wiwatował długo na cześć nowożeńców, a potem ksiądz Robelard odprawił uroczystą mszę.

Roanna, wyprostowana jak struna, klęczała obok Emryssa, a spojrzenie utkwiała w ołtarzu, lecz mimo woli raz po raz zerkała w bok... na męża. Odświętne ubranie bardzo go zmieniło. Wydawał się poważniejszy, wyniosły - krótko mówiąc: prawdziwy wielmoża.

Ksiądz Robelard podszedł do młodej pary, żeby udzielić komunii, ale nim sięgnął po biały krążek, Emryss pokręcił głową.

Duchowny znieruchomiał, wyraźnie zbity z tropu, i szybko zwrócił się ku Roannie.

Gdy uroczystość dobiegła końca, wierni szybko opuścili kaplicę i ruszyli pod górę, ku zamkowi, cisnąc się wokół małżonków, aby im złożyć powinszowania i życzyć szczęścia. Roanna słyszała nieustannie żartobliwe uwagi dotyczące *amobr*. Zastanawiała się, co oznaczają, zwłaszcza że na jej wycucie chodziło o pieniądze. W innych okolicznościach pewnie wzbraniałaby się przed takim pytaniem, ale gdy wspinała się po zboczu otoczona szczęśliwym i pełnym życzliwości tłumem, w końcu nabrała śmiałości.

- Emryss... - Gdy spojrzał na nią z uśmiechem, omal nie zapomniała, o co chce zapytać. - Co to jest *amobr*?

- To jakby okup za pannę młodą. - Zaskoczył ją rumieniec na jego twarzy.

- Czyli za twoje dziewictwo - wtrąciła Mamaeth, jak zawsze szczerą i prawdomówną. - Trzeba przyznać, że to kawał grosza.

Roanna stanęła w pałaszach, ale zrobiła taką minę, jakby codziennie gawędziła pogodnie na temat własnego panieństwa.

Gdy weszli do sali biesiadnej, wszystko było gotowe. Stannie zamiecioną kamienną podłogę posypano świeżym sitem pomieszanym z wonnymi ziołami. W ogromnym pomieszczeniu stanęły dodatkowe stoły, a Roanna nie mogła uwierzyć, że tyle się ich zmieściło. Nakryte zostały białymi obrusami i przystrojone barwnym kwieciami. Emryss wziął ją za rękę i poprowadził na podwyższenie. Gdy szczupłe palce objęły jej dłoń, poczuła ich siłę i ciepło. Mimo woli drżała pod wpływem tej bliskości, brakowało jej tchu, a krew pulsowała coraz szybciej.

Gdy stanęli obok krzesel, Emryss uniósł dłoń, prosząc o ciszę, a potem zaczął mówić po walijsku. Nie rozumiała słów,

więc zaczęła rozglądać się po sali. Jacques wypełnił już wszystkie swoje obowiązki i lada chwila miał usiąść przy stole umieszczonym tuż obok podwyższenia. Cieszyła się, że spotkał go taki zaszczyt, z reguły niedostępny kucharzom. Na krawędzi podium balansował niebezpiecznie ksiądz Robelard, który związał na mniszym sznurze tyle supłów, że Roannie wydawało się niemożliwe, by kiedykolwiek zdołał się z nimi uporać. Ma-maeth, przejęta jak rycerz przed bitwą, stała u wejścia do kuchennego korytarza, a jej małe oczka śledziły wszystko. Zza jej ramienia wyglądała Bronwyn, ubrana w nową suknię podkreślającą wspaniałą figurę. Roanna obserwowała ją z zadowoleniem i doszła do wniosku, że jeśli Gwilym dziś nie zwróci uwagi na tę śliczną pannę, należy uznać go za głupca.

Na wesele przybyła cała okoliczna ludność. Nawet mały Hu siedział przy odległym stole. Wszyscy z uwagą słuchali przemawiającego Emryssa. Roanna z cichym westchnieniem uznała, że w tak uroczystym momencie wszyscy mają prawo oczekiwać przemowy w ojczystym języku, chociaż wiedzą, że panna młoda nic z tego nie rozumie.

Popatrzyła na twarz ukochanego. W sali biesiadnej uspokoił się wreszcie i odprężył. Był znowu sobą, natomiast w kaplicy miała chwilami wrażenie, że klęczy u boku obcego człowieka. Gdy wypowiadał melodyjne walijskie słowa, obserwowała uważnie jego pełne wargi. Wspominała cudowne pocałunki, które przyprawiały ją o zawrót głowy, zaciskając dłonie spoczywające na kolanach, i mimo woli zaczęła sobie wyobrażać, jakich wkrótce dozna rozkoszy.

- *Cymru am byth!* - powiedział w końcu Emryss, wzniosł puchar i spełnił toast. Gdy wszyscy usiedli, pochylił się w jej stronę. - Za Walię! Teraz jesteś przypisana do tej krainy.

- Zdrowia, długiego życia i dziedzica życzymy panu na Craig Fawr! - zawołał Rhys, wstając i unosząc w górę kielich.

Emryss odpowiedział, spoglądając znacząco na Roannę. Poczuli się urażona, gdy goście wybuchnęli śmiechem. Nie życzyła sobie, aby publicznie żartował na temat ich pierwszej nocy, a poza tym obawiała się, że Emryss będzie kpił z jej niewiedzy.

Służebne podeszły, żeby napełnić kielichy i rozpoczęła się weselna uczta. Potrawy były wyborne, a Roanna od razu wyczuła, że Jacques doprawiał je po swojemu, lecz jadła bez apetytu. Ilekroć sięgała po jakiś przysmak, Emryss także wyciągał rękę, jakby się umówili. Gdy raz musnął jej dłoń, zaczęła drżeć i wylała trochę wina.

Emryss nie zauważył chyba jej zmieszania. Żartował z Gwilymem, który siedział po jego lewej ręce, ale rzadko się odzywał, jakby on jeden zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo ślub może ściągnąć na Craig Fawr. Roanna miała nadzieję, że ten ponurak nie zamąci dzisiaj ich szczęścia i obiecała sobie w duchu, że uczyni wszystko, aby nabrał pewności, że są po tej samej stronie.

Uczta trwała przez całe popołudnie. O zachodzie słońca wniesiono ciasta. Roanna z niedowierzaniem podziwiała apetyty biesiadników pochłaniających góry jedzenia i miała nadzieję, że podczas długich zimowych miesięcy nie będą musieli głodować, pokutując za dzisiejsze obżarstwo.

Nagle usłyszała, że Gwilym zagaduje Bronwyn. Uniosła wzrok i ucieszyła się, bo patrzył na zarumienioną pannę tak, jakby ją ujrzał po raz pierwszy w życiu.

- Pochorowałaś się czy co? - zapytał cicho Emryss, a Roanna zadrżała i utkwiała spojrzenie w białym płótnie okrywającym stół. - Podoba ci się ten obrus? - Roanna w milczeniu po-

kręciła głową, ponieważ bała się, że Emryss usłyszy jej drżący głos. - Bronwyn ładnie wygląda w nowej sukience. Mamaeth powiedziała, że to twoja zasługa. - Jedyłą odpowiedzią było kiwnięcie głową. - Na Boga, kobieto! Wiem, żeś małowówna, ale chyba nie poślubiłem niemowy!

- Nie, panie.

- Dobrze. - Zachichotał cicho. - Trzeba mieć na oku tych dwoje, bo tak na siebie patrzą, że zanosi się na *caru yn y qwely*. - Gdy napotkał jej zdziwione spojrzenie, dodał roześmiany: - Zaloty w łóżnicy. Nie bądź taka przerażona! Walijczycy podchodzą do spraw miłości... znacznie bardziej naturalnie. Kiedy dwoje ludzi się kocha, powinni to sobie okazywać.

- Takie rzeczy są... niewłaściwe. - Roannie zrobiło się gorąco. - Poza tym to dziewczyna cierpi, gdy oczekuje dziecka.

- Nie u nas. Czy wyjdzie za męża, czy nie, dostaje *amobr*, a potomstwo zachowuje wszelkie prawa. Chyba przyznasz, że tak się należy. Dziecko nie prosiło się samo na ten świat, więc zasługuje na dobre traktowanie. - Roanna wierciła się niespokojnie. Nie mogła zaprzeczyć, że jego słowa brzmią sensownie, ale chętnie skończyłaby tę rozmowę. Niestety, w głowie miała pustkę i daremnie szukała bezpiecznego tematu, a Emryss tłumaczył dalej: - Weźmy Gwilyma. Normanowie nazwaliby go bękartem, bo jest nieślubnym synem najlepszego przyjaciela mego ojca, który przysłał go do nas na wychowanie. Dla moich rodziców był przybranym synem, ale po ojcu nie dostanie żadnego spadku, choć to najstarszy syn.

- Niemożliwe! Mam na myśli dziedziczenie.

- Tam nie zyska ani miedziaka, ale za to dostanie Craig Fawr.

- O ile nie będziesz miał synów - dodała bez namysłu. Z ła-

godnym uśmiechem popatrzył jej w twarz. Nagle usłyszeli głos Gwilyma. Emryss odwrócił głowę, a Roanna wypuściła nareszcie powietrze z płuc. Emryss patrzył na nią tak dziwnie, jakby coś ukrywał. Zwykle młody małżonek pragnie mieć dziedzica, a tymczasem z jego miny można było wywnioskować, że wątpi, by został ojcem. Może sądził, że ona nie uzna męzkowskich praw? Bezpodstawnie, skoro robiło jej się gorąco na samą myśl, że wkrótce razem spoczną w wielkim łozu. Nie była w stanie niczego mu odmówić.

A jeśli uznał ją za bezpłodną? Czego mu nagadała ta Mamaeth? Nagle poczuła strach. Stare kobiety potrafią kojarzyć fakty. Roanna po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskni do dzieci i potrzebuje ich miłości. Co więcej, gorąco pragnęła, żeby to byli potomkowie Emryssa.

W samą porę przypomniała sobie, że gdy rankiem kobiety stroiły ją do ślubu, Mamaeth śmiała się wesoło, a jej oczy lśniły jak gwiazdy. Z pewnością nie byłaby taka radosna, gdyby uwielbiany wychowanek miał się ożenić z kobietą niezdolną urodzić mu dzieci. Nim znalazła więcej argumentów, Emryss nagle wstał.

- *Y rhibo!* - zawołał. Wszyscy zerwali się na równe nogi i zaczęli odsuwać pod ściany weselne stoły. Kilkunastu barczystych mężczyzn dyskutowało z ożywieniem. Wkrótce wybrali spośród siebie sześciu, którzy stanęli twarzą w twarz i chwycili się za ręce jak dzieci podczas zabawy w budowanie mostów. Spojrzeli wyczekująco na Emryssa, który głową wskazał Gwilyma, a ten krzyknął z radości, podbiegł do Bronwyn i wyciągnął ją na środek. Zdumiona Roanna nie wierzyła własnym oczom, gdy dziewczyna wyleciała nagle w powietrze i opadła na splecione ramiona sześciu osiłków. Gwilym skoczył

za nią. Mężczyźni podrzucili roześmianą parę, jakby ważyła nie więcej niż piórko, a niebieska spódnica owinęła się wokół jego nóg. Spletli się w ciasnym uścisku, jakby tworzyli jedność.

- To tylko zabawa. - Roanna usłyszała głos Emryssa. - Nie bój się, że ci dwoje upadną. Moi ludzie dźwigają kamienne bloki znacznie cięższe od nich.

Przy kolejnym podrzucie wszyscy mogli sobie obejrzeć koszulę Bronwyn. Gwilym znalazł się na górze, a zebrani gruchnęli śmiechem. Zdyszana para została w końcu ostrożnie postawiona na podłodze, a Gwilym sięgnął po kielich i krzyknął do Emryssa, który powiódł spojrzeniem po sali. Goście wykrzykiwali rozmaite imiona, lecz wskazał na... Jacques'a. Sześciu osiłków burczało gniewnie, gdy wybraniec ruszył z godnością ku środkowi sali. Kilka razy przystawał, mierząc taksującym spojrzeniem roześmiane kobiety. Raz i drugi mrugnął do nich, a potem błyskawicznie przeciął salę i chwycił Mamaeth.

- Puść mnie, brutalu! - wrzeszczała, gdy włókł ją na środek.  
- Zmiażdżysz mnie jak amen w pacierzu! Znajdź sobie inną!  
- Wyrwała się i popatrzyła na Emryssa. - Mój panie, nie chcę umierać przygnieciona cielskiem opasłego intruza!

- Jak sobie życzysz, moja droga. - Ze smutkiem pokiwał głową. - Przykro mi, Jacques. Następnym razem wybierzesz lepiej. - Wstał z krzesła. - Trzeba wskazać kogoś innego. - Roanna obserwowała go, kiedy wodził spojrzeniem po gościach. W końcu dodał: - Nie, myślę, że tym razem wybiorę... siebie!  
- Wspiął się na stół, zeskoczył na podłogę i podbiegł do sześciu mocarzy. - Kto mi dotrzyma towarzystwa? - zapytał, uśmiechając się szeroko. Roanna patrzyła uparcie na swoje dłonie. Cóż za dziecinada, pomyślała, jaki dziwny zwyczaj. Kobieta nie

powinna robić z siebie widowiska. Nagle ku jej przerażeniu Emryss okrążył stół i zmusił ją, żeby wstała.

- Nie chcę! Nie mogę! - krzyczała daremnie, gdy ją ciągnął w stronę barczystych mężczyzn. - Emryss, błagam, nie zmuszaj mnie - zaklinała go. - Tak się nie godzi. To niewłaściwe.

- Owszem. - Przystanął, a na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech. - Za to bardzo przyjemne. - Uniósł ją i wydawało się, że lada chwila ciśnie na splecione ręce, ale w ostatnim momencie zawisła na jego ramieniu i dech zaparło jej w piersiach.

- Drodzy goście, moja żona ma inne plany na dzisiejszy wieczór, a zatem wybaczcie nam i pozwólcie, że się oddalimy.

Roanna pisnęła z oburzeniem, gdy poklepał ją po pośladku i ruszył ku schodom, Próba stawiania oporu okazałaby się daremna, ponieważ był od niej znacznie silniejszy, więc zwiślała bezwładnie. Gdy wychodzili, towarzyszył im szmer rozmów, okrzyki i śmiech, więc lekko uniosła głowę.

- Stracę równowagę i upadnę, jeśli nie będziesz leżeć spokojnie - powiedział głośno Emryss, wymierzając jej następnego klapsa. Zatoczył się lekko jakby na dowód, że to nie była czcza pogróżka.

Gdy weszli na piętro i skręcili, poczuła, że uniósł nogę. Kopnięciem otworzył drzwi, podszedł do łóżka i rzucił ją na miękkie pościelenie. Nim zdążyła unieść się na łokciach i powiedzieć, co myśli o jego manierach, do komnaty wpadła gromada kobiet. Śmiały się i gadały jedna przez drugą, świergocąc jak stado wróbli. Spojrzała pytająco na Emryssa, który wzruszył tylko ramionami i usunął im się z drogi.

W tej samej chwili Mamaeth chwyciła ją za nadgarstki i z chytrym uśmieszkiem pomogła wstać. Emryss nagle zniknął. Roanna dostała kielich grzanego wina. Stanęła przed nią zaru-

mieniona, chichocząca Bronwyn. Można by pomyśleć, że setka rąk sięgnęła nagle do sznurówek sukni, żeby rozebrać pannę młodą, która oganiała się, jak mogła.

- Bez obaw, dostojna pani - zawołała stojąca po drugiej stronie komnaty Mamaeth. - Trzeba cię przygotować... do snu!  
- Kobiety parsknęły śmiechem. Bronwyn, wciąż zarumieniona po wyczerpującej zabawie, próbowała stłumić chichot, cierpliwie rozwiązując sznurówki. Roanna odetchnęła z ulgą, gdy kobiety ze szczególną uwagą zdjęły jedwabną koszulę, chociaż ruchy miały niepewne, bo wszystkie były mocno podchmielone.

Nagle usłyszała ciężkie kroki, którym towarzyszyły męskie okrzyki i głośne przyśpiewki. Drzwi znowu stanęły otworem. Kobiety rozstały się, odsłaniając Emryssa, balansującego niepewnie na progu. Zdjął już długą czarną tunikę i pozostał w koszuli, cienkich jasnych spodniach z lnianego płótna i butach z miękkiej skóry. Popchnięty przez Gwilyma chwiejnym krokiem wszedł do środka. Twarz miał zarumienioną, niepewną ręką trzymał kielich, rozlewając wino na podłogę. Niezdarnie uklonił się kobietom, które znowu chichotały.

Roanna usłyszała okrzyki mężczyzn tłoczących się u wejścia do komnaty. To chyba niemożliwe, żeby ci wszyscy ludzie zamierzali ich obserwować!

Chciała uciec w drugi kąt sypialni, ale kobiety natychmiast zastąpiły jej drogę i odwróciły się plecami.

- Nie podglądaj, dostojna pani - rzuciła Bronwyn. Gdy zabrzmiały wrzaski i jakby przekleństwa, roześmiana dodała szeptem: - Zdejmują mu koszulę!

Mamaeth uniosła kołdrę, a Bronwyn lekko popchnęła Roannę, która cofnęła się, uderzając łydkami o ramę łóżka, straciła równowagę i upadła na posłanie. Chciała się poderwać, ale Ma-

maeth ją przytrzymała. Mężczyźni znowu krzyczeli, ale teraz słyhać było także głos rozgniewanego Emryssa.

- Nie pozwolił zdjąć sobie spodni.

Oszołomiona Roanna bezwładnie opadła na poduszkę. Wiedziała, co ją czeka, i uznawała mężowskie prawa, ale nie chciała mieć tutaj widowni. Gdy usłyszała pełne uznania szepty kobiet, przygotowana na najgorsze poddała się rozpacz. Ku jej zaskoczeniu bez słowa ruszyły do wyjścia. Zmówiła ukradkiem modlitwę dziękczynną.

Popatrzyła na Emryssa obnażonego do pasa. Stał w nogach łóżka. Kompanom nie udało się zdjąć mu spodni, a jasna barwa lnu odcinała się wyraźnie od ciemnej opalenizny nagiego torsu, lśniącego w blasku świateł.

Roannę ogarnęło pożądanie. Zapomniała o godności i obowiązkach szlachetnie urodzonej damy. Miała wrażenie, jakby po raz pierwszy odkąd go poznała, odetchnęła nagle pełną piersią.

- *Brawdmaeth*, życzymy wam dobrej nocy - powiedział Gwilym trochę bełkotliwie, ponieważ był mocno wstawiony. - Dobrej nocy, dobrej nocy, dobrej nocy.

Ostatnia wyszła Mamaeth, rzucając na odchodnym:

- Pamiętaj, chłopcze, najpierw synowie, potem córki. - Zachichotała uradowana i zamknęła za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego dnia Roanna obudziła się sama.

Gdy weselni goście opuścili sypialnię, Emryss przez kilka minut stał w nogach łóżka, a potem nagle oznajmił:

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Odwrócił się, wybiegł z komnaty i już do niej nie wrócił. Roanna w końcu zasnęła, ale męczyły ją koszmary. Nad ranem obudziła się sama w ogromnym łożu. Emryssa przy niej nie było.

Dlaczego? Nieustannie zadawała sobie to pytanie. Może to kolejny z dziwnych walijskich obyczajów, których nikt jej nie objaśnił? Gdy usłyszała kroki za drzwiami sypialni, wtuliła policzek w poduszkę i zamknęła oczy. Nie miała ochoty na rozmowę z Mamaeth lub Bronwyn, które z pewnością będą jej zadawać mnóstwo kłopotliwych pytań i nie oszczędzą sobie frywolnych komentarzy.

Ktoś wślizgnął się ukradkiem do komnaty, jakby czegoś szukał. Zaniepokojona Roanna nabrała podejrzeń i przestała udawać, że śpi. Otworzyła oczy, rozglądając się podejrzliwie. Emryss ubrany w koszulę i spodnie sięgnął po dzban i napełnił wodą miednicę. Usiadła na łóżku.

- Mam nadzieję, że ostatniej nocy przyjemnie ci się od-  
dychało, mój panie? - zapytała chłodno.

- Tak - mruknął, nie odwracając się do niej. Połał głowę

zimną wodą i sięgnął po czysty ręcznik. Gdy energicznie wycierał mokre włosy, zachwiał się nagle i opadł na stolik, klnąc szpetnie.

- Jak się czujesz? - zapytała, gdy stał oparty rękoma o blat. Może wypił za dużo podczas uczty weselnej?

- Bywało lepiej. - Wyprostował się. - Ale bywało i gorzej.  
- Odwrócił się w jej stronę. - Roanno, ja...

Nie dokończył zdania, bo z sali na dole dobiegły okrzyki i śpiew, potem odgłos kroków na schodach, donośny jak bicie w dzwony.

- Emryss, *brawdmaeth!* - zawołał Gwilym. - Czas wstać, chociaż jesteś chyba równie wyczerpany jak ja.

Usłyszeli stłumione wybuchy śmiechu. Roanna przypuszczała, że przed ich sypialnią czekają wszyscy mężczyźni z Craig Fawr. Emryss podszedł do zamkniętych drzwi i wziął się pod boki. Roanna nie wiedziała, na co się zanosi, więc tylko wyżej naciągnęła kołdrę. Usłyszeli męski głos; rytmicznie skandowane słowa brzmiały jak piosenka, chociaż brakowało wyraźnej melodii.

- Zdrajcy! To jest *pwnco*, a nie zwykły popis trubadura!

- Przyganiał kocioł garnkowi! Czy godziło się zmuszać nas do śpiewów o świcie? Tracisz czas, żonkosiu! Czekamy! - kpił Gwilym.

- Co się dzieje?

- Mamy tu *pwnco* - odparł roztargniony Emryss, wpatrując się w drzwi.

- Słyszałam nazwę, ale co znaczy?

- Takie zawody. Cicho, muszę pomyśleć.

Roanna w milczeniu wstała z łóżka i podeszła do miski z wodą. Proszę bardzo, jeśli potrzebuje ciszy, będzie ją miał. Po

chwili Emryss odpowiedział w tym samym rytmie co mężczyzna stojący po drugiej stronie drzwi. Gdy skończył, natychmiast odwrócił się do niej.

- Nieprędko znajdą odpowiedź - dodał z łobuzerskim uśmiechem. Roanna milczała jak zakłeta. - Wybacz mi, że zachowałem się grubiańsko, ale musiałem na poczekaniu wymyślić dobry wiersz. Trzeba ci wiedzieć, że taki konkurs poetycki zwykle odbywa się u drzwi panny młodej przed zaślubinami.

Trubadur znów odezwał się po walijsku, a Emryss słuchał w skupieniu. Gdy zapadła cisza, zmarszczył brwi i zaklął pasudnie w swoim języku - tak przynajmniej wywmoskowała z jego tonu. Uniosła wieko skrzyni, szukając odpowiedniej sukni. Ich rzeczy leżały obok siebie. Przez moment wpatrywała się w nie bezmyślnie, a potem dostrzegła strój otrzymany od Bronwyn, a na nim biały czepiec z welonem, starannie złożony i gotowy do włożenia. Sięgnęła po ubranie.

Emryss odwrócił się nagle, wyrwał je i rzucił na podłogę, a potem zaciągnął ją pod drzwi i otworzył je szeroko. W korytarzu stał Gwilym wraz z grupą mężczyzn. Z niedowierzaniem patrzyli na Roannę, która próbowała się wyrwać i skryć za Emrysem.

- Odejdźcie stąd! - rzucił wesoło. - Nie widzicie, że chcemy zostać tylko we dwoje?

- Jasne. - Gwilym był wyraźnie zakłopotany. - Wybacz, pani. Chcieliśmy się tylko upewnić, czy znalazłaś sobie męża, jak się patrzy.

Odwrócili się i zbiegli po schodach. Gdy Emryss zatrzasnął drzwi, Roanna wysunęła się z jego objęć.

- Jak śmiałeś? - spytała groźnie. - Kto ci dał prawo, żeby mnie stawiać przed tamtymi ludźmi prawie naga? Czy ty nie masz w ogóle poczucia przyzwoitości? Gdzie twoja godność?

Emryss podszedł do skrzyni i wyjął skórzane spodnie.

- Chciałem, żeby odeszli. Te nasze zabawy w układanie wierszy trwają godzinami. To była najskuteczniejsza metoda, żeby przerwać zawody i zmusić ich do odejścia.

Roanna podbiegła, chwyciła go za ramię i zmusiła, żeby na nią spojrzeć.

- A ja? Mnie także chcesz się pozbyć? Dlatego dzisiejszej nocy zostawiłeś mnie samą?

Zacisnął usta, a potem rzucił szorstko:

- Ożeniłem się z tobą, prawda? Nie zrobiłbym tego, gdybym chciał, żebyś odeszła.

Roanna włożyła suknię i sięgnęła po czepiec. Przemknęło jej przez myśl, że chyba nie zrozumie nigdy tego mężczyzny oraz jego ziomków. Odwróciła się do niego plecami i poprosiła cicho:

- Mógłbyś mi pomóc?

Słyszała, jak podchodzi i staje tuż za nią.

- Zawołaj Mamaeth - odparł.

- Trzeba tylko zaciągnąć sznurówki - tłumaczyła, wspominając dzień, gdy po raz pierwszy jej w tym pomagał. Załatwił sprawę jednym mocnym szarpnięciem i pospiesznie zawiązał końcówki, jakby nie miał ochoty jej dotykać. Gdy znowu na niego spojrzała, siedział na skrzyni, wkładając spodnie ze skóry. Roanna szybko zaplotła warkocz. Nie raczył na nią popatrzeć, więc i ona postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Włożyła czepiec, wsunęła szeroką białą taśmę pod brodę i starannie zapięła po drugiej stronie.

- Co to za brzydactwo? - burknął, wkładając skórzany kaftan.

- Jestem mężatką, więc powinnam zakrywać włosy.

- Wyglądasz jak stara, chuda mniszka.

- Mało się od niej różnię. - Nie mogła sobie odmówić tej drobnej złośliwości. Włożyła buty, omijając wzrokiem półnagiego męża, który podniósł głowę i zmarszczył brwi.

- Co ty gadasz?

- Powiedziałam, że niewiele różnię się od mniszki.

- Jedno musimy sobie wyjaśnić. - Popatrzył na nią gniewnie. - Jestem tu panem. Zostałaś moją żoną, ale nie będziesz mną rządzić. Na Boga, jeśli mam ochotę wyjść na całą noc, nie muszę cię pytać o pozwolenie!

- Oczywiście, panie mój. Jakże byłam głupia, oczekując innego traktowania - powiedziała i odwróciła się plecami. Nie będzie się z nim kłócić. Życie ją nauczyło, że nie ma lepszego sposobu na rozsierzonego mężczyznę, zwłaszcza gdy złości się bez powodu. Emryss niespodziewanie przyskoczył do niej i zmusił, żeby na niego popatrzyła. Twarz miał skurczoną z wściekłości.

- Nie waż się w mojej obecności udawać idiotki i nigdy więcej nie traktuj mnie jak głupka! Zrozumiałaś?

Z niedowierzaniem i obawą patrzyła na jego twarz zmienioną gniewem. Gdy puścił ją i oddychał ciężko, podbiegła do okna i zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jak mógł tak ją potraktować? I za co? Przecież była z nim szczerą!

- Roanno, błagam, nie płacz.

Odwróciła się, spojrzała na niego i od razu stało się dla niej jasne, że straszliwy gniew zniknął w jednej chwili jak liść uniesiony gwałtowną wichurą.

- Żaden mężczyzna nie zmusi mnie do płaczu - odparła z godnością. - Wybacz, panie, że cię opuszczę, ale chciałabym pójść na poranną mszę, skoro mamy tu kapłana.

- Wyjechał o świcie. Należy mu się *amobr*, więc dałem, ile

potrzeba. - Milczał przez chwilę, obserwując ją uważnie. - Jest bezpieczny, eskortują go moi drużynnicy.

Roanna nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

- W takim razie pójdę do kaplicy, mój panie - odparła po namyśle. - Potem rozmówię się z Mamaeth w sprawie domu i gospodarstwa.

- Po co? - Usiadł na łóżku i poprawił skórzany kaftan. - Niech się nadal tym zajmuje.

- W takim razie sprawdzę, czy Jacques dobrze radzi sobie w kuchni.

- Mamaeth i Rhys decydują, co będzie na stole.

- Ale to są przecież moje obowiązki!

- Sądziłem, że zechcesz raczej cieszyć się swobodą. Twoja jedyna powinność to spełnianie moich życzeń.

Roanna poczuła nagle, że miękną jej kolana.

- Emryss - szepnęła błagalnie - zrobię wszystko, żeby cię zadowolić.

- Dobrze. - Zmienił się na twarzy i dodał lodowatym głosem: - W takim razie zostaw mnie teraz samego.

Posłuchała natychmiast. Wypadła na korytarz i ruszyła w górę kamiennymi schodami. Na murach odetchnęła zimnym, wilgotnym powietrzem i popatrzyła w niebo. Szare chmury zapowiadały rychłą ulewę. Przy wyszczerbionych zamkowych blankach nie dających właściwej ochrony łucznikom leżała ster-ta równo przyciętych kamiennych bloków przeznaczonych do naprawy uszkodzeń.

Roanna usiadła, skryta za murem, i przytuliła czoło do jego zimnej powierzchni. Na litość boską, czemu Emryssowi tak zależało, aby została jego żoną? Chciał ją upokorzyć? Najpierw całował do utraty tchu, wzbudzając czułość i pożądanie, a po-

tern ją odepchnął. Przed chwilą niemal błagała, żeby się z nią kochał, ale została odprawiona.

Nic się nie zmieniło. Jest tak jak dawniej. Kazano jej czekać cierpliwie na decyzję mężczyzny, od którego była zależna. Wstała powoli i spojrzała na okolice zamku. Nie! Miała tego dość. Postanowiła być jego żoną, więc nią pozostanie. Skoro zamierzał trzymać się od niej z daleka, jego woła. Nigdy więcej się przed nim nie upokorzy, ale będzie panią na Craig Fawr. Nadeszła pora, żeby starał się ją zrozumieć.

Z wysoko uniesioną głową zeszła po schodach na dziedziniec.

Kilka dni później Cynrik DeLanyea patrzył na swego ojca i pana, który po ataku choroby stał się cieniem samego siebie. Ksiądz Robelard przed chwilą wybiegł z komnaty. Ciało starca było sine i zwiotczałe. Dawniej imponował siłą i wspaniałą posturą - teraz przypominał powalony na ziemię pień dębu. Cynrik pomyślał z uśmiechem, że nadeszła w końcu upragniona chwila. Czuł się młody, krzepki, pełen życia, gdy patrzył na szeroką pierś chorego, który oddychał płytko i nieregularnie. Wkrótce będzie trupem i zabierze swój sekret do grobu.

Wielka szkoda, że ksiądz i Urien, który nadal stał oparty o ścianę, usłyszeli okropne wyznanie starca gotowego na śmierć. Mniejsza z tym. Klechę łatwo będzie zastraszyć i przekonać, żeby trzymał język za zębami, a Urien - sowicie opłacy - będzie milczał.

Przynajmniej raz przymusowy pobyt w Walii i służba u ojca wyszły Cynrikowi na dobre, bo dzięki temu wiedział, kto zna całą prawdę o pochodzeniu Emryssa.

Rozejrzał się po komnacie, podziwiając cudowne gobeliny, znacznie piękniejsze od tych, które wisiały na górze, w jego sy-

pialni. Najbardziej podobała mu się tkanina zawieszona na przeciwko ojcowskiego łoża, przedstawiająca kuszenie Ewy. W migotliwym blasku świec obnażone postaci zdawały się poruszać. Wkrótce te gobeliny oraz wszystkie przedmioty zgromadzone w zbytowej komnacie staną się jego własnością: piękne srebra, miękkie dywany rozpostarte na kamiennej posadzce, wielkie zwierciadło, cienka pościel i łóżko.

Stojący u drzwi Urien Fitzroy poruszył się lekko. Cynrik obserwował go przez chwilę, a następnie popatrzył na ojca, który nagle otworzył oczy i próbował usiąść. Urien podbiegł, chwycił go za ramiona i podtrzymał ostrożnie.

- Emryss - szepnął starzec. - Chcę tu... Emryssa... mego syna.

Urien spojrział niepewnie na Cynrika, który burknął:

- Zostaw nas samych.

Po chwili wahania rycerz położył barona na poduszkach i wyszedł.

- Emryss, mój syn... - Chory znów usiłował wstać. Dawniej głos miał donośny i władczy, teraz ledwie potrafił wydobyć z gardła słaby szep. Cynrik uznał, że trzeba działać.

- Dobranoc, ojczu. Żegnaj na zawsze. - Chwycił poduszkę, przycisnął ją do twarzy barona i odczekał, aż ustały drgawki. Jakie to łatwe, pomyślał. Na dobrą sprawę mogłem podjąć tę decyzję przed kilkoma godzinami, ale kto by przypuszczał, że starzec będzie dogorywać tak długo. Ułożył dłonie ojca na piersi. Syn powinien sprawiać wrażenie przejętego... choćby trochę. Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Urien wyprostował się i rzucił mu pytające spojrzenie.

- Powiedz opatowi, że baron umarł. Niech przygotuje wszystko do mszy żałobnej - powiedział Cynrik, starając się

przybrać smutny wyraz twarzy. Urien zmrużył oczy i popatrzył tak, jakby zamierzał odpowiedzieć, lecz po chwili odwrócił się i odszedł.

Cynrik przywołał służbę, kazał umyć martwego ojca i nałożyć mu pełną zbroję, a potem wolno odszedł w głąb korytarza i schodami dotarł do swojej komnaty.

Nareszcie był wolny. Odzyskał swobodę. Powtarzał te słowa niczym magiczne zakęcie. Dźwięczały mu w głowie jak łoskot wojennych bębnow. Nareszcie mógł robić wszystko, na co ma ochotę. Nie musiał się także obawiać, że ojciec uzna bękartą Emryssa za pełnoprawnego dziedzica. Dla Walińczyków on byłby najstarszym synem barona, choć jego matka została zniewolona.

Cynrik mógł się nareszcie zemścić na odwiecznym rywalu. Roanna też dostanie za swoje. Poza tym nareszcie przestał się martwić, że nie spełnia ojcowskich oczekiwań.

Pchnął drzwi do swojej komnaty. Szelest pościeli przerwał mu rozmyślenia, a widok zgrabnej obnażonej nogi sprawił, że uśmiech powrócił na jego twarz.

- Aha, Lynette! Jak zawsze chętna, co?

- Tak, panie. - Uniosła głowę z poduszki i uśmiechnęła się zmysłowo. Cynrik usiadł na brzegu łóżka i przesunął dłonią po jej pełnych piersiach.

- Szukam pociechy, moja droga. Baron nie żyje.

- Zła nowina, panie. Żal mi go. - Lynette odsunęła się i wyżej podciągnęła kołdrę. Cynrik chwycił róg i przyciągnął do siebie dziewczynę.

- Jeśli to prawda, jesteś chyba odosobniona.

- Wątpię, panie. Ksiądz Robelard też go będzie żałował.

- Ksiądz Robelard, powiadasz? - mruknął, podnosząc się bez pośpiechu. - Lubisz go, prawda?

- Tak, panie - odparła, ze zdziwieniem unosząc brwi. Cynrik krążył po niewielkiej komnacie.

- Okazuje ci sporo życzliwości, tak?

- Ksiądz Robelard jest miły dla wszystkich.

- Ale ma do ciebie słabość, zgadłem?

- Jak... większość mężczyzn, panie - odparła z uśmiechem.

- I tak być powinno. - Zatrzymał się i popatrzył na nią. - Potrzebuję cię, moja droga.

- Dla ciebie wszystko, panie - zapewniła, opadając na poduszkę.

- Nie o to mi chodzi. Może później. - Usiadł na pościeli i bawił się kosmykiem pięknych, złotych włosów. - Powinnaś okazać księdzu, że bardzo go lubisz.

- O czym ty mówisz, panie? - zapytała, robiąc wielkie oczy. Pochylił się i szeptał jej do ucha, przesypując między palcami jasne pukle.

- I jak będzie? - dodał półgłosem. Lynette wstrzymała oddech.

- Chcesz, panie, żebym... On jest księdzem! Nie mogę!

- Wręcz przeciwnie. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteś gotowa to uczynić. Chodzą słuchy, że ksiądz Robelard ma złe skłonności, że się tak wyrażę. Moim obowiązkiem jako nowego pana na Beaufort jest dojść prawdy. Być może, droga Lynette, okaże się, że to zwykłe plotki. Nie zapominaj, że potrafię się odwdzięczyć.

Lynette przyglądała się jego urodziwej twarzy. Gdy go zadowolila, rzeczywiście bywał hojny. Trzeba myśleć o przyszłości. Miała na utrzymaniu chorą babcię. W ich chacie było wilgotno, a stawy dokuczały staruszce coraz bardziej. Gdyby przeniosły się do nowego domu, może by się jej polepszyło. Młodsza sio-

stra Gwenyth zakochała się po uszy w synu kupca bławatnego, który nawet nie spojrzy na pannę bez posagu. Słyszysz się często, że kochanki wielmożnych panów dostają domy, grunta i mnóstwo pieniędzy. I ona może się wzbogacić, jeśli uwiedzie miłego księdza.

- Jeśli nie chcesz mi pomóc, to wynoś się natychmiast.

- Zrobię, co każesz, panie. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

Ktoś niespodziewanie otworzył drzwi. Cynrik zerwał się na równe nogi, żeby skarcić zuchwalca, który ośmielił się wtargnąć bez pukania do jego komnaty. Urien spojrzął na niego, potem na dziewczynę.

- Przyszło kilku mężczyzn, żądają posłuchania - oznajmił.

- Jak to żądają? - Cynrik wziął się pod boki. - Kto się ważył na takie zuchwalstwo?

- Jeden z nich ma na imię Dolf, panie. - Banda śmiałych intruzów nie zrobiła chyba na Urienie żadnego wrażenia. Cynrik parsknął śmiechem.

- Pogadam z nimi. Czekać tu - powiedział do Lynette, która z uznaniem przyglądała się Urienowi. - Sama.

Obaj mężczyźni wyszli z komnaty.

Gromada oberwańców czekała w sali paradnej. Na widok Cynrika i Uriena herszt wysunął się do przodu, pokazując w uśmiechu zepsute zęby, częściowo zasłonięte szczeciniastymi wąsami.

- Mówiłem wam, żebyście tu nie przychodzili - oznajmił wyniośle Cynrik.

- W samej rzeczy, wasza wielmożność, tak rzekliście, ale trzeba pogadać, tośmy przyszli gromadą.

Urien zamknął drzwi, a Cynrik stanął przed bandą, trzymając ręce za plecami. Nie ukrywał obrzydzenia.

- O czym chcecie rozmawiać?

- Dużo myśleliśmy i wyszło nam, że nie jest dobrze - odparł herszt. Cynrik uniósł brwi. - Nie ma wyjścia, trzeba podwyższyć zapłatę.

- Czyżby? - Niezbyt uważnemu obserwatorowi umknęłoby pewnie lekkie zmrużenie jasných oczu.

- Taka prawda, panie. Przecież to my nadstawiamy karku. Na dodatek kazaliście zostawić na hali zabite owce, więc byliśmy stratni, choć robota ciężka, no nie? - Inni kiwali głowami i mrużeli na znak zgody.

- Rozumiem. - Cynrik wolno podszedł do brodatego herszta i w mgnieniu oka przystawił mu sztylet do gardła. Zbójcy ławą ruszyli do przodu. - Jeszcze krok i poderżnę mu gardło, a potem zawołam strażników. - Mężczyźni zawahali się. - Jesteście bandą saksońskich głupców i dostajecie więcej, niż się wam należy. - Cynrik puścił herszta, który zatoczył się na stojącego obok kompana. - Daruję wam to haniebne najście, bo i tak chciałem się z wami zobaczyć, więc oszczędziliście mi fatygi. Jest robota.

Gdy powiedziano, o co chodzi oraz ile można zarobić, zbójcy niepewnie spojrzeli po sobie.

- Trudna sprawa, wasza wielmożność. Kto łązi tak blisko zamku, sporo ryzykuje - odparł zafrasowany Dolf.

- Głupcze, nie powiedziałem, że to będzie proste. W przeciwnym razie tyle bym nie zapłacił - stwierdził opryskliwie Cynrik. Kilku zbójów pokiwało głowami, ale Dolf wahał się jeszcze, więc padły kolejne argumenty. - Właściwie powinienem związać was i odesłać do mego kuzyna. Jego żona na pewno rozpozna napastników, a ja zaświadczę, że zabicie owiec to wasza sprawa. - Dolf zrobił krok w stronę Cynrika, ale stanął jak przymurowany, gdy Urien dobył miecza.

- A ja powiem, że wszystko to robiliśmy z waszego rozkazu i za wasze pieniądze. Kazaliście nawet porwać kobietę.

- Moim zdaniem to nie byłoby mądre posunięcie. - Cynrik usiadł, wyciągnął długie nogi i skrzyżował je w kostkach, bawiąc się sztyletem. Jego obojętny, zimny ton dał hersztowi do myślenia. Chyba lepiej trzymać się jednego mocodawcy. - Dajcie zakochanym gołąbkom trochę oddechu. Niech uwierzą, że pogodziłem się z tym mezaliansem. A teraz wynoście się, śmierdziele. Jeśli który odważy się przyjść do Beaufort, podejrzną mu gardło równie łatwo jak wy owcom. Czy to jasne? - Odczekał chwilę, słuchając ich skwapliwych pomruków i dodał: - Umowa stoi.

Zbójcy w milczeniu opuścili komnatę. Dolf wyszedł ostatni, pocierając szyję, i zamknął za sobą drzwi. Cynrik odłożył sztylet.

- Ta banda prostaków wkrótce przestanie mi być potrzebna. Zginą szybką śmiercią, chociaż na to nie zasługują. - Przyglądał się Urienowi chowającemu miecz. - Co ci się nie podoba? Tamta zgraja czy moja taktyka?

- Jedno i drugie. - Ciemnooki najemnik patrzył w jasne oczy Cynrika.

- Mniejsza z tym - odparł ten ostatni, rozglądając się leniwie po sali. - Pożar we młynie odwróci uwagę od ognia podłożonego w zbrojowni, a gdy ta spłonie, bez trudu pokonam kuzyna.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Siedząca na podium Roanna wierciła się niecierpliwie. Wiedziała, że Emryss już wrócił, bo widziała go przez okno sypialni. Po raz pierwszy od kilku dni zdążył na wieczerzę. Wpatrywała się w pergamin leżący na stole. Pomyślała z irytacją o przykrościach, które ją dzisiaj spotkały; na domiar złego jeszcze to niemiłe przypomnienie, że nie umie przeczytać najprostszego słowa. Po południu zjawił się w zamku posłaniec z pergaminem opatrzonym pieczęcią.

- Dla pana i pani na Craig Fawr - powiedział tylko. Z gorczą uświadomiła sobie, że musi czekać na Emryssa, żeby poznać treść listu. Jaka szkoda, że stryj nie pozwolił jej nauczyć się choćby podstaw czytania i pisania.

Westchnęła ponuro, obserwując dzierzawców, którzy z wolna gromadzili się w sali biesiadnej i zajmowali swoje miejsca, gawędząc w obcym dla niej języku. Nie wątpiła, że większość z nich rozumie jej mowę, lecz woli się do tego nie przyznawać. Ileż razy łąpała ich na tym, że słysząc jej prośby i polecenia, zerkają pytająco na Mamaeth, jakby oczekiwali jej aprobaty!

Zacisnęła dłonie tak mocno, że kostki pobieleły. Jacques na dobre zadomowił się w Craig Fawr, chociaż w kuchni toczył z Mamaeth nieustanną wojnę. Mimo to czuł się szczęśliwy i nie spostrzegł, że jego ulubienica jest przygnębiona i smutna.

Rozglądała się po sali, szukając wzrokiem Bronwyn, która

często zaniedbywała obowiązki, odkąd wpadła w oko Gwilymowi. Po co było się w to mieszać? Roanna miałaby z niej większy pożytek, gdyby uczucie pozostało nieodwzajemnione.

Usłyszała głosy mężczyzn wchodzących do sali. Był wśród nich Emryss, więc spuściła oczy. Wołała na niego nie patrzeć, lecz mimo woli zerkała spod rzęs, gdy szedł w stronę podwyższenia. Był wyraźnie znużony i całkiem mokry! Kulał mocno, ale nie dawał po sobie poznać, że boli go noga. Ogarnięta szczerą litością próbowała stłumić w sobie to uczucie. Niech ma za swoje! Czego się spodziewał? Przecież od świtu do zmierzchu włóczy się konno z drużyną, patrolując okolice. Wieczorem padał na łóżko i natychmiast zasypiał.

Ciężko usiadł na krześle, a służebne - z wyjątkiem Bronwyn, która jeszcze się nie pojawiła - natychmiast podbiegły, żeby mu podać wieczerzę. Roanna przesunęła list w jego stronę.

- Był tu dzisiaj posłaniec.

Bez słowa złamał pieczęć i rozwinął zwój. Roanna przeżegnała się, z pozorną obojętnością sięgnęła po kromkę chleba i zaczęła jeść. Emryss ze złością wymamrotał kilka słów i odrzucił pergamin.

- Co piszą, mój panie? - spytała po chwili, mimo woli ulegając ciekawości.

- Sama przeczytaj. - Podsunął jej list.

- Ja... - spłoneęła rumieńcem, ale dokończyła zdanie - nie umiem czytać.

- Aha - mruknął z roztargnieniem. Na pewno zapomniał o tamtym wieczorze, kiedy całowali się na murach obronnych. Zapytał ją wówczas, czy zna prawo.

- Baron nie żyje - wyjaśnił. Roanna popatrzyła na niego, więc dodał ironicznie: - Mój szlachetny kuzyn prosi, żebyśmy

przybyli na jutrzejszą mszę żałobną. - Chwycił kielich i wypił do dna.

- Trzeba pojechać - odparła.

- Wykluczone - odparł lodowatym tonem.

- Musimy okazać szacunek.

- Szacunek?! - powtórzył rozgniewany Emryss, a poddani z ciekawością zerknęli na pański stół. - Nie szanowałem tego niekczemnika, kiedy żył, i po śmierci nie mam dla niego respektu!

- Był twoim stryjem - przypomniała cicho Roanna.

- Wstydzę się, że jestem spokrewniony z tą kupą gówna.

- Kiedy ty i Cynrik przestaniecie w końcu walczyć ze sobą jak mali chłopcy? - Roanna przyglądała mu się uważnie. Uniósł głowę, wyprostował się i na moment zacisnął wargi.

- Posłuchaj, żono - odparł z namysłem. - Póki żyję, będę zwalczać tego gada, aby pomścić matkę. Żadne słowa czy puste gesty tego nie zmieniają. Rozumiesz?

- Tak, panie.

- Nie będziemy na mszy.

- Jak sobie życzysz, panie - przytaknęła z pokorą Roanna.

We dwoje na pewno nie,, dodała w myśli.

- Kobieto - grzmiał Jacques - usuń z mego stołu to śmierdzące zielsko i wynoś się z mojej kuchni.

- Co ty gadasz, przybłędo? - odcięła się Mamaeth. - Jak śmiesz mi rozkazywać? Zabieraj stąd to swoje tłuste brzuszysko!

Urażony Jacques wyprostował się, próbując wciągnąć brzuch.

- Jestem najlepszym kucharzem w całej Europie, w Angli i w tej dziczy zapomnianej przez Boga i ludzi, więc powinnaś odnosić się do mnie z należnym szacunkiem.

~ Posłuchaj, góro sadła! - Mamaeth podeszła bliżej i szturchnęła go łokciem w brzuch. - Możesz być i samym królem, ale to moja kuchnia! Rządziłam tu, gdy byłeś jeszcze zaślinionym oseskiem, więc zmykaj!

- Niedoczekanie twoje! Poskarżę się dostojnej pani Roannie i powiem, że nie masz dla mnie respektu. Niech to się wreszcie skończy!

- Proszę bardzo! A ja pójdę do Emryssa. On jest tu panem.

Oboje jednocześnie ruszyli ku drzwiom - jedno suche jak pusty strączek, drugie tłuście niczym bagienna ropucha. Mamaeth okazała się sprytniejsza. Pierwsza wypadła z kuchni na dziedziniec, lecz nagle stanęła jak wryta.

Rozgniewany Emryss siedział na koniu, a Roanna ubrana w ciemnoczerwoną suknię szła w kierunku stajni. Jacques podbiegł do ochmistrzyni.

- Co się dzieje?

- Cicho! Słuchaj, głupku!

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Emryss lodowatym tonem.

- Do klasztoru - odparła chłodno Roanna.

- Nigdzie nie pójdziesz! - Zeskoczył z Wilka, zastąpił jej drogę, stając na szeroko rozstawionych nogach i wziął się pod boki.

- Nie zamierzam do końca życia tkwić za tymi murami. Cynrik zrobił pierwszy krok i wykazał dobrą wolę, więc pójdę na mszę.

- Piechotę?

- Tak, jeśli to konieczne.

- Nie ustąpi, co? - upewniła się Mamaeth, kładąc dłoń na ramieniu Jacques'a.

- Słuszna uwaga. Nieraz widziałem u niej taką minę.

- Gwilym! - Emryss także pojął, że nic nie wskóra. - Do-  
bierz sobie kogoś i jedź z Roanną do klasztoru. Każ osiodłać  
dla niej konia. - Na jego twarz powrócił kpiący uśmiech. - Nie  
możemy pozwolić, żeby drogi kuzyn Cynrik jeszcze bardziej się  
do nas uprzedził, prawda? - Wskoczył na Wilka i ruszył ku  
bramie.

- Co mu się stało? - Mamaeth z niepokojem spojrzała na  
Jacques'a. - Czemu tak źle ją traktuje?

- Z pewnością pani Roanna jest tu bez winy - odparł z po-  
nurą miną Jacques.

- Emryss także. - Mamaeth była wyraźnie urażona. - Trze-  
ba ci wiedzieć, że dawniej dziewczęta błagały mnie na kola-  
nach, żebym im dała miłosny napój. Miały nadzieję, że zwróci  
na nie uwagę, a może nawet zaciągnie do łóżka. Wierzyć się nie  
chce, że ta twoja Roanna nadal jest dziewicą!

- Skąd możesz wiedzieć? - spytał Jacques z jawnym niedo-  
wierzaniem. - Moja pani na pewno nie powierza ci takich se-  
kretów.

- Wiem i już. To mi sienie podoba. Chłopak jest zakochany  
po uszy, a jednak codziennie gna po bezdrożach, jakby go diabeł  
opętał. Wygląda okropnie. Pewnie go odepchnęła.

- Nie wierzę! - Jacques pokręcił głową. - Jest do niego bar-  
dzo przywiązana. Moim zdaniem to dziwne, że ten człowiek  
z własnej woli doprowadza się do krańcowego wyczerpania.  
Przemyśl to, jeśli łaska.

- Tak czy inaczej nie jest dobrze, lecz wnet dowiem się, o co  
chodzi - odparła stanowczo. - Prawdziwa zagadka! Ci dwoje  
pożerali się wzrokiem, a teraz wojują jak obrażone dzieciaki.

- Masz rację. - Jacques pokiwał głową. - Może razem zdo-  
łamy im pomóc?

- Tłścioch z ciebie, Jacques, ale masz trochę oleju w głowie - przyznała z uśmiechem Mamaeth.

Uroczyste dźwięki żałobnej mszy umilkły, ale w ogromnym kościele słycać było jeszcze ich echo. Roanna odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Gwilyma, który stał przy drzwiach naburmuszony, ponieważ, chcąc nie chcąc, musiał z nią jechać. Kościół był pełny. Cynrik siedział w pierwszej ławce. Nisko pochylił głowę, jakby się modlił. Jego ciemnowłose powiernik obojętnie przysłuchiwał się mszy, kłękając i wstając wraz z innymi.

Celebrował sam opat, asystował mu ksiądz Robelard, który uśmiechnął się do Roanny, udzielając komunii. Zrobiło jej się ciepło na sercu, ale była niespokojna, bo gdy klęczała przy ołtarzu, Cynrik nie odrywał od niej natarczywego spojrzenia.

Po mszy wstała od razu, ponieważ spieszo jej było do wyjścia. Spełniła obowiązek, więc pragnęła opuścić wielki, zimny budynek, wzniesiony raczej dla rozślawienia rodu DeLanyea niż na większą chwałę Boga. Gwilym zniknął; myślała, że poszedł sprowadzić ich konie.

Nim dotarła do drzwi kościoła, usłyszała odgłos, kroków. Ktoś próbował ją dogonić.

- Dostojna pani! - usłyszała stłumione wołanie Cynrika. Odwróciła głowę i zobaczyła, że toruje sobie drogę wśród ospałych dzierzawców. Ledwie się zrównali, wciągnął ją do zacisznej, ciemnej kaplicy, gdzie zaczynały się kręte schody prowadzące chyba na dzwonnice.

- Dzięki, że byłaś na mszy - powiedział ze smutnym uśmiechem. - To dla mnie wielka pociecha.

- Spełniłam tylko obowiązek - powiedziała oschle, niezadowolona, że Cynrik dotyka jej ramienia i stoi zbyt blisko.

- Być może jestem głupcem, ale mam nadzieję, że przyjęłaś moje przeprosiny. Jeśli się mylę, nie wyprowadzaj mnie z błędu. Wolę żyć złudzeniami.

Roanna była zakłopotana, bo jej niechęć do Cynrika jakby stopniała. Przedtem nie wierzyła w szczerłość jego intencji, ale teraz była gotowa zmienić zdanie.

- Mam nadzieję, że zniknie w końcu gniew i nienawiść, które od lat dzielą nasze rodziny. - Odsunęła się, spoglądając na niego życzliwie. U wejścia do kaplicy rozległ się jakiś szmer. Spojrzała w tamtą stronę, ale Cynrik zasłaniał widok. Niespodziewanie ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- To moje gorące życzenie - odparł smutno. - Mam i drugie, ale słaba nadzieja, że się spełni.

- A czego pragniesz? - spytała z roztargnieniem. Była pewna, że ktoś czai się za ścianą. Odsunęła się znowu i zamierzała odejść.

- Ciebie - szepnął.

Minęła go i pobiegła do drzwi kościoła. Na szczęście przed kaplicą nikt się nie kręcił. Jakże była głupia! Wytarła o spódnicę dłoń ucałowaną przez Cynrika.

On także po chwili opuścił cienisty zakątek, stanął w drzwiach kościoła i gwizdał cicho wpatrzony w odjeżdżającą konno Roannę.

W drodze powrotnej Gwilym milczał uparcie. Do Craig Fawr dotarli późnym wieczorem. Było już po wieczery, ale Mamaeth oznajmiła, że w sypialni czeka skromny posiłek. Roanna od razu pobiegła na górę.

Chciała jak najszybciej zmyć z siebie wspomnienie dotyku Cynrika. Jak mogła przyjąć za dobrą monetę jego kłamstwa! Po-

winna słuchać Emryssa, zamiast się zastanawiać, co przystoi szlachetnie urodzonej damie. Trzeba ufać, że mąż trzeźwo ocenia fakty, bo spory tylko ich od siebie oddalają. Miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy Cynrika.

Otworzyła drzwi, weszła do komnaty i znieruchomiała. Emryss spał w ogromnej balii napełnionej ciepłą wodą. Poczowała woń ziół i drewna płonącego w metalowych piecykach, którymi ogrzewano komnatę. Ubranie Emryssa oraz czarna przepaska leżały na podłodze.

Po raz pierwszy odkąd się znali, był prawie nieruchomy, więc miała sposobność, żeby mu się przyjrzeć.

Cicho zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i patrzyła. Blizna na twarzy poczerwieniała i zmarszczyła się pod wpływem ciepła i wilgoci. Zamiast prawego oka ział pusty oczodół. Roanna obserwowała męża, daremnie próbując sobie wyobrazić, jak by wyglądał bez szram. Dla niej stanowiły równie ważny element jego wizerunku, jak pełne usta, prosty nos i mocno zarysowany podbródek.

Podeszła bliżej. Barczystymi ramionami opierał się o mokre drewno, a na muskularnym torsie lśniły krople wody. Chciała wyciągnąć rękę i zetrzeć je opuszkami palców. A może lepiej zlizać? Mocno zbita z tropu lubieżną myślą odwróciła wzrok... tylko na chwilę. Nagość Emryssa była zbyt silną pokusą. Nie bacząc na kobiecą skromność, zrobiła następny krok. Woda w głębokiej balii pociemniała od ziołowych wywarów.

Roanna przymknęła oczy i wdychała cudowną woń.

- Co robisz?

Wystraszona zrobiła krok w tył.

- Przyszłam się... umyć - odparła niepewnie.

- Daj mi ręcznik - mruknął. Chwyliła pierwszy z brzegu.

- Nie ten, potrzebuję większego. - Posłusznie wybrała spory kawałek białego płótna i podała Emryssowi, który chwycił go natychmiast i zachichotał cicho. Poczowała, że się rumieni i utkwiała wzrok w ścianie. Usłyszała głośny plusk, gdy wychodził z kąpieli.

- Możesz się odwrócić. Wyglądam przyzwoicie.

Zerknęła na niego, gdy przechodził obok. Skromność w jego rozumieniu polegała na tym, że ciasno owinał biodra rękawnikiem, więc ponownie spojrzała na ścianę. Nagle potknął się, jakby lewa noga nie udźwignęła ciężaru ciała.

- Pomóc ci? - spytała Roanna słabym głosem.

- Nie - padła opryskliwa odpowiedź. Emryss odgarnął potargane włosy i rozmasował obolałe kolano. - Gdzie ta przekłeta opaska? - mruknął, niepewnym krokiem podchodząc do skrzyni.

- Proszę. - Roanna podniosła ze stosu ubrań kawałek czarnej skóry.

- Jak ci się podoba moja twarz? Niezbyt przyjemny widok, prawda? - spytał z ponurym uśmiechem. Roanna zaklinała go w duchu, żeby się wreszcie ubrał.

- Na mnie nie robi takiego wrażenia - odparła cicho. Kulejąc, podszedł do dzbanka z winem i napełnił kielich. - Dlaczego utykasz? - zapytała.

- Dokuczają mi wciąż rana sprzed lat. To długa historia. Jestem zmęczony i nie mam ochoty na wspominki. - Popatrzył na nią tak, że wstrzymała oddech. - Zdejmij ten cholerny czepiec.

- Tak, panie. - Ciemne włosy uwolnione spod nakrycia głowy opadły na ramiona. Emryss patrzył jak urzeczony.

- Dobry Boże, jakaś ty piękna - szepnął. Podeszła wolno i przyciszonym głosem wypowiedziała jego imię. Mocne ra-

miona otoczyły ją i przygarnęły do obnażonej piersi, a usta dotknęły warg czule, a jednak zachłannie. Ogarnięta pożądaniem, które rozgorzało jak płomień, przylgnęła do niego całym ciałem. Rozwiązał po omacku sznurówkę sukni, a ciepłe dłonie dotknęły jej pleców. Porwał ją na ręce, jakby ważyła tyle co puch, i nie przerywając pocałunku, zaniósł do łóżka. Gdy leżeli na pościeli, przesypywał między palcami jej włosy, a potem wsunął je za wycięcie sukni i objął piersi. Uniosła się lekko, spragniona śmielszej pieszczoty.

Gdy usta Emryssa podażyły w ślad za dłońmi, zapragnęła się odwzajemnić. Przesunęła rękoma po jego bokach, pogłaskała tors. Jęknął, gdy ostrożnie ujęła w palce twarde sutki. Poczuła na piersiach muśnięcie ciepłego języka i odrzuciła głowę na poduszki. Ręce niecierpliwie błądziły po jego ramionach. Emryss dotknął kolaniem jej ud, więc rozsunęła je skwapliwie. Tak właśnie powinno być. Tak się godzi. Było cudownie.

- O Boże! - jęknął, położył się na plecach i utkwiał spojrzenie w suficie.

- Co się stało?

- Ja... nie mogę - szepnął. Usiadła, nie zważając na suknię owiniętą wokół talii. Odwrócił się do niej plecami. - Błagam, Roanno, przestań na mnie patrzeć w ten sposób. Nie powinienem się z tobą żenić.

- Powiedziałaś, że jestem piękna - odparła zdławionym głosem. Położył się na boku i dotknął jej policzka, ale szybko cofnął ramię.

- To prawda. Wyglądasz ślicznie. - Wstał, przytrzymując ręcznik.

- W takim razie czemu nie chcesz się ze mną kochać?  
Obszedł wielkie łóżko i stanął obok niej.

- Bo tylko w połowie jestem mężczyzną. - Ręcznik opadł, a Roanna wstrzymała oddech, widząc głęboką, czerwonawą bliznę, która zaczynała się przy lewym sutku, a kończyła w okolicach kolana. Przecinała ją druga, sięgająca męskości.

- Niewiele brakowało, żeby saraceński wojownik zrobił ze mnie eunucha. Prawie mu się udało, a zakażenie jeszcze pogorszyło sprawę - wyjaśnił ponuro. Roanna wpatrywała się w jego chmurną twarz. - Jak widziałas, niemal wszystko jest na swoim miejscu i z pozoru funkcjonuje, jak należy, ale tylko przez moment. - Wziął puchar, duszkiem wypił wino i zachwiał się lekko.

- Jesteś pewny? - szepnęła przygnębiona. Jakże pragnęła, żeby się mylił.

- Próbowałem, Roanno, ale haniebnie zawiodłem - wyznał ze smutnym uśmiechem. - Sama widzisz, żono moja, że nazbyt pochopnie się oświadczyłem, nie mając do tego prawa.

- Czemu się zdecydowałeś? - spytała, naciągając suknię na ramiona. Wstała z wielkiego łóżka. Emryss patrzył uparcie na swój kielich.

- Bo zobaczyłaś we mnie prawdziwego mężczyznę, a nie pechowca wartego litości lub wzgardy. W twoim spojrzeniu wyczytałem szacunek... - Umilkł na chwilę, a potem dodał bardzo cicho: - I pożądanie. - Westchnął i ciągnął trochę głośniej: - Teraz rozumiesz, dlaczego po całych dniach jeżdżę konno aż do całkowitego wyczerpania. Jesteś dla mnie nieodpartą pokusą.

Schylił się po spodnie, założył je pospiesznie, narzucił skórzany kaftan i bez słowa wyszedł z komnaty. Roanna długo patrzyła na drzwi, a potem zrezygnowana usiadła na brzegu łóżka. Powinna odczuwać ulgę, bo przecież nie z jej winy ich pożycie źle się układało, ale była tylko przygnębiona i wstrząśnięta. Dwie wielkie łzy spłynęły po zarumienionych policzkach.

Nagle usłyszała kobiecy krzyk. Rzuciła się do drzwi i otworzyła je szeroko. Z sali biesiadnej dochodziły rozgorączkowane głosy, więc zbiegła po schodach. Nieprzytomny Emryss leżał na podłodze. Serce w niej zamarło, gdy natychmiast do niego przypadła.

- Co się stało? - krzyknęła. W tej samej chwili Mamaeth uklękła obok wychowanka.

- Rozmawialiśmy - tłumaczył Gwilym - i nagle.... po prostu upadł. - Spojrzał z wyrzutem na Roannę, która nie zwracała na niego uwagi, bo Emryss jęknął głośno.

- Co z nim? - wystraszona zwróciła się do Mamaeth.

- Gorączka i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze - gderała ochmistrzyni. - Ten smarkacz galopuje w deszczu po całych dniach, więc się doigrał. Chodź tu, Gwilym, i pomóż mi zaprowadzić go do łóżka.

Gwilym przesunął się obok Roanny, która wstała natychmiast, żeby podtrzymać męża.

- Damy sobie radę, pani - mruknął opryskliwie, podnosząc go z pomocą Mamaeth. Otoczył ramieniem szerokie plecy, a Roanna ruszyła za nimi. Domownicy zebrani w sali biesiadnej szeptali wystraszeni.

- Przynieś moją torbę, chłopcze - poleciła Mamaeth. Roanna weszła do komnaty, gdy Gwilym zbiegał po schodach.

- Chodź tu, musimy go rozebrać - rzuciła niecierpliwie Mamaeth. Szybko zdjęły mu koszulę. - Jezus Maria, Józefie Święty, cały jest rozpalony! - wykrzyknęła. - Teraz spodnie! I dorzuć do piecyka.

Roanna szarpnęła pasek, ale zapięcie nie puściło. Emryss znowu jęknął. Modliła się w duchu o jego wyzdrowienie. Jak

mogła być tak głupia i samolubna, aby wcześniej nie spostrzec, że całkiem opadł z sił.

- Mówiłam, żebyś mu zdjęła spodnie, dziewczyno! - usłyszała głos zniecierpliwionej Mamaeth, więc chwyciła pasek, który wreszcie ustąpił.

- A niech to... - Usłyszała głośne westchnienie i poczuła na sobie uporczywy wzrok ochmistrzyni. Zarumieniona nie śmiała podnieść głowy. - To dlatego pozostałaś nietknięta. Ach, ci mężczyźni! Jak można doprowadzić się do takiego stanu, a na domiar złego słowem nie pisać o innej dolegliwości. Bez obaw, dziewczyno. Poczekaj tylko, aż go postawię na nogi! - Starannie okryła Emryssa.

- Wyzdrowieje, prawda? - Roanna chwyciła ją za ramię.

- Jasne, dziecino. To zwykła gorączka. Kurowałam już bardziej chorych, ale potrzeba czasu, żeby doszedł do siebie. Problem w tym, że ci głupcy są zbyt niecierpliwi.

Roanna nie potrafiła być taką optymistką.

Drzwi się otworzyły i do komnaty wpadła Bronwyn z torbą pełną ziołowych mikstur.

- Nareszcie jesteście! Co tak długo? - gderała Mamaeth. - Przynies gorącej wody, a nie przymilaj się do Gwilyma! - Gdy dziewczyna wybiegła z komnaty, ochmistrzyni dodała łagodniej, spoglądając na Roannę: - A teraz usiądź i odpocznij, skarbie.

Przez kilka najbliższych dni Emryss gorączkował i bredził. Wciąż nie było poprawy. Roanna czuwała przy nim, ale od czasu do czasu musiała się przespać, bo tak kazała Mamaeth. Chory często bredził: mamrotał, śpiewał, nawet krzyczał. Rzucił się na posłaniu, a Mamaeth siłą wlewała mu do ust swoje wywary. Raz po raz skarżył się na ból i okropne pragnienie, którego za-

den napój nie mógł zaspokoić. Chciał jeść końskie mięso, mówić o przejmującym chłdzie, gwałtownych ulewach i zarazie. Narzekał tak długo, aż ochryplł i nie był w stanie wydobyć głosu.

Roanna cierpiała z ukochanym i nie odstępowała go na krok. Raz po raz ujmowała jego rękę i ścisnęła bez słowa, jakby chciała w ten sposób przelać w niego własne życie. Raz jeden odważyła się pocałować spierzchnięte usta. Nie chciała go stracić. Jak mogłaby żyć dalej bez jego uśmiechów, żartów, pieśni? Gdyby odszedł, życie straciłoby sens.

Pewnego wieczoru, gdy już zważyła, że nastąpi poprawa, do komnaty weszła Mamaeth, przyjrzała mu się z uwagą i położyła dłoń na czole.

- Bogu niech będą dzięki. Gorączka spada - orzekła. Roanna była tak zmęczona, że nie potrafiła okazać radości. Czuła się jak rozbitek wyrzucony przez fale na ląd. - Teraz na pewno wyzdrowieje, moja droga. Powinnaś odpocząć. Będzie długo spał, więc śmiało możesz się zdrzemnąć.

Roanna kiwnęła głową i wstała z krzesła.

- Mamaeth, jak ci się odwdzięczę? - zapytała cicho.

- Urodzisz dziecko - odparła tonem nie znoszącym sprzeciwu i wyszła z komnaty.

Roanna popatrzyła na Emryssa. Z pewnością nie wyjawiał dawnej piastunce, że daremnie próbował być z kobietą. Westchnęła głęboko, dotykając opuszkami palców jego ust. Podeszła do okna i spojrzała na wieczorne niebo. Jak im się ułoży? Patrzyła na ziemię, którą ukochał, na pola wzdłuż rzeki, kjąrej wody obracały powoli ogromne młyńskie koło. Obserwowała księżyc zawieszony na granatowym firmamencie, a wzniesiony u stóp zamkowego wzgórze młyn turkotał radośnie. Gdy patrzyła na tę piękną krainę, czuła, jak w jej sercu zbiera serdeczna wdzięczność.

- Dzięki ci, Panie - szepnęła. Gwiazdy mrugały do niej porozumiewawczo. Ciężkie chmury wisiały nisko nad horyzontem. Nocne powietrze trochę ją otrzeźwiło. Była taka zmęczona. Raz jeszcze odetchnęła głęboko, rozglądając się po okolicy. Sąsiedzi od dawna spali.

Coś ją nagle zaniepokoiło. Zerknęła na młyn.

- Ogień - szepnęła, pędząc do drzwi. - Pożar! - wykrzyknęła. - Młyn się pali!

Ogarnięta paniką gnała po schodach, krzycząc wniebogłosy. Jeśli młyn spłonie, jego odbudowa potrwa wiele miesięcy. Przyjdzie im wegetować bez mąki i kaszy. Wypadła na dziedzińiec, głośno wzywając pomocy. Mijali ją zdezorientowani ludzie. Najpierw kręcili się w kółko, potem biegli po zboczu, do młyna. Płomienie ogarnęły już dach i strzelały z górnych okien kamiennego budynku. Języki ognia lizały znieruchomiałe młyńskie koło.

Roanna z przerażeniem stwierdziła, że pożar szybko się rozprzestrzeni. Przystanęła i rozejrzała się wokół. Kamienny młyn zbytnio nie ucierpi i łatwo będzie go naprawić. Jeśli ocaleje wielkie koło, praca nie ustanie na długo.

Ludzie biegali po dziedzińcu, nie wiedząc, co robić. Roanna obejrzała się, jakby miała nadzieje, że Emryss nimi pokieruje, i strach ścisnął ją za gardło. W narożnej wieży zamkowej pokazał się dym. Płonęła zbrojownia.

Zdesperowana zawołała Mamaeth i natychmiast znajoma twarz pojawiła się w obłokach dymu.

- Dzięki Bogu, że jesteś! Zatrzymaj tu kobiety, niech gaszą ogień i mają oczy szeroko otwarte. Koło nie może spłonąć! Zabieram mężczyzn do warowni. Zbrojownia się pali! - krzyknęła. Mamaeth gapiła się na nią bez słowa. Wokół nich zebrał się spo-

ry tłum, więc Roanna zawołała: - Kobiety zostają tutaj! Ratujcie młyn. Reszta wraca do warowni. I tam się pali.

Szmer przebiegł przez tłum, a mężczyźni od razu zaczęli wspinać się na zamkowe wzgórze. Nie traciła czasu i pobiegła za nimi, unosząc długą spódnicę. Gdy wpadła na dziedziniec, panował tam chaos. Ludzie z wiadrami napełnionymi wodą biegali we wszystkich kierunkach, wpadając na siebie w pędzie, bo wszyscy chcieli jak najszybciej dotrzeć pod zbrojownię. Ktoś rzucił na dziedziniec naręczne strzał i włóczni. Tu i ówdzie z iskier wykwitwały drobne płomienie spowite obłokami dymu. Powiew wiatru rozproszył je na moment. Roanna odetchnęła z ulgą, lecz uświadomiła sobie, że przy takiej pogodzie ogień szybko ogarnie słomiany dach stajni. Zaczęła krzyczeć, ale nikt na to nie zważał, więc błyskawicznie wspięła się na rusztowanie. Popatrzyła na głowy poddanych i wrzasnęła na całe gardło. Wszyscy znieruchomieli i przycichli. Słychać było jedynie trzask ognia.

- Rhys! Gdzie jesteś?

- Tutaj. - Znajoma postać wysunęła się do przodu.

- Ustaw mężczyzn w szeregu od studni do wieży. Niech podają wiadra. Chłopcy niech gaszą iskry i mniejsze ogniska, a staruszki będą polewać dach stajni, żeby się nie zajął. Reszta opuści zamek, wyprowadzając konie. Zabraniam wchodzić do wieży i wynosić broń. Trzeba ugasić ogień, nim pożar się rozszerzy.

Oszołomieni ludzie gapili się na nią bezmyślnie. Nagle barczysta postać ukazała się w drzwiach sali paradnej.

- Róbcie, co mówi! - krzyknął Emryss. - Na co czekacie? Przecież wam rozkazuje, nie prosi!

Strop wieży zawalił się z łoskotem, który wyrwał zebranych

z letargu. Natychmiast ruszyli do walki z ogniem. Roanna zsunęła się z rusztowania i podbiegła do męża.

- Dzięki - rzuciła, a jemu rysy trochę złagodniały.

- Sami by się w końcu opamiętali, ale dobrze mówiłaś. Przypominasz mi teraz anioła stróża, który zstąpił z nieba, żeby ich oświecić - odparł, a Roanna z uśmiechem patrzyła na wymizowaną twarz. - Do roboty - zachęcił. - Trzeba zdusić ogień.

- Jak twoja noga?

- Nie najgorzej. Mogę stać na dachu albo pomagać chłopcom.

Nim się sprzeciwiła, zniknął w kłębach dymu. Pomogła Rhysowi ustawić mężczyzn w długi szereg. Gdy dla ostatnich zabrakło naczyń, popędziła do kuchni i przyniosła wszystkie, które jej wpadły w rękę - nawet misę, w której Jacques najchętniej wyrabiał ciasto.

Staruszki były tak uradowane, że przypadła im misja ratowania stajni, iż zaczęły się kłócić o przywilej wejścia na dach. Roanna usłyszała głos Emryssa, który szybko opanował sytuację. Uspokojona pobiegła do stodoły.

Była tak zaabsorbowana, że nie zwróciła uwagi na iskrę, od której zajął się obrąbek spódnicy.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O świcie spadł błogosławiony deszcz i ugasił ostatnie iskry. Emryss wyjrzał przez niewielkie okno na pięterku stajni. Wolałby z chłopcami stać na dachu, ale usłuchał głosu rozsądku i kierował nimi z wnętrza. Na dziedzińcu panował okropny nieład. Między kałużami walały się kawałki poczerniałego drewna i osmalone kamienie. Większość dzierzawców wróciła już do domu, ale kilku mężczyzn czuwało przy zbrojowni. Kamienne ściany pokryły się czarnym nalotem, ale Emryss z ulgą stwierdził, że nie są popękane. Gdyby Roanna w porę nie wszczęła alarmu, straty byłyby znacznie większe. Rozglądał się uważnie, ale jej nie dostrzegł.

- Diabli nadali tę ślepotę - wymamrotał. Nagle spostrzegł chłopca, który przycupnął za belą siana i wpatrywał się w niego jak w obraz. - Wszyscy już zesli? - spytał.

- Tak, panie - odparł dzieciak z jawnym uwielbieniem. Gdy podszedł, Emryss zwichrzył mu włosy.

- Powiedz kolegom, że dobrze się spisaliście. Jestem z was dumny.

Po drabinie schodzili kolejno chłopcy o twarzach poczerniałych od dymu. Białe zęby błyskały w radosnym uśmiechu. Emryss także podszedł do drabiny. Niełatwo będzie mu zejść na dół, choć w czasie pożaru wspiął się błyskawicznie. Gdy stanął wreszcie na podłodze stajni, usłyszał wołanie Gwiłyma, który biegł w jego stronę.

- Bogu dzięki, nie ma wielkich strat.  
- A młyn? - spytał Emryss.  
- Mamaeth mądrze dowodziła kobietami. Młyńskie koło jest lekko nadpalone, ale jeszcze długo popracuje.

- Gdzie Roanna? - Znużenie zaczęło się dawać Emryssowi we znaki.

- W zamku - odparł Gwilym z dziwną miną. Został przy zbrojowni, a Emryss ruszył wolno przez dziedziniec. Nagle dostrzegł wśród kamieni i belek poczerniałą od ognia tkaninę. To była sukienka. Ubranie Roanny! Przyspieszył kroku i wpadł do sali biesiadnej, gdzie zebrali się umazani sadzą dzierzawcy. O Boże, jeśli została poparzona...

- Roanno! - krzyknął.

- Jest w sypialni, panie - krzyknął Rhys. A może ktoś inny? Emryss nie dbał o to.

- Co z nią?

- Suknia się na niej zapaliła...

' Nie czekając na wyjaśnienia, wpadł na schody wiodące do ich komnaty. Lewe kolano od wielu dni mu dokuczało, a teraz ból stał się przeszywający. Nie zważając na cierpienie, przeska-kiwał po dwa stopnie. Nim dopadł drzwi, z ich komnaty wyszła Mamaeth i położyła palec na ustach.

- Cicho, właśnie zasnęła.

- Bardzo ucierpiała? - wypytywał z niepokojem.

- Ależ nie! Moje biedne jagniątko! Wystraszyła się okropnie i tyle. Co tobie, Emryss?

- Już dobrze - mruknął, opierając się o ścianę, bo właśnie poczuł okropny ból.

- Ale noga dokucza, co? Chodź ze mną do izby na dole. Zrobię ci okład.

- Nie trzeba...

- Chodź, mówię! Po co masz cierpieć? Wiem, jak ci pomóc.

Emryss wiedział, że kiedy Mamaeth mówi takim tonem, nie warto się sprzeciwiać, bo i tak postawi na swoim. Gdy znaleźli się w izbie pachnącej suszonymi ziołami, przygotowała gęstą masę, zerkając na niego kątem oka.

- Dziękujemy Bogu za deszcz. Zdejmij spodnie.

Emryss rozebrał się, odwrócony do niej plecami, i zasłonił biodra prześcieradłem ściągniętym ze stojącego w izbie łóżka.

- Wyglądasz okropnie. - Podeszła bliżej z misą cuchnącej mazi, więc skrzywił się wymownie. - Wypraszam sobie! Co to za mina? Jeden taki okład i od razu poczujesz się lepiej. Mam też mikstury na inne dolegliwości. Dawno bym cię wykurowała, gdybyś nie był taki skryty. - Szarpnęła róg prześcieradła i rzuciła je na łóżko.

- Cholera jasna! - krzyknął Emryss, próbując się zasłonić.

- Przestań kłąć, mój chłopcze, albo lecz się sam!

Zrezygowany usiadł, ale odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na Mamaeth smarującą kolano cuchnącą papką. Owinęła je czystym płótnem.

- Twoja żona jest dziewicą - powiedziała cicho. Emryss bez słowa wstał i naciągnął spodnie. - Trzeba było przyjść z tym do mnie.

- Żebyś plotkowała ze wszystkimi babami o mojej hańbie?

- Czego tu się wstydzisz?

- Przecież nie mogę... - Wzruszył ramionami. - Nie dam jej dzieci.

- Jasne! Przecież ani razu się z nią nie kochałeś.

- Zrozum, Mamaeth - odparł z naciskiem. - Nie jestem w stanie tego zrobić.

- A niech cię wszyscy... Ciekawe, dlaczego? Bo ci trochę odciął? - zachnęła się i rozwścieczona usiadła na łóżku. - Pannie, daj mi cierpliwość! Ale głupi ci mężczyźni! Myślałam, że ty masz trochę oleju w głowie! - Popatrzyła na zmieszanego wychowanka i dodała łagodniej: - Straciłeś jedno oko, a nie jesteś ślepcem.

- Czegoś mi jednak brakuje.

- Jesteś szczęściarzem. To, coś stracił, nie robi żadnej różnicy. - Mamaeth przyglądała mu się uważnie.

- Nieprawda!

- Bóg wiedział, co robi, kiedy stwarzał Adama. Wszystko liczył podwójnie. Wierz mi, utrata jednego niewiele zmienia.

- Tak samo mówił Abram, który uratował mi życie - mruknął Emryss, siadając obok niej na łóżku. Pomilczał chwilę i dodał cicho: - W drodze powrotnej raz próbowałem, ale daremnie. Rany się zagoiły, ale kiedy...

- Aha! - Mamaeth domyślnie pokiwała głową. - Byłeś wtedy zgnębiony i pełen obaw, poza tym nic nie czułeś do tamtej kobiety i chciałeś się tylko z nią przespać. Dobrze mówię? Nic dziwnego, że zawiodłeś. Ale teraz będzie inaczej.

- Skąd ta pewność?

- Bo ta twoja dziewczyna chce, żebyś naprawdę stał się jej mężem. Jak ona na ciebie patrzy! Ożeniłeś się z nią, więc musisz stanąć na wysokości zadania, ale bez pośpiechu, szczególnie za pierwszym razem... i nie tylko wtedy. Dziś nie próbuj, daj sobie trochę czasu, żebyś całkiem wydobrzył.

Emryssowi zrobiło się lekko na sercu. Miał wrażenie, że lada chwila dostanie skrzydeł i z radości wyfrunie przez okno.

- Długo mam zwlekać?

- Cały Emryss! Już się niecierpliwi. Poczekaj tydzień. - Ob-

jęła wychowanka, który swoim zwyczajem położył głowę na jej ramieniu. Znała go od urodzenia i kochała nad życie.

- Dzięki, Mamaeth. Jesteś dla mnie jak matka - szepnęła czule. Uradowana pogłaskała go po głowie i westchnęła głośno.

- Oj, mężczyźni, mężczyźni! Wcale nie jesteś od nich lepszy! Minęło tyle czasu i nikomu słowa nie powiedziałeś o tym, co cię trapi! Nawet mnie się nie zwierzyłeś. Kto by pomyślał, że jesteś taki skryty? To do ciebie niepodobne. Ależ mnie zwiódłeś! - Zerwała się na równe nogi. - Teraz mam pewność, że wkrótce urodzą się wam dzieci. Idę o zakład, że twoja żona ma odpowiednią figurę i bardzo chce dać ci potomstwo. Jeśli się myślę, mogę do końca życia żebrać na dziedzińcu.

Emryss z pobłażliwym uśmiechem słuchał tej paplaniny. Ze szczęścia chciało mu się krzyczeć i biegać w kółko, tańczyć i śpiewać. Serce miał pełne radości.

- Jak poznałaś, że Roanna jest nietknięta?

- Panna inaczej chodzi; mniej kręci biodrami - tłumaczyła. Emryss popatrzył na nią z powątpiewaniem. - Idź do niej, głupstasie, ale pamiętaj, dziś wolno ci tylko patrzeć! - strofowała go z przyzwyczajenia. Mrugnęła porozumiewawczo i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Emryss zerwał się na równe nogi, ale zakręciło mu się w głowie, więc uznał, że na razie nie warto szaleć. Opuścił izbę, nucąc ulubioną pieśń.

Stanął na dziedzińcu i przyglądał się warowni. Z zadowoleniem stwierdził, że szkody nie są duże. Do grudnia rzemieślnicy jeszcze podciagną robotę, ale potem trzeba będzie przerwać prace, bo zaprawa murarska nie wiąże, gdy jest mróz. Na zimę dla ochrony przykryją mury z wierzchu mieszanką słomy i łąjna. Budowa postępowała o wiele szybciej, niż zakładał w naj-

śmielszych marzeniach, kiedy wiosną postanowił wznieść ten zamek.

Craig Fawr stanie się wnet niezdożywą fortecą. Tylko wielkie maszyny oblężnicze będą w stanie skruszyć mury, a komu chciałoby się wlec je ze sobą na to odludzie. Jego włości nie były rozległe, więc bardzo kosztowna ekspedycja przyniosłaby marny zysk.

Żwawo szedł ku drzwiom sali biesiadnej, pozdrawiając wszystkich, których spotkał. Po drodze spostrzegł Gwilyma i Bronwyn, stojących w zacisznym kącie, więc ruszył ku nim bez pośpiechu.

- Bronwyn, powiedz Jacques'owi, żeby przygotował dziś dobrą wieszczkę. Zasłużyliśmy na smaczne jado.

- Tak, panie. - Dziewczyna dygnęła z promiennym uśmiechem i pobiegła do kuchni.

- *Brawdmaeth* - odezwał się Gwilym. - Musimy pogadać.

- Później - zbył go pogodnie Emryss. - Mam teraz inne sprawy na głowie.

Gwilym zamierzał odpowiedzieć, ale tylko kiwnął głową, a Emryss poszedł do sypialni. Przed drzwiami przystanął i zapukał cicho. Nie usłyszał odpowiedzi, więc uchylił je i wszedł. Roanna spała okryta po szyję futrzaną narzutą. Długie ciemne włosy rozsypały się na poduszce, a w kącikach oczu i ust dostrzegł smużki sadzy. Zerknął na swoje ręce, całe usmolone. Na palcach podszedł do umywalni, choć najchętniej od razu przytuliłby śpiącą żonę.

- Emryss?

- Tak, to ja, skarbie. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. Podejrzewał, że ma głupią minę, lecz wcale się tym nie przejmował. Podszedł do łóżka i usiadł na brzegu, ale dotknął tylko

jej policzka. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. - Dziękuję za uratowanie młyna i zbrojowni - powiedział cicho.

- Wszczęłam tylko alarm - odparła, marszcząc lekko brwi.  
- Mam nadzieję, że nic ci się nie stało.

- Czuję się wspaniale, Roanno. - Pochylił się i musnął wargami chętnie usta. Gdy zadrżała uradowana, musiał zebrać wszystkie siły, bo pragnął wziąć ją w objęcia. - Odbylem z Mamaeth ciekawą rozmowę - dodał. - Wygląda na to, że jestem głupcem. - Z przyjemnością patrzył na jej śliczną twarz. - Jeśli nie będę działać pochopnie, doczekamy się potomstwa.

Promienny uśmiech rozświetlił najpierw zielone oczy, a potem kąciaki ust lekko uniosły się do góry. Pocałowała go i przytuliła się mocno, żądając pieszczot, przed którymi wcale się nie wzbriała. Gdy odsunął się po dłuższej chwili, brakło mu tchu.

- Rany boskie! To o mnie mówią, że jestem niecierpliwy!  
- Uśmiechnął się do żony. - Mamaeth kazała nam odczekać tydzień. Lepiej będzie, jeśli na te kilka dni przeniosę się do izby na dole. - Wstał z łóżka i zrobił do niej oko. - Zaczynają się żniwa. Za tydzień skończymy ostatni pokos, więc będzie powód do świętowania. - Roanna rozpromieniła się, patrząc w jego radosną twarz. Czuła, że przyjemne ciepło ogarnia ją od stóp do głowy.

Usłyszeli pukanie do drzwi.

- Co tam się u was dzieje? - zawołała Mamaeth. - Emryss, lepiej słuchaj moich rad.

Otworzył natychmiast i zobaczył tylko czubek głowy. Mamaeth stała na progu zasłonięta wielką dębową balią. - Rusz się, głupku, i weź ode mnie ten okropny ciężar, bo go upuszczę i coś ci utracę!

Parsknął śmiechem i wniósł balię do komnaty. Mamaeth wodziła spojrzeniem po radosnych twarzach obojga małżonków.

- Jak tylko Lardgut rozpali w kuchennym piecu, każę przynieść gorącą wodę na kąpiel. To leń i obibok! Za dużo gada i dlatego zwleka z robotą.

- Skoro tyle z tym będzie fatygi, przynieście wody na jedną kąpiel, to nam wystarczy - oznajmił wyniośle Emryss, a Mamaeth przestała gderać, zachwycona jego pomysłem. Mrugnęła porozumiewawczo i dodała na odchodnym: - Pamiętaj, masz poczekać tydzień, żeby sobie i jej nie zaszkodzić.

- Wiem - zapewnił Emryss, gdy wybiegała z komnaty.

- I pomyśleć tylko, że stracili tyle czasu! - Już zamykała drzwi, ale dobiegło ich z korytarza dobroduszne narzekanie. Emryss wybuchnął śmiechem, a potem spojrzał na żonę.

- Roanno, co masz na sobie pod tą narzutą? - zapytał łagodnym basem. Zawstydzona spłonęła rumieńcem. Zbliżył się do łóżka i odezwał się znowu. - Zadałem ci pytanie, żono.

- Nic - pisnęła, a gdy podszedł jeszcze bliżej, zadrżała z tęsknoty i niecierpliwości. Pragnęła go każdą cząstką swego ciała. Usiadł na brzegu pościela i przesunął dłonią po futrzanej narzucie okrywającej jej piersi.

- Przyszło mi do głowy, że możemy bardzo miło spędzić najbliższy tydzień. Rozmaite są przyjemności.

Przesunął dłoń i dotknął gładkiej skóry. Roanna westchnęła, gdy czule pocałował jej ucho. Uniosła ramiona i objęła go za szyję, więc nabrał śmiałości i odsunął futrzaną narzutę. Wtuliła się w niego i podała usta do pocałunku.

- To dopiero początek.

Odkoczyli od siebie, bo Mamaeth znów wmaszerowała do

komnaty. Roanna wsunęła się pod narzutę, a zaczerwieniony Emryss wstał z łóżka.

- Woda na kąpiel dla waszej wielmożności - oznajmiła Mamaeth z łobuzerskim uśmieszkiem. - I dla dostojnej pani.

Skinęła na kilka służebnych, które wniosły parujące dzbany.

- Postawcie je na podłodze i wyjdźcie.

Tłumiąc chichot, spełniły rozkaz i umknęły jak stadko wystraszonych kurcząt. Emryss przelał wodę do balii, nie zwracając uwagi na Roannę.

- Chcesz się wykapać pierwszy? - zapytała nieśmiało, żeby przerwać niezręczne milczenie. Wyprostował się i zmierzył ją badawczym wzrokiem.

- Pierwszy? - Energicznie pokręcił głową. - Skądże! Wykapiemy się razem.

Nim zdążyła odpowiedzieć, wziął ją na rękę, a potem nie zważając na piski i krzyki z pluskiem wrzucił do wody. Pospiesznie zdjął osmalone ubranie i zanurzył się z uśmiechem na ustach. Niedbale ochlapał wodą opalony tors, a potem wyciągnął rękę i dotknął jej białego ramienia. Zadrżała i przysunęła się do niego.

- O nie! - rzucił ostrzegawczym tonem i pogroził jej palcem. - Dochodzę do wniosku, że to nie był najlepszy z moich pomysłów. Obiecuję, że po kąpeli natychmiast przeniosę się do izby na dole. W przeciwnym razie nie zdołam dotrzymać słowa danego Mamaeth - tłumaczył.

Zarumieniona Roanna patrzyła w wodę, oszołomiona ich nagością. Było jej gorąco, ale miała świadomość, że to nie kąpiel tak ją rozgrzała. Emryss zachichotał.

- Jak przyjemnie! Dowiem się wreszcie, czemu twoja nadpalona sukienka leży na dziedzińcu?

- Spódnica zajęła się od iskry. - Roanna odchrząknęła nerwowo. - Zaczęła się palić żywym ogniem, więc ją... zdjąłem.

- Jak to? Gdzie? - Minęło kilka chwil, nim pojawił, o czym mowa.

- Tam, Emryss. Na dziedzińcu.

- Chcesz powiedzieć, że moja żona, uosobienie kobiecej skromności, zrzuciła kieckę na oczach setek ludzi? Jaki wstyd! Co za poniżenie! Chyba nie przeżyję takiej hańby!

- Nie miałam innego wyjścia - odparła po chwili milczenia. Twarz jej płonęła. Emryss wyciągnął rękę pod powierzchnią wody i złowił małą dłoń.

- Roanno, spójrz na mnie! O tak, to rozumiem. Nie dbam, że rozebrałaś się na oczach wszystkich moich dzierżawców. - Zamilkł i uśmiechnął się znowu. - Teraz zełgałem - przyznał i nagle spoważniał. - Mniejsza z tym. Moim zdaniem za bardzo się martwisz, co ludzie pomyślą. Ważne jest, że ocalałaś młyn i zbrojownię. Bez nich bylibyśmy słabi niczym jagnięta przeznaczone na rzeź, głodni i bezbronni - oznajmił uroczyście, a serce jej przepełniła radość. - Nareszcie poweselałaś! Ta mina bardziej mi się podoba. — Puścił jej dłoń i w zamyśleniu potarł zarośnięty policzek. - Doszedłem do wmosku, że jednak powinnaś mieć tu księdza. Niech ci wytłumaczy, czemu zbłądziłaś.

- Mówisz serio, Emryss? - Rzuciła się naprzód i chwyciła go za ramiona, a woda przelała się przez brzegi dębowej balii.

- Gdybym wiedział, jak zareagujesz na tę nowinę, wcześniej bym o niej wspomniał - odparł uśmiechnięty. - Tak, możesz sprowadzić duchownego. - Sposepniał na moment. - Nie łudź się, że zechcę mieć z nim do czynienia. Nienawidzę obłudy.

- Rozumiem.

- Chciałbym wiedzieć, czemu tak ci zależy na obecności księdza.

- Kiedy mieszkałam u stryja, tylko w kościele czułam się bezpieczna. Zawsze miałam wrażenie, że to mój prawdziwy dom. Usiadła po swojej stronie, oparta plecami o dębowe klepki.

- Teraz naprawdę go masz - odparł pogodnie, zmoczył włosy i skrzywił się lekko. - Cuchnę dymem.

- Ja również. - Roanna przysunęła się bliżej.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, kobieto, bo nie jestem z żelaza! - rzucił ostrzegawczo, więc cofnęła się posłusznie. Spojrzał na nią dość nieufnie. - Mówmy dalej o księdzu. Trzeba ci będzie zbudować porządną, murowaną kaplicę. Ta drewniana szopa z przeciekającym dachem nie jest godna tego miana. Zabierzemy się do pracy na wiosnę, o ile uda się korzystnie sprzedać wełnę.

- Dzięki, mężu - odparła czule, a Emryss jęknął.

- Nie patrz na mnie w ten sposób! Nie jestem świętym, tylko zwykłym śmiertelnikiem! - Wstał i żałośnie spojrzał po sobie.

- Rany boskie, dlaczego muszę odczekać cały tydzień?

- Jestem przeciwna zwłóce.

Emryss popatrzył na żonę. Skórę miała lśniąca od wilgoci, usta rozchylone, oczy świetliste jak gwiazdy. Wpatrywała się w niego jak urzeczona, więc natychmiast włożył ubranie.

- Muszę ocenić straty. Zajrzę też do stajni - mruknął na odchodnym.

Roanna wyszła z kąpieli i wytarła się mocno lnianym ręcznikiem. Gorąca krew pulsowała pod skórą, a na twarzy pojawił się zmysłowy uśmiech. Przeczynała, że najbliższy tydzień będzie dłużył się w nieskończoność.

Emryss ominął wielką kałużę przed wejściem do sali biesiadnej. Rhys i Gwilym stali przed zbrojownią i deliberowali nad kawałkiem zwęglonego drewna, rozmawiając po cichu. Gdy przeciął dziedziniec i przyłączył się do nich, wyraźnie spojchmurnieli.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Gwilym.  
- Dobrze. Ile broni straciliśmy?  
- Niewiele. Sortujemy wszystko, co ocalało - wtrącił Rhys.  
- Zdaj mi sprawę, jak skończycie - polecił Emryss, a zarządca kiwnął głową i wszedł do środka. - Co cię trapi, Gwilym?

- Ktoś podłożył ogień. Znaleźliśmy i przy młynie, i tutaj hubkę, krzesiwo oraz pochodnie.

- Do młyna łatwo jest podejść, ale jak się tutaj dostali? - spytał rozgniewany Emryss.

- Podpalacz najpierw podłożył ogień w dole, nad rzeką, a gdy pobieglśmy tam wszyscy jak zgraja idiotów, zakradł się do twierdzy i próbował spalić zbrojownię.

- Ktoś zauważył intruza? - Emryss w zadumie tarł policzek.

- Chyba nie. - Gwilym sposepniał. - Muszę ci teraz powiedzieć, co widziałem w klasztorze. Cynrik zaciągnął twoją żonę do ustronnej kaplicy. Ucałował jej rękę, a ona mu tego nie broniła.

Emryss słuchał relacji przybranego brata, patrząc w ziemię.

- Skąd wiesz?

- Śledziłem ich.

- Twoim zdaniem tamto spotkanie ma związek z pożarem?

- Ona wszczęła alarm, więc pognaliśmy do młyna.

- Kto zauważył ogień w zamku?

- Też ona. - Gwilym wzruszył ramionami.

- Najpierw zwabiła ludzi nad rzekę, a potem sama zapędziła ich do zamku, żeby ratowali zbrojownię? To się przecież kupy nie trzyma!

- Przez wzgląd na ciebie chciałbym się mylić, *brawdmaeth*.

- Podejrzewasz intrygę tam, gdzie jej nie ma. Wiem na pewno, że Roanna jest niewinna. Na wszelki wypadek podwoimy straż. A teraz chodź ze mną, wypytamy ją od razu.

Roanna przestała szcztokować włosy i uśmiechnęła się do Emryssa, który stanął na progu komnaty.

- Podobno Cynrik rozmawiał z tobą w kościele - zaczął bez ogródek. Za nim wszedł Gwilym patrzący z jawną odrazą.

- To prawda. - Zdziwiona przyglądała się mężowi, który zadał następne pytanie, zdecydowany rozproszyc wszelkie wątpliwości przybranego brata.

- Czego chciał?

- Twierdzi, że szuka zgody i chce zakończyć wasze spory - odparła spokojnie.

- Kłamca! - burknął Gwilym, a Roanna spochmurniała.

- Przynajmniej wykonał pojednawczy gest.

- Może ich robić, ile zechce, a ja i tak nie uwierzę temu gadowi - odparł Emryss, obserwując ją uważnie. Szczerosc patrzyła jej z oczu. - Chcesz coś dodać?

- Ujął i pocałował moją dłoń. Uczynił też pewne wyznanie, ale puściłam je mimo uszu, bo wydało mi się, że jestem obserwowana.

Emryss odetchnął z ulgą i od razu poweselał.

- I co, Gwilym? Nasz Cynrik jak zawsze kłamie i knuje.

- W takim razie nie ma o czym gadać, prawda? - Gwilym odwrócił się i wyszedł z komnaty. Roanna podeszła do męża.

- Nie życzę sobie, żeby mnie szpiegowano. Nawet twój najbliższy przyjaciel musi o tym pamiętać.

Emryss zbliżył się jeszcze bardziej i chwycił jej rękę.

- Martwił się i tyle. Czasem bywa marudny jak stafa niańka, ale ma dobre intencje. - Zmarszczył brwi i spojrzał na jej uniesioną twarz. - Jestem wściekły, bo Cynrik cię dotknął.

- Przecież wiesz, że zrobił to wbrew mojej woli. Ty jeden masz do tego prawo - odparła z uśmiechem. Objął dłońmi jej twarz i czule pocałował w usta.

- Wiesz, żono, zdaje mi się, że gdy postanowiłem cię poślubić, nie miałem pojęcia, jaki mi się trafił skarb.

Na dole w kuchni Gwilym zaciągnął Bronwyn do spiżarni.

- Od dziś trzymaj się zawsze blisko pani Roanny.

- Dlaczego? Coś się stało? - Widząc chmurną minę, pocałowała go w policzek.

- Kto wie? Może nic? Nie wykluczam jednak, że grozi nam ogromne niebezpieczeństwo.

Trzy dni później ksiądz Robelard przycupnął na brzegu krzesła w ponurej celi opata i drżącymi palcami skubał habit. Każdy dźwięk przyprawiał go o drgawki i palpitację serca. Oczekiwanie dłużyło się nieznośnie. Gdy po mszy żałobnej w intencji zmarłego barona kazano mu za kilka dni przyjść do celi opata, miał złe przeczucia. Teraz z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że będzie źle.

Wątpił, żeby stary DeLanyea trafił do nieba. Jego duszy nie pomogą żadne modlitwy. Odetchnął z ulgą, bo nie musiał już patrzeć na wybryki zatwardziałego grzesznika. Wzdrygnął się, gdy wspomniał ostatnie chwile jego życia. Nagły atak choroby,

która uderzyła niczym karząca ręka samego Pana Boga, złamała tego łotra i pyszałka. Życie z niego uchodziło, a oddychanie stało się bolesną walką, lecz jeszcze był w stanie mówić. Rozkazał, by w komnacie pozostał syn, Fitzroy i duchowny. Wszyscy inni musieli wyjść.

Ksiądz Robelard zmarszczył brwi. Wiedział, z kim ma do czynienia, i nie oczekiwał, że chory poprosi o rozgrzeszenie lub duchową pociechę, ale przeraził go bezmiar nieprawości i okrucieństwa. Baron okazał się nikczemnikiem jakich mało. Potem i księdza wyproszono z komnaty. Został tylko Cynrik i jego przyjaciel... o ile można tak określić najemnika. W ostatnich chwilach życia baronowi towarzyszył jedynie syn. Zapewne wysłuchał ostatnich zaleceń rodzica i przyrzekł ich przestrzegać.

Drzwi skromnie umeblowanej celi opata otworzyły się, a ksiądz Robelard wstał. Do środka wszedł zgarbiony Cynrik DeLanyea, nowy baron i wielkorządca marchii. Ksiądz nie wierzył własnym oczom. Wcale by się nie zdziwił, gdyby młody rycerz ujawnił całą pogardę i butę tłumioną za życia ojca, ale Cynrik jakby spokorniał i zmałał. Gestem nakazał duchownemu, żeby usiadł, a potem sam zajął krzesło opata.

- Musi ksiądz zrozumieć, że przeżywam wyjątkowo trudne chwile - powiedział - ale muszę zapomnieć o sprawach osobistych i zarządzać moim dziedzictwem. - Umilkł, a jego przenikliwe spojrzenie bardziej pasowało do wizerunku znanego księdzu Robelardowi. - Sam ksiądz rozumie, że mój ojciec nie potrzebuje już duchowej posługi.

- Tak, panie. - Pokiwał głową. - Dobrze się składa, bo...  
- Umilkł zbity z tropu.

- Przed duchownym o takim rozumie i przenikliwości nie

będę udawać, że łączyła mnie z baronem serdeczna zażyłość.  
- Zamyślony Cynrik splótł dłonie, a ksiądz Robelard milczał dyplomatycznie, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na to stwierdzenie. Ciekawe, co jeszcze usłyszy. - Potrzebuję pomocy w bardzo trudnej sprawie i przyszło mi na myśl, że ksiądz będzie odpowiednią osobą. Nawet mój ojciec ufał księdzu na tyle, żeby ujawnić drastyczne szczegóły waśni dzielącej ród DeLanyea. - Zaniepokojony duchowny wiercił się na krześle, chociaż Cynrik okazywał wielką łaskawość. - Moim zdaniem nie należy zdradzać tych sekretów osobom postronnym. Zgodzi się ksiądz ze mną, prawda?

- Tak, panie.

- Dobrze. Niestety, przeszłości nie można zmienić.

- W samej rzeczy, panie.

- Patrzmy zatem w przyszłość - ciągnął Cynrik, uśmiechając się smutno. - Chciałbym pojednać się z Emrysem.

- Intencja godna chrześcijanina, panie.

- Obawiam się jednak, że Emryss odrzuci moje starania. Zaprosiłem go na mszę w intencji zmarłego ojca, ale nie przybył.

- Ksiądz Robelard smutno pokiwał głową. - Pomyślałem jednak, że gdyby kapłan rozumny i taktowny osiadł w parafii sąsiadującej z Craig Fawr, znalazłby sposobność, żeby pomówić z jego żoną...

- Masz rację, panie, ale Emryss DeLanyea jest wrogo nastawiony do kościoła.

- Wygląda na to, że ulega namowom swej pani. Najwyraźniej przekonała go, żeby mieli proboszcza na podzamczu.

- Niech ją Bóg błogosławi!

- O tak, proszę księdza. Rozmawiałem z opatem i uznaliśmy, że ksiądz jest idealnym kandydatem - tłumaczył Cynrik,

a duchowny odchrząknął nerwowo. Czy opat rzeczywiście tak sądził? A może dowiedział się o haniebnym przewinieniu i chciał się pozbyć winowajcy? - Opat zdaje sobie sprawę, że trzeba nam kapłana rozumnego i wrażliwego, toteż od razu wiedzieliśmy, komu dać tę parafię.

- Pochlebiasz mi, panie...

- Skądże! - Cynrik wstał i obciągnął tunikę. Ruszył ku drzwiom, ale na odchodnym dodał: - Mam nadzieję, że mogę liczyć na dyskrecję księdza co do przedśmiertnych wyznań mego ojca. Nie należy wprawiać w zakłopotanie Emryssa i jego uroczej małżonki. Wieśniacy plotkują, wyolbrzymiając takie wieści.

- Przykra sprawa, panie. Chodzą słuchy...

- Tak. Ma ksiądz rację. - Cynrik uśmiechnął się pogardliwie. - Przekażę Lynette... ucałowania. Będzie niepokieszona, gdy usłyszy, że ksiądz nas opuszcza. - Ogarnięty mdlącym strachem księżulo popatrzył na rozmówcę, który na pewno wiedział, że on - kapłan i sługa Boży - złamał śluby i był z kobietą! - Jestem przekonany, że co pewien czas znajdzie ksiądz pretekst do odwiedzin w Beaufort. Chętnie wysłucham nowin o moim kuzynie i jego pani. - Uśmiechnięty Cynrik bez cienia litości przyglądał się drżącemu człeczyni, a ten spoglądał na niego z lękiem, jakby ujrzął diabła czyhającego na grzeszną duszę.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W ciągu tygodnia, który nastąpił po pożarze, Roanna przekonała się, że przyjemnie jest mieć zalotnika. Emryss był czarujący niczym wymarzony księżę z bajki.

Owce pasły się spokojnie, nikt nie atakował pasterzy, co było dla Emryssa niemałą pociechą, jako że Mamaeth zabroniła mu jeździć konno przez cały tydzień. Roanna była szczerze uradowana, mając go w pobliżu, lecz zdarzały się chwile, gdy chętnie by go gdzieś wyprawiła, bo tak na nią patrzył, że zapominała, jak się nazywa, i wszystko leciało jej z rąk. Zmuszony przesiadywać w Craig Fawr nadzorował prace budowlane, a Roanna z przyjemnością go obserwowała. Pomaga! rzemieślnikom, póki czujna Mamaeth nie kazała mu trochę odpocząć.

Raz zwymyślał murarza, który nie pozostał mu dłużny. Roanna z niedowierzaniem przysłuchiwała się kłótni. Czy to możliwe, aby szlachetnie urodzony wielmoża - nawet tak wyjątkowy jak Emryss - znosił wyzwiska zwykłego prostaka? Stali obaj twarzą w twarz nad wielkim kamiennym blokiem, gestykulując z ożywieniem. W końcu Emryss dał za wygraną, a murarz przestał zwracać na niego uwagę. Pogłaskał kamień, zagałdał do niego czule, wybrał miejsce, gdzie przyłożył dłuto i raz jeden puknął w nie młotkiem. Wielki kamień pękł na dwie równiutkie połówki.

Innym razem Emryss wyjątkowo się rozgadał; zaczął wspo-

minąć mury obronne i baszty oglądane w Akce oraz innych warunkach na Wschodzie. Podczas wieczery tak się ożywił, że Roanna postanowiła wykorzystać sposobność i zapytała go o krucjatę, ale natychmiast tego pożałowała, bo w jednej chwili cała radość go opuściła i znowu sposepniał. Mimo to opowiedział jej o utrapieniach, z którymi musieli się zmagać krzyżowcy. Po ulewach wilgotna żywność pleśniała, a zbroje pokrywały się rdzą. Prześladowały ich choroby, dopadała gorączka, napady kaszlu i duszności; niektórym wypadały zęby. Głodowali, więc konie, nawet chore, ceniono nie jako wierzchowce, ale głównie dla ich mięsa.

- I po co tak cierpieliśmy? - dodał z goryczą. - Aby jakiś papież mógł się chełpić, że podbił krainę, w której żaden roztropny człowiek nie chciałby mieszkać?

- Mamy pozostawić Jerozolimę poganom, którzy... - zaczęła niepewnie, przerażona, że szlachetna misja krzyżowców była przyczyną straszliwego cierpienia. Jak na nią wtedy spojrział! - Emryss, nie potrafię ogarnąć bezmiaru twego cierpienia - powiedziała łagodnie - ale pomogę ci o nim zapomnieć, jeśli mi pozwolisz.

- Nikomu nie mówiłem o tamtych latach. Od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że potrafisz uleczyć moją duszę.

Rozmowę przerwał im Rhys domagający się pieśni, a Emryss chętnie posłuchał. Roanna zdawała sobie sprawę, że tamtego wieczoru bardzo się do siebie zbliżyli, i cieszyła ją ta świadomość.

Miała teraz mniej czasu na swobodną włóczęgę po zamku, ponieważ Emryss odbył długą rozmowę z Mamaeth, która zgodziła się powierzyć jej część obowiązków.

- Czekałam tylko na twój znak, mój chłopcze - oświadczyła

z miną niewiniątka, a Emryss obdarzył ją łobuzerskim uśmiechem i mrugnął porozumiewawczo do Roanny.

Odbywała też krótkie przejażdżki po okolicy - zawsze w towarzystwie pomocnej Bronwyn i ostrożnego Gwilyma, który był przekonany, że banda rabusiów nadal grasuje w pobliżu. Znała już prawie wszystkich dzierżawców i zaczęła się uczyć języka Walijczyków. Szczególnie ucieszyło ją spotkanie z matką Hu, drobną, cichą kobietą tkającą wełnę przedniej jakości. Kupiła od niej prześliczny ciemnoniebieski materiał ufarbowany sokiem z jagód, a wieczorem opowiedziała Emryssowi o talentach nowej znajomej. Cieszyła się, bo słuchał z uwagą i przyznał jej rację, gdy zaproponowała, żeby wyjątkowo zdolna tkaczka przekazała innym swe umiejętności, bo tkaniny okazały się prześliczne, a w pracy była zwinna i bardzo szybka.

Mimo tych wszystkich zajęć tydzień wlokł się w nieskończoność. Roanna czuła się samotna, gdy nocą leżała w ogromnym pośłaniu, wyobrażając sobie, że obok niej spoczywa Emryss i trzyma ją w objęciach. Potem miała sny tak śmiałe i zmysłowe, że gdyby dotyczyły innego mężczyzny, a nie jej ślubnego małżonka, zapewne przez całą wieczność spalałaby się w ognach piekielnych.

W tym samym czasie ksiądz Robelard przyjechał do Craig Fawr i objął parafię pod zamkiem, a Roanna nabrała pewności, że Walia to jej nowa ojczyzna.

Przez cały tydzień trwały żniwa. Nadszedł wreszcie ostatni dzień ciężkiej pracy i kres tygodniowego oczekiwania, które zdawało się trwać wiecznie. Roannę zbudziły odgłosy dobiegające z dziedzińca. Usłyszała radosne okrzyki. Gdy usiadła na łóżku, w komnacie było całkiem jasno, bo przez otwarte okna wpaadały już słoneczne promienie. Miał rację stary Daffyd, bez-

zębny pasterz, którego wieku nie potrafiła ocenić. Zapowiadał się piękny, ciepły dzień. Na pewno nie będzie deszczu.

Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Na dziedzińcu tłoczyła się cała okoliczna ludność: dzieci, dorośli, starcy. Dostrzegła też szerokie plecy Emryssa i usłyszała jego donośny śmiech. Podeszła do skrzyni i wyjęła ciemnoniebieską suknię ukończoną poprzedniego wieczoru. Pod spód włożyła nową, haftowaną koszulę. Twarz jej się wypogodziła na myśl, że nadchodzi takie wieczory i noce, kiedy nie będzie miała czasu na szycie.

Czesząc włosy, złapała się na tym, że nuci ulubioną pieśń męża. Spojrzała na czepiec i roześmiała się cicho. Było zbyt ciepło, żeby go nosić, ale zwyczaj nakazywał mężatkom okrywać włosy, toteż mimo niechęci sięgnęła po niego i zapięła pod brodą szeroką taśmę. Rozległo się szybkie, charakterystyczne pukanie i do komnaty wpadła Mamaeth.

- Pospiesz się, pani - rzuciła. - Nie będą na nas czekać, bo chcą dzisiaj skończyć żniwa.

Roanna kiwnęła głową i odwróciła się do niej plecami, bo sznurówka sukni nie była ściągnięta. Mamaeth szarpnęła mocno, nie bacząc na protesty Roanny, która skarżyła się, że nie może oddychać.

- Błagam, poluzuj trochę.
- Nie trzeba, pani. Ślicznie wyglądasz.

Roanna zerknęła na dekolot sukni. Częściowo odsłonięty biust sterczał nieskromnie.

- Nie mogę się tak pokazać!
- Trudno, musisz cierpieć w milczeniu. Dziś nie ma czasu na kaprysy. - Rozchichotana Mamaeth popuściła trochę sznurówki i dodała: - Emryssowi nie potrzeba żadnej zachęty. Gdy-

by zobaczył twój dekolt, pewnie zaciągnąłby cię do najbliższego zagajnika.

Na wypełnionym po brzegi dziedzińcu roiło się od ludzi i parsających koni. Zebrali się tu chyba wszyscy wieśniacy z majątku oraz ich rodziny. Zaczerwieniony od krzyku Rhys stał na wozie pośrodku dziedzińca i donośnym głosem rzucał rozkazy, kierując ludzi w różne strony. Ktoś dotknął ramienia Roanny, więc odwróciła się natychmiast. Gdy Emryss popatrzył na nią z uśmiechem, mimo woli popatrzyła na cienką koszulę, luźno zebraną w talii rycerskim pasem i rozchełstaną na piersi tak, że widać było opalony tors.

- Śliczna sukienka, ale czepiec paskudny. Dlaczego chowasz pod nim włosy?

Roanna nie odpowiedziała, mocno zarumieniona pod natarciwym męzkowskim spojrzeniem. Patrzyła w ziemię, ale kątem oka widziała muskularne nogi w wąskich spodniach z surowego płótna. Spuściła oczy i wpatrywała się w czubki jego butów. Z przeciwległej strony dziedzińca dobiegło głośne wołanie Gwilyma.

- Emryss, będziesz dzisiaj zniwował?

Wszyscy patrzyli na nich wyczekująco. Z kuchni wypadła Mamaeth i pokłusowała w ich stronę jak bojowy rumak podczas rycerskiego turnieju.

- Wykluczone! Chcesz, żeby ten chłopak całkiem okulał? - wrzasnęła na Gwilyma, a Emryss bezradnie wzruszył ramionami i pokręcił głową. Zirytowana Mamaeth zerknęła na, tłum i rzuciła ostro: - Co stoicie, jakby was przymuowało? Rhys!

- Wszyscy gotowi - odparł zarządca.

- Ruszamy w pole - wtrącił Emryss i z uśmiechem spojrzął

na Roannę. - Jest tu gdzieś wóz przygotowany specjalnie dla ciebie.

Wiedziała, że Mamaeth pozwoliła mu dosiąść konia pod warunkiem, że nie będzie galopować jak opętany. Zapewne nie mógł się doczekać przejażdżki, więc odparła:

- Ruszaj przodem. Spotkamy się na polu.

Pospieszyła na skraj dziedzińca, schodząc z drogi tłumowi wieśniaków. W drzwiach kuchni stanął Jacques, wycierając ręce kucharskim fartuchem. Rozejrzył się, dostrzegł Roannę i pomachał jej na pożegnanie.

Usłyszała głos biegnącej w jej stronę Bronwyn. Gdy się zrównały, zdyszana dziewczyna bez słowa wskazała czekający koło stajni mały wóz zaprzęzony w osiołka - ten sam, na którym Roanna uciekła od stryja. Nie był to pojazd godny wysoko urodzonej damy, ale wszystkie zaprzęgi są potrzebne przy żniwach.

Gdy tłum minął bramę, wsiadły pospiesznie na wózek i pojechały za radosną gromadą.

- Ależ będzie uciecha! - powiedziała wesoło Bronwyn i trzepnęła lejcami grzbiet osiołka. Gdy ruszył żwawo, Roanna ścisnęła dłońmi boczne deski wozu podskakującego na wybojach.

Jechały za wesołymi żeńcami, aż stanęli na skraju pola, gdzie falowało dojrzałe zboże. Bronwyn zamiast trzymać się za nimi, skrzyła ku najdalszym zagonom. Zeskoczyła z wozu i postawiła go w cieniu drzewa, żeby osiołek też miał chwilę wytchnienia.

- Wszyscy zostali przy tamtym zagonie. - Roanna pytająco uniosła brwi.

- Bez obaw, pani, to najlepsze miejsce. Nasi będą tu żąć na

końcu. Z pewnością zechcesz im się przyjrzeć, a teraz możemy pójść spacerkiem na tamto pole, jeśli taka twoja wola.

Roanna kiwnęła głową i zeskoczyła z wozu. Bronwyn wyprzedziła ją, biegnąc skrajem zagonów i szybko wmieszała się w tłum, znikając z oczu swej pani. Ta dostrzegła wreszcie Emryssa. Siedział na koniu z uniesionym wysoko ramieniem. Gdy tłum wznosił radosne okrzyki, Roanna potknęła się, bo do buta wpadł jej kamyk o ostrych krawędziach. Pięta okropnie bolała. Roanna usiadła na miedzy, zdjęła obuwie i wyrzuciła kamyk. Rozmasowała starannie obolałe miejsce i wsłuchiwała się w radosne pokrzykiwania, które zabrzmiały po raz drugi. Westchnęła zirytowana drobną przykrością, włożyła but i chciała przyspieszyć kroku, lecz siniak na pięcie sprawił, że lekko kulała. Taśma płóciennego czepca zapięta ciasno pod brodą wpijała się w skórę, kropelki potu spływały po karku. Przystanąła, żeby odetchnąć głęboko. Litościwa Mamaeth poluzowała nieco sznurówki, lecz mimo to opięty gors sukienki mocno ścisnął ją w pasie.

- Roanno! - usłyszała nagle głos Emryssa i podniosła głowę. - Szukałem cię - dodał, podjeżdżając bliżej. Zsunął się z konia i podbiegł, ciągnąc go za sobą. - Co się stało? Czemu pobladałaś? Czujesz się niezdrowa?

- Kamień wpadł mi do buta, a na domiar złego Mamaeth zbyt ciasno zawiązała sznurówkę.

- Dobrze się spisała - odparł z łobuzerskim uśmiechem.

- Ale ja nie mogę swobodnie chodzić i oddychać, kiedy jestem taka ściśnięta! - narzekała Roanna, odwracając wzrok, żeby nie patrzeć na opalony tors widoczny za rozchyłonymi połami białej koszuli.

- Zaraz coś na to poradzę. - Puścił wodze Wilka i zbliżył

się do niej na wyciągnięcie ręki. Odwrócona plecami czuła, jak bez pośpiechu rozwiązuje supeł, żeby poluzować sznurówkę. Ciepłe dłonie muskały gładką skórę. - Już myślałem, że ten tydzień nigdy się nie skończy - szepnął jej do ucha.

- Ja również - przyznała, opierając się o szeroki tors. Wsunął dłonie pod suknię i objął piersi. Wstrzymała oddech pod wpływem cudownej pieczyoty i przylgnęła do niego całym ciałem. Opamiętała się dopiero, gdy znów zabrzmiały okrzyki.

- Emryss! - rzuciła karcącym tonem. Pospiesznie cofnął ręce, wybuchnął śmiechem i luźno zawiązał sznurówkę. - Trzeba nad sobą panować... przynajmniej na razie. - Znowu się roześmiał.

Tłum gapiów podchodził coraz bliżej. Roanna popatrzyła na żeńców idących wolno ku między najbliższego zagonu. Wygładziła spódnicę, a Emryss podszedł do Wilka i podniósł wodze.

- Chodź tu, żono, i daj mi rękę - rzucił wesoło. Ruszyli dalej ramię przy ramieniu. Sierpy poruszały się rytmicznie w rękach skupionych żeńców pochylonych nad złocistym łanem. Z uwagą patrzyła, jak szybkim, płynnym, jednostajnym ruchem chwytają wiązki słomy, tną je i odkładają. Ich ruchy były powolne w porównaniu z trzepotaniem jej serca, które tłukło się w piersi jak oszalałe, ponieważ obok stał Emryss, trzymając ją delikatnie za rękę.

Mężczyźni skończyli pracę. Gdy odpoczywali, zaczęły się wesołe rozmowy. Jedni zaspokajali pragnienie, inni siadali na kocach rozpostartych przez kobiety, podsuwające zgłodniałym chleb, ser i piwo. Bronwyn i Gwilym przynieśli z wozu ogromny kosz.

- To wszystko dla mnie i mojej ślicznej żonki? - Emryss zrobił wielkie oczy, udając zdumienie.

- Nam i Mamaeth też się coś należy - odparł Gwilym. - Spokojna głowa! Widzę, że Jacques włożył tyle jadła, aby starczyło dla wszystkich.

Roanna z pomocą Bronwyn rozłożyła koc, na którym usiedli we czwórkę. Jacques przeszedł samego siebie. W koszu znaleźli pyszny biały chleb, kilka gatunków sera oraz gigantyczny dzban piwa, do którego Emryss z Gwilymem przypięli się niczym dwie pijawki. Były również słodczyce, a do tego mała flaszka z winem.

Roanna obserwowała poddanych, którzy z apetytem posilali się na świeżym powietrzu. Dzieci biegały i bawiły się pod czujnym okiem rodziców. Kobiety plotkowały, wybuchając śmiechem. Kilku znużonych mężczyzn usnęło. Odwróciła głowę i spostrzegła, że Bronwyn i Gwilym znikli nie wiadomo kiedy. Emryss leżał na boku, gryząc źdźbło trawy.

- Na co tak patrzysz?

- Nie widziałam dotąd równie szczęśliwych dzierzawców - odpowiedziała. Pod jego natarczywym spojrzeniem nagle ogarnęło ją zmieszanie. - Gdzie Bronwyn?

- Z Gwilymem. - Wciąż patrzył na nią dziwnie, nie bacząc na tłum. Odchrząknęła nerwowo

- To ostatni zagon? - Ruchem głowy wskazała sąsiednie pole. Nie odpowiedział na pytanie, tylko zerknął na biały czepek. - Zamierzasz stale nosić to paskudztwo?

- Muszę, bo jestem mężatką.

- Twoje włosy są zbyt piękne, żeby je chować pod płótnem - zapewnił niskim, łagodnym tonem, którego nikt oprócz niej dotąd nie słyszał. Zerwała się na równe nogi.

- Chyba poszukam Bronwyn.

- Dobry pomysł. - Z powagą skinął głową. - Pora kosić

ostatni zagon. Potrzebny mi Gwilym, a oni są przecież nierozłączni.

- Dokąd poszła?

- Chyba tędy. - Pokazał wierzby rosnące gęsto na brzegu rzeki. Roanna zmierzała we wskazanym kierunku, starając się poruszać statecznie i godnie, choć miała wrażenie, że unosi się jak ptak w gorącym powietrzu i płonie żywym ogniem. Kilkakrotnie zawołała Bronwyn po imieniu, lecz nie usłyszała odpowiedzi. Zeszła nad wodę, ale i tam nikogo nie było. Gdy się odwróciła, zobaczyła szczupłą dłoń, która zręcznie chwyciła zapinkę czepca i lekko szarpnęła, ściągając go z jej głowy. Ciemne włosy spływały na ramiona.

- Teraz jesteś o wiele ładniejsza - stwierdził Emryss, wychodząc zza pnia wierzby. W rękę trzymał białe płótno.

- Jak mogłeś! - skarciła go, rozgniewana. - Oddaj mi to. No proszę, zapinka całkiem zniszczona.

- Przepraszam - mruknął skruszony i zbliżył się do niej. Twarz miał pogodną, jakby tylko czekał, żeby wybuchnąć śmiechem. - Teraz będziesz musiała obyć się bez czepca, prawda?

- Jesteś niemożliwy!

- Przez całe życie słyszę to od Mamaeth. - Rozejrzał się wokół. - Zdaje mi się, żoneczko, że jesteśmy zupełnie sami. Może nie warto czekać do wieczora.

W tej samej chwili Mamaeth zawołała go po imieniu. Miał taką minę, jakby chciał ją zakneblować. Roanna z uśmiechem położyła dłonie na jego ramionach, wspięła się na palce i czule pocałowała go w usta.

- Dziś w nocy - zapewniła.

- Niech to wszyscy... - mruknął. - Po raz pierwszy żałuję, że jestem tu panem i muszę wszystkiego dogłądać!

Gdy odszedł, podniosła leżący na ziemi czepiec, ale nie próbowała go włożyć, choć mogłaby naprawić zapinkę. W taki upał wolała chodzić z gołą głową. Pochyliła się nad zimnym nurtem zmoczyła welon czepca i przetarła kark. Z zarośli dobiegł cichy szelest.

- Bronwyn? - rzuciła półgłosem.

- To ja, pani - odparła dziewczyna, wychodząc z krzaków za jej plecami.

- Głowę bym dała, że słyszałam cię nieco dalej - odparła Roanna, wskazując zarośla w dole rzeki.

- Tam był pewnie Gwilym - tłumaczyła zarumieniona Bronwyn.

Roanna uśmiechnęła się tylko, bo doskonale wiedziała, co przeżywa jej służebna. Gdyby nie wrzaski Mamaeth, sama tuliłaby się do ukochanego pod osłoną kępy drzew.

Emryss z wysokości konia spoglądał władczo na poddanych. Żeńcy stali na miedzy, gotowi rozpocząć pracę. Roanna dostrzegła wśród nich Gwilyma.

- Czemu do nich dołączył? - zapytała.

- Bo to ostatnie pole - odparła Bronwyn, jakby rzecz była oczywista. - Emryss stawał dawniej ze żniwiarzami i doskonale sobie radził, ale dzisiaj Gwilym go zastąpi.

Pan na Craig Fawr uniósł ramię. Gdy je opuścił, mężczyźni z ponurą zawziętością zaczęli pospiesznie ciąć sierpami dojrzałe zboże. Zerkali na boki, więc stało się jasne, że trwa współzawodnictwo. Mamaeth stała na miedzy, wykrzykując słowa zachęty, a może szkaradne przekleństwa. Roanna milczała, uznawszy, że takie zachowanie byłoby poniżej jej godności, ale przesuwała się wolno przed szeregiem gapiów, żeby lepiej widzieć.

Gwilym potknął się nagle i upadł, a kiedy próbował wstać, okropny ból wykrzywił mu twarz. Pozostali żeńcy znieruchomieli. Emryss podjechał do przyjaciela, zeskoczył z konia i pochylił się nad pechowcem. Rozmawiali po cichu, a następnie pomógł mu wstać i dosiąść konia.

- Wybrałem sobie moment, żeby skrócić kostkę! - narzekał ponuro Gwilym, truchtem zjeżdżając z pola. Roanna zobaczyła wokół zawiedzione miny. Wielu liczyło chyba na jego zwycięstwo.

Emryss zdjął koszulę, a serce Roanny zamarło na krótką chwilę. Chyba nie zamierzał kosić! Nie dzisiaj! Jeszcze nie wydobrzał po ostatniej chorobie. Jaki pożytek będzie miała z wyczerpanego ciężką pracą męża?

Wielki krzyk podniósł się, gdy Emryss chwycił porzucony sierp Gwilyma. Ten natychmiast wczuł się w rolę pana na włościach i uniosł ramię, tak udatnie naśladując przyjaciela, że ludzie wybuchnęli śmiechem. Gdy zapadła cisza, skupiony Emryss pochylił się nisko i czekał na znak. Gwilym opuścił ramię i sierpy znów poszły w ruch.

Roanna uważnie obserwowała mężczyzn kroczących w stronę miedzy. Kto by pomyślał, że sierpy mogą ciąć słomę tak szybko! Okropnie się bała, że szalony wyścig zaszkodzi mężowi.

Na prowadzenie wysunął się szpakowaty wieśniak. Zagarniał zboże szerokim gestem i nieustępliwie parł do przodu. Emryss nie nadażał za rywalami i w końcu przystanął. Gdy z tajemniczym uśmiechem spojrzął na Roannę, zrozumiała, że umyślnie się oszczędza, żeby nie opaść z sił. Natychmiast do niego podbiegła.

- Jak się czujesz? - spytała troskliwie.
- Dobrze. Mam swoją dumę, ale i rozumu mi nie brak.

Gwilym, czekający na skraju pola, niecierpliwie jeździł truchtem w tę i z powrotem. Podstarzały wieśniak odrzucił sierp, zagarnął ostatnią wiązkę pszenicy i fachowo splótł złocistą słomę w piękny warkocz. Tłum głośno wiwatował, gdy Emryss podszedł, by mu powinszować. Uradowanego zwycięzcę rozpierała duma, a pozostali uczestnicy zawodów leżeli na miedzy, odpoczywając po trudach.

Emryss dał im chwilę oddechu, a potem zwołał do siebie mężczyzn. Natychmiast zerwali się na równe nogi i otoczyli go ciasnym kręgiem, rozmawiając po cichu.

Roanna spojrzała pytająco na Bronwyn, która stała za nią.

- To jest *caseg fedi*, czyli żniwna kobyłka - szepnęła. - Bacz pilnie, pani.

Kobiety wraz z dziećmi usiadły na trawie, wymieniając uwagi, a mężczyźni trzymający w rękach sierpy stanęli długim szeregiem naprzeciwko słomianego warkocza. Tłum zaszemrał, gdy pierwszy z lewej pochylił się nisko, a ostrze z furkotem przecięło powietrze, chybiwszy celu. Jeden po drugim próbowali swoich sił, aż na polu zostali tylko Gwilym i Emryss. Ten ostatni szykował się do rzutu. Nisko pochylony zerknął na Roannę, a potem jego sierp poszybował w stronę warkocza, który od razu upadł na rżysko. Słoma została ucięta przy samych korzeniach. Mężczyźni ruszyli ławą, a kobiety poderwały się jak na komendę.

- Szybko! - krzyknęła Bronwyn. Dopadły wozu i wskoczyły na kozioł. - Uciekajmy!

Roanna nie miała pojęcia, dokąd tak pędzą, ale nie stawiała oporu.

- Co tu się dzieje? - zapytała, gdy ruszyły. Obejrzała się na mężczyzn, którzy biegli na skraj zagonu po sierpy. Bronwyn po-

ganiała osiołka, który biegł żwawym truchtem. Mężczyźni pędzili w ślad za umykającymi kobietami.

- Święci pańscy! - pisnęła Bronwyn i obejrzała się lękliwie. Zaraz nas dogonią!

- Ścigamy się, prawda? - wypytywała Roanna. Musiała krzyczeć, bo koła pędzącego wozu mocno turkotały, a zewsząd dobiegały głośne okrzyki. Bronwyn milczała, powożąc z prawdziwą wprawą. Roanna zacisnęła dłonie na bokach wozu i odwróciła głowę. Za nimi biegła gromada mężczyzn z Gwilymem na czele, a Emryss okrzykami konno niczym pasterz doglądający stada.

Kobiety podniosły wrzask, gdy zbliżyły się do bramy Craig Fawr. Jak na zawołanie kratownica uniosła się powoli. Roanna ujrzała Mamaeth, która prowadziła kolumnę, stojąc na wozie jak starożytna królowa amazonek idąca w bój ze swym oddziałem. Wozy minęły pierwszą bramę i wjechały na brukowaną drogę. Drugie i trzecie wrota zamku stanęły przed nimi otworem.

Gdy Roanna i Bronwyn wpadły na dziedziniec, ujrzały mnóstwo pustych wozów. Kobiety biegnęły do studni z wiadrami i różnymi naczyniami, napełniały je i wracały do kuchni. Roanna patrzyła na nie zdjeta strachem. Czyżby wybuchł kolejny pożar? Uspokoiła się, widząc roześmiane twarze. W kuchni Jacques grzmiał donośnym basem i sypał przekleństwami. Ale się wścieka, pomyślała, wpadając do kuchni.

- Roanno! - krzyknął na jej widok. - Co te głupie baby wyprawiają?

Rozejrzała się po kuchni. Wszędzie stały naczynia pełne wody. Ostał się tylko kociołek gulaszu i dzieża z chlebowym zaczynem. Wśród kredensów i stołów tłoczyły się roześmiane kobiety i dowcipkowały, obserwując Mamaeth, która jak strażniczka raz po raz wyglądała przez drzwi.

- Co tu się dzieje? - spytała głośno Roanna i podbiegła do otoczonej gromadką kobiet Bronwyn. Ta z uśmiechem odwróciła się w jej stronę.

- Zaraz przyniosą tu żniwną kobyłkę. Musimy ją zmoczyć, nim będzie po wszystkim. - Ruchem głowy wskazała palenisko. Wisiał nad nim żelazny hak, zasłonięty częściowo szerokimi barami Jacques'a.

Mamaeth wydała głośny krzyk brzmiący jak wezwanie do bitwy i wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, które przed chwilą zatrzęsnęła.

- *Pen medi bach mi ces!* - rozległ się głos stojącego przed nimi Gwilyma.

- Otóż i nasza żniwna kobyłka - odparła śpiewnie Bronwyn, chwytając zdziwione spojrzenie Roanny. Zadowolona z poczynionych naprędce przygotowań Mamaeth szeroko otworzyła drzwi." Pokazała się barczysta męska postać i do środka wpadł Gwilym. Otoczyła go wrzeszcząca gromada z naczyniami w ręku; w chwilę później ociekał wodą. Roanna stała na uboczu, zasłonięta przez Jacques'a, który trzymał wielką chochlę i ze zgrozą przyglądał się, jak kobiety szarpią biedakowi ubranie.

- To nie on! - krzyknęła Mamaeth, a kobiety znowu chwyciły wiadra i ruszyły na żeńców, którzy chmarą wpadli nagle do kuchni. Woda lała się strumieniami, a intruzów wygnano półnagich. Po minach można było poznać, że bardzo im się podobało staranne obszukiwanie. Wybiegli na dziedziniec, a kobiety deptały im po piętach. W kuchni zrobiło się luźniej.

Roanna bawiła się coraz lepiej, a tymczasem do środka niepostrzeżenie wślizgnął się Emryss, jak zawsze szeroko uśmiechnięty. Dostrzegł ją w kącie i mrugnął porozumiewaw-

czo. Gdy przyjrzała mu się uważnie, zobaczyła żółtawe źdźbło wystające zza pazuchy. Bez słowa wyrwała Jacques'owi wielką chochlę.

- *Mon Dieu!* Co tobie, dziecko? - zachnął się, ale nie zwracała na niego uwagi. Podkraśla się do najbliższego wiadra i ukradkiem zaczerpnęła wody. Emryss szedł wolno wzdłuż ściany. Zerkał na piec, ale udawał, że z rozbawieniem obserwuje kobiece i męskie przepychanki w kuchni i przed jej drzwiami.

Roanna podsunęła się bliżej, chowając za plecami napełnioną chochlę. Gdy spojrzał na zaaferowaną Mamaeth, celniej niż mogła się spodziewać, oblała go wodą. Ryknął wściekle, ocierając rękawem moką twarz. W tej samej chwili przyskoczyła do niego, sięgnęła pod rozchełstaną koszulę i chwyciła mocno słomiany warkocz. Już miała wrzucić go do wiadra, gdy mocne palce zacisnęły się na jej ramieniu. Popatrzyła na moką twarz. Był rozgniewany... a wyglądał jak zmokła kura! Ubawiona tym widokiem roześmiała się głośno. Zaskoczony od razu ją puścił. Nagle znalazła się ponownie w jego ramionach.

- Warto przemoknąć do nitki, żeby nareszcie usłyszeć twój śmiech - szepnął jej do ucha. Zarumieniona z radości i dumna ze swego zwycięstwa wysunęła się z jego objęć i uniosła wysoko plecioną ze słomy żniwną kobyłkę. Kobiety wiwatowały, mężczyźni patrzyli jak urzeczeni.

Emryss niespodziewanie wyrwał jej z rąk złocisty warkocz, pchnął ją na stół i nim odzyskała równowagę, podbiegł do paleniska i zawiesił trofeum na haku. Stanął obok, dumnie założywszy ramiona na piersi, a minę miał tak chełpliwą, że oburzona Roanna bez wahania chwyciła kubeł i chlusnęła mu wodą na głowę.

Kiedy otrząsał się jak mokry psiak, wybiegła z kuchni, a za

nią reszta kobiet. To nie do wiary, że w obecności podanych zdobyła się na taką zuchwałość. Szczęśliwa i zdyszana myślała o tym gorączkowo, stojąc na dziedzińcu. Roześmiana Bronwyn uściskała ją mocno, a inne podziwiały odwagę. Przez chwilę wodziła spojrzeniem po rozradowanych twarzach, a potem uśmiechnęła się szeroko. Była przecież jedną z nich.

Struga zimnej wody zmoczyła ją od stóp do głowy. Wstrzymała oddech, parsknęła głośno i obróciła się, patrząc groźnie na Emryssa, który stał w drzwiach kuchni, trzymając w jękach puste wiadro. Na jego twarzy zobaczyła kpiący uśmiech-

- Moja sukienka... - zaczęła oburzona, ale przerwała jej zirytowana Mamaeth.

- Głupi ci mężczyźni! I tyś nie lepszy! Biedactwo tyle godzin się trudziła. Widzisz, coś narobił?

Kobiety współczująco kiwały głowami i podawały lniane fartuchy, żeby wytarła twarz.

- Chodź do mnie, żono - powiedział Emryss tak czule, że omal nie zemdląta z radości. Stała nieruchomo, ponieważ zabrakło jej sił i nogi się pod nią ugięły.

- Zmykajcie stąd! - krzyknęła nagle Mamaeth. - Trzeba się przebrać i szykować wieszak. - Chwyliła dłoń Roanny i pociągnęła ją ku drzwiom sali biesiadnej. Bronwyn i reszta kobiet zasłoniły swą panią, odpychając Emryssa oraz innych mężczyzn

- Tak, będziemy świętować, ale nie za długo - oznajmił. - Zamierzam wcześniej położyć się do łóżka.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kobiety zaciągnęły Roannę do sali biesiadnej

- Szybciej, pani - strofowała ją Mamaeth. - Mamy robotę, więc trzeba się spieszyć.

Pobiegła na górę do sypialni. Drżąc z chłodu po zimnej kąpieli, którą sprawił jej Emryss, zdjęła suknię i starannie rozwiesiła na oparciu krzesła. Materiał ocieka wodą, lecz się chyba nie sfilcuje, pomyślała uspokojona i zaczęła nucić półgłosem. Otworzyła skrzynię i wzrok jej padł na długą koszulę z białego jedwabiu. Uniosła ją, gładząc delikatną tkaninę, i po chwili namysłu powzięła śmiałe postanowienie. Zdjęła wilgotną koszulkę z lnianego płótna i na gołe ciało włożyła jedwabny strój, który pieścił skórę, budząc grzeszne myśli. Już wkrótce smukłe męskie dłonie usuną delikatną przeszkodę...

Chwyliła szczotkę i starannie rozczesała włosy, celowo odwlekając chwilę, gdy trzeba będzie w końcu założyć wełnianą suknię. Ciekawe, czy Emryss sam ją rozbierze, czy będzie się tylko przyglądać. Wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Piersi lekko nabrzmiały i przylgnęły mocniej do cienkiego jedwabiu. Czy będzie ją całować... śmieiej niż dotychczas? Przymknęła oczy i niemal poczuła łagodne dotknięcie zmysłowych ust.

- Pora siadać do stołu! - dobiegło zza drzwi jego wołanie. Rzuciła szczotkę, chwyciła ciemnoczerwoną suknię i włożyła ją

pospiesznie. Przez moment walczyła z oporną sznurówką, ale w końcu się z nią uporała. W skrzyni leżał drugi czepiec. Popatrzyła na niego i stanowczym gestem zatrzęsła wieko. Postanowiła, że tego wieczoru zejdzie do sali biesiadnej z rozpuszczonymi włosami.

Gdy otworzyła drzwi, Emryss rozpromienił się na jej widok. Przyjęła skwapliwie podane ramię. On również był odświętnie ubrany. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, sięgającą kolan czarną tunikę ozdobioną u szyi zapinką z czystego srebra, a do tego spodnie z jasnego lnu wpuszczone w wysokie buty - jak do ślubu.

Gdy weszli do sali paradnej, Roanna zdziwiła się, że wszystko zostało przygotowane do uczyty w tak krótkim czasie. Podłoga była posypana świeżym sitowiem pociętym na kawałki. W uchwytych przytwierdzonych do ścian płonęły jasno pochodnie. Poddani stali przy stołach i z uśmiechem obserwowali urodziwą parę idącą w stronę podwyższenia. Ku wielkiej radości Roanny księdzu Robelardowi wyznaczono miejsce za pańskim stołem. Emryss skinął głową i duchowny odmówił modlitwę. Gdy skończył, uradowana Roanna z wdzięcznością spojrzała na męża, a goście zajęli miejsca.

Jacques przygotował wspaniałe dania, chociaż miał do dyspozycji całkiem zwyczajne produkty. Udowodnił po raz kolejny, że w kuchni jest prawdziwym mistrzem. Gdy na stół wjechały potrawy doprawione orientalnymi przyprawami, Roanna uznała, że nieśmiertelna dusza jej kucharza jest w ogromnym niebezpieczeństwie, bo jego potrawy stanowią jawną pochwałę doczesności i zachętę do obżarstwa.

Mimo wszystko jadła bez apetytu, za to chętnie sączyła pyszne wino, po którym ogarnął ją luby spokój, a rozpalona

krew wolniej płynęła w żyłach. Doszła do wniosku, że niepotrzebnie włożyła jedwabną koszulę. Nie dość, że rumieniła się pod natarczym spojrzeniem Emryssa, to przy każdym ruchu śliski materiał pieścił skórę, przywodząc na myśl zakazane rozkosze. Zdziwiła się, gdy po raz trzeci w kielichu pokazało się dno. Gdy chciała dolać sobie wina, Emryss zasłonił ręką puchar.

- Dosyc - szepnął jej do ucha. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego zdziwiona, więc dodał: - Nie chcę, żebyś po wicherzy zasnęła jak kamień.

Wiedziała, co chciał przez to powiedzieć, i zaczerwieniła się jeszcze bardziej, oszołomiona gwałtownym pożądaniem. Długo nie mogła ochłonać z wrażenia.

Gdy odniesiono do kuchni resztki ostatniego dania, Emryss wstał, uniósł puchar i powiedział kilka zdań po walijsku. Roanna rozumiała niektóre słowa i domyśliła się, że dziękował poddanym za udane żniwa. Sięgnęła po kielich z odrobiną wina i napotkała wymowne spojrzenie Mamaeth. Pomarszczoną twarz rozjaśnił błogi uśmiech.

- Czemu ona tak się rozanieliła? Coś ty im powiedział?

- Wyraziłem nadzieję, że w przyszłym roku natura będzie równie płodna - odparł z godnością. - Czemu mnie wypytujesz? - spytał z miną niewiniątka. Popatrzyli sobie w oczy i nagle zapomnieli, że siedzą w zatłoczonej sali. Emryss sięgnął pod stół i ujął jej dłoni.

- Dość się naczekałem - szepnął. W tej samej chwili podpity Rhys wstał, zataczając się lekko.

- Panie, zaśpiewaj, jeśli łaska.

Emryss zmarszczył brwi, a Roanna puściła jego dłoni.

- Jedna pieśń, kochany. Nie możemy tak po prostu wyjść.

- Zgoda, tylko jedna. Co chcecie usłyszeć? - Padło kilka odpowiedzi.

Podszedł do harfy, wziął ją w dłonie i zerknął na Roannę.

Zabrzmiała smutna pieśń, a każdą zwrotkę kończyło ponure westchnienie oraz przeciągłe, tęskne spojrzenie w jej kierunku. Słuchacze chichotali ukradkiem. Melodia stawała się szybsza, a wzdychanie coraz bardziej przypominało jęk. Goście pokładali się ze śmiechu, rytmicznie kiwali na boki, klaskali w ręce i tupali z uciechy. Piosenkę zakończył donośny akord i głębokie westchnienie. Emryss odłożył harfę.

- Jestem znużony - oznajmił trochę zbyt głośno i zerwał się na równe nogi. Zarumieniona Roanna nie wiedziała, gdzie oczy podziąć, kiedy podszedł do niej i rozkazał: - Żono, marsz do łóżka.

Spuściła wzrok i podała mu rękę, udając, że nic ważnego się dziś nie wydarzy. Zaciśnął palce i łagodnym ruchem przyciągnął ją do siebie.

- Dobrej nocy! - zawołał. Ramię przy ramieniu opuścili salę biesiadną. Gdy zostali sami i wspinali się po kamiennych schodach, nagle ogarnął ją wstyd i zakłopotanie, jakby szła do sypialni z obcym człowiekiem. Kolana jej drżały, a serce kołatało niespokojnie. Emryss milczał, a gdy odwróciła głowę, nie zobaczyła na jego twarzy uśmiechu.

Otworzył drzwi komnaty i puścił ją przodem. Patrzyła na niego, gdy je cicho zamykał. Grube drewno stłumiło odgłosy wesołej zabawy. Można by pomyśleć, że osobliwa siła wymiotła gości z sali biesiadnej i w zamku Craig Fawr pozostało tylko ich dwoje. Splotła dłonie i czekała. Emryss podszedł do stolika i napełnił puchar winem. Od razu spostrzegła, że i jemu drżą ręce.

- O Boże, denerwuję się niczym wyrostek - mruknął i wypił duszkiem zawartość pucharu.

Była wystraszona i pełna obaw, ale czas nadszedł i nie mieli odwrotu. W głębi serca zdawała sobie sprawę, że oczekiwanie trwało zbyt długo - zwłaszcza dla niego. Lęk rozproszył się jak poranne mgły w blasku słońca.

- Emryss - powiedziała, idąc ku niemu - mężu.

Położyła mu dłonie na piersi i spojrzała w posępną twarz. Gdy odstawił puchar, przesunęła rękoma po szerokich barkach, dotykając go czule. Pochylił głowę i musnął ustami jej wargi.

Ogarnięta pożądaniem nabrała śmiałości. Zrobiła krok w tył i sięgnęła do sznurówki. Po chwili suknia opadła na podłogę. Roanna drżała na całym ciele, lecz bez lęku stała przed Emrysem w jedwabnej koszuli. Westchnął spazmatycznie, wziął ją w ramiona i pocałował zachłannie. Głaskał czule jej plecy, a jedwab szeleścił cicho pod smukłymi dłońmi.

Sam całus jej nie zadowolił. Nie przerywając go, sięgnęła do srebrnej zapinki. Emryss westchnął, gdy się z nią uporała i dotknęła rozgrzanej skóry pod wełnianą tuniką. Odsunął się na moment, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Zrzucił tunikę i położył się, zostając tylko w spodniach i cienkiej koszuli.

Przypadł do żony i całował ją zachłannie. Poczula zapach grzanego wina oraz woń cynamonu. Przesunęła językiem po rozchylonych wargach i przytuliła się z całej siły, dręczona żądzą, która domagała się zaspokojenia. Jej niecierpliwie ręce błądziły po obnażonej skórze, usta całowały szyję i ramiona.

- Tak, o tak! - jęknął, gdy zdarła z niego koszulę. Nie rozluźniając uścisku, przekreślił się na plecy.

Kolejny pocałunek. I jeszcze jeden. Pełne piersi wsparte o muskularny tors. Pieszczota palców łagodna jak dotknięcie

harfiarza trzymającego instrument. Drżące wargi i ciepły język na opalanej skórze, wilgotne koła wokół męskich sutków. Pieścizota ust dotykających piersi przez śliski jedwab. Pożądanie, które pali jak ogień i cudownie rozgrzewa.

Gdy położył ją znowu na plecach, wygięła się w łuk i przyciągnęła go do siebie, aż przywarł do niej biodrami. Oddychał pospiesznie, gdy szeptał czułe słowa, całując nagą skórę. Poczowała ból i krzyknęła jego imię, a potem uniosła ją fala niezwykłych doznań, potężniejąca z każdą chwilą. Okrzyk tryumfu. Rozkoszny dreszcz. Cichy jęk Emryssa i jej przyspieszony oddech, gdy oboje znieruchomieli. Nareszcie miała go w sobie i oddała mu się całkowicie.

- Ukochana - szepnął, gdy wtuliła się w niego.

- Roanno, wracaj do łóżka.

Jeszcze przez moment obserwowała różowiejące chmury na wschodzie, które się złociły na brzegach, a potem odwróciła się, by popatrzeć na męża. Wełniany koc narzucony na ramiona drażnił nagą skórę. Zdjęta w nocnych ciemnościach jedwabna koszula leżała na podłodze obok łóżka. Spod kołdry wystawała tylko niezbyt ciemna czupryna i długa, mocno umięśniona noga. Reszta ginęła w zmierzwionej pościeli.

- Roanna? - wymamrotał sennie. Z uśmiechem rzuciła pożegnalne spojrzenie na wschodzące słońce, które zwiastowało piękny dzień. Podbiegła do męża i wtuliła się w ciepłe ramiona. Objął ją mocno i pocałował w szyję.

- Daj sobie chwilę oddechu - namawiała.

- Przecież jestem w łóżku - mruknął, zasypując pocałunkami jej piersi.

- Ale nie odpoczywasz - upierała się, wybuchając śmiechem. Położył się na plecach i przyglądał jej się z uwagą.

- Chciałem, żebyś się roześmiała - odparł z udawaną powagą.
- To zacnie z twojej strony, mój panie - odparła, z pozoru całkiem serio - ale niektórzy domownicy mają pewne obowiązki.
- Jako pan na Craig Fawr ogłaszam, że twoją najważniejszą powinnością jest natychmiast dać mi całusa.

Roanna chętnie spełniła jego wolę - i to nie jeden raz.

- Lada chwila Mamaeth zacznie walić pięścią w drzwi. - odsunęła się niechętnie, a Emryss popatrzył na nią z przewrotnym uśmiechem.

- Będzie uszczęśliwiona, gdy zobaczy, że leżymy przytuleni. Jeszcze nim wyruszyłem na krucjatę, suszyła mi głowę, żebym się ożenił. - Objął mocniej Roannę. - Warto było czekać.

Kilka minut później wstała i sięgnęła po jedwabną koszulę. Złożyła ją starannie, podniosła wieko skrzyni i zerknęła na męża, który niespodziewanie roześmiał się głośno.

- Co cię tak ubawiło? - spytała, zakładając koszulę z cienkiego płótna.

- Sam nie wiem. Czuję się... wspaniale! - Odrzucił kołdrę.
- Dawno nie byłem taki wypoczęty.

Po jego minie poznała, na co się zanosi.

- Emryss, słońce dawno już weszło. Za późno na karesy.
- Na to zawsze jest odpowiednia pora, moja żonko. - Podszedł wolno, rozpromieniony i całkiem nagi.
- Opadniesz z sił i znów się rozchorujesz.
- Ale co przedtem użyję, to moje.

Roanna skryła się za skrzynią, ale nie dał za wygraną. Gdy podszedł i wyciągnął ramiona, zrobiła unik.

- Mój panie, nie możemy całego dnia spędzić w łóżku. Są ciekawsze zajęcia...

- Na przykład?

- Czy ja wiem? Obiecałam Jacques'owi, że będę z nim piekła chleb, a potem wybieram się z ojcem Robelardem w odwiedziny do kilku dzierżawców. Ty powinieneś zajrzeć do młyna...

- Wolę inną robotę.

- Emryss, przestań.

Skoczył na nią jak kocur chwytający myszkę. Zamknięta w mocnym uścisku przymknęła oczy i podniosła uśmiechniętą twarz, czekając na pocałunek. Nagle poczuła, że podstępny Emryss przesuwając palcami po jej żebrach. Chichocząc próbowała go odepchnąć, ale trzymał ją mocno i uśmiechał się kpiąco.

- Błagam, przestań! - rzuciła zdyszana. Gdy posłuchała, splotła ramiona na piersi i posłała mu karcące spojrzenie.

- Zamierzasz wypełniać swoje powinności goły jak noworodek, panie?

- Kto wie? Jeśli zostaniesz tu ze mną... - odparł, zachwycony dwuznacznością jej słów. Cofnął się o krok, smukłym palcem muskając jej ramię. Poczuła rozkoszny dreszcz.

Głośne pukanie do drzwi sprawiło, że podbiegł do skrzyni. Ledwie zdążył naciągnąć koszulę, do komnaty weszła Brońwyn z dzbanem gorącej wody. Stała jak wryta, gdy ujrzała zarumienioną Roannę w cienkiej koszuli, choć było już dobrze po wschodzie słońca. Na domiar złego Emryss w porannym negliżu patrzył na nią spode łba. Postawiła dzban na podłodze i uciekła.

Roanna nie próbowała opanować wesołości. Emryss włożył spodnie, udając, że nic się nie stało, ale widziała, że ramiona drżą mu od tłumionego śmiechu. Z pewnością ubawiło go zdumienie malujące się na twarzy Bronwyn.

Podkraśla się bliżej, gdy pochylony wciągał buty. Ostrożnie wysunęła dłoń i połaskotała skórę na boku, szukając wrażliwe-

go miejsca. Teraz on będzie chichotać jak szaleniec. Długie palce objęły jej nadgarstek jak żelazne pręty. Odwrócił się i wolno uniósł do warg schwytaną dłoń.

Znieruchomiał, gdy z murów obronnych dobiegł ostrzegawczy krzyk. Cofnął ramię i rzucił się do okna, żeby wyrzeć na dziedziniec, a potem bez słowa chwycił kaftan, rycerski pas oraz miecz i wybiegł z komnaty. Natychmiast wychyliła się i spoglądała w dół, ale zobaczyła tylko spore zbiegowisko. Ludzie byli wyraźnie poruszeni. Włożyła ciemnoniebieską suknię i pobiegła za Emrysem.

- Kto to zrobił?
- Jesteś ranny, Ianto?
- Widziałeś ich?
- Zabili owce, tak?

Rozgorączkowani murarze ciasnym kręgiem otoczyli wysokiego pasterza, który tulił do piersi martwe ciało psa i w milczeniu patrzył przed siebie. Na boku Motta zaschła krew, a z głębokiej rany sterczał wąski szyćlet. Ludzie rozstąpili się, robiąc przejście nadchodzącemu Emryssowi, który spoglądał w oczy lanta tak długo, aż ten zamrugał powiekami i popatrzył na niego przytomniej.

- Czyja to sprawka? - zapytał cicho Emryss, lecz dobitnie. Ianto pokręcił głową.

- Nie wiem - odparł głuchym, bezbarwnym głosem.
- Kiedy?
- Przyszli nocą - szepnął z trudem. - Usłyszałem szczekanie Motta, więc pobiegłem za nim. Uderzyli mnie w głowę. Nic nie widziałem i niczego nie słyszałem. Dopiero gdy oprzytomniałem, znalazłem tego biedaka.

- Gdzie Hu?

- Przepadł jak kamień w wodę. Szukałem długo, potem ruszyłem do ciebie.

Emryss popatrzył na słońce. Wędrownka z górskiej hali do Craig Fawr zajęła pasterzowi kilka godzin, więc banda łotrów dawno umknęła do swojej kryjówki. Mimo to oznajmił stanowczo:

- Znajdziemy tych łajdaków i przykładnie ich ukarzymy.

- Wiem, panie. - W głosie barczystego mężczyzny brzmiała rozpacz i przygnębienie. Emryss podszedł bliżej i wyciągnął ręce, żeby wziąć martwego psa, lecz lanto przytulił go mocniej.

- Za pozwoleniem, dostojny panie, nie oddam nikomu mojego Motta.

Emryss kiwnął głową, spoglądając na Gwilymą, który przejechał się przez tłum, podszedł do pasterza i spoglądał na niego bez słowa.

- Muszę obejrzeć sztylet - tłumaczył łagodnie Emryss. Gdy lanto przytaknął w milczeniu, Gwilym ostrożnie wyciągnął z rany tandetną broń, przyjrzał się jej i podał Emryssowi, a ten po chwili wzruszył ramionami i zwrócił ją młodemu przyjacielowi. - Normański albo saksoński. Trudno rozstrzygnąć. Zwołaj drużynę. - Ruszył do stajni. Roanna podbiegła i chwyciła go za ramię.

- Uważaj na siebie.

- Nie byłem dostatecznie przezorny - odparł z goryczą. - Należało wzmocnić strażę. To moja wina. - Minał ją i poszedł dalej. Odprowadziła go wzrokiem, odruchowo zaciskając dłonie w pięści. Mężczyźni zebrani na dziedzińcu przez chwilę stali w milczeniu, a potem Gwilym zaczął wywoływać imiona drużynników, którzy mieli wyruszyć na rekonesans. Wybrani natychmiast ruszyli po broń.

- Gdzie Mamaeth? - zapytała Roanna. Musiała znaleźć sobie zajęcie, żeby nie oszaleć z niepokoju.

- Nad rzeką, przy młynie - odparła Bronwyn. - Już po nią leczę!

Ianto zachwiał się i upadł, nie wypuszczając z objęć martwego psa.

- Szybciej! - krzyknęła Roanna i uklękła na brudnych kamieniach. Ostrożnie wzięła na ręce Motta i przytuliła go, a tymczasem Emryss przybiegł ze stajni i natychmiast zdjął pasterzowi grubą ciemną tunikę. Na koszuli czerwieniła się krew płynąca obficie z rany. Grot strzały utkwiał głęboko, a bełt został ułamany.

Minuty dłużyły się jak godziny, ale w końcu nadbiegła zdyszana Mamaeth. Uklękła, popatrzyła na twarz rannego, a potem przyłożyła ucho do jego piersi.

- Umarł - powiedziała cicho. Jedno krótkie słowo zadźwięczało w powietrzu jak śmiercionośne ostrze. Roanna przytuliła do piersi swoje brzemie, a Emryss zamarł w bezruchu, spoglądając na zwałistego Ianta. Można by pomyśleć, że z rozpaczy obrócił się w kamień. Nagle zerwał się na równe nogi i podbiegł do osiodłanego konia.

- Znajdę ich i przysięgam na Boga, że będą umierać w męczarniach! - krzyknął. Wskoczył na siodło i skinął na jeźdźców czekających przy bramie.

- Wykrwawił się na śmierć. - Głos Mamaeth sprawił, że Roanna ocknęła się z oszołomienia. - Gdyby poleżał, zamiast iść taki kawał drogi, pewnie by żył. - Odgarnęła z czoła kosmyk włosów, a po jej pomarszczonych policzkach płynęły łzy. - Stary głupiec - szepnęła łagodnie, jakby wypowiadała błogosławieństwo.

Roanna wstała niezdarnie, trzymając na rękach Motta. Pochyliła się i złożyła drobne psie ciało na piersiach Ianta.

- Masz trop?

- Nie. Czujni są - odparł zawiedziony Gwilym, stojąc nad samą rzeką.

- Znaleźliście Hu?

- Jeszcze nie.

Emryss zacisnął usta, powtarzając sobie w duchu, że wnet odszukają kryjówkę chłopca. Przyglądał się rozproszonym owcom, które pasły się spokojnie na kamienistym zboczu, skubiąc lichą trawę, jakby w ogóle nie zważały na obecność ludzi. Obserwował przez moment chmury skłębione na niebie. Wkrótce spadnie deszcz. Przygnębiiony zsiadł z konia, a Gwilym wjechał po stromej pochyłości.

- Co teraz? - zapytał, równie zasmucony.

Pochylny Emryss szedł brzegiem rzeki, przyglądając się wierzbowym zaroślom jakby w nadziei, że lada chwila znajdzie wskazówkę, która pomoże mu wytropić bandę. Nagle wyprostował się i trzepnął dłonią o udo.

- Na miłość boską, nie mogli przecież zniknąć bez śladu!  
- Chwycił wodze i pociągnął za sobą konia ku splamionej krwią trawie. Nadal patrzył w ziemię, wypatrując tropu. Diabli nadali cholerną ślepotę! Idąc wolno ku północy, dostrzegł nikły ślad. Trawa była lekko zdeptana, jakby ktoś ostrożnie stawiał kroki. Małe stopy wystawały spod krzaka.

- Hu? Jesteś tam? - zapytał spokojnym, przyciszonym głosem i podszedł bliżej.

- Tak. - Spod gałęzi wysunęła się chłopięca główka i buzia cała we łzach. Emryss przytulił zapłakanego malca.

- Nic ci nie jest, Hu? Widzieli cię?
- Nie, ale ja patrzyłem, jak odjeżdżali. Dużo ich było, Emryss, cała banda. Tam pojechali. - Hu wskazał ścieżkę biegnącą z Craig Fawr w głąb zarośli.

Emryss upewnił się, że chłopiec jest zdrow i cały, a następnie polecił swoim ludziom tropić bandytów. Zwiadowcy dowodzeni przez Gwilyma wjechali między kępy drzew. Wkrótce dostrzegli na niskiej gałęzi skrawek tkaniny, a na trawie plamy krwi.

- Uciekli do Beaufort - stwierdził Gwilym z obawą i tryumfem, gdy wrócił do Emryssa, który jechał za nimi, trzymając przed sobą Hu.

- Ruszamy za nimi.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Znaleźli nas! - Bandyta z lękiem w oczach popatrzył na herszta. Z oddali dobiegał coraz głośniejszy tętent i wrzask pogoni. Dolf podszedł do kompana i wyjrzał z jaskini, która była ich kryjówką.

- Niech idą do diabła - burknął, wyciągając miecz. Pozostali także sięgnęli po broń, nie wyłączając zbójcy, któremu pasterski pies poszarpał łydkę.

- Jak wpadli na nasz trop? - szepnął jeden z nich.

- Cicho! - warknął Dolf. - Ważne, że nas śledzą. - W jaskini czuło się zapach potu wystraszonych złoczyńców. Dolf znowu wyjrzał przez otwór. - Jada tu! Mijają pieczarę. Może nam się uda. Teraz, na nich! - Dał znak ręką i banda z wrzaskiem rzuciła się na ludzi Emryssa.

Ranny mężczyzna ścisnął sztylet i chciał ruszyć za nimi, ale herszt spojrział na niego i rozkazał:

- Poczekaj tu. - Gdy tamten odetchnął z ulgą i opuścił rękę, Dolf rzucił się na niego i wbił nóż w jego pierś. Ranny westchnął boleśnie i otworzył szeroko oczy, a pchnięte ponownie ostrze głębiej wbiło się w ciało. - Nie zostawiamy swoich, pamiętasz? Taka była umowa. - Gdy ranny skonał, Dolf schował sztylet i wyniknął się z jaskini. Obszedł z daleka zagajnik, gdzie trwała zażarta walka. Wiedział, że jego ludzie nie pokonają wojowników z Craig Fawr, zwłaszcza jeśli dowodzi nimi jednooki

bękart walczący tak zżarcie, jakby go diabeł opętał. Odgłosy walki ucichły, gdy dotarł na szczyt wzgórza i maszerował wśród zarośli.

- W samą porę. Co za spotkanie!

Dolf znieruchomiał w pół kroku, słysząc znajomy głos. Drogę zastąpił mu Cynrik DeLanyea. Z przewrotnym uśmiechem na ustach opierał się plecami o pień drzewa, a Urien Fitzroy, jego milkiwy pomocnik, stał w pobliżu z dłońmi na rękojeści miecza.

- W samej rzeczy, panie - mruknął z ociąganiem Dolf i podniósł głowę.

- Spacerujesz? Ładne lato, prawda? - ciągnął pogardliwie Cynrik.

- Ja i moi kompani musieliśmy walczyć. Dopadli nas ci z Craig Fawr.

- Jak was znaleźli?

- Nie mam pojęcia. Wpadli na nasz ślad i koniec.

- Twoi ludzie uciekli?

- Nie myślę, żeby im się udało. - Dolf wzruszył ramionami.

- Uznałem, że nie warto zwlekać.

- Mam nadzieję, że będą milczeć. - Cynrik ruszył wolno w stronę herszta bandy, który sięgnął po nóż.

- Większość pewnie zginęła.

- Tak uważasz? - Cynrik przystanął i uśmiechnął się lekko, a potem skoczył na Dolfę, który jęknął z bólu, gdy sztylet utkwiał w jego brzuchu. Wypuścił nóż z osłabłej dłoni.

- Ty bękartie! - Próbował rękoma zatamować krew. - Tak dla ciebie ryzykowałem! Tyle ci kobiet przywiozłem!

- Nikomu o tym nie opowiesz, prawda, Dolf? - Cynrik beznamiętnie wytarł ostrze o trawę, a gdy ranny upadł na ziemię,

podszedł do Uriena. - Dobij tego psa i ruszajmy. Muszę sprawdzić, ilu przeżyło.

- Co miał na myśli, mówiąc o kobietach? - Urien stał nieruchomo.

- Chcesz mi wmówić, że ani jednej nie wzięłaś siłą? - Gdy w jego oczach dostrzegł poczucie winy, burknął szorstko, dosiadając konia: - Tak myślałem. Dobij go albo nie pokazuj się w Beaufort.

Urien posłuchał.

Twarz bezzębnego mężczyzny zmieniła się w maskę nienawiści, gdy próbował wbić sztylet w serce Emryssa, który zrobił unik i odskoczył, ale wylądował na słabszej nodze. Przed chwilą przeciwnik wyłuskał miecz z jego rąk, więc dobył sztyletu. Był tak skupiony na walce, że nie zwracał uwagi na odgłosy potyczki.

Mężczyzna oblizał wargi, a Emryss nabrał animuszu, bo widział, jak prerażenie ogarnia tego łotra. Przeczuwał rychłe zwycięstwo, więc krew zaczęła w nim żywiej krążyć. Z dzikim okrzykiem zerwał opaskę z pustego oczodołu. Gdy wystraszony przeciwnik znieruchomiał na moment, Emryss błyskawicznie podniósł sztylet.

- Zbyt długo deptałeś moją ziemię, głupi osie - rzekł z groźnym uśmiechem. - Chcesz wiedzieć, jak straciłem oko? Wyrwałem je i cisnąłem w Saracena.

Mężczyzna pobladł, a Emryss krążył coraz bliżej, czekając na odpowiedni moment. Zbójca rozejrzał się, daremnie szukając kryjówki. Nie zdążyłby też umknąć w krzaki, bo Emryss zbliżał się nieubłaganie.

- Śmierć będzie karą za wszystko, coś uczynił, ale nie

umrzesz od razu - oznajmił, przeciągając słowa. Rzucił się naprzód, celując w rękę trzymającą sztylet. Początkowo chybił, lecz druga próba była udana i broń wypadła z dłoni przeciwnika, który z całej siły kopnął go w łydkę. Emryss syknął z bólu, lecz nie puścił miecza i ruszył za cofającym się bandytą, który po chwili wpadł na skałę i musiał się zatrzymać.

- Za Ianta - powiedział Emryss i zadał cios. Mężczyzna upadł.

- Myślałem, że trzeba ci pomóc, *brawdmaeth* - powiedział Gwilym, stając obok zdyszanego przyjaciela - ale widzę, że byłem w błędzie.

Emryss uświadomił sobie, że zapadła cisza. Popatrzył wokoło i stwierdził, że walka skończona. Na polanie leżało siedem trupów. Wszyscy bandyci zginęli, a spośród jego ludzi nikt poważnie nie ucierpiał.

- Jakoś sobie radzę - odparł z ponurym uśmiechem, czując mocne pulsowanie krwi, jak zawsze po bitwie.

- Szkoda, że wszyscy nie żyją - odparł zatroskany Gwilym.

- Szczęście im dopisało, bo nie zasłużyli na szybką śmierć - powiedział Emryss, wycierając o trawę zakrwawione ostrze.

- Zrozum bracie, gdybyśmy chociaż jednego wzięli żywym, można by go wypytać.

Gałęzie zaszeleściły nad ich głowami. Emryss rozejrzał się, ale nic nie zobaczył, więc spojrzął znów na Gwilyma.

- O czym tu gadać? Zabili Ianta i moje owce, a teraz są martwi. Skończyłem z nimi.

- Chcę wiedzieć, czemu mordowali. Może ktoś im zapłacił? Co z pożarem? A jeśli to ich sprawka?

- Kto by płacił za szlachtowanie owiec i kazał je zostawić na pastwisku? - Emryss z ciężkim westchnieniem masował nogę. - Cynrik jest na to zbyt skąpy, a w okolicy brak podobnych

nikczemników. Co do podpalenia, ci głupcy nie mieli dość rozumu, żeby zakraść się do mojej warowni.

- Może ktoś im pomagał?

- Twoim zdaniem mamy zdrajcę w Craig Fawr? - Emryss popatrzył na Gwilyma.

- Dla mnie ta sprawa jest podejrzana, więc szkoda, że nie mogę wypytać drani.

Zamyślony Emryss ściał wysokie źdźbło trawy luźno trzymanym mieczem, a potem schował go do pochwy.

- Stało się. Podejdę kawałek. - Wskazał zalesiony stok. - Chyba coś słyszałem. Poszukaj ich koni. Zabierzemy trupy do Craig Fawr. Może ktoś rozpozna bandytów?

Ruszył wąską ścieżką biegnącą wśród zarośli. Wokół panowała cisza; żadnego ruchu. Przystanął i rozejrzał się. To miejsce było znajome. Niedaleko miał stąd do rzeki oddzielającej jego włości od Beaufort. Przychodził tu dawniej z Iantem po wierzbowe witki, z których pletli ogrodzenia dla owiec. Przypomnił sobie o jaskini i szybko odnalazł drogę. Wyciągnął miecz, podszedł do ciemnego otworu w skale i niespodziewanie ujrzał człowieka, ale zaraz pojął, że widzi trupa z przylepionym do twarzy diabelskim uśmiechem.

Nic więcej nie zwróciło jego uwagi, więc zszedł po pochyłości, przygryzając wargi, żeby nie krzyknąć, ponieważ kolano okrutnie bolało. U stóp wzniesienia jego drużownicy czyścili broń, z obrzydzeniem spoglądając na martwych bandytów.

- W jaskini na zboczu znalazłem kolejnego trupa. Nie ma tam żadnych śladów.

Dwaj ludzie ruszyli po zwłoki, a inni rzucili martwych bandytów na grzbiety znalezionych w pobliżu koni.

Drużyna wróciła do Craig Fawr długo po zachodzie słońca. Smutny i zbolący Emryss zsunął się z konia. Rozkazał położyć zwłoki bandytów przed stajnią, żeby poddani z wioski i zamku mogli się im przyjrzeć.

- *Brawdmaeth*, ich działanie nie miało sensu - tłumaczył Gwilym, idąc za nim do sali biesiadnej. - Co to za złodziej, który zabija, a nie kradnie?

- Bandyci nie grzeszą rozsądkiem, prawda? - odparł Emryss. - Pewnie Ianto spłoszył tych głupców.

Znów uświadomił sobie bolesną stratę, o której podczas walki udało mu się zapomnieć.

- Obyś miał rację - powiedział Gwilym. - W przeciwnym razie...

- Trzeba odpocząć - przerwał Emryss. Kolano tak go bolało, że nie był w stanie myśleć. - Daj spokój, dobrze? Noga trochę mi dokucza. - Starał się nie krzywić, gdy szedł ale czuł się tak, jakby stapał po ostrzach sztyletów wbitych w krwawiące ciało.

Gdy pchnął drzwi sypialnej komnaty, Roanna natychmiast do niego podbiegła. Na jej twarzy zobaczył uśmiech i wyraz ogromnej ulgi. Kulejąc, podszedł do krzesła i zwalił się na nie z cichym jękiem. Wstrzymała oddech.

- Krew! - szepnęła. - Jesteś ranny.

- Nie moja - odparł z trudem.

- AHu?

- Zdrow i cały.

Uspokojona podeszła do stołu i nalała mu wina. Był wdzięczny, że nie zasypuje go pytaniami. Jednym haustem wypił chłodny trunek. Marzył o tym, aby odpocząć i zapomnieć o potyczce. Wiele razy bił się i zabijał, ale teraz jedyną radością

była dla niego świadomość, że przeżył. Znał rycerzy, dla których prawdziwym żywiołem stały się bitewne zmagania. Sam był taki w młodości. Ci ludzie ćwiczili swe umiejętności głównie na turniejach, gdzie pole nie jest zasłane trupami oraz rannymi, a widzowie oklaskują zwycięzców, zamiast czekać w ukryciu na moment, kiedy będzie można obrabować zwłoki. A ponadto ci wysoko urodzeni rycerze niewiele ryzykowali, bo jako zakładnicy byli wiele warci. Za jeńca należał się okup.

Emryss odczuwał wstyd, bo przez krótką chwilę krew pulsowała mu w rytm wojennego zawołania, a na widok martwych wrogów ogarnęło go poczucie tryumfu. Po chwili otrząsnął się z ponurych rozmyślań, siadł prosto i poczuł krzepiącą obecność Roanny. Stała obok i patrzyła tak, jakby mu wyznała miłość. Wspomnienie ostatniej nocy sprawiło, że zapomniał o cierpieniach.

- Chodź do mnie, żono - powiedział cicho. Gdy podeszła bliżej, rzekł, ujmując jej dłonie: - Dzięki Bogu, że poślubiłem dziewczynę, która wie, kiedy należy milczeć.

- Straszne przeżycie? - Pochyliła się, żeby go pocałować.

- Szczęście w nieszczęściu, że nikt z moich ludzi nie ucierpiał, a wszyscy bandyci zginęli.

- Co do jednego? - spytała, prostując się. Emryss usiadł pewniej i mocno dotknął stopami kamiennej podłogi.

- Tak. Rzucili się na nas z taką furją, że trzeba ich było usieć.

- Niedobrze się stało, Emryss - odparła zatroskana i załamała dłonie. - Już się nie dowiemy, dlaczego atakowali i czy Cynrik ma z tym coś wspólnego.

Zerwał się na równe nogi i kulejąc, chodził nerwowo po komnacie.

- Wygląda na to, że wszyscy mają do mnie pretensje! Mia-  
łem pozwolić, żeby tamten bezzębny głupiec zadał mi śmiertel-  
ny cios? Wtedy miałybyś zakładnika i mogłabyś wypytać go  
o każdy szczegół!

- Emryss - powiedziała cicho. Zatrzymał się i popatrzył na  
nią, więc powtórzyła: - Emryss.

Wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Wybacz - szepnął z twarzą wtuloną w jej włosy. - Masz  
rację, ale gdy wróg chce zabić, nie ma czasu na myślenie.

- Przepraszam - szepnęła, całując go w policzek. - Gdyby  
coś ci się stało, ja bym tego... - Zamknął jej usta namiętym  
pocałunkiem, a gdy podniósł głowę, twarz miał uśmiechniętą.

- Emryss! - westchnęła przerażona. - Usiądź i odpocznij!  
Wyglądasz okropnie.

- Jestem takim brzydalem, odkąd poganin wyłupił mi oko,  
więc musisz się z tym pogodzić.

- Nie pora na żarty. Sprowadzę Mamaeth. Błagam, usiądź  
wreszcie.

Spotkały się na schodach.

- Co z nim? - wypytywała niecierpliwie Mamaeth.

- Znużony. Noga bardzo dokucza, ale on jak zwykle nadra-  
bia miną.

- Nigdy się nie zmieni. Zawsze myśli, że sama odgadnę, co  
mu dolega. Nie martw się, dziecino. Dopilnuję, żeby więcej nie  
robił głupstw. - Twarz jej spochmurniała. - Przed wejściem do  
stajni leżą zwłoki tych łajdaków. Emryss rozkazał, aby je obej-  
rzeć. Może ktoś rozpozna którego?

- Zaraz tam pójde - odparła Roanna i ruszyła na dziedzi-  
niec, gdzie mrok rozjaśniały pochodnie trzymane przez kilku  
drużynników. Ludzie przyglądali się trupom, więc stanęła

w rzędzie i szła za nimi. Poznała bandytów, którzy tamtego strasznego dnia napadli ją i Jacques'a. Gdy popatrzyła na ostatnie zwłoki, ogarnął ją strach. Brakowało łotra z długą czarną brodą, zepsutymi zębami i śmierdzącą gębą, ale Emryss twierdził, że nikt z bandytów nie umknął.

W drzwiach kuchni stanął Jacques i przydreptał do niej pośpiesznie.

- Chodź, koteczku. Nie warto się przyglądać tym łobuzom. Pewnie zmarłaś. Siądziesz u mnie przy piecu i zaraz się rozgrzejesz.

- Nie, Jacques. Muszę biec do Emryssa.

- Znowu? - obruszył się, ale nie słuchając jego narzekań, pobięła ku drzwiom sali paradnej. W korytarzu wiodącym do sypialni omal nie zderzyła się z Mamaeth opuszczającą sypialnię.

- Spokojnie, dziecinko - powiedziała ochmistrzyni, chwytając ją za ramiona. - Już mu lepiej. Wypił miksturę i zasnął.

- Ale...

- Jeśli go nie zmusimy, żeby odpoczął, będzie się tłukł po zamku jak dusza potępiona, a po pewnym czasie opadnie z sił i trafi na cmentarz. - Spojrzała współczująco. - Nie jest z nim tak źle, lecz chorą nogę powinien oszczędzać.

Roanna nie wiedziała, jak postąpić. Gdyby obudziła męża i przekazała mu złe wieści, natychmiast dosiadłby konia, żeby ścigać zbiegłego bandytę. Nic złego się nie stanie, jeśli później usłyszysz o jej odkryciu. Herszt bandy uciekł, ale nic nie zdziała bez swoich kompanów, a ci są martwi.

- To rozumiem, dziecino. Uspokój się i chodź ze mną do kuchni. Przygotuję mu posiłek. Musi trochę zjeść, kiedy się obudzi.

- Gdzie Hu? - zapytała Roanna, gdy były na schodach.

- W kuchni. Bronwyn się nim zajęła - usłyszała w odpo-

wiedzi i bez słowa kiwnęła głową, a Mamaeth dodała zafrasowana: - Biedny Into. Zaraz odbędzie tu *gwylio'r corff*. - Widząc zdziwienie na twarzy Roanny, przetłumaczyła szybko: - Nocne czuwanie przy zwłokach. W kaplicy. Emryss też pójdzie, kiedy się obudzi. Wszyscy mężczyźni tam będą.

- Przez całą noc? Dlaczego?

- Nie godzi się zostawiać Ianta samego. - Mamaeth odwróciła głowę, żeby na nią popatrzeć. - Hu siedzi teraz przy zmarłym, więc dałam Emryssowi zioła na sen, ale i jego powinnością jest czuwanie w kaplicy. Ianto był mu jak ojciec i przekazał całą swoją wiedzę o owcach, psach i ludziach.

- Rozumiem.

- Czyżby? ~ spytała z niedowierzaniem Mamaeth.

- Oczywiście - rzuciła stanowczo Roanna. - To jego powinność, więc się nie sprzeciwię - tłumaczyła, gdy szły w stronę kuchni. - Musimy tylko dopilnować, żeby znowu się nie rozchorował.

Emryss spał do wieczora. Roanna czuwała przy nim, aż wymamrotał zachrypniętym głosem.

- Czego dosypałyście do wywaru?

- Proszku na sen. Mamaeth uznała, że musisz się przespać.

- To już noc?

- Tak. - Próbował usiąść, więc go podtrzymała.

- Gdzie Ianto?

- W kaplicy.

- Muszę tam iść. - Potarł dłonią czoło. Kiwnęła głową i podeszła do skrzyni, żeby przygotować mu ubranie. Gdy się odwróciła, siedział na łożku, stopami dotykając podłogi; głowę oparł na rękach.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Nie najgorzej - odparł, podnosząc wzrok. Stała przed nim ze splecionymi dłońmi, kiedy się ubierał.

- Mamaeth wszystko mi wyjaśniła, ale obiecaj, że wrócisz, jeśli ból się odnowi.

- Mniejsza o bolące kolano. Nie dziw się, że tak cierpię. - Podniósł na nią smutne oczy. - To wszystko moja wina. Ianto umarł przeze mnie.

Gdy zakładał buty, wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

- Wiem, jak boli strata bliskiego człowieka. Zapewniam, że nie jesteś winny śmierci Ianta.

- Co ty mówisz? - Z ponurą miną chwycił jej dłoń. - Zajmowałem się własnymi sprawami, a on zginaj. - Puścił jej dłoń i podszedł do okna. - Jaki ze mnie pan?

- Najlepszy z możliwych - zapewniła skwapliwie. - Hojny i pełen godności. Jak mogłeś przewidzieć, że dojdzie do takiego nieszczęścia? - Objęła go w pasie i mocno przytuliła. Długo wpatrywał się w ciemność. - Nie wskrzesisz go, uganiając się codziennie po okolicy, a siebie doprowadzisz do niechybnej śmierci. - Przytuliła głowę do szerokiej piersi i objęła go jeszcze mocniej.

- Och, Roanno - westchnął ciężko. - Tak bardzo chciałbym ci uwierzyć.

Cofnęła się i objęła dłońmi jego twarz.

- Jeśli szukasz winnego, możesz oskarżyć mnie albo Mamaeth. Obie nalegałyśmy, żebyś siedział w zamku i wrócił tu do sił.

- Myślisz, że zrzucę na kobiety brzemień własnej odpowiedzialności? Nie! Moją rzeczą jest zadbać o bezpieczeństwo poddanych. - Znowu westchnął. - Na szczęście, rozprawiliśmy się z tamtymi łotrami. - Roanna milczała z ciężkim sercem. - To

dla mnie? - zapytał, widząc chleb i pieczone mięso przygotowane na stoliku.

- Tak - odparła z wymuszonym uśmiechem. Nie mogła mu teraz powiedzieć, że jeden z bandytów uciekł.

- Nie mam czasu na posiłek - wymamrotał z pełnymi ustami. - Idę do kaplicy.

- Poczekam tu na ciebie.

- Nie warto. Przesiedzę tam całą noc. Idź spać.

- Mimo wszystko poczekam.

- Dziewczyno, czy zawsze jesteś taka uparta? Nie wszczynasz awantur, ale masz swoje zdanie, prawda?

- Tak.

Otworzył drzwi i dodał na odchodnym:

- Ianto był taki sam.

Po jego wyjściu podeszła do okna i czekała, aż wyjdzie na dziedziniec. Ruszył w stronę bramy, lekko kulejąc. Był przygarbiony, bez uśmiechu pozdrowił strażników. W letnim zmierzchu majaczyła wiejska kaplica. Małe okna były jasno oświetlone, a z wnętrza dobiegał cichy śpiew.

Odwróciła się i zacisnęła dłoń. Nie powinien siedzieć tam przez całą noc, skoro jeszcze nie jest w pełni sił. Kolejna choroba może się dla niego źle skończyć. Mamaeth nadrabiała miną, ale Roanna przejrzała ją i nie dała się nabrać. Z każdą chwilą była coraz bardziej przygnębiona. Popatrzyła na tacę z jedzeniem i postanowiła odnieść ją do kuchni, żeby mieć zajęcie.

Gdy szła kuchennym korytarzem, słyszała, że Mamaeth i Jacques jak zwykle się kłóca, chociaż tym razem sprawiali wrażenie nieco przygnębionych. Trzasnęły drzwi i zapadła cisza. Na widok Roanny kucharz zerwał się na równe nogi, podbiegi i zabrał tacę.

- Usiądź, koteczku. Marnie wyglądasz. Czyś ty chora?

- Nic mi nie jest, Jacques - odparła i przycupnęła na podsuniełym zydlu. - Jestem tylko zmartwiona.

- Ha! Nic dziwnego, skoro przyszło nam żyć pod jednym dachem z tą sekutnicą! Wyobraź sobie, chciała mnie posłać po mąkę do młyna!

Roanna uśmiechnęła się łagodnie. Kłopoty Jacques'a zawsze miały znamiona uroczej prostoty. Pobiegł do spiżarni i wrócił z misą słodkich bułeczek i kuflem znakomitego piwa.

- Jedz! - polecił. Skubała posłusznie smakołyki, obserwując kątem oka, jak miesi ciasto na poranny chleb.

- Pani Roanno, co trapi waszą dostojność? - zaczął uroczysto, ocierając wielkie łapy kuchennym fartuchem. - Mąż zdrowy, chyba... dobrze się wam układa, co? Tak przynajmniej twierdzi ta jędza. Przyznaję, że napad bandytów jest prawdziwym nieszczęściem, ale to nie powód, by ulegać rozpaczce. Ta posepna mina...

- Jestem bardzo zmęczona, Jacques - przerwała mu i podjęła decyzję: bandyta, który uciekł, zostanie wytropiony w swoim czasie, o ile będzie taka potrzeba. Zdrowie Emryssa jest najważniejsze. Uśmiechnęła się lekko.

- Kamień spadł mi z serca! - odparł rozpromieniony. - Teraz poznaję moją Roannę! Ledwie spróbowałaś mojego jedzenia, od razu poczułaś się lepiej. Widziałem to setki razy. - Zachichotał cicho. - Zostaniesz i pomożesz mi upiec chleb, koteczku? Odkąd zostałam tu panią, rzadko cię widuję.

Roanna spędziła parę godzin ze swoim najlepszym kompanem. Opowiedział jej wszystkie ploteczki i dał do zrozumienia, że powinna jak najszybciej ożenić Gwilyma z Bronwyn. Gawędzili przyjemnie, lecz zrobiło się późno, a Jacques zawsze wsta-

wał przed świtem, żeby przygotować dla wszystkich śniadanie. Gdy wyszła na dziedziniec, w Craig Fawr było cicho i ciemno. Chmury sunące po niebie raz po raz zasłaniały księżyc, a cienie tańczące na ścianach przybierały osobliwe kształty.

Nasłuchiwała, czy z daleka nie dobiegnie przytłumiony śpiew. Nic, tylko cisza. Ruszyła w stronę bramy, ale zatrzymało ją wołanie strażnika.

- Idę do kaplicy - odparła pospiesznie, nie zwracając uwagi na jego zdziwioną minę. Kiedy dotarła na miejsce, długo stała w cieniu. Ze środka dobiegały stłumione głosy. Ostrożnie uchyliła drzwi.

Ianto spoczywał na marach umieszczonych przed ołtarzem. Ubrany był w jasną tunikę, a ręce miał złożone na piersi. Przy nim leżał Mott, zwinięty w kłębek, jakby spał. Po obu stronach płonęły świece, rozświetlając nieco mroczne wnętrze kaplicy.

Emryss siedział na ławce obok Gwilyma. Grupa drużynników znanych Roannie z widzenia zajmowała sąsiednie ławki. Przy nich rozsiedli się pasterze. Czuwający podawali z rąk do rąk dzban wina.

Wślizgnęła się do środka, zamknęła drzwi i stanęła w cieniu. Zdawała sobie sprawę, że to nie miejsce dla niej, ale nie chciała być sama. Pragnęła towarzyszyć Emryssowi.

Gwilym wstał z ławki i zataczając się lekko, zaczął mówić. Był trochę wstawiony, więc mieszał walijskie i normańskie słowa. Zaskoczona Roanna stwierdziła, że bardzo dużo rozumie.

- Pamiętam, jak Emryss uczył się strzyc owce - zaczął z drwiącym uśmiechem. - *Ffw!* Omal sobie palców nie pucinał, ale Ianto nie powiedział mu złego słowa. Zawsze uważał go za swego pana.

- Czekał, aż się skaleczę, bo chciał, żebym się uczył na włas-

nych błędach. Twardy był. Mówisz, że uważał mnie za swego pana? Też coś! Pamiętasz, jak dostałem od niego po gębie!

Gwilym zrobił głupią minę, a mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Zasłużyłeś na karę. Kto mimo zakazu bawił się z jego psami?

- Psy to on mądrze układał - wtrącił stary pasterz.

- Masz rację, Dewey - odparł jeden z kompanów. - I dobry był z niego człowiek. Wiele czasu minie, nim znów takiego spotkamy. - Mężczyźni zgromadzeni w mrocznej kaplicy pokiwali głowami i każdy pociągnął z dzbana tegi łyk.

- Mam nadzieję, że uda mi się tyle zrobić dla Hu, ile Ianto uczynił dla mnie - dodał cicho Emryss.

Wszyscy znów pokiwali głowami. Zapadła cisza nabrzmiała wspomnieniami. W końcu Roanna odważyła się wysunąć z kryjówki. Czuwający oparli głowy o ścianę i przymknęli powieki, oddychając głęboko i regularnie.

Emryss wstał, podszedł do mar, ukląkł, położył rękę na piersi Ianta i skulił się obok niego, jakby drzemał. Roanna znieruchomiała. Nie mogła pozwolić, żeby spał w tym chłodzie. Na palcach ruszyła w stronę ołtarza, ale znowu przystanęła. Emryss śpiewał głosem tak cichym, że musiałyby stanąć obok niego, aby słyszeć każde słowo i dźwięk.

Pieśń przebrzmiała; zapadła cisza, więc Roanna uznała, że musi odczekać, aż ochłonie ze wzruszenia. Nim wróciła się pod ścianę, szerokie ramiona Emryssa zaczęły drżeć, a z gardła wydobył się głośny szloch.

Bez namysłu podbiegła do mar i uklękła przy ukochanym.

- Emryss - powiedziała łagodnie. Chciała go objąć, ale nie miała odwagi, pełna obaw, że się rozgniewa, bo nieproszona wtargnęła do kaplicy.

Gdy podniósł głowę, ujrzała zboląłą twarz, mokrą od łez.

- Na Boga żywego, Roanno, pomóż mi! Mam wrażenie, jakby mnie ranili!

Objęła dłońmi mokre policzki i powiedziała stanowczym tonem:

- To nieprawda, Emryss.

Bez słowa pochylił głowę i objął ją mocno. Długo szlochał rozpaczliwie, więc trzymała go w ramionach, kołysała czule i głaskała po głowie.

Po kilku dniach Roanna uznała, że jej obawy są bezpodstawne. Drużynnicy wysyłani codziennie na rekonesans nie znaleźli zbiegłego bandyty. Emryss szybko doszedł do siebie i coraz bardziej przypominał pewnego siebie rycerza, jakim był na początku ich znajomości. Każdej nocy brał ją w ramiona. Kochali się z taką pasją, że miała wrażenie, jakby na ziemi otworzyły się przed nią niebiosy. Zasypywał ją nowymi pieścizkami i prowadził drogami wyjątkowej rozkoszy. Wreszcie pojęła, czemu uznaje się żądę za grzech, bo ilekroć czuła na sobie jego wzrok, za dnia i nocą była w stanie myśleć jedynie o tym, by rzucić się w jego objęcia.

Ludziła się, że Cynrik nareszcie dał za wygraną i nie będzie ich niepokoić. A tymczasem w Beaufort zapadło postanowienie, że pora urzeczywistnić nikczemny plan.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ksiądz Robelard długo klęczał przed ołtarzem klasztornego kościoła, nie zważając na obolałe kolana. Popołudniowe słońce nie zdołało rozproszyć mgły zalegającej w dolinie, więc ogromna świątynia była mroczna jak wnętrze grobowca.

- Miłosierny Boże - modlił się żarliwie. - Pomóż mi w godzinie próby i naucz, jak mam się bronić przed zakusami szatana. - W spotniałej dłodzi zgniół otrzymaną rankiem karteczkę, aż powstała mała kulka, i głośno wypowiedział prośbę. - Twój sługa zgrzeszył, więc błaga o łaskę i zmiłowanie.

- Wzruszające słowa.

Gdy usłyszał znajomy głos, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wstał i odwrócił się. Na ołtarzu płonęły świece, a w ich słabym świetle osobliwe cienie snuły się po wnętrzu kościoła. Stojący w drzwiach Cynrik przypominał diabła czekającego na swoją godzinę. Światło i cień zmieniły jego twarz w demoniczną maskę.

- Ksiądz czuje się winny? - zapytał, idąc w stronę ołtarza. Usta wykrzywił ironiczny uśmiech.

- Posłałeś po mnie, dostojny panie. Czego chcesz?

- Cóż to za ton? A gdzie życzliwe powitanie? Nie przyszło księdzu do głowy, że pragnę się wypowiedzieć?

Dłonie Robelarda chwyciły mniszy sznur i nerwowo wiązały supełki. Cynrik podszedł tak blisko, że ksiądz musiał się cofnąć.

- Może innym razem - oznajmił, stojąc przed ołtarzem i obserwując niepozornego księdza. Oparł się o masywny drewniany występ po prawej stronie. Wystraszony Robelard nie śmiał odpowiedzieć i modlił się o pomoc i opiekę.

- Niech ksiądz powie, co słyhać u mego zacnego kuzyna.

- Wszystko dobrze - odparł duchowny i odchrząknął nerwowo.

- Jakże jestem rad! Emryss zapewne sądzi, że wycięcie w pień złodziejskiej szajki oznacza kres jego kłopotów.

- Moim zdaniem oboje z żoną tak właśnie uważają.

- Ach tak? Jaka szkoda, że są w błędzie - odparł Cynrik, a ksiądz Robelard daremnie zachodził w głowę, o co mu chodzi. - Doszły mnie słuchy, że kilku... Jak ich nazwać? Rzecz w tym, że grupa malkontentów chce przysporzyć Emryssowi nowych trosk - ciągnął Cynrik. - Jest przecież Normanem, choć udaje kogoś innego. Dlatego sądzi, że wszelkie miejscowe ruchawki nie mogą mu zaszkodzić. To pobożne życzenia, ponieważ i jego dotyka nienawiść, którą Walińczycy żywią do Normanów. - Cynrik westchnął. Sznur księdza Robelarda przypominał jeden wielki supeł. - Pragnąłbym ostrzec Emryssa, ale on nie chce mieć ze mną do czynienia. Nie sądzę również, żeby dał posłuch napomnieniom księdza. - Cynrik odsunął się od ołtarza, a duchowny energicznie pokręcił głową. - Tego się obawiałem, bo przecież nie jest dla nikogo tajemnicą, że nienawidzi kleru. - Zamilkł na moment, a Robelard przytaknął bez słowa. - Komu zatem ufa? - Cynrik podszedł do niego. - Zapewne uroczej pani Roannie. Gdybym zdołał ją przekonać, że obawy są uzasadnione, mógłbym śmiało założyć, że z jej ust przyjmie ostrzeżenie.

- Tak, panie. Słucha rad żony.

- Sam ksiądz widzi, że jestem w trudnym położeniu. Jak mam jej przedstawić posiadane dowody i ostrzec przed niebezpieczeństwem? - Na twarzy Cynrika pojawił się chytry uśmiech. - Lękam się powierzyć je komukolwiek, żeby nie wpadły w niepowołane ręce, a sam nie śmiem ponownie wkroczyć na ziemię Emryssa.

- Dostojny pan DeLanyea nie pozwoli żonie tu przybyć.

- Wiem - burknął Cynrik, a potem znowu się uśmiechnął.

- Spotkanie powinno odbyć się na neutralnym gruncie. Idealnym miejscem jest brzeg granicznej rzeki. Zarośla dadzą nam osłonę, a gdyby sprawa przybrała niebezpieczny obrót, przekroczę nurt i będę u siebie, gdzie z kolei Emryss nie ma wstępu.

Ksiądz skubał sznur spoconymi dłońmi. Nie ufał Cynrikowi, ale bał się zlekceważyć ostrzeżenie. Gdyby zostały ujawnione wiarygodne dowody, Emryss DeLanyea mógłby na tym skorzystać.

- Zakładam, że ksiądz towarzyszyłby pani Roannie w tej wyprawie.

Robelard odchrząknął, próbując opanować drżenie kolan.

- A jeśli nie zechce ze mną pojechać? Skąd pewność, że nie zrobisz jej krzywdy, panie?

- Widzę u księdza zadatki na bohatera - odparł Cynrik z pogardliwym uśmiechem. - Nie ma powodu do obaw. Daję słowo honoru, że włos jej z głowy nie spadnie. Ksiądz także może się czuć bezpieczny... o ile skłoni ją do przybycia.

- Dobrze, panie. - Robelard wytarł mokre od potu dłonie o habit.

- To dla mnie wielka radość, że tak dobrze się rozumiemy. Proponuję, żeby spotkanie odbyło się jutro rano. - Odwrócił się, jakby zamierzał odejść, lecz nagle dodał: - Muszę księdza

uprzedzić, że gdyby pani Roanna nie przyjechała nad rzekę, będą zmuszony ujawnić hańbę Lynette.

- Jaka hańbę? - Robelardowi zrobiło się słabo.

- Spodziewa się dziecka. Wie ksiądz, co się stanie, gdy rzecz wyjdzie na jaw.

Ksiądz Robelard zdawał sobie sprawę, co uczyni Cynrik DeLanyea: każe rozebrać nieszczęsną dziewczynę do naga i wypędzić z wioski. W desperacji chwycił się jedynej szansy ocalenia Lynette.

- To dziecko może być twoje, panie.

- Słuchaj, klecho! - Cynrik brutalnie chwycił go za habit.

- Gdy ogłoszę, że jesteś ojcem, ludzie będą musieli przyjąć to do wiadomości, a zatem dopilnuj, żeby Roanna przyjechała nad rzekę. - Puścił Robelarda, który upadł na kamienną podłogę.

Cynrik DeLanyea wyszedł z kościoła.

Następnego dnia Roanna przysłała do kaplicy bardzo wcześnie. Emryss jeszcze spał, więc chciała wrócić, nim się obudzi.

- Pani Roanna! - zawołał ksiądz Robelard, jakby ujrzał anioła, a potem westchnął z ulgą. Można by pomyśleć, że kamień spadł mu z serca.

- Chyba sam Pan Bóg sprowadził cię tu, pani, o dogodnej porze. - Wzniósł oczy do nieba. - To znak dla pokornego sługi Najwyższego. Musimy pomówić o sprawie wielkiej wagi - dodał. Roanna udawała, że nie dziwi jej to osobliwe zachowanie.

- Doniesiono mi, że szykują się zamieszki przeciwko normańskim panom.

- Proszę księdza, żaden Walijczyk nie wystąpi przeciwko Craig Fawr.

- Wszyscy łudziliśmy się, że to prawda, ale zgłosił się do

mnie pewien człowiek, którego należy wysłuchać. Ma nam wiele do powiedzenia. Umówiłem się z nim na spotkanie, bo zna wiele szczegółów tej sprawy. Gdybyś ty, pani, zechciała mi towarzyszyć...

- Z pewnością byłoby lepiej, gdyby ksiądz pojechał z moim mężem.

- Przykro mi, pani, ale ten człowiek upiera się, że będzie rozmawiać tylko z tobą. Obiecał, że nic ci się nie stanie. Mam na to jego słowo.

Roanna zacisnęła palce. Odniosła wrażenie, że ksiądz Robelard mówi prawdę. Emryss istotnie był jednym spośród znienawidzonych w Walii Normanów, chociaż nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Nie można wykluczyć, że do złodziejskiej bandy należeli też walijscy buntownicy. Gdyby to przypuszczenie się potwierdziło...

- Dokąd mamy się udać?

- Nie opuścisz, pani włości swego męża, ale konie będą nam potrzebne.

- Zgoda.

- Ruszymy po nabożeństwie, pani.

- Dobrze, proszę księdza.

Nieco później Roanna siedziała na grzbiecie swojej klaczy, a ksiądz Robelard jechał przed nią na osiołku. Gdy przyszła do stajni po wierzchowca, nikt jej nie wypytywał, dokąd się wybiera. Zwykle Emryss nalegał, żeby podczas objazdów parafii jej i proboszczowi towarzyszył Gwilym lub jeden z drużynników, ale tym razem ksiądz Robelard nie życzył sobie ich towarzystwa.

Gdy jechali wąską drogą, słońce przedzierało się z trudem przez grubą warstwę chmur. Poprzedniego dnia spadł ulewny

deszcz i na ziemi pozostały błotniste kałuże. Kopyta klaczy z ci-  
chym młaśnięciem grzęzły w mule. Roanna patrzyła na drogę,  
starając się omijać największe rozlewiska. Podniosła wzrok, do-  
piero gdy ksiądz Robelard zatrzymał osiołka. Byli niedaleko  
rzeki oddzielającej ziemię Emryssa od Beaufort.

- Jesteśmy na miejscu, proszę księdza?

- Tak, pani - odparł i zsunął się z oślego grzbietu. Roanna  
dostrzegła w zaroślach migotliwy blask, jakby promień słońca  
odbijał się na wypolerowanym metalu. Nagle zza wierzbowych  
pni wyszedł Cynrik DeLanyea, a za nim Urien Fitzroy.

Cynrik przyglądał się siedzącej na koniu damie. Ledwie po-  
trafił uwierzyć, że ma przed sobą tamtą dziewczynę, którą znie-  
nawidził od pierwszego wejrzenia. W leśnym półmroku jej biała  
skóra jaśniała blaskiem, a postać nieco się zaokrągliła, więc za-  
miast wychudzonego brzydactwa ujrzał apetyczną kobietę. Gdy  
popatrzył na ponętny biust, ogarnęło go miłe podniecenie.

Roanna wstrzymała oddech, mocniej zacisnęła wodze i ob-  
rzuciła księdza nieufnym spojrzeniem.

- Nie ma powodu do obaw, pani - zapewnił skwapliwie. -  
Ten rycerz w obliczu Boga dał mi słowo honoru, że włos ci  
z głowy nie spadnie.

- Istotnie tak było. - Cynrik obdarzył ją najbardziej czaru-  
jącym ze swoich uśmiechów. - Chciałem cię tylko ostrzec, pani.

- Naprawdę?

Zrobił kilka kroków w jej stronę i wyciągnął rękę.

- Proszę, wysłuchaj mnie, Roanno. Daję słowo, że przyby-  
wam w dobrych zamiarach. - Gdy zobaczył na jej twarzy wyraz  
powątpiewania, dodał przeproszającym tonem: - Wybacz, pani,  
że uciekłem się do małego podstępu. Emryss na pewno by mi  
nie uwierzył, więc musiałem cię prosić o spotkanie.

Roanna siedziała na koniu nieruchomo, jakby nie miała zamiaru zsiąść. Cynrik zwrócił się do księdza Robelarda.

- Proszę tu zostać z Fitzroyem. Chcę pomówić z tą damą na osobności. - Podszedł jeszcze bliżej z wyciągniętą ręką. Po chwili wahania oparła się na niej i zeskoczyła na ziemię. - Chodźmy - rzekł proszącym tonem, ciągnąc ją lekko w stronę zarośli. - Musimy porozmawiać sam na sam. Błagam, pani. - Zboczył z drogi między leszczynowe krzewy rosnące wzdłuż rzeki.

- Kto zamierza nas zaatakować? Kiedy to nastąpi? - wypytywała niecierpliwie.

- Roanno - zaczął przyciszonym głosem - przeczuwałem, że nie zechcesz spotkać się ze mną, chyba że życie i mienie twego męża będzie zagrożone. Dlatego namówiłem księdza Robelarda, żeby cię tu przyprowadził.

- Czy to znaczy, że nie będzie żadnej...

- Walijskiej ruchawki? - wpadł jej w słowo. - Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Nie gniewaj się o to drobne oszustwo. - Czułe ujął jej dłoń i dodał z pokora: - Zrozumiałem wreszcie, Roanno, że odnosiłem się do ciebie haniebnie. Daremnie próbowałem o tobie zapomnieć. Poślubiłaś mego kuzyna, nadal jednak cierpię katusze, ilekroć sobie przypominam, jak podle się do ciebie odnosiłem. Przyjechałem tu, aby prosić o przebaczenie. - Zrobił krok w jej stronę. Cofnęła się odruchowo, więc znieruchomiał i rzekł ze smutnym uśmiechem: - Widzę, że nadal mi nie ufasz. Łudziłem się jak głupiec, że może być inaczej. - Niespodziewanie ujął jej dłoń i przycisnął do ust. Gładka skóra była pachnąca, ciepła, pełna powabu.

- Co ty robisz? - krzyknęła, cofając się natychmiast. Otworzyła szeroko lśniące zielone oczy.

- Roanno, kocham cię. Jesteś mi potrzebna.

- Czyś ty oszalał? - Popatrzyła na niego ze zgrozą. Ukłękła na rozmokłej ziemi i błagalnym gestem uniośł ręce.

- Tak, masz rację. Oszalałem z miłości do ciebie. - W jego głosie pobrzmiwała nuta szczerości, którą postanowił wykorzystać jako dodatkowy atut wspierający przebiegłe knowania.

- Och, wiem, że mi nie wierzysz - dodał, przyglądając się jej z uwagą, zdecydowany urzeczywistnić chytry plan. - Sam ledwie byłem w stanie to ogarnąć. Uciekałem przed tą prawdą, bo przecież straciłem cię na zawsze, ale nie mogłem dłużej milczeć. Och, Roanno! - Ukrył twarz w dłoniach.

- Żal mi ciebie, Cynriku - szepnęła. Podniósł głowę i popatrzył na bladą twarz o pełnych czerwonych wargach. Niech diabli porwą wszelkie plany i podstępny! Zerwał się na równe nogi, objął ją i przycisnął zachłanne usta do jej warg. Stał się cud! Zamiast go odepchnąć, znieruchomiała, jakby nagle opadła z sił. Zasypywał pocałunkami różane policzki i szyję.

- Cynriku, błagam, przestań - szepnęła. Pierś unoszona nierównym oddechem cudownie falowała. Po raz pierwszy w życiu usłuchał kobiecej prośby. Roanna stała bez ruchu - Po co te wyznania? Znasz wiele kobiet piękniejszych ode mnie.

Cofnął się, jakby go uderzyła. Zakłopotany nie śmiał podnieść wzroku. Inaczej to sobie wymyślił. Postanowił zniewolić żonę Emryssa i zhańbioną odesłać do Craig Fawr. Czemu się wahał? Zirytowany dumnie uniośł głowę. On, baron Cynrik DeLanyea zemści się na Emryssie, który od lat zatruwa mu życie.

- Roanno, trzeba ci wiedzieć, że potajemnie zostaliśmy kochankami. - Gdy wstrzymała oddech, ogarnęło go wszechogarniające poczucie zwycięskiej siły. - Jesteś zaskoczona? Któż by się dziwił, że kobieta przedkłada urodziwego mężczyznę nad ka-

lekiego brzydala. Opowiem ci, jak z nami było. Pokochałaś mnie od pierwszego wejrzenia i z radością myślałaś o rychłym ślubie. Gdy lekkomyślnie cię do siebie zraziłem, rozgniewana wyszłaś za innego. Twój mąż okazał się nieczuły, więc pomyślałaś o mnie. Nawet wtedy, gdy Emryss się z tobą kochał, wyobrażałaś sobie, że jesteśmy razem. - Od dawna wymyślał te opowiadki, starannie dopracowując szczegóły, lecz niespodziewanie rozgniewał się na samą myśl o Emryssie trzymającym w objęciach Roannę. Dokończył ostrym tonem: - Na klęczkach błagałaś księdza Robelarda, żeby poprosił mnie o spotkanie. Zgodził się, choć miał sporo wątpliwości. Kiedy przyjechałem, wyznałaś mi, co czujesz. - Umilkł na chwilę i wolno podszedł do niej. - Ja także cię pokochałem. - Wpatrywał się w jej twarz jak urzeczony. - Cierpiełaś rozdarta między uczuciem a powinnością. Usiłowałem cię przekonać, żebyś porzuciła męża, ale wzdragałaś się przed tym postępkim. - Patrząc jej w oczy, ujął w palce kosmyk ciemnych włosów, które opadły na ramię, gdy odwróciła się niechętnie. - Mimo twoich wątpliwości doszło do ponownego spotkania i zostaliśmy kochankami. Niestety, twój mąż wkrótce dowie się o zdradzie, wyzwie mnie na pojedynek, a ja go zabiję.

- Takis pewny, że ci uwierzy?

- Mniejsza z tym. - Cynrik znów na nią popatrzył. - Nie potrafisz zrozumieć, czym jest dla rycerza ujmą na honorze. Mnie również przyjdzie bronić własnej godności, więc Emryss musi zginąć - oznajmił tryumfalnie. Radość z rychłej zemsty była niemal tak silna jak magnetyczna siła jej oczu. - Dobrze znam tego bękartą, setki razy obserwowałem, jak walczy. Jego sposób poruszania, uniki, zwody i słabości nie są dla mnie tajemnicą. Stał się kaleką, więc nie ma szans. Zginie, a jego wło-

ści będą należały do mnie. Ty natomiast schronisz się w klasztorze o surowej regule, żeby pokutować za grzechy.

- Cynriku - powiedziała cicho - jak odkryłeś moją tajemnicę? Co sprawiło, żeś odgadł, jak bardzo cię kocham? To prawda, że poślubiłam Emryssa, żeby na swój głupi kobiecy sposób zemścić się na tobie!

- Co ty gadasz? - Nieufnie zmrużył oczy. Podeszła do niego powoli jak w transie.

- Jest tak, jak mówiłeś. Kocham cię. Byłeś moją jedyną miłością, ale zdjął mnie lęk. Bałam się, że wżgardzisz brzydula. Potem wpadłam w ręce Emryssa. Byłam przerażona i robiłam, co kazał. - Wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po ramieniu. - Teraz wiem, co należy uczynić. Zamierzam go opuścić. Powiem ludziom wszystko, co każesz. Będę mówić, że to okrutny szaleniec, że mnie bił, że gził się z mężczyznami. - Cynrikowi krew uderzyła do głowy, gdy poczuł dotknięcie ciepłej dłoni. Roanna obdarzyła go promiennym uśmiechem i dodała zachęcająco: - Możemy też zrobić inaczej. Nikt się nie dowie, że zostaliśmy kochankami. To będzie nasza słodka tajemnica, dobrze?

Gorąca krew pulsowała mu w żyłach, gdy porwał ją w ramiona, całując namiętnie chętnie, ciepłe wargi.

- A co z Emrysem? - mamrotał, zasypując pocałunkami jej szyję i dekolt. Oboje z trudem chwyтали powietrze. Roanna wplotła palce w jego włosy.

- Zostawi nas w spokoju. Sam wiesz, że zaszył się ostatnio w swojej fortecy. A jako kochanek... nie potrafi mnie zadowolić.

- Ze mną będzie ci dobrze. - Objął mocno Roannę i otarł się o nią, jęcząc z rozkoszy.

- Emryss wiele mnie nauczył. Przeżyjemy cudowne chwile - westchnęła. Cynrik nie potrzebował dodatkowej zachęty! Odychając ciężko, położył ją na trawie i wsunął dłoń za gors sukni, ale się sprzeciwiła. - Błagam, nie tutaj. Mamy obłapiać się jak dwoje prostaków?

Uniósł głowę i popatrzył w zarumienioną twarz. Oszołomiony żądzą rozumiał jej obiekcje, ale pragnął dopiąć swego.

- Nie, muszę cię teraz mieć.

- Co to było? - Roanna wyglądała na przerażoną. Odwróciła głowę i patrzyła w głąb zarośli. - Słyszałeś?

- Urien! - krzyknął zaniepokojony Cynrik i też na nie spojrzął, ale nie doczekał się odpowiedzi.

- Cynriku, błagam, nie tutaj. To straszne miejsce. - Wsunęła dłoń pod plecy i podniosła spory kamień. - Poza tym jest mi niewygodnie, a są rzeczy, które najlepiej robić w łóżku.

- Zgoda. Kiedy? - mruknął, odsuwając się od niej.

- Wkrótce. Prześlę ci wiadomość, gdy znajdę dla nas odpowiednie schronienie. - Pocałowała go w policzek i wstała, drżąc na całym ciele. - Niedługo cię zawiadomię, a teraz muszę już iść.

Podniósł się z ziemi i chwycił ją za ramię, wpatrując się uporczywie w zielone oczy.

- Najpierw daj mi słowo, że się spotkamy.

Gdy w milczeniu skinęła głową, ogarnęła go szalona radość.

- Przyrzekam.

- W takim razie do zobaczenia, miłości moja - powiedział, obciągając tunikę. Nagle ogarnęły go wątpliwości i dodał: - Jeśli mnie zwodzisz, uczynię, jak powiedziałem.

Odwrócił się i ruszył ścieżką wiodącą ku drodze, a Roanna oparła się plecami o pień wierzby, niezdolna się poruszyć. Mimo

wszystko trzeba iść! Wzięła się w garść i wyprostowała plecy. Marzyła, by znaleźć się jak najdalej od leszczynowych zarośli. Zebrała spódnicę i ruszyła pędem na brzeg rzeki, gdzie ksiądz Robelard czekał przy koniu i osiołku.

Z niedowierzaniem patrzył na biegnącą ku niemu damę. Suknię miała ubłoconą, włosy potargane, a na twarzy wyraz przerażenia. Przed chwilą z zarośli wyszedł Cynrik i natychmiast odjechał, wyraźnie zadowolony po spotkaniu z Roanną. Życzył mu dobrego dnia i zapowiedział, że dostojna pani wkrótce nadejdzie.

Co jej uczynił ten łotr? Nim ksiądz zdążył o to zapytać, niezdarnie dosiadła konia, nie zważając na wymogi obyczajności i ostro popędziła klacz, która zarżała głośno i ruszyła galopem po błotnistej drodze.

Ksiądz Robelard patrzył za nią świadomy, że spotkanie w zaroślach przyprawiło biedaczkę o paniczny strach. Znał Cynrika jak zły szeląg, więc podejrzewał najgorsze. Długo stał w błocie, obezwładniony poczuciem winy. Zbłądził i chciał zataić swój grzech, dlatego tak łatwo przyszło Cynrikowi zmusić go, aby zwabił tu panią Roannę. Ksiądz miał świadomość, że przez niego cierpiała. Po chwili uniósł głowę i wyprostował wątle ramiona. Było za późno, by się przed nią tłumaczyć, więc postanowił ruszyć za Cynrikiem i oświadczyć, że nie chce mu dłużej pomagać w podłych machinacjach. Potem odwiedzi swego opata i wyzna mu wszystkie grzechy.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Roanna pragnęła jak najszybciej wrócić do Emryssa i schronić się w jego ramionach. Nie dbała o błoto przyskające na gołe łyki i spódnicę. Marzyła o gorącej kąpieli, by zmyć z siebie wszelki ślad dotyku podłego Cynrika. Na samą myśl o nim zrobiło jej się niedobrze. Zacisnęła dłonie na końskiej uprzęży i walczyła z mdłościami. W pewnej chwili klacz omal nie wpadła na zwisający nisko konar. O Boże, modliła się żarliwie Roanna, spraw, żebym cała i zdrowa wróciła do domu.

W końcu ujrzała wioskę. W pełnym galopie przejechała wśród cichych chat, kłusem minęła bramy. Wpadła na dziedzińiec, osadziła klacz i zeskoczyła. Potargane włosy opadły jej na twarz, a zabłocona spódnica przylgnęła do nóg. Zatoczyła się, oszołomiona i bezsilna, a oczy zasnutą jej mgła.

Po chwili odzyskała jasność widzenia i rozejrzała się po dziedzińcu, na którym stał milczący tłum. Starzy i młodzi spoglądali na nią, jakby była tu obca. Przez chwilę szukała wzrokiem Emryssa. Stał przed drzwiami sali biesiadnej na szeroko rozstawionych nogach, nieruchomy jak posąg. Po prawej stronie miał Gwilyma, a przed nimi ktoś leżał. Zakrwawione ludzkie ciało...

Podbiegła do Emryssa, ale zatrzymał ją, unosząc dłoń.

- Poznajesz? - wskazał trupa.

Spojrzała w dół na brudną twarz brodacza. Usta miał otwar-

te, jakby krzyczał przed śmiercią. Zęby były poczerńiałe i mocno zepsute.

- Tak. - Dobrze pamiętała tego mężczyznę. Zrobiła krok w stronę Emryssa, który patrzył na nią z kamienną twarzą; w jego spojrzeniu nie było miłości. - Jego ciała nie było wśród innych, więc pomyślałam, że uciekł - tłumaczyła pospiesznie. - Napady ustały, dlatego uznałam, że wyniósł się stąd na dobre. Nie było potrzeby, żeby ci tym zawracać głowę.

- Widziałaś się z Cynrikiem? - spytał lodowato. Zabrakło jej tchu, jakby na przestronnym dziedzińcu nie było odrobiny powietrza. Kiwnęła głową. Skąd wiedział o spotkaniu?

- Po co? - Oskarżycielski ton i pełne bólu spojrzenie sprawiły, że język jej się rozwiązał.

- Zwabił mnie podstępem. Powiedział wiele rzeczy, usłyszysz o nich, gdy będziemy sami.

- Mów teraz.

- Emryss - zaczęła błagalnie, świadoma, że obserwuje ich tłum gapiów - zaklinam cię, porozmawiajmy na osobności.

- Mów teraz.

Roanna zacisnęła dłonie i milczała przez chwilę, próbując zebrać myśli. Wyprostowała się dumnie, jakby chciała okryć się swą godnością niczym ochronną peleryną.

- Książd Robelard zdradził mi pod sekretem, że ktoś mu doniósł, jakoby szykowały się napaści na tutejszych wielmożów. Twierdził, że ów człowiek może rozmawiać tylko ze mną, więc zgodziłam się pojechać. Gdy dotarliśmy na miejsce, czekali tam Cynrik i Fitzroy. - Na dziedzińcu zaległa martwa cisza. Nawet dzieci przestały się wiercić. - Cynrik wziął mnie na bok i próbował wmówić, że prosił o spotkanie, bo szuka zgody. - Na te słowa Gwilym stojący obok Emryssa splótł ramiona na piersi.

- To było kłamstwo. Wkrótce pojęłam, czemu chciał mnie zobaczyć. - Odetchnęła głęboko. - Liczy na to, że moja osoba będzie pretekstem do pojedynku. - Gwilym zerknął na Emryssa, a ten uważnie przyglądał się Roannie.

- Jakże to? - rzucił ostro, jakby zadawał cios. Zaciśnęła dłoń nie tak mocno, że kostki pobieleły.

- Ma rozgłosić, że jesteśmy kochankami - szepnęła, a gapie wstrzymali oddech. Gwilym tryumfował, natomiast Emryss uniósł tylko brwi.

- A jesteście?

Śmiało popatrzyła mu w oczy i odparła pewnym głosem.

- Byłam śledzona, zatem wiesz, co zaszło. Kłamałam, że go miłuję, żeby mnie puścił. Chciałam wrócić do ciebie.

- A jednak pozwoliłaś, żeby cię całował i obmacywał jak sprzedajną dziewczkę! - wtrącił Gwilym.

- Nie! - krzyknęła zrozpaczona. Zrobiła krok w stronę Emryssa. - Musiałam go zwodzić! Nie było innego wyjścia. Jest bardzo silny, wzięłby mnie bez trudu. Sądziłam, że jestem zupełnie sama, bo na pomoc księdza Robelarda nie mogłam liczyć. Opór i krzyki na nic by się zdały. Udawałam, że mi na nim zależy i zgodziłam się na wszystko, byle tylko pozwolił mi odejść. Musisz mi uwierzyć. Przysięgam, że to prawda.

Emryss milczał.

- Dostojna pani Roanna nie kłamie - rozległ się nagle męski głos. Szmer przebiegł po dziedzińcu, bo w drzwiach kuchni stanął Jacques. Gdy do niej podszedł, uczepliła się kurczowo jego ramienia.

- W takim razie mówiła prawdę, gdy zapewniała Cynrika, że uczyni wszystko, by go zadowolić - odparował szorstko Gwilym. - Nie kłamała także, gdy mu obiecała, że wnet się zej-

dą. - Popatrzył na Emryssa. - *Brawdmaeth*, słyszałem to na własne uszy i widziałem ich razem. Nie wyglądała na przeżoną.

- Czemu się nie pokazałeś? Dlaczego mi nie pomogłeś? - zapytała Roanna.

- Miałbym ratować zdrajczynię?! - wykrzyknął zapalczywie. Emryss stał bez ruchu i patrzył na żonę w milczeniu.

- Wierzę jej! - Z ostatnich szeregów dobiegł przenikliwy głos Mamaeth. Utorowała sobie drogę, odpychając stojących przed nią drużynników, i stanęła obok Jacquesa. - Żaden mężczyzna nie potrafi sobie wyobrazić, jak się czuje kobieta zwabiona w taką pułapkę. Co miała robić? Zabić się od razu czy raczej użyć rozumu, którego jej Bóg nie poskąpił, żeby przechrzyć tego diabła? Dopięła swego, prawda?

- Jasne! - Z tłumu wybiegła Bronwyn i stanęła obok Roanny. Gwilym spojrział na nią spode łba, lecz wcale się tym nie przejęła i dodała buntowniczo: - Powinniśmy dziękować niebiosom, że dostojna pani ma głowę na karku. Czy pędziłaby tutaj jak szalona, gdyby kłamała?

- Może domyśliła się, że ją śledzę! - wrzasnął Gwilym. - Kto wszczął alarm w nocy, kiedy się paliło, i zaciągnął nas wszystkich do młyna, żeby podpalacz mógł się wślizgnąć do zamku i podłożyć ogień w zbrojowni? Może sama ją podpaliła, co?

Emryss odwrócił się i ruszył ku stajni. Roanna odprowadziła go wzrokiem, ale nie zwracał na nią uwagi. Nie była w stanie zrobić kroku. Gwilym popatrzył wrogo na niewielką grupkę stojącą nieruchomo pośrodku dziedzica i pobiegł za nim. Gdy wpadł do stajni, Emryss siodłał konia.

- Jadę w góry - powiedział. - Muszę pomyśleć.

- Pojadę z tobą.
- Nie. Zostań tu, pilnuj Craig Fawr i Roanny. Wróć rano i postanowię, co dalej.

Roanna siedziała w komnacie przy niewielkim piecyku i próbowała zapanować nad rozpaczą. Widziała swoją przyszołość w czarnych barwach. Stojąca obok niej Bronwyn zapatrzyła się w migotliwe płomienie.

- Pojechał w góry, żeby pomyśleć - tłumaczyła przyciszonym głosem. - To dobry znak. Jego tata często mawiał, że Emryss jest dobrym dowódcą, ale potrzeba mu czasu do namysłu. Wygląda na to, że wziął to sobie do serca. Gwilym wszystkich zaskoczył, gdy wjechał do osady, wioząc trupa na końskim grzbiecie. Nie było czasu na myślenie i zadawanie pytań. Emryss przesiedzi noc wśród skał i wtedy od razu pojmie, że go nie zdradziłaś, pani.

- Ale spotkałam się z Cynrikiem. - Roanna westchnęła. - Było tak, jak mówiłam. Musiałam kłamać, bo nie miałam innego sposobu, żeby mu się wymknąć.

- Żadna kobieta nie powie ci złego słowa. Wszystkie rozumiemy, jak się czułaś. - Bronwyn usiadła, wzięła ją za rękę i ścisnęła ją mocno. - Emryss cię kocha, więc uwierzy.

- Szkoda, że nie ma księdza Robelarda. Powiedziałyby im, jaka jest prawda. - Zamyślona Roanna splotła palce. - Może spotkała go zła przygoda? Czemu nie wrócił? - Odkąd zostawiła go w lesie samego, aż do tej chwili nikt nie widział drobnego proboszcza, a zbliżał się wieczór.

- Pani, masz pewność, że on jest bez winy? - W głosie Bronwyn dało się słyszeć wahanie, jakby z obawą przyjmowała do wiadomości, że może być inaczej.

- To chyba oczywiste - odparła po namyśle Roanna. - Jest duchownym.

- Doszły do mnie plotki... Wszyscy o tym gadają. Podobno jeszcze w Beaufort zadawał się z pewną dziewczyną.

- Jak to? - Roanna popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- To prawdziwa ślicznotka. Na imię jej Lynette. Zawsze obnosiła się ze swoją urodą. - Roanna miała zaskoczona minę, więc Bronwyn dodała: - Jest z naszej wioski, ale poszła na służbę do Beaufort, choć jej codzienne obowiązki są różne od naszych. - Westchnęła. - Mam nadzieję, że nasz proboszcz jest cały i zdrowy. Może pojechał do klasztoru? Jak wróci, wszystko nam opowie. Przypuszczam, że Cynrik go omamił, bo nasz proboszcz mądrością nie grzeszy, choć jest uczony.

- Koniecznie muszę przekonać Emryssa, że powiedziałam prawdę - szepnęła Roanna, obserwując, jak tańczy szkarłatne i żółte płomienie. - W przeciwnym razie rozdzieli nas przepaść, której nie zdołamy zasypać.

- Wszystko będzie dobrze, pani - uspokajała Bronwyn. - On cię kocha.

Roanna myślała o tym uczuciu, machinalnie dotykając serdecznego palca i kręcąc obrączką. Czy jego miłość przetrwa próbę? Kiedy ją wypytywał, spojrzenie miał zimne i odpychające. Czy tak patrzy człowiek, który kocha?

Wielka szkoda, że ksiądz Robelard dotąd nie wrócił. A może powinna udać się do klasztoru, żeby go namówić do wyznania całej prawdy?

Roanna czekała cierpliwie, aż zapadnie zmrok i ogarnięta sennością Bronwyn zacznie drzemać. Na palcach podeszła do drzwi, uchyliła je i popatrzyła w głąb korytarza. Schodów pil-

nował strażnik. Na pewno postawił go tu Gwilym, żeby unie-  
możliwić jej ucieczkę. Bez słowa ruszyła po kamiennych sto-  
pniach wiodących na mury. Gdy się tam znalazła, podarła na  
pasy wsunięte pod spódnicę wielkie prześcieradło i po tej pro-  
wizorycznej linii zsunęła się wzdłuż wewnętrznego muru.  
Ukryta w cieniu skradała się do bramy. Poczekała, aż wartownik  
odwróci się plecami, i ukradkiem opuściła zamek.

Gdy przypomniała sobie lękliwe spojrzenia i bojaźliwe sło-  
wa drobnego proboszcza, nabrała pewności, że wiedział o ma-  
chinacjach Cynrika. Dlatego postanowił schronić się za kla-  
sztornymi murami - przynajmniej na razie. Postanowiła tam  
pójść i skłonić go, żeby wrócił z nią do Craig Fawr i wyznał  
Emryssowi, w jaki sposób została oszukana. Dopnie swego, na-  
wet gdyby miała postawić na nogi cały klasztor, i dowiedzie  
swej niewinności!

- Dobrze ci radzę, dziewczyno, weź pieniądze i odejdz, nim  
zostaniesz stąd wypędzona z pustymi rękami. - Urien Fitzroy  
z ponurą miną spoglądał na Lynette, której jasne oczy lśniły  
w blasku świateł, gdy sięgnęła po ciężką sakiewkę.

- Jak to? Dajesz złoto i nie chcesz nic w zamian? - Zerknę-  
ła na łóżko stojące w rogu niewielkiej komnaty. Urien zacisnął  
wargi.

- Tak. Jeśli masz trochę oleju w głowie, weź je i znikaj.

- Miły jesteś. Szkoda, że tak szybko chcesz się mnie pozbyć.  
- Podeszła do niego, kołysząc biodrami. Chwyił ją za rękę i przy-  
ciągnął do siebie. - To mi się podoba, ale co powie twój pan?

- Cynrik DeLanyea nie jest moim panem. Jutro mnie tu nie  
będzie. - Ciemne oczy patrzyły na nią wrogo. - Czy wiesz, głu-  
pia dziewczyno, co on planuje? Chce uczynić żoną kuzyna swo-

ją kochanką. - Nie zważając na to, że przerażona wstrzymała oddech, dodał bezlitośnie: - Co się wtedy z tobą stanie? Jak skończysz, gdy znajdziesz sobie inną?

- Noszę jego dziecko!

- Boże miłosierny, jakaś ty naiwna! - zawołał, puszczając ją. - Twój bękart go nie obchodzi. Teraz myśli wyłącznie o tym, żeby przyprowadzić kuzynowi rogi. Dawniej sądziłem, że ma zadatki na wielkiego rycerza i szlachetnego wielmożę, ale teraz widzę, że jest opętany pragnieniem zemsty. Oszalał również na punkcie tamtej kobiety. Rzygać mi się chce, kiedy o nim myślę!

- W takim razie poskarżę się księdzu Robelardowi. Na pewno mi pomoże. - Rozmasowała obolały nadgarstek i buntowniczo podniosła głowę.

- Co on ma z tobą wspólnego? - Urien zmrużył oczy i spoglądał na nią podejrzliwie.

- On mnie... My przecież...

- Posłużyłaś się nim, tak? - Urien natychmiast odkrył prawdę. - Uwiodłaś go na rozkaz Cynrika, a teraz liczysz na pomoc lubieżnego klechy. - Urien wybuchnął szyderczym śmiechem. - Ależ z ciebie prostaczka! Bierz pieniądze i wynoś się. Ksiądz nie żyje. Cynrik go zabił. - Gdy Lynette otworzyła szeroko oczy i bez słowa pokręciła głową, dodał stanowczo: - Możesz mi wierzyć. Ten głupiec pojechał za nami po schadzce zaaranżowanej przez Cynrika i oznajmił, że dłużej nie chce przykładać ręki do jego kłowań. Zagroził, że powie wszystko opatowi. Biedny głupiec, nawet nie wiedział, że umiera. Cynrik zabił go bez trudu, jakby miał to w planach. Może tak było? - Urien przyjrzał się dziewczynie. - Dużo wiem, więc i mnie zechce kiedyś zamordować. Ciebie spotka taki sam los. Najwyższa pora, żebyśmy oboje stąd znikli.

- Czemu dałeś mi pieniądze? Może ci się przydadzą.

- Ty jesteś w większej potrzebie. - Urien próbował się uśmiechnąć.

- Dziwny z ciebie człowiek. - Lynette przycisnęła sakiewkę do bujnych piersi, a Urien tylko wzruszył ramionami. Pochyliła się lekko i szczupłym palcem dotknęła ust. - Jak ci się odwdzięczę?

- Po prostu odejdz dziś wieczorem.

- Może rano? - Podeszła bliżej, lekko otarła się o niego, ale odepchnął ją łagodnie.

- Jeśli płacą ci, żebyś znikła, bierz pieniądze i zmykaj.

Smutno pokiwała głową i z ociąganiem ruszyła ku drzwiom.

- Żegnaj, Urienie.

Odprowadził ją wzrokiem, myśląc o jutrzejszej wyprawie do Craig Fawr. Kiedy Emryss DeLanyea dowie się wszystkiego, nadejdzie czas, by opuścić tę straszną krainę. Nawet najemnik walczący za pieniądze ma swoją godność i nie będzie służyć wyzutemu z rycerskiego honoru nickszernikowi, jakim stał się Cynrik DeLanyea.

Małe ognisko jaśniało w nocnym mroku. Emryss mocniej objął ramionami kolana, kuląc się dla ochrony przed dotkliwym chłodem. Płytkie zagłębienie w skale nie dawało osłony, ale musiał tu przeczekać do rana. O wschodzie słońca wróci do Craig Fawr, mając w sercu pewność, że Roanna mówiła prawdę.

Położył głowę na kolanach, wspominając inną ciemnowłosą kobietę o śniadej skórze. Była młodziutka i tak przerażona, że nie potrafiła wykrztusić słowa ani krzyknąć. A to jej spojrzenie! Nie tknął jej i pozwolił odejść, zde gustowany postępkami innych krzyżowców, którzy chwyтали kobiety, nie bacząc na ich

przerażenie, i folgowali sobie, pastwiąc się nad nimi okrutnie. Gotów był przyjąć do wiadomości, że Roanna chwyciła się wszelkich sposobów, byle tylko uniknąć podobnego losu.

Ostra krawędź skały wrzynała mu się w plecy, więc zmienił pozycję i usiadł wygodniej. Wspominał nagły powrót Gwilyma wiozącego zwłoki. Był kompletnie zbity z tropu, gdy słuchał jego opowieści o trupie ukrytym pod warstwą liści i gałęzi. Gwilym zabrał zwłoki i kiedy wracał do zamku wzdłuż rzeki, natknął się na Roannę i Cynrika, którzy mieli schadzkę w zaroślach.

W pierwszej chwili Emryss nie uwierzył Gwilymowi. Sprawa zwłok była oczywista, ale nie miał wątpliwości, że w kwestii sekretnego spotkania brat się pomylił. Nie było czasu na przemyślenie nowin, ponieważ na dziedziniec wjechała Roanna, by natychmiast stawić czoło oskarżeniom. Z uwagą patrzył na jej pobladłą twarz, gdy odpowiadała na pytania. W obecności poddanych nie chciał ujawnić swych rozterek i słabości, więc milczał. Dopiero w górskiej ciszy zebrał myśli i przypomniał sobie jej oczy. Tak patrzą tylko ludzie prawdomówni i szczerzy.

Prawdą było również, że kochał ją nad życie. Tak samo jak swoją ziemię.

Wierzył Roannie, a Gwilym musi przyjąć jego pewność za ostateczny dowód. Pora wrócić do zamku, by strzec jej niczym oka w głowie. Najwyższy czas, aby nabrała pewności, że jest kochana i cieszy się zaufaniem męża.

A potem wszystko będzie dobrze.

- Musimy coś zrobić - powiedział Jacques, z wściekłością wyrabiając chlebowe ciasto. Wielkie paluchy rozgrzały się od wysiłku. Przed świtem kuchnia była wychłodzona, bo służba do-

piero rozpalala w piecu i slaby ogienek nie mogle ogrzac wielkiej izby.

Stojaca w kacie Mamaeth podniosla oczy znad pelnych dzbanow umieszczonych jeden przy drugim na malym stoliku. Jej gwałtowne ruchy byly dla nich sporym zagrozeniem, bo w jednej chwili mogly stracic wszystko na podloge.

- Pewnie. Dziewczyna mowi prawde, albo na starosc calkiem zgłupialam. - Potrzasala mala flaszka tak szybko, az migaly szczuple rece. Nagle opadla na waska lawke pod sciana. - Gwilym tego nie widzi, poniewaz jest tu od walki, nie od myslenia, ale nasze kobiety w lot pojeły, o co chodzi, bo potrafią sobie wyobrazic, ze pośrodku lasu staja nagle oko w oko z takim gadem.

Jacques pokiwal glowa, formujac zgrabne bochenki.

- Niech tylko proboszcz wraci do zamku, a sprawa sie wyjaśni. Gdzie on sie wloczy?

- Pewna jestem, ze nie przyjedzie - odparla Mamaeth. - Male to i wredne! Wciaz sie klania i usmiecha. Nie ufam męczyznom, ktorzy maja usmiech przylepiony do twarzy.

- W ogole nie masz do nich zaufania. - Jacques znieruchomial i uważnie sie jej przygladal.

- Samo zycie uczy, ze mam racje, nie sadzisz? - odparla, gdy pochylik sie nad kolejnym bochenkiem z ciemnawego ciasta. - Pomyśl tylko. Emryss taki byl zakochany, ze nie mogl od Roanny oczu oderwac, a ona z milosci ledwie odróżniła dzień od nocy. I co? Nagle taka awantura! Świeci Pańscy, chętnie bym was wystawila na podobne upokorzenie, jakie ja spotkalo. Ciekawe, jak byście sie zachowali, wy głupty! Na pewno buczelibyście jak dzieci albo lekkomyślnie narazili sie na pewna smierc.

- Może zdaniem Emryssa lepiej, żeby kobieta umarła, niż straciła honor - odparł z namysłem Jacques. Zgarbiona Mamaeth bezradnie opuściła ramiona.

- Gdyby inni tak uważali, nie byłoby go na świecie.

- O czym mówisz? - Jacques wytarł ręce fartuchem i podszedł do niej. Pełna wigoru pięćdziesięciolatka postarzała się nagle o wiele lat.

- Wszyscy ludzie z okolicy znają ten sekret, tylko on nic nie wie, biedaczek. - Westchnęła cicho, a Jacques ujął spracowaną dłoń. Nie miała siły, by ją wyrwać. - Zawsze chciałam mu o tym powiedzieć, ale zabrakło sposobnej chwili. - Zerknęła podejrzliwie na Jacques'a, niepewna, czy można mu ufać. - Emryss jest starszym bratem Cynrika. - Jacques zrobił wielkie oczy i bez słowa zacieśnił uścisk. - Tak jest. Ten *da i ddim* Ulfrid DeLanyea wziął siłą żonę swego brata. - Jacques z głośnym sykiem wypuścił powietrze z płuc.

- Emryss nie ma pojęcia, że on i Cynrik są przyrodni braćmi?

- Słyszał tylko, że baron napadł jego matkę i zbił ją do nieprzytomności, gdy brat wyjechał z misją do króla. Takie było życzenie dostojnej pani, a mąż uszanował jej wolę i milczał. Baron znał się na rycerskim rzemiośle jak mało kto, choć z czasem zapomniał o powinnościach rycerza. Matka Emryssa bała się, że w pojedynku zabije jej męża, nie bacząc na więzy krwi. - Westchnęła ciężko. - William kochał Emryssa jak rodzonego syna i był dla niego łaskawy, lecz zawsze coś ich dzieliło i chłopak był tego świadomy. - Mamaeth wyrwała dłoń i skoczyła na równe nogi. - Dawno temu powinnam mu powiedzieć całą prawdę.

- Trudno określić, kiedy dziecko dorasta i może udźwignąć

brzemie takiej wiedzy - powiedział Jacques, Mamaeth odwróciła się i ukradkiem wytarła oczy. - Ale skoro Emryss, choć starszy, jest bękartem - dodał z namysłem - według normńskiego prawa nie może odziedziczyć Beaufort. Skąd biorą się obawy Cynrika?

- Ty głupku! - Ciemne oczy Mamaeth znowu lśniły. - Dla Walijczyków nie ma najmniejszego znaczenia, czy dziecko jest z prawego łoża, czy poczęło się bez księzego błogosławieństwa. Ród idzie po linii matki. To jedyna rozsądna zasada. Cynrik wie, że gdyby Emryss zaczął dochodzić swoich praw, tutejsi ludzie murem stanęliby za nim i obwołali swoim panem.

- Cynrik wie o tej... sprawie?

- Nie jestem pewna. Emryss znacznie bardziej niż on przypomina z wyglądu tego diabła Ulfrida. Może stary łotr o tym wspomniał, a Cynrik pragnie śmierci Emryssa, bo wówczas nikt nie mógłby kwestionować jego praw do Beaufort. Zresztą i dawniej ziała taką nienawiścią, że chętnie utopiłby go w łyżce wody. Tak było, jest i będzie.

- Skąd ta wrogość? Jeśli poznał prawdę, można go zrozumieć, ale dawniej? - Jacques także wstał.

- Trzeba znać Cynrika, żeby to pojąć. Od dzieciństwa był chytry i podstępny. Walczy dobrze, ale nie aż tak, aby zdołał pokonać Emryssa. Jest pamiętliwy i latami chowa urazę. Poza tym wychowywał go Ulfrid DeLanyea, któremu nie powierzyłabym nawet psa, a co dopiero chłopca.

- *O'r annwyl!* - zawołał Jacques, machinalnie naśladując Mamaeth. - Ciekawe, jak by się czuł, gdyby wyszło na jaw, że jego zwycięski rywal jest nieślubnym synem barona!

- *O'r annwyl!* Masz rację! - Odwróciła się do niego z ponurym uśmiechem. - Dlatego wierzę, że szukał sposobu, aby

zniesławić Emryssa. Ten gad ma swoje metody. Zamiast wyzwać rywala na uczciwy pojedynek, posłużył się słabą kobietą.

Nagle drzwi się otworzyły i do kuchni wpadła rozgorączkowana i zmoknięta Bronwyn.

- Pani Roanna zniknęła! - Stała na progu, z obłędem w oczach spoglądając na Mamaeth i Jacques'a, którzy osłupieli i nie mogli wydobyć słowa. - Przysnęłam tylko na chwilę, a gdy się ocknęłam, nie było jej w komnacie.

Mamaeth i Jacques razem podbiegli do drzwi.

- Leć po Gwilyma. On ją odnajdzie - rzucił ponuro Jacques.

- Jak myślisz? Dokąd poszła? - zapytała wystraszona Mamaeth. - Chyba nie...

- Ta dama ma swój honor. Zapewne chce odszukać męża i przemówić mu do rozumu - przerwał Jacques i odwrócił się do Bronwyn. - Gdzie jest Gwilym?

- W strażnicy. - Wybiegła z kuchni na deszcz. Zasmucona Mamaeth popatrzyła na Jacques'a.

- Trzeba ją szybko odnaleźć. Nie powinna się włóczyć w taką pogodę, skoro oczekuje dziecka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Gwilym! - Głos Bronwyn zabrzmiał śród zimnej ulewy jak dźwięk trąbki. Otworzyły się drzwi prowadzące do niskiego budynku i Gwilym wystawił głowę.

- Co jest? Stało się coś?

- Pani Roanna zniknęła!

Gwilym znieruchomiał, a potem otworzył drzwi szerzej, lecz nie wyszedł na deszcz.

- No i co z tego?

Bronwyn stała przed nim, nie zwracając uwagi na ulewę.

- Musisz ją znaleźć, idioto! - krzyknęła.

- O nie! Jeśli poszła do swojego kochanka, niech ją przygarnie na dobre.

Bronwyn osłupiała ze zdumienia.

- Zwariowałaś, Gwilym? Jaki kochanek? Jest całkiem sama i może ją spotkać zła przygoda.

- Trudno.

- W takim razie sama ją znajdę - powiedziała stanowczo i ostro. Nie mogła pozwolić, żeby głupi mężczyzna przez swój upór znów przysporzył wszystkim kłopotów. Pobiegła do kuchni.

- Nie pomoże. - Wodziła spojrzeniem od Jacques'a do Mamaeth. - Sami musimy ją znaleźć. -

- Gdzie się podziewa Emryss? - powiedziała Mamaeth jakby do siebie. - Dokąd mamy iść?

Bronwyn przypomniała sobie nagłe ostatnie zdania swojej rozmowy z Roanną.

- Dostojna pani poszła do klasztoru po księdza! - krzyknęła. - Martwiła się, co pomyśli Emryss, skoro nikt nie może poręczyć za jej słowa. Wspomniałam, że plotkowano o księdzu i pewnej dziewczynie. Trochę jeszcze gawędziłyśmy, a potem się zdrzemnęłam. - Po białych policzkach Bronwyn płynęły łzy. - Nie powinnam zasypiać. Co się z nią teraz stanie?

- Nie mamy czasu do stracenia - stwierdziła Mamaeth. - Bronwyn, sprowadź kobiety trzymające jej stronę. O ile się nie mylę, jest nas większość. Pójdziemy jej śladem i odnajdziemy biedaczkę. I poproś starego Daffyda o psy, choć w tym deszczu niewiele pomogą.

- Idę z wami. Muszę ją odnaleźć. - Jacques sięgnął po pelerynę wiszącą koło drzwi. Mamaeth zmarszczyła brwi.

- Sam się zgubisz, gapo. Lepiej zostań tu i pilnuj dzieci. Powiem kobietom, żeby je tu przyprowadziły. - Spostrzegła, że Jacques poczuł się dotknięty, więc dodała łagodniej: - Przyślę ci Cathwg i Kynę do pomocy. Ugotuj smaczny gulasz. Wszystkim nam dobrze zrobi po tej nocnej wyprawie, a twój jest przecież znakomity.

Jacques był naburmuszony, ale kiwnął głową i sięgnął po największy rondel.

Kilka chwil później w korytarzu prowadzącym do kuchni rozległy się ciężkie kroki Gwilyma. W sali biesiadnej siedzieli jego ludzie niecierpliwie czekający na posiłek, ale kobiety ani myślały podawać do stołu. Żadna się nie pokazała.

- Rany boskie! - mruknął, gdy stanął na progu kuchni. - Co się dzieje? - zawołał, przekrzykując hałas.

Cathwg i Kyna, dwie dziarskie staruszki, siedziały na ławie koło pieca i pilnowały najmłodszych dzieci, które zaczynały dopiero chodzić. W innym kącie Hu i kilku chłopaków bawiło się ze szczeniakami. To był najnowszy miot suki starego pasterza Daffyda. Stojącego przy kuchni Jacques'a otaczał gęsty obłok pary. Gwilym wyciągnął szyję i zobaczył, że kucharz miesza w wielkim rondlu, mamrocząc przekleństwa. Nie widział Bronwyn ani Mamaeth, żadnej spośród służących. Poza Cathwg, Kyną i Jacques'em w kuchni były tylko wrzeszczące i rozdokazywane dzieci. Krzyknął głośno, domagając się wyjaśnień.

- Nie ma potrzeby Wrzeszczeć - odezwała się Cathwg. Do Gwilyma podszedł Jacques.

- Kobiety szukają lady Roanny.

Twarz młodzieńca pociemniała ze złości.

- A to czemu?

- Bo powiedziałeś, że tego nie zrobisz.

W nagłej ciszy Gwilym usłyszał tętent końskich kopyt uderzających o kamienne płyty dziedzińca.

Z ciemności wyłonił się Emryss. Gdy podbiegł do niego Gwilym, od razu wiedział, że stało się coś złego.

- Mów! - rzucił, puszczając wodze.

- Twoja żona odeszła. Kobiety poszły jej szukać.

Emryss znieruchomiał.

- Co?

- Prawdopodobnie uciekła do kochanka.

- Gwilym, nie waż się nigdy więcej tak mówić. - Emryss zacisnął pięści. - Roanna jest mi wierna.

Gwilym uśmiechnął się pogardliwie. Chwilę później leżał na plecach w ogromnej kałuży, a na krwawiącym policzku roz-

pryskiwały się krople deszczu. Wypluł gorącą, słoną krew i zerwał się na równe nogi.

- Przecież znikła! Uciekła do niego, człowieku! Dokąd mogłaby pójść? - Gwilym chwiał się na nogach. - Wymknęła się w nocy, jak złodziejka.

- Kiedy? - Emryss patrzył na niego tak, jakby był obcym człowiekiem.

- A bo ja wiem? Co mi do tego?

- Kiedy wyszła? - Dwa kroki wystarczyły, by Emryss znalazł się przy Gwilymie. Złapał go za poły koszuli.

- W nocy - usłyszał ponurą odpowiedź.

- Gwilym - zaczął łagodnie Emryss, spoglądając mu prosto w oczy. - *Brawdmaeth*, posłuchaj, co do ciebie mówię. Ja jej wierzę. Ufam jej. Kocham ją.

Gwilym kiwnął głową, ale Emryss wiedział, że przyrodni brat nie jest przekonany. Może nigdy nie zmieni zdania? Mniejsza z tym. Roanna była w lesie sama, bez ochrony, bo on także nie zaufał jej, kiedy o to błagała.

- Ilu ludzi wysłałeś na poszukiwania?

- Żadnego.

Dłoń Emryssa zacisnęła się mocniej na jego koszuli.

- Co ty gadasz?

Gwilym odtrącił jego rękę.

- Żadnego! - krzyknął gniewnie. - Szkoda truć naszych ludzi, by szukać zdrajczynie. - Emryss wyglądał tak, jakby chciał go znowu uderzyć, ale Gwilym nie dbał o to. - Kobiety poszły jej szukać, ale nie dadzą rady. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, to zapytaj kucharza. Zostawiła go tutaj.

Gwilyma ogarniała coraz większa rozpacz. Emryss jest zaślepiony! Ta kobieta sprowadzi na niego śmierć!

Roanna patrzyła pod nogi. Starła się przebić wzrokiem gęstą mgłę otulającą dolinę. Ścieżka była kamienista i nierówna, a upadek mógłby się okazać niebezpieczny.

Jeśli będzie trzymała się rzeki, trafi do Beaufort, gdzie jest klasztor i ksiądz Robelard. Miała nadzieję, że tam pozna całą prawdę.

Spojrzała w dół na kamienisty brzeg spowity wirującymi oparami, które zasłaniały szemrzącą rzekę. Dla ochrony przed chłodem zarzuciła spódnicę na ramiona i zebrała ją z przodu, ale zziębnięte palce nie chciały się zacisnąć. Nogi miała ciężkie i z trudem nimi poruszała, a buty oblepiło rzadkie błoto. Zimne, pozbawione czucia stopy były jak z kamienia.

Krople wody skapujące z drzew bębniły monotonna. Roanna szła wąską ścieżką, z trudem powłócząc nogami. Wkrótce słyszała niewiele ponad to, że szczeka zębami. Szelest w krzakach sprawił jednak, że podniosła głowę, ale zobaczyła tylko wiewiórkę. Zwierzątko, całkiem suche pod osłoną wierzby, przyglądało się jej przez chwilę, a potem czmychnęło w zarośla.

Mgła stawała się coraz gęstsza, więc Roanna nie odrywała wzroku od ścieżki. Była chyba koło mostu. Kiedy wkroczy na ziemię Cynrika, powinna zachować większą ostrożność. Myślała wyłącznie o potwornym wysiłku, jakim było unoszenie ciężkich stóp.

Na ścieżce leżał ciemny kształt. Może to zwalone drzewo lub bryła ziemi wypłukana deszczem, pomyślała apatycznie. Potem zobaczyła siną dłoń pokrytą ciemniejszymi plamami. Z trudem łapiąc powietrze, pobiegła najszybciej, jak potrafiła. Trup okryty brunatną peleryną leżał w błocie twarzą w dół. Uklękała i odwróciła zwłoki. Wyrwał się jej okrzyk pełen bólu. Znalazła księdza Robelarda. Uniosła go zgrabiałymi dłońmi.

Głowa opadła nienaturalnie do tyłu. Na szyi widać było ciemną szramę i zaschniętą krew.

Położyła go na ścieżce, zrobiła znak krzyża i zmówiła modlitwę za zmarłych. Czuła na sobie uporczywe spojrzenie umarłego. Jego oczy były tak samo bojaźliwe i zdziwione jak za życia. Po chwili wahania wyciągnęła rękę i zamknęła mu powieki. Schowała twarz w dłoniach, a smutek i poczucie beznadziejności spadły na nią jak morska fala. Z bezruchu wyrwał ją inny dźwięk. Usłyszała słabe pobrzękiwanie uprzęży i stukot podków.

- To ty, pani? - Usłyszała znajomy głos i podniosła wzrok. Cynrik DeLanyea owinięty długą peleryną zatrzymał przed nią konia, którego dosiadał. Towarzyszyła mu grupa mężczyzn.

- Jakie nieoczekiwane spotkanie - powiedział z leniwym uśmiechem.

- Ksiądz nie żyje. - Jej własny głos dobiegał jakby z oddali. Ledwie go słyszała.

- Szkoda. - Cynrik spojrział na trupa i podszedł do niej. - Zajmiemy się nim.

Wydał szybko rozkazy swoim drużynom, a Roanna skryła się pod drzewami.

- Co tu robisz, pani? - zapytał Cynrik i podszedł bliżej. Takującym spojrzeniem zmierzył ubłoconą i moką postać. - Gdzie jest Fitzroy? - Wpatrywała się w niego bezmyślnie, gorączkowo planując ucieczkę. - Przyszłaś tu, żeby się z nim spotkać? - Złapał ją za ramię i odciągnął w zarośla, coraz dalej od żołnierzy, którzy właśnie kładli zwłoki księdza Robelarda na końskim grzbiecie. - Co to za sztuczki? Czy każdy mężczyzna jest dla ciebie łatwą zdobyczą?

- Nie rozumiem - powiedziała szczerze, starając się nie okazywać strachu i odrazy.

- Naprawdę? Wczoraj zrobiłaś głupka ze mnie, a dziś rano okazało się, że Fitzroy zniknął. Czy jemu także wyznałaś, że jest twoją jedyną miłością?

- Nie mam pojęcia, co się z nim stało.

Miała tylko jedno wyjście: musiała uciec się do podstępu, którego użyła już przedtem. Cofnęła się, prowadząc go między drzewa i spuściła oczy. Miała nadzieję, że uzna to za objaw zawstydenia, choć w istocie szukała wzrokiem kija lub kamienia zdatnego do zadania ciosu.

- Szłam do ciebie, Cynriku. Emryss wie o nas. Pokłóciliśmy się.

Szorstkim gestem uniósł twarz Roanny i zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Nie kłamiesz?

- Nie.

Przyciągnął ją do siebie, otaczając ramieniem szczupłą talię. Starła się oddychać spokojnie, gdy Cynrik szeptał jej do ucha.

- Nie obchodzi mnie, czy mówisz prawdę, czy kłamiesz. I tak będziesz moja. Dość zwlekania. Jest w pobliżu szałas, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. - Wziął ją na rękę i zaniósł do swojego konia. Nim wsiadł, zwrócił się jeszcze do swoich ludzi: - Wracajcie do Beaufort.

Posadził ją z przodu siodła, otulił wilgotną opończę i chwycił wodze. Siedziała nieruchomo, próbując zachować spokój. Dopóki byli z nimi druzynnicy Cynrika, miała niewielkie szanse ucieczki, gdy zostaną sami, znajdzie sposób, żeby umknąć. Ale jak?

Przejechali kawałek wąską drogą. Wkrótce Cynrik zatrzymał się przed opuszczonym szałasem. Przytulony do wzgórza, ledwie widoczny w szarej mgle, wzniesiony był z kamienia i gliny. Cynrik zsiadł z konia i zaprowadził go pod drzewo.

Roanna spojrzała na niego z obawą. Poczwała zapach wilgotnych liści i błotnistej ziemi; cmentarne wonie. Czuła się jak martwa, chociaż krew pulsowała jej w uszach i strach ścisnął za gardło. Powinna była zostać w Craig Fawr i zmusić Emryssa, żeby jej uwierzył.

Cynrik spojrzał na nią lubieżnie. Miał wypisane na twarzy, czego pragnie. Nie protestowała, kiedy pomagał jej zsiąść z konia. Zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli nie będzie udawała, iż zgadza się na wszystko, bez trudu weźmie ją siłą... lub zabije. Udając miłość, mogła zyskać na czasie. Zmusiła się do uśmiechu, gdy stopami dotknęła ziemi. Pochylił głowę i przycisnął pełne wargi do jej ust. Pocałunek był zaborczy. Przez krótką, bolesną chwilę poddawała się jego namiętności. W końcu odwróciła głowę i zaczęła kaszleć.

- Wybacz, Cynriku - wyszeptwała. - Źle się czuję.

Jego ręce nadal obejmowały ją w talii, a potem wolno przesunęły się w górę. Zaparło jej dech, gdy dotknęły piersi.

- W takim razie chodź do środka.

Ujął jej zimną dłoń i poszli w stronę prymitywnego szałas. Musieli schylić głowy w niskich drzwiach. Wewnątrz było drewno i czysta słoma. Cynrik dostrzegł zdziwienie na jej twarzy.

- Często tu zaglądam - wyjaśnił, pozerając ją wzrokiem. Od razu wiedziała, do czego służy mu to schronienie. Puścił jej dłoń i zaczął rozpalać ogień.

- Jesteśmy na twojej ziemi? - spytała. Jeśli są w granicach Beaufort, niewielkie były szanse, że znajdą ją ludzie z Craig Fawr. Na myśl o tym zrobiło jej się słabo.

- Szalas stoi na granicy naszych włości. Moja droga, jesteś całkiem przemoczona. Czemu nie zdejmiesz sukni?

Roanna poczuła ucisk w gardle. Zawahała się, a Cynrik zmrużył oczy.

- Masz rację - odpowiedziała.

Nadal była owinięta jego peleryną. Naciągnęła ją na ramiona, odwróciła się tyłem do Cynrika i zrzuciła moką suknię, zostając w wilgotnej koszuli. Postanowiła, że nie zdejmie jej, choćby miała przez to rozchorować się śmiertelnie. Kiedy znowu stanęła twarzą w twarz z Cynrikiem, oczy mu lśniły, odbijając blask płomieni.

- Teraz wyglądasz znacznie lepiej - powiedział, biorąc ją w ramiona. Poczowała na ustach dotknięcie natarczywego języka.

- Jakie to szczęście, że byliśmy w pobliżu.

Cynrik pochylił się znów nad ogniem, który rozpałał się powoli, wypełniając szafas dymem, uchodzącym przez mały otwór w dachu krytym strzechą. Roanna wykorzystała sprzyjające okoliczności i przesunęła się bliżej drzwi. Ukradkiem obserwując Cynrika, rozłożyła suknię na słomianym barłogu. Usiadł na podłodze i obserwował ją, a potem lekko poklepał miejsce obok siebie. Zakaszłała głośno, udając, że nie dostrzegła zapraszającego gestu, i usadowiła się po drugiej stronie ogniska, jak najbliżej drzwi.

Wnętrze szafasu było zadymione i twarz Cynrika majaczyła niewyraźnie, ale czuła na sobie jego pożądlivy wzrok. Wystraszona otuliła się szczelnie peleryną. Drżała na całym ciele, jakby stała na deszczu.

- Kto powiedział o nas Emryssowi? - zapytał cicho. Roanna zakaszłała, szukając przekonującej odpowiedzi na to pytanie.

- Ja. Nie mogłam już... znieść jego dotyku, bo pamiętałam o twoich pieścotach. Ach, w głowie mi się maści, jestem bardzo chora. - Przyłożyła dłoń do czoła.

- Powinnaś się położyć - odparł. Była przerażona, ale uświadomiła sobie, że nie ma wyboru.

- Tak, to dobra rada.

Podeszła do legowiska ze słomy i osunęła się bezwładnie. Cynrik przyglądał się jej niczym wygłodniały wilk obserwujący owcę.

- Przeklęty kraj - zaklął cicho Urien Fitzroy, wydłubując kamień z podkowy swego wierzchowca. Nie mógł się doczekać, kiedy opuści te strony. We wczesnej młodości został najemnikiem, lecz nadal miewał skrupuły. Można napadać zamki i brać za to pieniądze, ale nie godzi się maczać palców w intrydze służącej jedynie temu, żeby pognębić rycerza, zniesławiając mu żonę.

Cynrik miał w garści tę Roannę. Po wczorajszym spotkaniu nad rzeką tryumfował, więc pewnie dała się nakłonić do cudzołóstwa. Urien sporo wiedział o tej kobiecie; jego zdaniem zasługiwała na lepszy los niż rola pionka w grze prowadzonej przez Cynrika. I ten jego chlebodawca, i Emryss DeLanyea to głupcy. Warto bić się o ziemię, walczyć o pieniądze albo władzę. Nie ma sensu handryczyć się o kobietę! Mnóstwo ich chodzi po ziemi.

Bez wątpienia twarz i figura Roanny mogły się podobać, miała też rozum i spryt, za który ją podziwiał, lecz generalnie jego zdaniem kobiety były potrzebne tylko do zaspokajania męskich żądź i rodzenia dzieci.

Puścił końskie kopyto, z którego wydłubał już kamyk i przeprowadził konia, żeby sprawdzić, czy biedak nie kuleje. Zadowolony z tej próby, wskoczył na siodło. Nie chciał zwlekać ani chwili dłużej. Ruszył okrężną drogą do Craig Fawr, na wypadek

gdyby Cynrik zbyt szybko zauważył jego nieobecność. Ten łotr będzie wściekły, gdy dowie się o jego zniknięciu. Niebezpiecznie jest za dużo wiedzieć. Popędził konia i ruszył galopem.

Zwolnił, gdy dotarł do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidłała. Mała polanka między drzewami po deszczu zmieniła się w kamieniste bagno. Przechylił się, wypatrując lepszej drogi. Nagle wśród drzew zobaczył metaliczny blask. Ściągnął lejce i wyciągnął miecz. Na drugim końcu zasnutej mgłą polanki stał wspaniały koń; dosiadał go jednooki mężczyzna.

Emryss uważnie wpatrywał się przybysza. Rozpoznał sługę Cynrika, Uriena Fitzroya. W innych okolicznościach z zadowoleniem powitałby sposobność zmierzenia się z tym najemnikiem i chętnie by mu pokazał, jak walczy prawdziwy wojownik. Teraz miał inne sprawy na głowie. Musiał odnaleźć Roannę.

Gwilym powiedział prawdę o Urienie Fitzroyu. Ten człowiek był prawdziwym mistrzem rycerskiego rzemiosła: nieustraszony, spokojny, groźny. Wyciągnął miecz, ale trzymał go swobodnie. Siedział pewnie na wspaniałym rumaku. Mokra koszula przylgnęła do jego ramion i piersi. Nagle uniósł ramię.

Emryss z głośnym krzykiem wyciągnął miecz i uderzył piętami w boki Wilka, który skoczył do przodu. Koń i jeździec z rozszerzonymi nozdrzami gnali przez błoto w stronę przeciwnika.

Fitzroy popędził wierzchowca do przodu. Nie było czasu na tłumaczenie, że Emryss DeLanyea ma w nim sojusznika. Nie zdążył go ostrzec, że Roanna jest w niebezpieczeństwie. Widział już takich wojowników i zdawał sobie sprawę, że to walka na śmierć i życie. Zapomniał o Cynriku oraz nieszczęsnej kobiecie i uniósł ramię. Zabrzęczały miecze. Konie, przyzwyczajone do walk, zataczały koła, gdy przeciwnicy szukali po-

spiesznie słabych punktów. Emryss rzucił się do przodu, zmuszając Fitzroya, żeby się zasłonił. Raz po raz uderzał mieczem, ale przeciwnik zręcznie parował ciosy.

Fitzroyowi krew pulsowała w żyłach. Oto prawdziwy wojownik! Wiele czasu minęło, odkąd miał zaszczyt i przyjemność zmagać się z takim rycerzem.

Konie napały na siebie bokami i próbowały gryźć. Emryss czuł, że ramię mu omdlewa i oddychał chrapliwie. Był śmiertelnie zmęczony. Jak miał dotrzymać pola świeżemu i wypoczętemu Fitzroyowi? Ścisnął Wilka kolanami, nie zwracając uwagi na ból w płucach, rwanie w nodze i drętwienie ramienia.

Urien znowu uderzył i potężnym ciosem wysadził Emryssa z siodła. Ten wylądował w błocie, lecz dźwignął się zaraz na nogi. Fitzroy zeskoczył z siodła, a Emryss jęknął, z trudem unosząc miecz obiema rękami.

Fitzroy krążył wolno, bo widział, że jego przeciwnik jest zmęczony i szybko słabnie. Mimo to zdawał sobie sprawę, że nie wolno go lekceważyć. Jedno uderzenie silnych ramion każdego pozbawiłoby życia. Mógł zwyciężyć, jeśli będzie zachodził Emryssa od prawej strony, gdzie nie ma oka.

Nagle usłyszeli kobiecy krzyk.

Emryss uniósł miecz. Musiał szybko pokonać Fitzroya, więc zapomniał o bólu i zadał potężny cios. Przeciwnik upadł, ścisnął kurczowo miecz i uderzając głową o kamień.

Emryss nie czekał, żeby sprawdzić, czy się podniesie. Z mieczem w ręku wrócił do Wilka. Starał się oddychać regularnie. Niezdarnie wskoczył na siodło i skierował konia ku ścieżce. Zmusił go do galopu, choć czuł przeszywający ból w całym ciele.

Znowu rozległ się krzyk. Gdzieś w tej mgle Roanna wzywała go po imieniu.

- Boże, dopomóż! - wyszeptał słowa płynące z najtajniejszych zakamarków duszy.

Poczuł słaby zapach dymu i wkrótce zobaczył stary szałas z kamieni i gliny. Zatrzymał konia, jednym płynnym ruchem wyjął nogi ze strzemion i ześlizgnął się z końskiego grzbietu.

- Cynrik! - zawołał na cały głos.

Roanna obciągnęła podartą koszulę, gdy Cynrik przetoczył się na bok i sięgnął po miecz.

- Emryss! - zawołała.

To imię było okrzykiem nadziei i rozpacz. Jeszcze chwila, a Cynrik wzięłby ją, choć walczyła ze wszystkich sił. Oddychając spazmatycznie, zerwała się i próbowała kopniakiem wybić mu miecz z dłoni.

- Suka! - zaklął, obserwując drzwi. Klęczał przyczajony jak drapieżnik gotowy do skoku. W jego oczach błyskał strach. - Nie jesteś lepsza od innych. Myślałaś, że mnie oszukasz? Przez cały czas wiedziałem, że mnie nienawidzisz. Byłaś posłusznym narzędziem w moim ręku i zwabiłaś go tutaj, jak chciałem. Teraz zginie z mojej ręki.

Emryss wykrzyknął ponownie imię Cynrika. Kostki mu zbiegły, gdy zacisnął dłoń na mieczu. Nie odrywał wzroku od chropowatych, drewnianych drzwi.

Roanna dźwignęła się na nogi, podtrzymując podartą bieliznę.

- Idź do niego, jeśli masz ochotę - zawył Cynrik. -I tak nie możesz pomóc temu bękartowi.

Schyliła się w drzwiach i wybiegła na zewnątrz. Emryss stał nieruchomo, oparty na prawej nodze, i czekał, cały uwalany błotem. Podbiegła natychmiast po rozmokłej ziemi i rzuciła mu się w ramiona. Emryss tulił ją mocno przez krótką chwilę. Piers

falowała mu w rytm ciężkiego oddechu. Deszcz nie splukał woli potu i wysiłku. Był wyczerpany, u kresu sił.

Z szałasów wyszedł Cynrik.

- Zabiję cię, *gwrtait*h - powiedział zimno Emryss, patrząc na wroga.

- Czyżby? - krzyknął Cynrik. Jego oczy płonące jak w gorącej i spojrzenie szaleńca przerażyły Roannę. Cynrik był desperatem. Bóg jeden wie, kto wygra ten pojedynek.

- Nie walcz z nim. Zabierz mnie do domu - błagała męża. Przywarła do niego mocno. Tak bardzo się bała, że może zginąć, jeśli postanowi się teraz bić. Popatrzył na nią, a z jego oczu wyczytała miłość.

- Nie. Powinienem być z nim skończyć dawno temu.

- Chodź i walcz ze mną, kuternogo!

Roanna zeszywniała ze strachu, widząc, jak słowa Cynrika podziały na Emryssa. Zwierzęca wściekłość wykrzywiła mu twarz.

- Nie, Emryss... - próbowała go zatrzymać, ale odepchnął ją delikatnie i gotował się do walki.

- Trzeba z tym skończyć, Roanno - powiedział łagodnie i zakołysał się na ugiętych nogach ze wzrokiem utkwionym w Cynrika. - Musimy odzyskać poczucie swobody.

- Emryss! - krzyknęła, gdy Cynrik ruszył na nich z uniesionym wysoko mieczem. Na twarzy Emryssa pojawił się uśmiech, a jego miecz wystrzelił w górę. Brzęk żelaza i cios Cynrika został sparowany. Rycerze poruszali się wolno. Szukali na śliskim podłożu bezpiecznego oparcia dla stóp.

- Wiem, że potrafisz straszyć kobiety, chłopaczku - powiedział drwiąco Emryss. - Zobaczmy, jak poradzisz sobie z mężczyzną.

Cynrik oburącz trzymał miecz nad moką ziemią.

- Poza mną nie widzę tu żadnego mężczyzny. Ty się nie liczysz, boś kaleka.

- Mam jeszcze dość sił, by cię zabić.

Miecz Cynrika przeszył powietrze, lecz Emryss był na to przygotowany i odbił cios.

- Uciekaj, Roanno - powiedział Emryss, wpatrując się w przeciwnika. - Uciekaj, a ja zgładzę tego gada.

Roanna stała jak wmurowana. Nie mogła uciec. Nie tym razem.

- Przestań, Emryss! Nawet bękart nie powinien tak mówić o bracie. - Cynrik roześmiał się kpiąco, gdy ujrzął zdumienie na twarzy Emryssa. Roannie kręciło się w głowie. Nagle wszystkie fragmenty układanki ułożyły się w całość. To dlatego Cynrikowi tak zależało na zniesławieniu i zabiciu Emryssa! Nienawiść odwieczna jak rywalizacja biblijnego Jakuba i Eza-wa. Dlatego byli tacy do siebie podobni, choć zarazem tak różni. Dzieci jednego ojca. Zaprzysięgli wrogowie.

- Kłamiesz! - krzyknął Emryss. Cynrik uśmiechnął się okrutnie.

- Wiesz, że nie kłamię. Od dawna podejrzewałeś, że tak jest, prawda?

Nadal krążyli wokół siebie.

- W przeciwnym razie czemu mój ojciec tak by ci sprzyjał? Zawsze cię faworyzował, a mnie karcił. - Cynrikowi trzęsły się ręce. - Stawiał mi ciebie za przykład, ty przeklęty bękartie! - Jego miecz świsnął, lśniąc jak błyskawica. Na przedramieniu Emryssa ukazała się krew. Przez chwilę z niedowierzaniem obserwował ranę.

- Zaczynam rozumieć - wyszeptał.

- W takim razie wiesz, czemu musisz umrzeć!

Cynrik ruszył na Emryssa jak rozwścieczony byk. Zmagali się, dysząc ciężko, jak w dziwnym, śmiertelnym tańcu.

Nagle słabsza noga Emryssa ugięła się pod nim i upadł ciężko. Roanna ruszyła w jego stronę, gdy próbował wstać. Nie zdążyła dobiec, bo Cynrik złapał ją i zasłonił się jak tarczą. Wstrzymała oddech i próbowała wyrwać się z jego uścisku, ale trzymał mocno.

- Chodź po mnie, krzyżowcu - warknął.

Emryss wstał wyprostowany, a na jego twarzy malowała się beżmierna pogarda.

- Dobrze byś sobie radził w Ziemi Świętej, Cynriku, skoro używasz kobiet do własnej obrony. W takim razie będę musiał zabić cię innym razem, gdy nie będziesz miał pod ręką kobiet jako ochronnej tarczy. - Odwrócił się i odszedł.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Cynrik wstrzymał oddech, gdy Roanna wbiła szeroki miecz w jego pierś. Ostrze przeszło na wylot, a siła ciosu powaliła go na ziemię.

- Roanno! - usłyszała wołanie Emryssa, podpełzła do niego na czworakach i spojrzała na zboląłą twarz męża. Bardzo cierpiał, lecz mimo to kąciki jego ust uniosły się lekko. - Kto by pomyślał, że dasz radę unieść miecz. Powiniennem od dawna udzielać ci lekcji fechtunku!

- Ukochany, najdroższy - szeptała, tuląc się do niego. Gdy próbował wstać i jęknął cicho, przypomniała sobie złowróżbny trzask.

- Boże miłosierny, co za ból - wymamrotał, opadając na ziemię. Obmacywała jego nogę i łudziła się nadzieją, że to nic poważnego. Wzdrygnął się, kiedy dotknęła miejsca tuż pod biodrem, i krzyknął: - Na Boga, żono, masz na mnie chętkę czy próbujesz wysłać na tamten świat? - Przyciągnął ją do siebie. - Później się tym zajmiemy, Roanno. Muszę ci coś powiedzieć. - Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Emryss - wyznała cicho, pochylając się nad nim. Pocałunek był delikatny i czuły.

Cynrik jęknął boleśnie, więc ostrożnie wysunęła się z ciepłych ramion Emryssa i podpełzła do rannego. Odsunęła się od ruchowo, gdy otworzył oczy, i patrzyła nieufnie.

- Wciąż się mnie boisz, Roanno? - szepnął chrapliwie. Uklękła przy nim. Ledwie oddychał, krew rzuciła mu się ustami, a oczy były szkliste jak zwykle przed śmiercią. - Masz waleczne serce, Roanno. Bylibyśmy dobraną parą. Szkoda - wymamrotał. Emryss przywłókł się do brata, który przyglądał mu się przez moment. -I na tym polu zwyciężyłeś. - Daremnie próbował przywołać na twarz zimny uśmiech. - Mniejsza z tym.

Roanna uniosła go ostrożnie i oparła jego głowę na swoich kolanach. Dopiero w godzinie śmierci poznała go takim, jakim mógł być. Uniósł dłoń o długich, szczupłych palcach, łudzaco podobną do dłoni brata, i dotknął ciemnych włosów. - Kocham cię Roanno. Na swój sposób.

- Żał mi ciebie - odparła cicho. Rozumiała teraz, co czuł Emryss, gdy wyciął w pień złodziejską bandę, a także czemu kruczata nie stanowiła powodu do chwały. Gorące łzy spływały po jej policzkach.

- Beaufort będzie twoje - szepnął Cynrik do Emryssa. Twarz skurczyła mu się z bólu, gdy próbował nabrać powietrza. - Jest tam dziewczyna, służy w zamku - dodał prawie niesłyszalnym głosem. - Urodzi moje dziecko.

- Zadbam o nich, bracie. - Emryss kiwnął głową, a Cynrik uśmiechnął się smutno jak dziecko patrzące na zabawkę, której mieć nie może. - Dziękuję... bracie.

Odetchnął raz jeszcze i skonał. Roanna ostrożnie położyła go na ziemi. Spojrzała na Emryssa, który otworzył ramiona. Rzuciła się w jego objęcia.

Gwilym wstrzymał konia, widząc ludzi leżących na ścieżce.

- Emryss! - krzyknął, gdy rozpoznał przybranego brata.

Jego noga spoczywała na ziemi pod dziwnym kątem, w ramionach trzymał Roannę, która wstała, słysząc wołanie. Gwilym dostrzegł mężczyznę leżącego bez ruchu w błocie. Dobył sztyletu i podszedł bliżej.

- Ocaliła mnie kobieta - stwierdził z przekąsem Emryss. - Mamaeth będzie zachwycona.

Gwilym przystanął, zerknął na Roannę i ledwie ją poznał. Koszulę miała w strzępach, ale próbowała się nią zasłonić. Płótno umazane było krwią i błotem. Mokre potargane włosy lepiły się do ramion i głowy.

- Jak to... ocaliła?

- Wiem, co mówię. Roanna zabiła Cynrika. - Emryss uniósł się na łokciach, żeby widzieć Gwilyma, który z niedowierzaniem popatrzył na trupa. Miecz był do połowy wbity w jego pierś.

- Żadna kobieta nie zdołałaby zadać takiego ciosu - odparł, mierząc ją wzrokiem. Nie poruszyła się, tylko popatrzyła na niego z wściekłością. - Chyba że ukochany mężczyzna jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. - Przez chwilę wodził spojrzeniem po ich twarzach. Emryss wolno pokiwał głową.

- Nadal sądzisz, że zamierzała mnie oszukać i zdradzić?

Gwilym pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Jestem szczęśliwy, że się myliłem.

- Emryss! Roanna! - We mgle zabrzmiał dobrze znany głos.  
- Okropna szaruga, a ci łązą nie wiadomo gdzie!

- Mamaeth! - Roannie kamień spadł z serca. Ochmistryni na pewno będzie wiedziała, jak pomóc rannemu. Szczupła postać spowita w długą pelerynę wyłoniła się z mgły.

- No, proszę, tu jesteście! - burknęła Mamaeth, biorąc się

pod boki. Wstrzymała oddech na widok Emryssa i zwłok Cynrika. Natychmiast przypadła do wychowanka.

- Chyba złamał nogę - powiedziała Roanna i uklękła obok niej. - Można go przenieść?

- Byle nie za daleko.

Wstała i popatrzyła na Gwilyma, wskazując szałas.

- Pomóż mi go tam zaprowadzić. Potrzebujemy dużo suchego drewna. Sprowadź ludzi, żeby go stąd zabrali.

Mówiła rozkazującym tonem, więc chciał się sprzeciwić, ale Emryss nie dopuścił go do głosu i powiedział, jęcząc raz po raz:

- Zrób, co kazała, Gwilym. - Zachichotał, skrzywiony boleśnie. - Na rany Chrystusa, kobieto! Jedna wygrana bitwa i czujesz się tu wodzem, prawda?

Roanna uśmiechnęła się do niego i znowu spojrzała na Gwilyma.

- Sprowadź wóz i zostaw go na drodze. Potrzeba kilku mężczyzn, żeby przenieść Emryssa.

- Poszukam Bronwyn i poproszę, żeby przyniosła suche ubrania - odparł, kiwając głową. - Muszę jej koniecznie powiedzieć, że byłem w błędzie.

Roanna podeszła do Emryssa i wraz z Gwilymem zamierzała go podnieść. Łagodnie odsunięta przez Mamaeth, zdumiała się stanowczością jej gestu.

- Nie, pani - usłyszała. - Lepiej się teraz nie forsować. Powinnaś odpocząć. - Szła za podtrzymywanym przez nich Emrysem, który jęczał przy każdym kroku. Zdyszany przystanął na progu i uśmiechnął się do niej.

- Pamiętasz tamten szałas, w którym razem spaliśmy? - zapytał szeptem, wspominając dzień, w którym stała się jego zakładniczką. Odpowiedziała tylko uśmiechem.

- Przestań gadać i połóż się przy ogniu - gderała Mamaeth. Zacisnął wargi, gdy złamana noga dotknęła słomianego legowiska. - Poszukam suchego drewna - mruknęła, idąc do wyjścia. - Nie ruszaj się, chłopcze, albo za karę złamię drugie udo.

Roanna dostrzegła w kącie swoje ubranie, które cisnął tam Cynrik, gdy nagle rzucił się na nią. Odeszła w róg szałas, chcąc je włożyć.

- Poczekaj - usłyszała głos Emryssa. Zdziwiona jego wołaniem odwróciła się od razu. - Nie ubieraj się jeszcze, tylko chodź do mnie. - Niski głos brzmiał zachęcająco i czule. Zbliżyła się, patrząc w bladą, wymizerowaną twarz. - Chciałbym ci podziękować i znam znakomity sposób. - Wiedziała, co mu chodzi po głowie, i natychmiast pojęła, jak chce jej okazać wdzięczność. Energicznie pokręciła głową.

- Wykluczone, panie mój. Nie teraz. Poczekajmy z tym, aż... wydobrzejesz. Pamiętaj o złamanej nodze.

- Będzie nieruchoma, a reszta moich członków nie ucierpiała.

- Najpierw wyzdrowiej.

- Rany boskie! - Opadł na legowisko i przymknął oczy. - Czy przez całe życie muszę wojować z władczymi kobietami? - mamrotał ze złością.

Roanna uśmiechnęła się, włożyła suknię i wrzuciła do paleńska ostatnie polana. Należałoby zdjąć Emryssowi mokre ubranie, ale nie chciała zadawać mu bólu. Wkrótce powróciła Mamaeth z naręczem patyków i dużą gałęzią. Roanna podbiegła, żeby jej pomóc, i rozpałała spory ogień, uważając pilnie, żeby nie podpalić szałas, a tymczasem Mamaeth zbadała rannego.

- Leż spokojnie, chłopcze - powiedziała czule. - Trochę zaboli. - Wolno i ostrożnie przesuwiała dłońmi po jego nodze. Gdy ucisnęła poniżej biodra, zaklął paskudnie.

- Żadnych przekleństw - burknęła, spoglądając na niego ze współczuciem. - No, może parę.

Nagle zbladł okropnie, a Roanna usłyszała budzący mdłości trzask i domyśliła się, że kość została nastawiona. Emryss jęknął i skrzywił się z bólu. Miała nadzieję, że zemdłał, bo wówczas doznałby chwilowej ulgi.

- Nie jest źle. Widziałam gorsze złamania. - Mamaeth wyprostowała się i wzięła dwa patyki. Spojrzała z uwagą na Roannę. - Jak się czujesz?

- Ja... całkiem dobrze - odparła, trochę zbита z tropu.

- Dobrze. Jak na ciężarną kobietę ciekawe wybierasz sobie zajęcia: bieganie w ulewnym deszczu, walka na miecze...

- Coś ty powiedziała? - Emryss usiadł na posłaniu i krzyknął z bólu.

- Twoja żona urodzi dziecko. - Na twarzy Mamaeth pojawił się szeroki uśmiech, gdy pomagała mu się położyć. - Najwyższy czas! Dziwię się, że tyle czasu wam to zajęło. Zawsze byłeś pies na baby.

- Ale... przecież... - Osłupiała Roanna patrzyła na wstającą z kłeczek Mamaeth, która rzuciła jej drwiące spojrzenie.

- Nie wiedziałaś?

- Skąd pewność, że oczekuję dziecka? Miałam nadzieję, ale... - Roanna poczuła, że się rumieni, a serce przepełnia jej radość.

- Wystarczy popatrzeć ci w oczy i od razu wiadomo. One są zwierciadłem duszy, wszystko w nich zobaczysz, szczególnie u kobiety. A teraz usiądź i odpocznij.

Roanna posłuchała, zbyt oszołomiona, żeby się sprzeciwić.

- Dziecko! - Emryss roześmiał się głośno, a Mamaeth prychnęła pogardliwie.

- Ale głupi ci mężczyźni! Co się tak wydzierasz? Myślisz, że ty jeden na całym świecie będziesz miał dziecko?

Roanna dostrzegła w oczach Mamaeth błysk skrywanego zadowolenia. Poczowała ulgę oraz nagłą wesołość i także wybuchnęła śmiechem. Mamaeth chichotała piskliwie, a Emryss rechotał donośnym basem. W szałasie zrobiło się bardzo głośno. Gdy Gwilym wszedł do środka, uznał, że wszyscy poszaleli.

- Bronwyn podjechała wozem najbliższej, jak się dało. Dalej nie mamy rady - oznajmił.

- Nie jest to dobra nowina, ale poradzimy sobie. - Mamaeth natychmiast oprzytomniała. Roanna kiwnęła głową i podeszła do Emryssa.

- Nie martw się. Wkrótce będziesz w domu.

- Oby jak najszybciej - mruknął. - Musisz odpocząć.

- Przynajmniej raz coś mądrze powiedział - strofowała ich Mamaeth, zerkając na Gwilyma. - Kto jest przy wozie?

- Bronwyn i kilku mężczyzn.

- Dobrze. Przyślij ich tutaj - rozkazała. Skinął głową i już miał odejść, gdy krzyknęła za nim: - A poprosz Bronwyn o rękę, bo to już czas. - Odwróciła głowę i mrugnęła do Emryssa. Gwilym nagle się rozpromienił.

- Jesteśmy już po słowie - rzucił i wybiegł z szałasu.

Kilka minut później Emryss leżał na wozie. Droga do Craig Fawr dłużyła się w nieskończoność, a przy każdej nierówności jęczał z bólu. Mimo to na myśl o własnym dziecku tak się rozochocił, że zamiast leżeć bez ruchu, jak kazała Mamaeth, wyciągnął rękę i dotknął biustu Roanny, która skarciła go surowo.

- Pod sercem nosisz mego syna - odparł z udawaną powagą. Roześmiała się i pochyliła głowę, żeby go pocałować.

- A może córeczkę?

- Zapytamy Mamaeth. - Skrzywił się, bo koło uderzyło o kamień, a potem wóz się zatrzymał.

- Co tam? - krzyknął. Roanna wyrzała spod plandeki.

- Fitzroy z drużyny Cynrika.

Stał niepewnie pośrodku drogi, a krew spływała mu z rany na głowie. Odezwał się słabym głosem, bełkotliwie przeciągając słowa.

- Jest z wami Emryss DeLanyea? Muszę z nim mówić.

Gwilym zeskoczył z konia i wyjął miecz.

- Dlaczego?

- Chcę go ostrzec... - wymamrotał Fitzroy i upadł na ziemię. Mamaeth zsunęła się z wozu.

- Cięcie w głowę. Dawajcie go tu. Trzeba opatrzyć ranę, bo umrze.

Urien wolno otworzył oczy. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Gdy uniósł się ostrożnie, w głowie poczuł pulsujący ból. Rozejrzał się wokoło, ale nie rozpoznał komnaty. Obok łóżka zobaczył widmowy zarys kobiecej postaci. Na zydłu siedziała pani Roanna. Uśmiechnęła się do niego.

- Jak samopoczucie?

- Dobrze - mruknął. - Skąd się tu wzięłem?

- Byłeś ranny. Zabraliśmy cię do Craig Fawr.

- Twój mąż omal mnie nie zabił.

- A ty zamierzałeś nas ostrzec, prawda? - Znowu się do niego uśmiechnęła, a zielone oczy lśniły w przyćmionym blasku świec. Bez słowa opadł na pościele. - Dlatego jechałeś drogą z Beaufort. Opuściłeś na dobre Cynrika, żeby tu przybyć.

Odwrócił głowę i popatrzył na nią. Nagle uderzyła go myśl, że są na świecie kobiety, o które warto się bić.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni - dodała cicho Roanna.  
- Chciałem uprzedzić Emryssa, co knuje Cynrik, i powiedzieć mu, że wbrew woli zostałaś wciągnięta w jego machinacje, żeby twój mąż cierpiał.

- Cynrik nie żyje. - Zdziwił się, widząc jej zbolaną twarz.

- Nie żyje? - powtórzył. - Zabił go twój mąż?

- Nie. - Pokręciła głową. - Ja to zrobiłam.

- I dobrze - odparł Urien. - Nie nadawał się do życia.

- Czemu chciałeś ostrzec Emryssa? - Popatrzyła na niego z ciekawością.

- Bękart wspomaga bękartą. - Urien wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. I tak zamierzałem opuścić te strony.

- Lynette wróciła do domu. Powiedziała nam, co dla niej zrobiłeś.

- Potrzebowała pieniędzy, a ja miałem ich pod dostatkiem i wnet znowu się wzbogacę. - Zarumienił się, jakby został przyłapany na gorącym uczynku.

- Co teraz zamierzasz?

Spojrzał przez wąskie okno wybite w kamiennej ścianie komnaty i powiedział schrypniętym głosem:

- Opuzczę te przekłętą krainę.

- W Craig Fawr potrzebujemy rycerzy takich jak ty - odparła.

- Dzięki, dostojna pani. - Uśmiechnął się, a twarz mu pojaśniała. - Dobrze poznałem Walię i jestem pewny, że to nie jest kraj dla mnie.

Roanna wstała i kiwnęła głową.

- Życie nie jest tu łatwe, chyba że opromieni je miłość. - Uśmiechnęła się do niego. - Mam nadzieję, że Urien Fitzroy pozna kiedyś to uczucie.

Odwróciła się i zostawiła go samego. Przez dziedziniec pobiegła na wieczerzę do wielkiej sali. Deszcz ustał i nad murami, które były już prawie ukończone, widziała niebo poróżwiałe od blasku zachodzącego słońca. Brzegi chmur zabarwiły się czerwienią i złotem. Zwolniła trochę, a potem stanęła, żeby obserwować cudowną grę barw. Popatrzyła na otaczające dziedziniec budynki. Tu był jej prawdziwy dom. Tutaj serce zaznało wreszcie szczęścia i spokoju.

Z paradnej sali dobiegły wybuchy śmiechu, więc popędziła tam, ile sił w nogach. Otworzyła drzwi i pojęła, co jest przyczyną wesołości poddanych. Emryss kłął szpetnie, siedząc na dębowym krześle, a Jacques i Gwilym próbowali je dźwignąć i postawić na podwyższeniu. Roanna przebiegła między stołami, przy których siedzieli biesiadnicy.

- Powinieneś leżeć! Zaszkożysz sobie! - krzyknęła, gdy mężczyźni postawili wreszcie krzesło. Emryss popatrzył na nią, a ona poznała, że jest wyczerpany, a jednak twarz miał rozpromienioną.

- Nie zatrzymasz mnie w łóżku dziś wieczorem. Wrócę tam przed kolacją - odparł z komicznym uporem.

Roanna spojrzała po sali. Mamaeth i Jacques stali ramię przy ramieniu w drzwiach kuchni. Bronwyn i Gwilym siedzieli na ławie pod ścianą, w odległym kącie sali, nie zwracając uwagi na otoczenie, a ich twarze prawie się stykały. Uradowana wskoczyła na podwyższenie i cmoknęła Emryssa w same usta. Obserwował ją, gdy siadała za stołem.

- Błogosławiony stan najwyraźniej ci służy, skoro jesteś taka radosna, więc postaram się, żebyś stale oczekiwała dziecka - powiedział głośno.

Gdy znaczenie jego słów dotarło do poddanych, w sali roz-

legły się oklaski, wiwaty i głośne powinszowania. Roanna ujęła i pocałowała dłoń Emryssa, który patrzył na nią rozkochanym wzrokiem. Uśmiechnął się i zerknął w stronę kuchni.

- Nareszcie będziesz mogła strofować kolejnego dzieciaka!

Mamaeth położyła dłonie na wąskich biodrach.

- Daruj, panie, ale musisz sobie poszukać innej niańki, bo wychodzę za męża.

Roanna spojrzała na Jacques'a, który zaczerwienił się jak burak i bezradnie uniośł ręce.

- Zamiast ciągle się kłócić, postanowiłem wziąć ją za żonę. To mi ułatwi życie. - Uśmiechnął się szeroko. Mamaeth przybrała minę tak chełpliwą i dumną, że Roanna wraz z innymi parsknęła śmiechem.

Późnym wieczorem siedziała w małżeńskiej komnacie, szczotkując włosy pachnące ziołami, a Emryss leżał na pościeli i uważnie się jej przyglądał. Dzisiejsza wieczerza zamieniła się w prawdziwą ucztę. Nie brakowało jadła i napitku, biesiadnicy weselili się i śpiewali. Roanna miała swój udział w ogólnej radości. Nawet teraz nuciła ulubioną pieśń. Na stoliku obok niej paliły się świece, a nikłe płomyki rozświetlały nieco mroczną komnatę.

- Roanno.

Spojrzała przez ramię na męża, który pòlsiedział, pòłleżał, podparty spiętrzonymi poduszkami. Usztywniona noga spoczywała na kołdrze.

- Emryss - szepnęła Roanna. Odłożyła szczotkę, wstała i podeszła do łóżka. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Kocham cię, żono.

- Kocham cię, mężu.

Zsunęła z ramion koszulę, pozwalając jej opaść na podłogę, i położyła się obok ukochanego. Wstrzymał oddech, gdy zaczęła całować jego tors i brzuch, zbliżając się do granicy białego prześcieradła, którym był okryty. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po obnażonych plecach, czując pod palcami gładką, ciepłą skórę.

- Litości! Czemu właśnie teraz musiałem złamać nogę! - westchnął, gdy czubek ciepłego języka sunął w dół po jego brzuchu wzdłuż linii ciemnych włosów.

- Nie możesz się poruszać... w przeciwieństwie do mnie - szepnęła, podbródkiem zsuwając prześcieradło. - Wkrótce sprawię, panie mój, że zaczniesz błagać o zmiłowanie.

Znieruchomiał, gdy jej usta powędrowały znów w górę, ku twardym sutkom. Palce gładziły lekko tors i brzuch, a potem dłoń wsunęła się pod prześcieradło. Jęknął cicho, gdy znalazła, czego szukała. Pod wpływem śmiałej pieszczoty jego oddech stał się urywany i przyspieszony. Roanna całowała namiętne szyję, uszy, rozchylone wargi, przymknięte powieki, a pocałunki i pieszczoty rozpałały w nim płomień żądz. Jęknął, bo usta ponownie sunęły w dół. Długo zwlekała, lecz w końcu, ogarnięta niecierpliwością, zapragnęła mieć go w sobie i wypełnić nieznośną pustkę. Ostrożnie usiadła mu na biodrach, żeby nie czuł jej ciężaru. Objął wargami piersi i językiem raz po raz dotykał białej skóry.

Roanna uniosła się, wyczuwając jego męskość. Połączyli się i rozpoczęła zwodniczy, powolny taniec bioder: przyływ i odpływ, odejście i powrót, napięcie i chwila oddechu. Poruszała się, trzymając mocno jego dłonie. Splecione palce, urywane oddechy i wspólny krzyk odbity echem wśród kamiennych

ścian. Zaspokojona i szczęśliwa uniosła się lekko i przylgnęła do męża.

- Błagam o zmiłowanie, żono o walecznym sercu - szepnął. Od cichego śmiechu dudniło mu w piersiach. Uradowana podniosła na niego oczy pełne miłości i szczęścia.